

From the *New York Times* bestselling author

DZIEDZICTWO

D I A B L O™

KRWI

LEGACY

1

OF

BLOOD



RICHARD A. KRAAK

RICHARD A. KNAAK

DIABLO

Dziedzictwo krwi

Tłumaczenie: Michał Studniarek



JEDEN



Czaszka uśmmechnęła się do nich krzywo, jakby zachęcając całą trójkę do pozostania tu na wieczność.

– Wygląda na to, że nie byliśmy tu pierwsi – zamruczał Sadun Tryst. Żyłasty, poznaczony szramami wojownik postukał w czaszkę ostrzem noża, wprawiając kościstego obserwatora w drzenie. Poza nim mogli dostrzec tylko kolec, który przebił głowę i utrzymał ją w powietrzu, podczas gdy reszta ciała spadła na ziemię w postaci bezkształtnej masy kości.

– A myślałeś, że będziemy? – szepnęła wysoka, zakapturzona postać. Jeśli Sadun wyglądał na szczupłego, niemal akrobatę, to Fauztin sprawiał wrażenie chodzącego trupa.

Czarodziej z Vizjerei poruszył się niczym zjawa, gdy dotknął czaszki okrytym rękawiczką palcem.

– Nie wyczuwam w tym jednak żadnej magii. Tylko toporny, ale skuteczny mechanizm. Nie ma się czego obawiać.

– Dopóki twoja głowa nie zawiśnie na następnym kolcu. Vizjerei pociągnął swoją siwą, kozią bródkę. Jego lekko skośne oczy zamknęły się, jakby potwierdzając zdanie towarzysza. Choć Sadun z wyglądu (a czasem i z charakteru) przypominał niegodną zaufania łasicę, to Fauztin kojarzył się z wysuszonym kotem. Koniec jego nosa wciąż się poruszał, zaś zwisające pod nim wąsiki tylko potęgowały to wrażenie.

Co prawda żaden z nich nie był uznawany za świętego, ale Norrec Yizharan już kilka razy powierzył im swoje życie. Dołączywszy do nich, stary wojownik popatrzył przed siebie, gdzie ciemności skrywały kilka

większych komnat. Jak do tej pory przeszli już siedem różnych poziomów i nie znaleźli niczego poza prymitywnymi pułapkami. Ku swemu wielkiemu rozczarowaniu, nie znaleźli też żadnych skarbów.

– Jesteś pewny, że nie ma w tym żadnej magii, Fauztin? Wcale a wcale?

Na wpół przesłonięte kapturem kocie rysy przybrały wyraz łagodnej urazy. Szerokie ramiona sutego płaszcza sprawiały, że Fauztin wyglądał niesamowicie, niemal jak istota nadprzyrodzona. Zwłaszcza, gdy górował nad bardziej muskularnym, dość wysokim przecież Norrecem.

– Musiałeś to powiedzieć, przyjacielu?

– To przecież nie ma sensu! Poza kilkoma żałośnie prostymi pułapkami nie napotkaliśmy niczego, co by nas mogło powstrzymać przed dotarciem do głównej komnaty!

Czemu męczyć się z wykopywaniem, aby później zostawić to praktycznie bez zabezpieczenia?!

– Nie nazywałbym niczym pająka wielkości mojej głowy – stwierdził kwaśno Sadun, drapiąc się po długich, choć przeredzających się czarnych włosach. – Zwłaszcza, że tym razem siedział na mojej głowie...

Norrec zignorował go.

– Czy to jest to, co myślę? Znów spóźniliśmy się? Czy powtarza się sytuacja z Tristram?

Kiedyś, w przerwie pomiędzy jednym zaciągiem a drugim, poszukiwali skarbów w małej wsi zwanej Tristram. Legenda głosiła, że w strzeżonych przez potwory podziemiach znajduje się skarb tak wyjątkowy, że ci, którzy go znajdą, staną się bogaci niczym królowie.

Norrec i przyjaciele weszli do labiryntu w środku nocy. Nie widział tego żaden z miejscowych...

Po wielu trudach, walce z dziwnymi potworami i uniknięciu wielu pułapek... odkryli, że ktoś przed nimi ograbił podziemia ze wszystkiego, co

przedstawiało jakąkolwiek wartość.

Gdy wrócili do wsi, dowiedzieli się smutnej prawdy. Kilka tygodni wcześniej do podziemi zszedł potężny bohater, który pokonał złego demona Diabło. Co prawda nie zabrał złota ani klejnotów, ale awanturnicy, którzy zjawili się wkrótce potem, skorzystali z okazji i wynieśli wszystko, co tylko znaleźli. W ciągu kilku dni nie zostało nic, czym trójka poszukiwaczy mogłaby wynagrodzić swe trudy...

Norrec nie znalazł też pocieszenia w słowach jednego z wieśniaków, człowieka o wątpliwej poczytalności. Gdy szykowali się do wyjazdu powiedział, że ów bohater, zwany Podróżnikiem, nie pokonał Diabło, lecz przypadkowo uwolnił zło. Zdziwione spojrzenie, które Norrec skierował na Fautzina zostało skwitowane obojętnym wzruszeniem ramion maga.

– Zawsze mówi się o uciekających demonach i strasznych przekleństwach – dodał wtedy, nie zwracając uwagi na przerażenie w głosie chłopca.

– Diabło pojawia się w większości ludowych opowieści.

– Nie sądzisz, że w tej historii może tkwić ziarno prawdy?

– Gdy Norrec był dzieckiem, często starsi straszili go Diabło, Baalem i innymi stworami nocy. Wszystkie miały sprawić, że będzie greczny.

Sadun Tryst prychnął.

– A widziałeś jakiegoś demona? Znasz kogoś, kto go widział?

Norrec nie widział.

– A ty, Fautzin? Mówią, że Yizjerei mogą wezwać demony, aby im służyły.

– Gdybym mógł to uczynić, czy węszyłbym teraz po pustych lochach i grobowcach?

To właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, przekonało Norreca, aby włożyć opowieść wieśniaka między bajki. Tak naprawdę nie było to zbyt

trudne. Ostatecznie wtedy dla całej trójki liczyło się to samo, co teraz – bogactwo.

Niestety, wyglądało na to, że i tym razem skarby przejdą im koło nosa.

Gdy Fautzin spoglądał w głąb korytarza, jego dłonie zacisnęły się mocniej na trzymanej przez niego czarodziejskiej lasce. Stanowiący źródło światła kryształ na jej wierzchołku rozbłysnął mocniej.

– Miałem nadzieję, że się myliłem, ale teraz obawiam się, że masz rację. Nie jesteśmy jedynymi, którzy odwiedzili to miejsce.

Siwiejący wojownik zaklął pod nosem. W swoim życiu służył pod wieloma dowódcami, większość czasu podczas krucjat z Marchii Zachodniej. Gdy przeżył już wiele kampanii (czasem o włos mijając się ze śmiercią), doszedł do jednego wniosku. Bez pieniędzy w życiu nie sposób dojść do niczego. Doszedł do stopnia kapitana, trzykrotnie był degradowany i przeszedł na emeryturę po ostatniej klęsce.

Wojna była rzemiosłem Norreca od chwili, gdy był w stanie unieść miecz. Kiedyś miał nawet coś na kształt rodziny, ale teraz byli oni równie martwi jak jego ideały. Wciąż uważał się za przyzwoitego człowieka, lecz przyzwoitością nie da się napełnić żołądka.

Norrec uznał, że musi być jakaś inna droga...

I tak wyruszył na poszukiwanie skarbu wraz z dwoma towarzyszami.

Choć, podobnie jak Sadun, również zebrał swoją porcję szram, jednak bardziej przypominał rolnika. Duże brązowe oczy, szeroka szczerą twarz z mocno zarysowaną szczęką – pasowałyby do motyki. Gdy jednak taka wizja pojawiała się w jego umyśle, natychmiast uświadamiał sobie, że aby opłacić tę ziemię, potrzebowałyby złota. Ta wyprawa miała uczynić ich bogatymi znacznie ponad ich potrzeby, ponad wszelkie wyobrażenie...

Teraz wydawało się, że będzie to strata czasu i wysiłku... znowu.

Obok niego Sadun Tryst wyrzucił nóż w powietrze i zwinnie złapał za rękojeść, gdy ten spadał. Podrzucił go jeszcze dwa razy, najwyraźniej się nad czymś zastanawiając. Norrec mógł tylko zgadywać, o czym myśli. Ta wyprawa ciągnęła się już od kilku miesięcy.

Podróżowali przez morze do północnego Kehjistanu, spali na deszczu i w zimnie, zwiedzali puste jaskinie i bładzili na niewłaściwych drogach. Gdy polowanie się nie udało, posilali się wszelkim robactwem, jakie udało im się złapać. A wszystko z powodu Norreca, który namówił ich na tę wyprawę.

Co gorsza, ta akurat wyprawa zaczęła się od pewnego snu o zwykłym górskim szczycie, który przypominał nieco smoczy łeb. Gdyby śnił mu się tylko raz czy dwa razy, Norrec mógłby go zapomnieć, ale w ciągu ostatnich lat powtarzał się zbyt często. Gdziekolwiek by nie walczył, szukał szczytu, lecz bez rezultatu. Później nieżyjący już towarzysz powiedział mu, że takie miejsce istnieje w rzeczywistości. Mówiono, że jest ono nawiedzane przez duchy, zaś ci, którzy zbliżali się do góry, znikali. Później odnajdywano ich odarte z mięsa kości...

Wówczas i teraz Norrec Yizharan był przekonany, że przeznaczenie go tutaj wzywało.

Skoro tak, to dlaczego do już obrabowanego grobowca?

Wejście w skale było dobrze ukryte, ale otwarte. Powinno go to zastanowić, ale Norrec nie chciał zauważyć tego drobnego faktu. Wszystkie nadzieje, obietnice składane kompanom...

– Cholera! – kopnął w najbliższą ścianą. Tylko wzmocniony but uratował palce jego stóp przed złamaniem. Norrec cisnął miecz na ziemię, przeklinając swoją naiwność.

– Jakiś generał z Marchii Zachodniej zaciąga najemników – zasugerował Sadun.

– Mówią, że ma wielkie ambicje...

– Dość już wojen – mruknął Norrec, próbując nie krzywić się z bólu, który pulsował w stopie. – Dość umierania dla cudzej chwały.

– Myślałem, że...

Wychudzony czarodziej stuknął o ziemię swoim kijem, aby zwrócić na siebie uwagę towarzyszy.

– Skoro już tutaj dotarliśmy, głupotą byłoby nie zajrzeć do centralnej komnaty. Być może ci, którzy byli tu przed nami zostawili kilka błyskotek lub monet. W Tristram znaleźliśmy kilka sztuk złota. Kilka chwil dłużej czy krócej to żadna różnica, prawda, Norrec?

Wiedział, że Yizjerei próbował złagodzić złość przyjaciela, ale w umyśle weterana zaczął już kiełkować pomysł. Potrzebował tylko kilku złotych monet! Był jeszcze na tyle młody, żeby znaleźć jakąś kobietę, zacząć nowe życie, może nawet założyć rodzinę...

Norrec podniósł swój miecz, ważąc w dłoni broń, która tak dobrze mu służyła przez wiele lat. Czyścił ją i ostrzył, był dumny z niej, jako jednej z niewielu rzeczy, które tak naprawdę należały do niego. Na jego twarzy malowało się zdecydowanie.

– Chodźmy.

– Dużo mówisz jak na kogoś, kto rzadko się odzywa – zażartował z maga Sadun.

– A ty za często się odzywasz jak na kogoś, kto ma niewiele do powiedzenia.

Przyjacielska sprzeczka uspokoiła skołatany umysł Norreca. Przypomnił sobie stare dzieje, gdy we trójkę przeżywali gorsze chwile.

Rozmowa urwała się w chwili, gdy zbliżyli się do miejsca, gdzie z całą pewnością znajdowała się ostatnia, najważniejsza sala. Fauztin kazał im zatrzymać się, spoglądając na kryształ umieszczony na czubku laski.

– Zanim tam wejdziemy, wasza dwójka powinna zapalić pochodnie.

Zachowali je na wszelki wypadek – jak do tej pory laska czarodzieja spisywała się dobrze. Fauztin nic nie powiedział, ale gdy Norrec zabrał się za krzesanie ognia, zastanowił się, czy Yizjerei nie wykrył wreszcie jakiejś magii. Jeśli tak, to może pozostały tam jeszcze jakieś skarby...

Norrec zapalił swoją pochodnią żagiew Saduna. Lepiej oświetleni, ruszyli dalej.

– Przysięgam – mruknął żylasty Sadun kilka chwil później – Przysięgam, że włosy z tyłu głowy stanęły mi dęba!

Norrec czuł to samo. Żaden z nich nie zaprotestował, gdy na czoło wysunął się Yizjerei. Klany z Dalekiego Wschodu od dawna zgłębiały tajniki magii, zaś lud, z którego pochodził Fauztin, czynił to jeszcze dłużej. Jeśli sytuacja wymagała użycia magii, należało pozostawić ją chudemu czarodziejowi. Norrec i Sadun mieli go strzec przed innymi niebezpieczeństwami.

Do tej pory taki układ okazywał się skuteczny.

W przeciwieństwie do ciężkich butów wojowników, sandały Fauztina nie wywoływały żadnego dźwięku. Mag wyciągnął swoją laskę do przodu i Norrec zauważył, że kryształ, mimo swojej mocy, nie dawał zbyt wiele światła. Tylko pochodnie świeciły jak należy.

– To jest stare i potężne. Nasi poprzednicy mogli nie mieć tyle szczęścia, jak początkowo sądziliśmy. Może jeszcze coś tam zostało.

A może nawet wiele. Norrec zacisnął palce na rękojeści miecza, aż pobiegały kostki.

Chciał złota, a jeszcze bardziej pragnął żyć na tyle długo, aby je wydać.

Gdy światło laski przestało wystarczać, wojownicy wysunęli się do przodu. Nie znaczyło to, że Fauztin stał się bezużyteczny. Nawet teraz – wojownik był tego pewny – obmyślał najskuteczniejsze i najłatwiejsze w

rzucaniu zaklęcia przeciwko każdemu przeciwnikowi, jakiego mogli napotkać.

– Ciemno jak w grobie – wymamrotał Sadun.

Norrec nie odpowiedział. Idąc kilka kroków przed towarzyszami, jako pierwszy dotarł do komnaty. Mimo niebezpieczeństw, które kryły się w ciemnościach, niemal skrył się w niej, jakby coś wewnątrz przyzywało go...

Całą trójkę zalało oślepiające światło.

– Bogowie! – warknął Sadun – Nic nie widzę!

– Chwileczkę – uprzedził mag – To przejdzie.

Tak się stało. Gdy ich oczy przyzwyczyły się do światła, Norrec Yizharan ujrzał widok tak niezwykły, że zamrugał, aby upewnić się, że to nie jest wytwór jego pragnień.

Ściany pokryte były skomplikowanymi, zdobionymi klejnotami wzorami, w których nawet on wyczuwał magię. Szlachetne kamienie wszystkich rodzajów występowały w obfitości w każdym z nich, kąpiąc komnatę w feerii rozszczepionych i odbitych barw. Pod nimi leżały skarby, po które przyszli. Sterty złota, srebra i drogich kamieni. Ich blask łączył się z refleksami słanymi przez magiczne wzory, dzięki czemu w komnacie było jaśniej niż w dzień.

Gdy któryś z wojowników unosił pochodnię, światło jeszcze bardziej zmieniało i tak niesamowity wygląd komnaty. Jedna rzecz skutecznie ostudziła zapał Norreca. Na podłodze, jak okiem sięgnąć, walały się gnijące szczątki tych, którzy zjawili się tu przed nimi. Sadun oświetlił swoją pochodnię najbliższe, pozbawione już ciała zwłoki, wciąż odziane w skórzaną zbroję.

– Musieli tu stoczyć jakąś bitwę.

– Ci ludzie nie umarli w tym samym czasie.

Norrec i mniejszy wojownik popatrzyli na Fauztina. Na jego zwykle pozbawionej wyrazu twarzy malowało się zamyślenie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, Sadun, że niektórzy z nich nie żyją od bardzo dawna, może nawet od stuleci. Ten koło twojej nogi należy do najświeższych. Z leżących dalej pozostały tylko kości.

Szczupły weteran wzruszył ramionami.

– Cóż, wygląda na to, że nie zmarli lekką śmiercią.

– Zgadza się.

– Zatem... co ich zabiło?

Wówczas odpowiedział Norrec.

– Spójrzcie tu. Wygląda na to, że pozabijali się nawzajem. Dwa trupy, na które wskazywał, trzymały broń zatopioną w swoich brzuchach. Jeden, którego usta wciąż rozwarły były w ostatnim, przeraźliwym krzyku, nosił zbroję podobną do leżącej u stóp Saduna. Z ubrania drugiego pozostały tylko szmaty i kilka pasemek włosów na lśniącej białej czaszce.

– Mylisz się – Yizjerei pokręcił głową – Jeden z nich leży tu dłużej niż drugi.

Norrec również by tak sądził, gdyby nie ostrze tkwiące w drugim trupie. Jednak śmierć tej dwójki dawno temu w niczym nie zmieniała ich obecnej sytuacji.

– Fauztin, wyczuwasz coś? Czy są tu jakieś pułapki? Chuda postać wyciągnęła swoją laskę w głąb komnaty, po czym opuściła ją niesmakiem na twarzy.

– Zbyt wiele mocy się tu nakłada, Norrec. Nie wiem, czego dokładnie szukać. Nie wyczuwam bezpośredniego zagrożenia... na razie.

Sadun przestępował niecierpliwie z nogi na nogę.

– Zatem zostawiamy to wszystko i porzucamy nasze marzenia, czy też ryzykujemy niewiele i zabieramy te warte kilku imperiów skarby?

Norrec i czarodziej wymienili spojrzenia. Żaden z nich nie uważał, że należy się wycofać, zwłaszcza, że przed nimi piętrzyło się tyle bogactw. Weteran ostatecznie rozstrzygnął problem, robiąc kilka kroków w głąb komnaty. Gdy nie poraził go żaden magiczny piorun ani nie zjawił się demon, Sadun i Yizjerei szybko do niego dołączyli.

– Musi ich tu leżeć przynajmniej kilka tuzinów – Sadun przeskoczył przez dwa szkielety, wciąż splątane w walce. – I to nie licząc tych, co już się rozlecieli...

– Sadun, zamknij się, albo ci pomogę... – Teraz, gdy stąpał wśród nich, Norrec nie chciał słyszeć ani słowa o martwych poszukiwaczach skarbów. Zastanawiało go, że tylu z nich umarło gwałtowną śmiercią. Na pewno ktoś przeżył. Jeśli tak, to dlaczego monety i inne skarby leżą nietknięte?

Nagle jego uwagę przyciągnęło coś innego. Zorientował się, że poza skarbami w najdalszej części komnaty, na końcu naturalnie uformowanych schodów znajduje się postument. Co więcej, na tym postumencie spoczywały czyjeś szczątki, wciąż odziane w zbroję.

– Fauztin... – Gdy mag zbliżył się do niego, wskazał palcem na konstrukcję i mruknął – Co o tym sądzisz?

Jedyną odpowiedzią było zaciśnięcie ust i ostrożne podejście do postumentu. Norrec posuwał się tuż za nim.

– To wiele tłumaczy... – Usłyszał szept Yizjerei – Tłumaczy, dlaczego jest tu tak wiele magicznych mocy i tyle znaków...

– O czym ty mówisz?

– Chodź i zobacz sam. – Czarodziej raczył wreszcie spojrzeć na niego.

Norrec podszedł. Dziwne uczucie, które już wcześniej go przepełniało, wzmogło się jeszcze, gdy weteran spojrzał na leżącą na postumencie

potworność.

Był to z pewnością wojskowy – tyle Norrec mógł powiedzieć, choć ubranie rozpadło się już i zostały z niego tylko szmaty. Porządne skórzane buty leżały przechylone na boki – wystawały z nich resztki spodni. To, co zostało z jedwabnej koszuli, ledwo było widoczne pod potężnym napierśnikiem leżącym bezpośrednio na żebrach. Czarne szczątki królewskiej szaty zaścielały górną część katafalku. Dobrze zrobione rękawice i osłony rąk sprawiały wrażenie, że ramiona wciąż są okryte mięśniami i skórą. Podobnie sprawa miała się z naramiennikami. Gorzej wyglądały osłony nóg, które leżały obok piszczeli, jakby ktoś je poruszył.

– Widzisz? – spytał Fauztin.

Norrec zmrużył oczy, niepewny, o co chodziło magowi. Poza tym, że zbroja pomalowana była na niesamowity, choć znajomy odcień czerwieni, nie zauważył niczego...

Brak głowy. Spoczywające na postumencie ciało nie miało głowy. Norrec zajrzał za postument i nie zauważył na ziemi żadnych śladów. Powiedział o tym czarodziejowi.

– Tak, dokładnie jak opisano... – wychudzona postać zbliżyła się do platformy. Jak na gust weterana, zrobiła to zbyt szybko. Fauztin wyciągnął dłoń, ale wstrzymał się w ostatniej chwili, nim dotknął tego, czego chciał.

– Ciało skierowane na północ. Głowa i hełm, odcięte w bitwie, zostały oddalone w czasie i przestrzeni, aby położyć temu kres. Na ścianach umieszczono znaki mocy, aby pohamować zło w ciele... ale... – Głos Fauztina zamarł, gdy wpatrywał się dalej.

– Ale co?

Mag potrząsnął głową.

– Nic, jak sądzę. Pewnie przebywanie tak blisko niego rozstroiło mi nerwy bardziej, niż chciałbym przyznać.

Norrec zacisnął zęby, nieco zirytowany ponurymi słowami czarodzieja.

– Kto to jest? Jakiś książę?

– Na Niebiosa, nie! Nie widzisz? – Palec w rękawiczce wskazał czerwony napierśnik.

– To zaginiony grobowiec Bartuca, pana demonów, mistrza najmroczniejszej magii...

– Władca Krwi – Słowa wymknęły się Norrecowi szeptem. Bardzo dobrze znał opowieści o Bartucu, który wybił się ponad innych magów, a potem zwrócił się ku ciemności i demonom. Teraz kolor jego zbroi nabrał nowego, przerażającego znaczenia: to był kolor ludzkiej krwi.

Szalony Bartuc, którego zaczęły się bać nawet kuszące go kiedyś demony, przed każdą bitwą zażywał kąpieli we krwi pokonanych wrogów. Jego zbroja, kiedyś złota, przez te okrutne czyny została splamiona na zawsze. Równał z ziemią miasta, popełniał nieopisane okropieństwa i czyniłby to przez całą wieczność – tak mówiły opowieści – gdyby nie desperacki czyn jego brata Horazona i innych magów Yizjerei, którzy wykorzystali przekazywaną od starożytności wiedzę i pokonali wroga. Bartuc i jego horda zostali pokonani, nim odnieśli ostateczne zwycięstwo, zaś samego władcę ścięto w chwili, gdy rzucał straszliwe kontrzaklęcie.

Horazon, lękając się mocy brata nawet po jego śmierci, nakazał, by ciało Bartuca na zawsze znikło z ludzkich oczu. Norrec nie wiedział, czemu go po prostu nie spalono – on z pewnością by spróbował. Wkrótce potem zaczęły mnożyć się plotki opisujące miejsca, gdzie miano złożyć ciało Władcy Krwi. Wielu szukało jego grobowca – zwłaszcza ci parający się czarną magią, którzy liczyli na pozostałości mocy, lecz jak dotąd nikomu się to nie udało.

Yizjerei na pewno wiedział jeszcze więcej niż Norrec, ale weteran doskonale zdawał sobie sprawę, kogo znaleźli. Legenda wspominała, że

Bartuc mieszkał przez jakiś czas wśród ludu Norreca. Ktoś z tych, z którymi wojownik się wychowywał, mógł być potomkiem kogoś należącego do świty potwornego władcy. Tak, Norrec bardzo dobrze znał dzieje władcy. Zadrżał i odruchowo zaczął się cofać od postumentu.

– Fauztin... wychodzimy stąd. – Ale, przyjacielu...

– Wychodzimy!

Zakapturzona postać popatrzyła w oczy Norreca, po czym pokiwała głową.

– Zapewne masz rację.

Wdzięczny Norrec odwrócił się do drugiego wojownika.

– Sadun! Zostaw to! Wychodzimy stąd! Już...

Coś poruszyło się niedaleko skrytego w cieniu wejścia do komnaty, zwracając jego uwagę. Na pewno nie był to Sadun Tryst. Trzeci członek grupy zajęty był ładowaniem do worka każdej błyskotki, jaka nawinęła mu się pod rękę.

– Sadun! – warknął stary wojownik – Rzuć worek! Szybko! Coś koło wejścia przesunęło się w ich stronę.

– Oszalałeś? – Zawołał Sadun, nie oglądając się za siebie – To wszystko, o czym marzyliśmy!

Norrec znów usłyszał odgłos ruchu, tym razem dochodzący z wielu miejsc naraz. Gdy dziwna postać zbliżyła się jeszcze bardziej, nerwowo przełknął ślinę.

Puste oczodoły zmumifikowanego wojownika, którego ciało przekroczyli na samym początku spojrzwały w jego przerażone oczy.

– Sadun! Spójrz za siebie!

Wreszcie go posłuchał. Żyłasty żołnierz natychmiast upuścił worek i obrócił się, wyciągając miecz. Gdy jednak zobaczył, na kogo patrzą Norrec i Fauztin, zbladł jak ściana.

Ci, którzy przybyli tu wcześniej, wstawali jeden po drugim, od świeżych zwłok po szkielety. Norrec zrozumiał, czemu nikt nie został żywy. Zorientował się też, że wkrótce on i jego przyjaciele mogą dołączyć do tych przerażających szeregów.

Kosoraq

Szkielet stojący najbliżej czarodzieja znikł nagle w eksplozji pomarańczowych płomieni. Fauztin skierował palec na następnego, częściowo odzianego ghula, na którego twarzy pozostało jeszcze trochę ciała. Yizjerei powtórzył zaklęcie.

Nic się nie stało.

– Mój czar... – Zaskoczony Fauztin nie zauważył szkieletu po lewej, unoszącego zardzewiały, ale nadal użyteczny miecz do ciosu, który miał oddzielić głowę maga od reszty ciała.

– Uważaj! – Norrec zablokował uderzenie i pchnął. Niestety, cios nic nie dał, gdyż ostrze po prostu przeszło klatkę piersiową. W desperacji kopnął swojego przeciwnika, posyłając go wprost na innego nieumarłego.

Byli otoczeni przez przeważające siły wrogów, których nie można było pokonać w normalny sposób. Norrec widział, jak odcięty od przyjaciół Sadun wdrapał się na stos monet i stamtąd próbuje się bronić przed dwoma koszmarnymi wojownikami. Jeden z nich był wysuszoną skorupą, drugi szkieletem z ocalałym ramieniem. Kilku następnych zbliżało się w jego stronę.

– Fauztin! Możesz coś zrobić?

– Spróbuję innego czaru!

Yizjerei znów wypowiedział zaklęcie: tym razem nieumarli walczący z Sadunem zamarli w miejscu. Tryst skorzystał z okazji i ciął z całej siły.

IGhule rozpadły się na niezliczone kawałki i rozsypały po podłodze.

– Wracają twoje moce! – Nadzieje Norreca wzrosły.

– Nigdy mnie nie opuściły. Obawiam się, że mogę użyć każdego czaru tylko raz. Te, które mi zostały, rzuca się bardzo długo!

Norrec nie miał czasu zareagować na tę straszną wiadomość, gdyż jego położenie stawało się rozpaczliwe. Zwarł się z pierwszym, potem z dwoma innymi z nadchodzących szeregów nieumarłych. Na szczęście dla niego ghule były dość powolne, ale liczba i wytrwałość przeważały szalę na korzyść strażników grobu władcy. Ci, którzy zaplanowali tę pułapkę zrobili to bardzo dobrze, gdyż każda następna drużyna powiększała liczbę tych, którzy atakowali następną. Norrec mógł tylko wyobrazić sobie, skąd pochodzili pierwsi nieumarli. Już wcześniej zwrócił uwagę przyjaciołom, że chociaż mijali pułapki i martwe stworzenia, aż do znalezienia czaszki na kolcu nie natrafili na żadne ludzkie ciała. Pierwsza drużyna, która odkryła grób Bartuca, z pewnością poniosła ofiary po drodze do komnaty. Nie przypuszczali, że martwi towarzysze wkrótce staną się zagrożeniem dla tych, co przeżyli. I tak, z każdą kolejną grupą, rosły szeregi strażników. Norrec, Sadun i Fauztin wkrótce mieli do nich dołączyć.

Jedna z mumii sięgnęła w stronę ramienia Norreca. Weteran użył trzymanej w ręce pochodni, by podpalić wysuszone ciało i zamienić je w chodzącą żagiew. Ryzykując poparzeniem nogi, kopniakiem posłał go na innego truposza.

Mimo tych sukcesów horda nieumarłych wciąż na nich napierała.

– Norrec! – wołał skądś Sadun. – Fauztin! Otaczają mnie!

Nie mogli mu jednak pomóc, gdyż sami mieli kłopoty. Mag uderzył jeden szkielet swoją laską, ale już dwa inne zajęły miejsce powalonego. Stwory zaczęły poruszać się szybciej i bardziej płynnie. Wkrótce Norrecowi i jego przyjaciołom nie pozostanie żadna przewaga.

Trzech wojowników naparło na Norreca Yizharana, oddzielając go od Fauztina i zmuszając do wycofania się w górę schodów, do postumentu.

Kości Władcy Krwi grzechotały w zbroi, ale, ku wielkiej uldze weterana, Bartuc nie ruszył, by dowodzić swoją piekielną armią.

Kłęb dymu uświadomił mu, że czarodziej uporał się z kolejnym nieumarłym. Norrec wiedział jednak, że Fauztin nie mógł poradzić sobie ze wszystkimi. Jak do tej pory żaden z wojowników nie osiągnął przewagi, lecz tylko chwilową równowagę. Wobec braku ciała, które można by przeciąć, czy braku ważnych organów, które można by przebić, miecze i noże były bezużyteczne.

Myśl, że kiedyś mógłby tak powstać i zaatakować kolejnych intruzów, przyprawiła go o dreszcze. Przesunął się wzdłuż postumentu, próbując znaleźć jakąś drogę ucieczki. Norrec ze wstydem uświadomił sobie, że gdyby tylko pojawiła się możliwość wyjścia, bez wahania opuściłby swoich towarzyszy.

Jego siły opadały. Czyjeś ostrze uderzyło go w udo. Ból sprawił, że nie tylko krzyknął, ale i rozluźnił chwyt na mieczu. Broń z brzękiem spadła po schodach, znikając za nadchodzącymi ghulami.

Chwiejąc się na nogach, Norrec wymachiwał pochodnią, drugą ręką szukając oparcia na platformie. Jego palce natrafiły jednak nie na kamień, ale zimny metal.

Ranna noga nie mogła dłużej go utrzymać. Norrec osunął się na kolano, pociągając za sobą metalowy przedmiot, który pochwycił.

Pochodnia poleciała w przestrzeń. Gdy Norrec próbował się wyprostować, zobaczył tylko morze groteskowych twarzy. Zrozpaczony łowca skarbów uniósł dłoń, którą poszukiwał oparcia, jakby milcząco błagając nieumarłych o litość i odroczenie tego, co nieuniknione.

W ostatniej chwili zorientował się, że na dłoni miał coś metalowego – rękawicę.

Tę samą rękawicę, którą wcześniej widział przy szkielecie Bartuca.

Nim jeszcze to dziwne odkrycie dotarło do mózgu, z jego ust wyrwało się słowo, którego nie rozumiał i które odbiło się echem w komnacie. Wysadzane kamieniami wzory na ścianach rozbłysły jasno, a nieumarli napastnicy znieruchomieli.

Następne słowo, jeszcze mniej zrozumiałe, wyrwało się zdumionemu weteranowi.

Symbole na ścianach błysnęły oślepiająco, zapłonęły...

...i wybuchły.

Przerażająca fala czystej energii parła przez komnatę, rozrywając nieumarłych.

Kawałki ciała i kości fruwały we wszystkich kierunkach, zmuszając Norreca do skulenia się tak bardzo, jak to tylko było możliwe. Modlił się, aby koniec był jak najszybszy i bezbolesny.

Magia pochłonęła nieumarłych. Kości i wysuszone ciało płonęły niczym olej do lamp.

Ich broń topiła się, tworząc kupki żużlu i popiołu.

Nie dotknęła jednak nikogo z drużyny.

– Co się dzieje? Co się dzieje? – Słyszał krzyk Saduna.

Piekielna fala poruszała się z niesamowitą precyzją, niszcząc wyłącznie strażników grobu. Gdy ich liczba skurczyła się, malała również siła żywiołu. W końcu nie został żaden.

Komnata tonęła w niemal całkowitym mroku – jedynym źródłem światła były dwie pochodnie i odrobina światła odbijana przez zrujnowane kamienie.

Norrec gapił się na zniszczenia, zastanawiając się jednocześnie, co rozpętał i czy to nie zapowiada czegoś jeszcze gorszego. Później spojrzął na rękawicę, bojąc się dalej ją trzymać na ręce i jednocześnie zastanawiając się, co się zdarzy, jeśli spróbuje ją zdjąć.

– Oni... zostali pożarci – wykrztusił Fauztin, gramoląc się na nogi. Jego szata była w wielu miejscach pocięta, a z paskudnej rany na ramieniu wciąż spływała krew.

Sadun zeskoczył z miejsca, gdzie walczył. Co dziwne, nie wyglądało na to, że jest w ogóle ranny.

– Ale jak...?

Właśnie, jak? Norrec poruszył osłoniętymi rękawicą palcami. Metal pasował jak druga skóra, rękawica okazała się znacznie wygodniejsza, niż się można było spodziewać. Gdy uświadomił sobie, co jeszcze może zrobić, strach go częściowo opuścił.

– Norrec – usłyszał głos Fauztina – Kiedy ją założyłeś?

Nie zwrócił na to uwagi, myśląc właśnie, że dobrze byłoby założyć drugą rękawicę albo i całą zbroję, by zobaczyć, jak pasuje. Jako młody rekrut marzył o zostaniu generałem i zbieraniu bogactw dzięki zwycięstwom. Teraz ten zapomniany sen odżył, po raz pierwszy wydawał się tak bliski spełnienia...

Nad jego ręką przemknął cień. Spojrzał w górę, na maga, wpatrującego się weń z troską.

– Norrec. Przyjacielu. Sądzę, że możesz zdjąć tę rękawicę. Zdjąć ją?

Niespodziewanie, myśl o czymś takim wydała się żołnierzowi bez sensu. Dzięki tej rękawicy uratowali życie! Po co ją zdejmować?

Czy... czy to możliwe, że Yizjerei chciał jej dla siebie? Jeśli chodziło o magiczne przedmioty, tacy jak Fauztin zapominali o lojalności. Jeśli Norrec nie odda mu rękawicy, mag będzie mógł po prostu zabrać ją w dogodnym momencie, gdy nie gdy nie będzie można go powstrzymać.

Jakaś część umysłu weterana próbowała wyrzucić te nienawistne myśli. Fauztin ratował mu życie więcej niż raz. On i Sadun byli jego najlepszymi

– i jedynymi – przyjaciółmi. Mag ze wschodu na pewno nie próbowałby czegoś takiego... ejże, doprawdy?

– Norrec, posłuchaj mnie! – W jego głosie wychwycił cień zazdrości, może strachu.

– Musisz koniecznie zdjąć tę rękawicę. Położymy ją z powrotem na katafalku...

– O co chodzi? – zawołaj Sadun. – Co z nim, Fauztin? Norrec przekonał się, że jego pierwsza myśl była słuszna.

Czarodziej chciał jego rękawicy.

– Sadun. Wyciągnij miecz. Być może będziemy musieli...

– Miecz? Chcesz, żebym uszkodził Norreca?

Coś przejęło kontrolę nad starym wojownikiem. Jakby z oddali Norrec patrzył, jak odziana w rękawicę dłoń chwyta Yizjerei za gardło.

– SaSadun! Jego dłoń! Utnij ją...

Kącikiem oka Norrec dostrzegł, że jego towarzysz waha się przez chwilę, po czym unosi broń do ciosu. Zapłonęła w nim furia, której nigdy jeszcze nie odczuwał. Świat stał się czerwony... a potem zapadła ciemność.

W tej ciemności Norrec Yizharan słyszał krzyki.

DWA



W kraju Aranoch, położonym na północnym skraju wielkiego, przytłaczającego pustkowia, zajmującego większość jego powierzchni, obozowała niewielka, ale dzielna armia generała Augustusa Malevolyna. Obozowali tu już od kilku tygodni. Powody, dla których tak się działo były dla większości żołnierzy tajemnicą, lecz nikt nie ośmielił się kwestionować rozkazów generała. Wielu z nich służyło pod jego komendą od początków kariery w Marchii Zachodniej i ich posłuszeństwo było absolutne. Po cichu zastanawiali się jednak, dlaczego nie idą naprzód.

Wielu uważało, że ma to związek z kolorowym namiotem, rozbitym niedaleko kwatery generała, a należącym do wiedźmy. Każdego ranka Malevolyn udawał się do niej, najwyraźniej zaglądając w przyszłość i podejmując decyzje w oparciu o to, co usłyszał. Do tego co wieczór Galeona zachodziła do jego namiotu w sprawach bardziej prywatnych. Nikt nie wiedział, jak duży miała wpływ na jego decyzje, ale uważano, że ogromny.

Gdy poranne słońce wyjrzało zza horyzontu, szczupły i zadbane Augustus Malevolyn wyszedł ze swej kwatery. Jego blada, gładko ogolona twarz – opisana przez jednego z pokonanych wrogów jako „portret lorda Śmierci bez wrodzonej łagodności” – była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu. Malevolyn odziany był w zbroję czarną jak noc, za wyjątkiem szkarłatnych wykończeń na krawędziach, a zwłaszcza przy karku. Napierśnik zdobił symbol czerwonego lisa i trzech srebrnych mieczy – jedyna pamiątka dawnej przeszłości generała.

Dwóch adiutantów zbliżyło się doń, gdy zakładał czarno–szkarłatne rękawice, wyglądające, jakby zostały właśnie wykute. Tak naprawdę zbroja Malevolyna wydawała się być w doskonałym stanie. Był to efekt nocnej pracy żołnierzy, którzy doskonale wiedzieli, że na ich życiu zaważyć może najmniejsza nawet plamka rdzy.

Zakuty w zbroję podążył w stronę namiotu czarodziejki, swojej pani. Siedziba Galeony wyglądała jak koszmar wytwórcy namiotów. Sprawiał on wrażenie zszytego z kilku tuzinów nałożonych na siebie różnokolorowych łąt. Tylko tacy jak generał potrafili przyjrzeć się im lepiej i zauważyć, jak różne kolory składają się we wzory, a jedynie ci, którzy poznali tajniki magii, znali ukrytą w nich moc.

Za Malevolynem szli adiutanci – jeden z nich niósł zakryty ciężar, który z kształtu przypominał głowę. Dźwigający ją oficer poruszał się ostrożnie, jakby pakunek napawał go strachem.

Dowódca nie przejmował się zapowiadaniem, lecz gdy podszedł do najbliższej poły, kobiecy głos, głęboki i szyderczy jednocześnie, nakazał mu wejść.

Choć słońce oświetlało cały obóz, w namiocie Galeony panowała ciemność. Gdyby nie wisząca pod sufitem mała oliwna lampka, nie widzieliby czubka własnego nosa. Straciliby wtedy niezwykły widok.

Wszędzie wisały woreczki, flaszki i różne dziwne przedmioty. Choć kiedyś oferowano jej skrzynię na składowanie wszystkich rzeczy, wiedźma odmówiła, w jakimś celu wieszając każdy przedmiot na haczyku w starannie wybranym miejscu. Generał Malevolyn nie dziwił się temu – tak długo, jak dostawał potrzebne odpowiedzi, Galeona mogła wieszać sobie pod sufitem suszone trupy, a on by tego nie skomentował.

Ale niewiele do tego brakowało. Choć wiele swoich skarbów litościwie schowała w różnych pojemnikach, wśród tych, które wisały luzem,

znajdowały się truchła wielu rzadkich gatunków zwierząt w całości lub kawałkach. Niektóre przedmioty sprawiały wrażenie ludzkich, choć upewnienie się o tym wymagałoby dokładnych oględzin.

Kolejną rzeczą, która sprawiała, że wszyscy, poza jej dowódcą i kochankiem, czuli się w namiocie dziwnie, były rzucane przez lampkę cienie, które nie poruszały się tak, jak powinny. Ludzie Malevolyna często widzieli, jak płomień przechylał się w jedną stronę, a cień w drugą. Do tego cienie sprawiały wrażenie, że namiot jest wewnątrz większy, niż by się to wydawało z zewnątrz, a wchodzący przenoszą się do jakiegoś innego wymiaru.

W środku tej dziwnej i niegościnniej komnaty czarodziejka Galeona prezentowała sobą najbardziej zniewalający i przyciągający oczy widok. Gdy podniosła się z kolorowych poduszek zaścielających wzorzysty dywan, w każdym mężczyźnie rozpalila płomień namiętności. Kruczoczarne włosy spływały gęstą kaskadą na plecy odsłaniając okrągłą, kuszącą twarz z pełnymi, czerwonymi ustami, wydatnym, lecz kształtnym noskiem i głębokimi, zielonymi oczyma w odcieniu porównywalnym chyba tylko z intensywnym szmaragdem oczu generała. Przysłaniały je gęste rzęsy – wiedźma wyglądała, jakby samym spojrzeniem chciała pożreć każdego przychodzącego.

– Mój generale – zamruczała, a każde słowo było obietnicą.

Zmysłowo zbudowana, Galeona odsłaniała swoje wdzięki, jakby prezentując dostępną sobie broń. Jej suknia była wycięta tak głęboko, jak to było możliwe, zaś błyszcząca biżuteria akcentowała krawędzie jej dekoltu. Gdy poruszała się w falującej kusząco szacie, sprawiała wrażenie, że popycha ją delikatny wiaterek.

Jedynym znakiem, że jej urok ma jakiś wpływ na Malevolyna było delikatne dotknięcie jej ciemnobrązowego policzka odzianą w rękawicę

dłonią. Czarodziejka poruszyła się, jakby gładził ją najbardziej miękkim futrem. Uśmiechnęła się, ukazując idealne zęby... może tylko nieco zbyt podobne do kocich kłów.

– Galeono... moja Galeono... czy dobrze spałaś?

– Kiedy rzeczywiście spałam... mój generale. Zachichotał.

– Tak, ja tak samo – Lekki uśmiech zniknął z jego twarzy – Dopóki nie pojawił się sen.

– Sen? – Urwany wdech powietrza wyraźnie dowodził, że Galeona nie zlekceważyła jego słów.

– Tak... – Przeszedł koło niej, gapiąc się na co bardziej makabryczne okazy z jej kolekcji. Bawił się nimi, poruszył jeden ze stawów, nim powiedział: – Władca Krwi powstał...

Przysunęła się do niego, niczym czarny anioł przyłgnęła do jego pleców. Jej oczy rozszerzyły się w oczekiwaniu.

– Mów, mój generale, powiedz mi wszystko...

– Widziałem pustą zbroję, która wstawała z grobu. W zbroi pojawił się szkielet, okryły go mięśnie i ścięgna, wreszcie otuliło je ciało. Ale to nie był taki Bartuc, jakiego malują.

Oficer w czarnej zbroi wydawał się rozczarowany – Prosta twarz, ale artyści zwykle takich nie rzeźbili. Być może to była właśnie twarz władcy, choć w moim śnie sprawiał raczej wrażenie przerażonej duszy...

– To wszystko?

– Nie, potem zobaczyłem krew na jego twarzy, a kiedy to się stało, ruszył. Widziałem, jak góry przechodzą we wzgórza, a wzgórza w piasek. On wsiąkł w ten piasek... a wtedy sen się skończył.

Jeden z adiutantów zauważył cień w kącie namiotu. Poruszył się, zbliżył do generała.

Nauczony doświadczeniem, że lepiej nie mówić o takich rzeczach, oficer trzymał język za zębami, mając nadzieję, że cień nie podejdzie do niego.

Galeona stanęła przed generałem i zajrzała mu w oczy.

– Czy śniło ci się kiedyś coś takiego, mój generale?

– Wiedziałybyś o tym.

– Tak, oczywiście. Wiesz, jak ważne jest, abyś mówił mi wszystko. – Podeszła do sterty poduszek. Pot błyszczał na każdym odsłoniętym kawałku jej skóry – A to jest najważniejsze... To nie jest zwykły sen, o nie.

– Tyle to i ja wiem – Skinął niedbale dłonią na adiutanta trzymającego zasłonięty przedmiot. Mężczyzna podszedł bliżej, zdejmując materiał i ukazując to, co było ukryte.

Hełm z grzebieniem połyskiwał w słabym świetle lampki. Stary, ale nadający się jeszcze do użytku, zakrywał większość głowy oraz twarz, za wyjątkiem wąskich otworów na oczy, nos i usta. Tył hełmu osłaniał również kark, lecz szyja pozostawała niechroniona.

Nawet w przyćmionym świetle widać było, że hełm pomalowano na krwistą czerwień.

– Pomyślałem, że przyda ci się hełm Bartuca.

– Miałeś rację. – Galeona sięgnęła po artefakt. Jej palce musnęły dłonie adiutanta, a mężczyzna aż się zatrząsł. Korzystając z tego, że generał na nią nie patrzył, a drugi adiutant nie mógł tego zobaczyć, czarodziejka lekko pogłaskała nadgarstek oficera. Spróbowała go raz czy dwa, gdy jej apetyt domagał się jakiejś odmiany, ale widziała, że nie ośmieliłby się powiedzieć swemu dowódcy o ich spotkaniach. Zamiast swojej cennej wiedzy, Malevolyn kazałby ściąć jego.

Wzięła hełm i położyła go na ziemi niedaleko miejsca, gdzie wcześniej siedziała. Generał odprawił swoich ludzi, po czym usiadł naprzeciwko niej.

– Nie zawieź mnie, moja droga. Jestem na to zdecydowany.

Pierwszy raz Galeona straciła część zaufania. Augustus zawsze dotrzymywał słowa, zwłaszcza tym, którzy nie spełnili jego oczekiwań.

Ukrywając swoją troskę, czarodziejka położyła dłonie na wierzchu hełmu. Generał zdjął rękawice i uczynił to samo.

Światło lampki przygasło, wydawało się kurczyć. Cienie urosły, zgęstniały, wydawały się bardziej żywe, bardziej niezależne od słabego światła. Jednak generał Malevolyn nie przejmował się tym dziwnym, nieziemskim przeczuciem. Znał niektóre moce, z którymi porozumiewała się Galeona i podejrzewał ją o kontakty z innymi. Jako wojskowy z imperialnymi ambicjami uważał je za użyteczne środki do osiągnięcia celu.

– Podobne przyzywa podobne, krew przyzywa krew... – Słowa wymykały się z pełnych ust Galeony. Dla swojego patrona odmawiała tę litanię już wiele razy. – Niech to, co było jego, przyzwie to, co było nim! To, co nosił cień Bartuca musi być złączone znów!

Malevolyn poczuł, że jego puls przyspiesza. Świat zdawał się od niego oddalać. Słowa Galeony rozbrzmiewały echem, stawały się jedynym punktem skupienia.

Początkowo nie widział nic poza szarością. Później obraz zgęstniał, przyjął skądś mu znajomą twarz. Znów zobaczył noszoną przez kogoś zbroję Bartuca, lecz tym razem generał miał pewność, że nie był to legendarny władca.

– Kto to? – zasyczał – Kto to jest?

Galeona nie odpowiedziała: jej oczy były zamknięte, a głowa odchyłona w skupieniu.

Jakiś cień, kojarzący się Malevolynowi z wielkim owadem, poruszył się za nią. Gdy obraz przed nim powiększał się, skupił się całkowicie na zidentyfikowaniu obcego.

– Wojownik – Mruknęła czarodziejka – Uczestnik wielu kampanii.

– Nieważne! Gdzie jest? Blisko? – Zbroja władcy! Po tylu latach, tylu fałszywych poszlakach...

Pochyliła się z wysiłku. Malevolyn nie zważał na to, w razie potrzeby gotów wycisnąć z niej wszystkie siły i jeszcze więcej.

– Góry... zimne, mroźne szczyty...

Żadna wskazówka, na świecie było mnóstwo gór, zwłaszcza na północy i przy Bliźniaczych Morzach. Nawet Marchia Zachodnia miała jakieś góry.

Galeona zadrżała dwa razy.

– Krew przyzywa krew... Zaciśnął zęby. Po co się powtarza?

– Krew przyzywa krew!

Zatrzęsa się, niemal odrywając ręce od hełmu. Jej kontakt z zaklęciem słabł. Malevolyn starał się jak mógł, aby utrzymać wizję, choć jego moce były znacznie słabsze od Galeony. Na chwilę udało mu się skupić na twarzy. Prosta. Wszystko, tylko nie przywódca. Trochę spanikowany. Nie tchórz, ale wyraźnie pozbawiony tego pierwiastka...

Obraz zaczął niknąć. Generał raknął cicho. Zbroja została odnaleziona przez jakiegoś przekłętą piechura lub dezertera, który nie znał jej prawdziwej wartości ani mocy.

– Gdzie on jest?

Wizja rozviała się tak szybko, że nawet jego to zdziwiło. W tej samej chwili śniada czarodziejka westchnęła i osunęła się na poduszki, przerywając czar. Ogromna siła oderwała ręce Malevolyna od hełmu. Z ust generała padła wiązanka soczystych przekleństw. Czarodziejka usiadła wolno, pojękując. Spojrzała na Malevolyna, opierając głowę na ręce. On zaś zastanawiał się, czy nie kazać jej wybatożyć. Dowiedział się, iż zbroja została znaleziona, ale nadal nie wiedział, gdzie się znajdowała. Wychwyciła jego ponure spojrzenie i pojęła, co dla niej znaczyło.

– Nie zawiodłam cię, mój generale! Dziedzictwo Bartuca czeka, abyś wypełnił je po tych wszystkich latach!

– Wypełnił? – Malevolyn wstał, z trudem utrzymując swoją frustrację i złość na wodzy – Wypełnił? Bartuc dowodził demonami! Rozszerzył swe panowanie na cały świat!

Blady dowódca wskazał na hełm.

– Kupiłem to od wędrownego kramarza jako memento, symbol władzy, jaką chcę uzyskać! Myślałem, że choć to podróbka, jednak zrećźnie wykonana! Hełm Bartuca!

– Generał zaśmiał się ochryple – Dopiero gdy go założyłem, zdałem sobie sprawę, że to rzeczywiście był jego hełm!

– Tak, mój generale! – Galeona szybko wstała i położyła dłonie na jego piersi. Jej palce pieściły metal, jakby to było jego ciało. – A ty zacząłeś miewać sny, wizje...

– Bartuca... Widziałem jego zwycięstwa, jego chwałę i potęgę! Żyłem tym... – Ton głosu Malevolyna stał się gorzki – Lecz tylko w snach.

– To przeznaczenie podarowało ci ten hełm! Przeznaczenie i duch Bartuca, nie widzisz tego? Uwierz mi, on chce, abyś był jego następcą – zagruchała wiedźma – Nie może być inaczej, gdyż tylko ty mogłeś oglądać tę wizję sam, bez mojej pomocy!

– To prawda – Po dwóch pierwszych przypadkach, które zdarzyły się, gdy nosił hełm na głowie, generał rozkazał kilku swoim najbardziej zaufanym oficerom, by wypróbowali artefakt na sobie. Nawet ci, którzy nosili go przez kilka godzin, nie mieli żadnych snów. Dla Augustusa Malevolyna był to wystarczający dowód, że został wybrany przez ducha władcy, by przejąć jego chwalebny zbroję.

Malevolyn wiedział wszystko, czego śmiertelnik mógł dowiedzieć się o Bartucu.

Przeczytał każdy dokument i zgłębił każdą legendę. Choć w przeszłości wielu porzuciło badania nad mroczną i pełną demonów historią władcy obawiając się, że spadnie na nich jakaś klątwa, generał zbierał każdy strzęp informacji.

Pod względem krzepy i umiejętności strategicznych mógł równać się z Bartucem, lecz władał tylko odrobiną magii. Z trudem, przy pomocy magii, był w stanie zapalić świecę.

Galeona obdarzyła go większą mocą (nie wspominając już o innych przyjemnościach), ale by w pełni osiągnąć chwałę władcy, potrzebował sposobu na kierowanie niejednym demonem, ale wieloma.

Zbroja mogła otworzyć przed nim tę możliwość, tego był pewny w sposób graniczący z obsesją. Szczegółowe badania Malevolyna wykazały, że Bartuc wypełnił ją straszliwymi zaklęciami. Umiejętności generała zostały wzmocnione przez moce hełmu. Kompletna, zaczarowana zbroja dałaby mu to, czego pragnął. Cień Bartuca z pewnością tego chciał. Te wizje były znakiem od niego.

– Mogę powiedzieć ci coś, mój generale – Szepnęła czarodziejka – Coś, co pomoże ci w twojej misji...

Ścisnął ją za ramiona.

– Co? Co to takiego?

Skrzywiła się z bólu w jego uścisku.

– On... ten głupiec, który nosi zbroję... zbliża się!

– Do nas?

– Zapewne tak, jeśli hełm i reszta zbroi mają być razem. A nawet jeśli nie, to im bliżej nas jest, tym łatwiej będę go mogła namierzyć! – Galeona uwolniła jedno ramię, po czym dotknęła policzka Malevolyna. – Musisz tylko chwilę poczekać, ukochany. Tylko chwilę...

Generał puścił ją i zastanowił się:

– Będziesz sprawdzać rano i wieczorem! Nie będziesz oszczędzać sił! Kiedy znajdziesz tego kretyna, masz mi o tym natychmiast powiedzieć! Wyruszymy natychmiast!

Nic nie stanie pomiędzy mną i moim przeznaczeniem!

Chwycił hełm i bez słowa opuścił jej namiot, adiutanci szybko stanęli za nim. Umysł Malevolyna szalał, gdy widział siebie w zaczarowanej zbroi. Legiony demonów powstaną, aby mu służyć. Miasta upadną. Powstanie Imperium rozszerzające się... na cały świat.

Gdy wrócił do swojej kwatery, tulił hełm niemal z czułością. Galeona miała rację. Musi być tylko bardziej cierpliwy. Zbroja sarna do niego przyjdzie.

– Zrobię to, o czym kiedyś marzyłeś – wyszeptał do nieobecnego cienia Bartuca.

– Twoje dziedzictwo będzie moim przeznaczeniem!

Oczy generała rozbłysły.

– Już wkrótce...



Wiedźma zadrżała, gdy Malevolyn opuścił płachtę namiotu. Od tego czekania, a zwłaszcza noszenia starożytnego hełmu, stał się bardziej niezrównoważony. Kiedyś nawet przyłapała go na tym, że mówił, jakby był Władcą Krwi we własnej osobie. Galeona wiedziała, że hełm – a zapewne i cała zbroja – posiada jakieś tajemnicze magiczne siły, ale nie potrafiła ich ani określić, ani kontrolować.

Gdyby mogła to zrobić... nie potrzebowałaby swojego kochanka. Trochę go szkoda, ale przecież są inni mężczyźni. Inni, łatwiejsi do kontrolowania, mężczyźni.

W ciszy zabrzmiał głęboki, chrapliwy głos, kojarzący się czarownicy z brzęczeniem tysiąca konających much:

– Cierpliwość jest cnotą... on powinien to wiedzieć! Sto dwadzieścia trzy lata spędzone na tym świecie w poszukiwaniu władcy! Tak długo... a teraz będzie w komplecie...

Galeona rozejrzała się pośród cieni, szukając kogoś. Wreszcie dostrzegła go w najciemniejszym kącie namiotu: chwiejącą się, podobną do owada postać widoczną tylko dla tego, kto przyglądał się naprawdę uważnie.

– Cicho bądź! Ktoś może nas usłyszeć!

– Nikt nie słyszy, jeśli on tak zechce – wychrypiął głos. – Dobrze o tym wiesz, człowieku...

– Więc ucisz się dla mojego spokoju, Xazax – Śniada czarodziejka popatrzyła na cień, ale nie podeszła bliżej. Nawet po tak długim czasie nie ufała swojemu towarzyszowi.

– Ludzkie uszy są tak wrażliwe – Cień zmienił postać, przypominając teraz modliszkę.

Modliszkę mierzącą przynajmniej siedem stóp wzrostu – Tak miękkie i niedoskonałe ciała...

– Lepiej nie mów o niedoskonałościach.

W namiocie zabrzmiał niski, klekoczący odgłos. Galeona zamarła, świadoma, że jej towarzysz nie lubi być poprawiany.

Xazax poruszył się, podszedł bliżej.

– Opowiedz mu o wizji.

– Przecież ją widziałeś.

– Ale on chce usłyszeć o niej od ciebie... proszę... opowiedz mu.

– Dobrze – Wzięła głęboki oddech i opisała mężczyznę w zbroi tak, jak mogła najlepiej. Xazax na pewno wszystko widział, ale z jakichś powodów ten głupiec zawsze zmuszał ją do opisywania wizji. Galeona skróciła opowieść, pomijając wygląd mężczyzny, za to szczegółowo opisując zbroję i krajobraz widziany w tle.

Nagle Xazax przerwał jej:

– On wie, że zbroja jest prawdziwa! Wie, że znajduje się gdzieś pośród śmiertelnych!

Człowiek! Co z tym człowiekiem?

– Całkiem zwyczajny. Nikt niezwykły.

– Nic nie jest zwykłe! Opisz go!

– Żołnierz. Prosta twarz. Zwykły wojownik, prawdopodobnie potomek chłopów, bo na takiego wygląda. Nic niezwykłego. Biedny głupiec, który znalazł zbroję, i nie ma pojęcia, co to jest.

Znów klekot. Cień stał się nieco bardziej przejrzysty. Kiedy Xazax przemówił, w jego głosie brzmiało ogromne rozczarowanie.

– Jesteś pewna, że on zmierza w naszą stronę.?

– Na to wygląda.

Zwiewna postać ustabilizowała się. Xazaxowi musiało coś wpaść do głowy. Galeona czekała... i czekała. Jeśli chodziło o innych, Xazax nie miał poczucia czasu. Korzystał z niego tylko wtedy, gdy było to potrzebne do realizacji jego celów.

W miejscu, gdzie powinna być głowa cienia, błysnęły dwa żółte punkty. Przez chwilę można było dostrzec coś podobnego do zarysu kończyny zakończonej trzema pazurzastymi palcami.

– Niech więc przyjdzie. Wówczas on zadecyduje, która marionetka jest lepsza...

– Postać Xazaxa stała się niewyraźna. Znikło wszelkie podobieństwo do modliszki czy jakiegokolwiek innego zwierzęcia.

– Niech więc przyjdzie...

Cień zniknął w ciemnym rogu.

Galeona przeklinała się. Od tej paskudnej istoty nauczyła się wiele, dzięki niej zwiększyła swoją moc. Bardziej niż Augustusa wolałaby pozbyć

się Xazaxa. Uwolniłaby się wreszcie od tej okropnej postaci. Generałem dawało się manipulować, ale jej tajemniczym towarzyszem – nie. Czarodziejka bawiła się z Xazaxem w kotka i myszkę i zbyt często czuła się jak to drugie zwierzę. Z kimś pokroju Xazaxa nie można było jednak tak po prostu zerwać paktu. Gdyby zrobiła to bez przygotowania, mogłoby się okazać, że nie ma kończyn oraz głowy – i to na długo przed tym, jak pozwoliłby jej wreszcie umrzeć.

A to kazało jej uwzględnić coś całkiem nowego.

Ten, kto nosił zbroję Bartuca na pewno jest wojownikiem, a także, jak mówiła, prostym człowiekiem. Innymi słowy – głupcem. Galeona dobrze wiedziała, jak takimi manipulować. Ponieważ był mężczyzną, nie mógłby się oprzeć jej wdziękom, a ponieważ był głupcem, nigdy nie zdałby sobie z tego sprawy.

Musiła zobaczyć, jak będą układać się sprawy z generałem i Xazaxem. Jeśli okaże się, że jeden lub drugi działa na jej korzyść, Galeona zrobi co może, by przechylić szalę na swoją stronę. Malevolyn ze zbroją na pewno poradziłby sobie z jej niematerialnym towarzyszem. Gdyby jednak Xazax dostał ów artefakt jako pierwszy, wówczas to za nim będzie podążać.

Jednak ten obcy wciąż stanowił pewną szansę. Na pewno można go wodzić za nos. On był możliwością, a tamci ryzykiem.

Tak, Galeona zamierzała mieć go na oku dla jego własnego dobra. Będzie bardziej uległy wobec jej zachcianek niż ambitny i nieco szalony dowódca, a na pewno mniej niebezpieczny niż demon.

TRZY



Krew.

– Na wszystkie świętości, Norrec? Coś ty uczynił?

– Norrec. Przyjacielu. Jestem pewien, że możesz zdjąć tę rękawicę.

Krew.

– Cholera by cię! Cholera by cię!

– Sa–Sadun! Jego dłoń! Utnij ją... Wszędzie krew.

– Norrec! Na bogów! Moja ręka!

– Norrec!

– Norrec!

Krew jego najbliższych...



– Neeee!

Norrec uniósł głowę krzycząc, nim zdał sobie jeszcze sprawę, że się przebudził.

Chłodny wiaterek przywrócił mu świadomość i po raz pierwszy odczuł piekący ból w prawym policzku. Nie zastanawiając się, przyłożył do niego dłoń.

Chłodny metal musnął jego skórę. Wzdrygnąwszy się, Norrec spojrzał na dłoń – dłoń osłoniętą szkarłatną rękawicą, z czerwonym płynem na koniuszkach palców.

Krew.

Z ogromnym drżeniem ponownie dotknął ciała, tym razem jednym palcem. W ten sposób odkrył, że krwawi w trzech miejscach. Policzek

przecinały trzy bruzdy, jakby jakieś zwierzę poraniło go pazurami.

– Norrec!

Błysk przypomnienia przyprawił weterana o dreszcze. Twarz Saduna, wykrzywiona w strachu widzianym przez Norreca tylko na najbardziej przerażających polach bitew. Błagające oczy Saduna, otwarte usta, z których nie pada żadne słowo.

Dłoń Saduna... wyciągnięta w rozpaczliwym geście ku twarzy przyjaciela.

– Nie... – To nie mogło dzieć się tak, jak zapamiętał to Norrec.

Następny obraz.

Fauztin leżący na posadzce grobowca, kamienie barwi krew spływająca z dziury ziejącej w miejscu gardła Yizjerei. Przynajmniej mag umarł dość szybko.

– Nie... nie... nie... – Na wpół oszalały żołnierz z trudem utrzymywał się na nogach, coraz bardziej przerażony. Wokół niego piętrzyły się wysokie wzgórza, niemal góry, barwione pierwszymi promieniami słońca. Jednak nic nie wyglądało znajomo. Żaden z nich nie przypominał góry, w której on i jego przyjaciele odkryli grób Bartuca. Chcąc się zorientować w swoim położeniu, Norrec zrobił krok do przodu.

Każdemu poruszeniu towarzyszyło dziwne brzęczenie.

Norrec spojrzął na siebie i zauważył, że nie tylko ręce ma osłonięte metalem.

Zbroja. Gdziekolwiek spojrzął, Norrec widział te same, pomalowane na kolor krwi płyty. Pomyślał, że jego szok i przerażenie nie mogą się już pogłębić, ale widok reszty ciała sprawił, że żołnierz wpadł w zupełną panikę. Szkarłatna zbroja osłaniała jego ręce, tułów, nogi. Norrec zauważył, że jak na ironię nosi nawet te same, stare, ale solidne buty Bartuca.

Bartuc... Władca Krwi. Bartuc, którego czarna magia ocaliła bezradnego żołnierza za cenę życia Saduna i czarodzieja.

– Niech cię! – Spojrzawszy na siebie, Norrec próbował zedrzeć rękawicę z dłoni.

Ciągnął mocno najpierw za lewą, potem za prawą. Mimo jego wysiłków rękawice ruszały się tylko na cal, po czym zaczynały stawiać opór.

Zajrzał do środka i nie widząc żadnej przeszkody, spróbował jeszcze raz, lecz rękawice dalej nie dawały się zdjąć. Co gorsza, wraz ze wschodem słońca Norrec zobaczył, że krew ze zranionego policzka nie była jedyną plamą na metalu. Każdy palec, do najmniejszego paliczka, wyglądał jak zanurzony w szkarłatnej farbie.

Ale to nie była farba.

– Fauztin – wymruczał – Sadun...

Z wściekłym rykiem Norrec uderzył pięścią w najbliższą skałę, gotów połamać sobie wszystkie kości, byleby tylko uwolnić dłoń. Jednak skała rozpadła się na kawałki, a jedyną szkodą, jaką zadał sobie Norrec, był mocne pulsowanie całego ramienia.

Upadł na kolana.

– Nieee...

Wiatr zawył, jakby naśmiewając się z niego. Norrec zamarł w bezruchu ze spuszczoną głową i ramionami. Fragmenty tego, co stało się w grobowcu przebłyskiwały w jego umyśle, a każda ze scen była niczym obraz z piekieł. Sadun i Fauztin zabici... zabici przez niego.

Głowa Norreca podskoczyła, nie tylko dzięki jego rękom. Sprawily to te przeklęte rękawice, które uratowały go przed nieumarłymi strażnikami. Norrec wciąż oskarżał się o te śmierci. Gdyby natychmiast zdjął jedną z nich, wydarzenia potoczyłyby się inaczej i na pewno nie zabiłby swoich przyjaciół.

Musi być jakiś sposób na zdjęcie tych rękawic, nawet gdyby musiał je zrywać kawałek po kawałku, razem z fragmentami skóry. Zdecydowany, by coś z tym zrobić, wojownik wstał, by rozejrzeć się dookoła. Niestety, nie zobaczył więcej niż poprzednio. Wzgórza i góry. Las ciągnący się na północ. Brak śladów zamieszkania, nawet odległego pasemka dymu. I nic nie przypominało góry, w której znajdował się grób Bartuca.

– Co do wszystkich Piekieł... – Urwał, nie chcąc nawet wymieniać nazwy mrocznego i mitycznego królestwa. Nawet jako dziecko, a potem jako żołnierz nie wierzył w demony i anioły, ale okropności, w których uczestniczył, zmusiły go zmiany zdania. Niezależnie od tego, czy anioły i demony istnieją naprawdę, Władca Krwi pozostawił po sobie straszne dziedzictwo – dziedzictwo, którego Norrec zamierzał pozbyć się jak najszybciej.

Sądząc, że za pierwszym razem był zbyt zdenerwowany, Norrec postanowił przyjrzeć się rękawicom dokładniej. Gdy jednak spojrzął w dół, dokonał kolejnego przerażającego odkrycia.

Krew zraszała nie tylko rękawice, ale także napierśnik. Gdy przyjrzał się temu bliżej, Norrec zauważył, że krew nie padła przypadkowo, lecz została metodycznie rozsmarowana na całej powierzchni.

Znów zadrżał. Ponownie zajął się rękawicami, szukając jakiegoś haczyka, jakiegoś uchwytu, zęba, który by je zaklinował. Nic. Nic ich nie blokowało. W zasadzie powinny zsunąć się na ziemię po lekkim wstrząśnięciu dłońmi.

Zbroja. Skoro nie mógł zdjąć rękawic, z pewnością będzie mógł zdjąć jakiś jej element. Niektóre miały nawet sprzączki – nawet w rękawicach mógłby je z łatwością rozpiąć.

Inne części nie miały żadnych zapięć – zapewne zakładało się je przez wsuwanie...

Norrec pochylił się i spróbował zjedna z nóg. Nie udało mu się chwycić sprzączki za pierwszym razem, jednak później znalazł na to sposób. Żołnierz bardzo ostrożnie ją rozpiął.

A ona natychmiast się zapięła.

Otworzył ją po raz drugi – z tym samym skutkiem. Norrec zaklął, próbując po raz trzeci.

Tym razem nie chciała się nawet otworzyć.

Spróbował z kilkoma innymi, ale skutek był ten sam. Co gorsza, gdy mimo zimna próbował zdjąć buty, podobnie jak rękawice zsunęły się tylko trochę, by stawić opór.

– To niemożliwe... – Norrec pociągnął mocniej, ale znów bez skutku.

Szaleństwo! To były tylko łachy, kawałki metalu i para starych butów! Musiały zejść!

Desperacja Norreca rosła. Był prostym człowiekiem, kimś kto wierzy, że słońce wschodzi rano, a księżyc świeci w nocy. Ptaki latają, a ryby pływają. Ludzie nosili ubrania, a te ubrania nigdy nie nosiły się na ludziach!

Popatrzył na krwawe dłonie. Czego ode mnie chcesz? Czego chcesz?

Żaden grobowy głos nie zabrzmiał obok, aby powiedzieć mu o jego paskudnym losie. Rękawice nie nakreśliły na ziemi żadnych dziwnych znaków. Zbroja po prostu nie chciała zejść ze swego nosiciela. Obrazy strasznego końca jego towarzyszy znów zatańczyły w jego umyśle, utrudniając mu skupienie. Norrec modlił się, błagał, aby odeszły, ale podejrzewał, że będą go dręczyć już zawsze. Skoro nie mógł się pozbyć koszmarów, wciąż mógł coś zrobić z przeklętą zbroją.

Fauztin był czarodziejem z pewną reputacją, ale nawet Yizjerei przyznał, że jest wielu zdolniejszych i lepiej wykształconych od niego.

Norrec musiał odnaleźć któregoś z nich.

Spojrzał na wschód, a potem na zachód. Na wschodzie widział tylko wysokie i ponure góry, za to zachód wydawał mu się nieco łagodniejszy. Choć Norrec wiedział, że może wyciągać fałszywe wnioski, to jednak zdecydował się udać w tym drugim kierunku.

Choć zimny wiatr i wilgoć przenikały go do kości, zmęczony weteran rozpoczął swoją ciężką wędrówkę. Możliwe, że zginie z zimna, nim pokona te góry, ale jakaś jego część przypuszczała, że tak się nie stanie. Zbroja Bartuca nie przyległa do niego tylko po to, by umarł w środku dziczy. Nie, zapewne miała na myśli coś innego, coś, co okaże się z czasem.

Norrec wcale na to nie czekał.



Słońce znikło na zachmurzonym niebie, czyniąc pogodę jeszcze chłodniejszą. W powietrzu wisiała wilgoć. Norrec, ciężko dysząc, parł do przodu nie zważając na nic. Jak do tej pory nie zobaczył niczego, co upewniałoby go, że idzie we właściwą stronę.

Wszystko, co zmęczony weteran widział, wskazywało, że kierował się w stronę przeciwną do tej, w którą powinien iść. Jakieś górskie królestwo mogło leżeć tuż za najbliższym szczytem na wschodzie.

Takie myśli, choć frustrujące, powstrzymywały go od kompletnego szaleństwa. Za każdym razem, gdy wędrowały swobodnie, zawsze wracały do grobowca i okropności, w których uczestniczył. Twarze Fauztina i Saduna nawiedzały go i od czasu do czasu Norrec wyobrażał sobie, że para ta spogląda na niego z potępieniem z jednego czy drugiego cienia.

Ale byli martwi i, w przeciwieństwie do krwawego władcy, takimi pozostaną. Tylko wina Norreca go potępiała.

Okolo południa zaczął słabnąć. Wreszcie dotarło do niego, że nie jadł i nie pił od czasu przebudzenia, zaś wczorajszą wieczerzę zjadł dość

wcześniej. Jeśli nie chciał wkrótce paść i umrzeć, Norrec musiał znaleźć coś do jedzenia.

Ale jak? Nie miał żadnej broni ani gotowej pułapki. Wodę mógł łatwo uzyskać ze stopienia leżącego na skałach śniegu, ale zjedzeniem było o wiele trudniej.

Zdecydował, że zaspokoi przynajmniej pragnienie. Norrec skierował się ku małej odkrywce, gdzie chłodny cień zachował niewielką ilość śniegu i lodu. Zebrał go i wypił, nie zwracając uwagi na piach czy żdzbla trawy.

Przez chwilę zaczął myśleć jaśniej. Wypluwając piach, Norrec zastanawiał się, co począć. Ani razu nie widział dzikiego zwierza ani ptaka. Bez łuku czy procy nie miał szans na upolowanie czegokolwiek. Potrzebował jednak pożywienia...

Jego lewa ręka poruszyła się bez żadnej woli z jego strony. Palce rozdzieliły się i zagięły, jakby Norrec ścisnął niewidzialną kulę. Odziana w rękawicę dłoń obróciła się kciukiem w stronę krajobrazu przed twarzą zaskoczonego wojownika.

Z jego ust padło słowo: Jezrat!

Kilka stóp przed nim zatrzęsł się grunt. Początkowo Norrec sądził, że to trzęsienie ziemi, ale w podłożu utworzyła się tylko niewielka szczelina, około sześciu stóp na trzy.

Reszta otoczenia tylko leciutko się poruszyła.

Jego nos zmarszczył się, gdy z wąskiej, lecz głębokiej jamy buchnął smród. Tam, gdzie rozwijały się pasma żółtego dymu, powietrze paliło płuca.

Iskari! Woyutl – Nowe słowa, wypowiedziane z wielką zaciekłością, padły z jego ust.

Z wnętrza pęknięcia rozległ się okropny, zgrzytający dźwięk. Norrec próbował się cofnąć, ale nie był w stanie się poruszyć. Zgrzyt narastał,

przypominając zgiełk wysokich, zwierzęcych dźwięków.

Gdy twarz z groteskowymi kłami wychynęła niechętnie na światło dzienne, Norrec wstrzymał dech. Para połamanych, zakrzywionych rogów wyrastała ze szczytu łuskowatej głowy. Żółte, okrągłe oczy z błyszczącymi czerwonymi źrenicami przestały się wpatrywać w niebo i spoczęły na człowieku. Mały, świński ryj kreatury zmarszczył się, jakby wywęszył coś paskudnego, coś co, jak zorientował się wojownik, zapewne było nim.

Trzy palce z pazurami uchwyciły się gruntu, gdy potworna bestia wychynęła z dziury.

Małe, pękate stopy z zakrzywionymi paznokciami stanęły na ziemi. Norrec patrzył na istotą pochodzącą z podziemi, niemal humanoidalną, garbatego mieszkańca tuneli, który, choć sięgał mu tylko do pasa, miał zadziwiająco dużo mięśni okrytych skórą łuskowatą i zarazem porośniętą futrem.

Do pierwszej istoty dołączyła druga... a zaraz potem trzecia, czwarta, piąta...

Przerażająca wataha osiągnęła w końcu liczbę sześciu sztuk, o sześć więcej niżby sobie tego życzył. Demoniczne impy szwargotały w swoim piekielnym narzeczu, wyraźnie złe, że muszą tu przebywać i złe na tego, kto je tu sprowadził. Kilka otworzyło zębate paszcze i syczało na Norreca, podczas gdy inne po prostu wściekle się na niego patrzyły.

Gester! Iskaril – Kolejny raz wypowiedział dziwne słowa, ale ich wpływ na dziwną watahę był jeszcze bardziej zaskakujący. Wszelkie znaki oporu znikły, a impy padły przed nim na twarz. Niektóre nawet zagrzebały się w śniegu, by pokazać, jak bardzo są posłuszne.

Dovru Sesti! Dovru Sesti!

Cokolwiek by to nie znaczyło, wpędziło rogatych brutali w zupełną panikę. Piszcząc i zgrzytając rozbiegły się w różnych kierunkach jakby od

tego zależało ich życie.

Norrec odetchnął. Za każdym razem, gdy nieznane słowa padały z jego ust czuł się tak, jakby jego serce zatrzymywało się. Język brzmiał podobnie do tego, którym posługiwali się Fauztin i inni Yizjerei, z którymi weteran miał do czynienia przez te wszystkie lata.

Brzmiały jednak chrapliwiej, bardziej mrocznie niż cokolwiek, co wypowiedział zamordowany przyjaciel Norreca, nawet podczas najbardziej zaciętych bitew. Nie miał czasu myśleć o tym, gdyż zgrzyty zanadto się oddaliły. Norrec spojrział na południe i zobaczył, jak dwa z nich wloką za sobą rozdarte ciało kozła. Był głodny, a zbroja pokazała mu, co dla niej oznacza jedzenie.

Norrec zbladł na widok zwłok. Rzecz jasna często polował na zwierzynę, ale impy najwyraźniej czerpały przyjemność z upolowania i zabicia nieszczęsnego kozła. Głowa została niemal oderwana od korpusu, a nogi były powyginane, jakby zostały złamane. Część boku zwierzęcia rozerwano, a buchająca z rozległej rany krew zostawiała szeroki ślad.

Groteskowe stwory położyły zdobycz przed Norrecem i cofnęły się. Gdy to zrobiły, pojawił się trzeci, niosąc krwawy ochłap ledwo podobny do królika.

Patrząc na obrzydliwe prezenty, zmęczony weteran rozejrzał się za czymś, co nadawałoby się do jedzenia. Bestie mogły być znakomitymi myśliwymi, ale traktowanie zdobyczy pozostawiało wiele do życzenia.

Inne impy wróciły po chwili, niosąc swoje łupy. Jeden z nich, wymęczoną jaszczurkę, Norrec natychmiast odrzucił. Wziął w końcu parę królików biorąc pod uwagę to, co zostało mu ofiarowane na samym początku.

Gdy sięgnął po nie, jego lewa ręka znów się zbuntowała. Rękawica przesunęła się nad królikami, a gdy tak się stało, straszliwe gorąco

wydawało się spalać jego palce.

– A niech to! – Cofnął się. Ciepło zniknęło, ale jego ręka wciąż drżała od gorąca.

Zebrane razem, impy szwargotały, tym razem wydając się rozbawione jego przygodą. Jednak jedno gniewne spojrzenie szybko je uciszyło.

Gdy jego ręka ostygła, Norrec ponownie przyjrzał się królikom. Okazało się, że zostały całkowicie upieczone. Zapach, który się z nich unosił, przynosił ze sobą bardzo kuszącą woń przypraw.

– Cóż... chyba ci za to nie dziękuję – Wymruczał w przestrzeń.

Głód okazał się silniejszy od zdrowego rozsądku i siwiejący wojownik rzucił się na nadspodziewanie dobrze przygotowane mięsiwo. Bez trudu pożarł niejednego, lecz dwa króliki. Duże sztuki ukończył ssanie w jego żołądka na tyle, że mógł się zastanowić, co zrobić z resztą. Norrec czekał, mając nadzieję, że zbroja zadecyduje za niego, ale nic się nie stało.

Wataha wciąż go obserwowała, ale ich spojrzenia ześlizgiwały się na mięso, co podsunęło Norrecowi odpowiedź. Podniósł rękę, wskazał na kozła i resztę upolowanej zwierzyny, po czym machnął na impy.

Nie potrzebowały dodatkowej zachęty. Z szaloną radością, która odrzuciła doświadczonego weterana, mała horda rzuciła się na mięso. Rwały ciało, rozrzucając wszędzie wnętrzności i chlapiąc krwią. Posiłek podjechał Norrecowi do gardła, gdy zobaczył, jak demony obierają kości ze wszystkiego, co nadawało się do jedzenia. Wyobraził sobie te zęby i pazury zwrócone przeciw niemu...

Yerash! – Norrec tak się zapatrzył na rozgrywającą się przed nim scenę, że ledwo zareagował na chrapliwe słowo, jakie padło z jego ust.

Impy cofnęły się jak odrzucone. Przestraszone, zabrały resztki kozła, z pewnym wysiłkiem wrzuciły pozostałe szczątki do dziury, po czym wskoczyły za nimi.

Ostami posłał człowiekowi szybkie i bardzo zdziwione spojrzenie, po czym znikł we wnętrznościach ziemi. Na oczach zdumionego Norreca dziura zamknęła się nie pozostawiając najmniejszego śladu. Żywi zmarli. Nawiedzona zbroja. Demony z podziemi. W przeszłości Norrec stykał się z magią, słyszał nawet opowieści o stworach mroku, ale nic nie przygotowało go do tego, co zdarzyło się, gdy wszedł do jaskini. Żałował, że nie może cofnąć czasu i zmienić biegu wydarzeń, kazać im wyjść, zanim strażnicy powstali i zabili jego towarzyszy. Norrec wiedział jednak, że nie może zrobić nic poza zdjęciem tej przeklętej zbroi.

Potrzebował odpoczynku. Wędrówka była męcząca i teraz, gdy napełnił żołądek, chęć dalszego marszu znikła przynajmniej na razie. Lepiej przespać się i ruszyć dalej wypoczętym. Może jego myśli będą wyraźniejsze i znajdzie sposób, jak wydostać się z tej paskudnej sytuacji.

Norrec przechylił się do tyłu, wyprostował. Po wielu latach spędzonych na polach bitew, każde miejsce nadawało się na łóżko. Zbroja mogła być nieco niewygodna, ale zmęczony żołnierz znał gorsze niewygody.

– Co do...?

Jego ramiona i nogi ustawiły go do pionu. Norrec próbował usiąść, ale nie słuchała go żadna część ciała poniżej karku.

Jego ręce opadły luźno, jakby przecięto mu mięśnie. Lewa noga Norreca ruszyła do przodu, a prawa podążyła za nią.

– Cholera, nie mogę iść dalej! Muszę chwilę odpocząć! Zbroi to nie obchodziło, nabierała tempa. Lewa. Prawa.

Lewa. Prawa.

– Godzina! Najwyżej dwie! Tylko tyle potrzebuję!

Jego słowa pozostały bez echa wśród gór i pagórków. Lewa. Prawa. Niezależnie od tego, czy nieszczęsny weteran chciał tego czy nie, musiał kontynuować swoją podróż.

Ale dokąd?



To nie powinno się zdarzyć, pomyślała nerwowo Kara. Na wolę Rathmy, to nie powinno nigdy się zdarzyć!

Szmaragdowa kula, którą przyzywała wcześniej, aby wszystko widzieć, nadawała całej scenie jeszcze bardziej nieprzyjemny wygląd. Jej twarz, zwykle blada, zbladła jeszcze bardziej. Kara otuliła się długim, czarnym płaszczem, ciesząc się jego ciepłem. Spod długich rzęs jej migdałowe oczy obserwowały scenę, której mistrzowie na pewno sobie nie wyobrażali. Grobowiec jest na zawsze bezpieczny, twierdzili. Gdzie zawodzi magia żywiołów Yizjerei, tam zadziałają nasze wypróbowane umiejętności.

Ale teraz zarówno bardziej materialistyczni Yizjerei, jak i pragmatyczni kapłani Rathmy przeliczyli się. To, co ukryli przed ludzkim wzrokiem na wieki nie tylko zostało odkryte, ale również skradzione.

A może chodziło o coś więcej? Jak potężni byli intruzi, skoro nie tylko wyeliminowali nieumarłych strażników, ale także zniszczyli niezniszczalne zabezpieczenia?

Nie tak potężni, skoro dwóch z nich zginęło w dość gwałtowny sposób. Poruszając się z takim wdziękiem, iż wydawało się, że płynie w powietrzu, odziana w czerń kobieta podeszła do jednego z ciał. Kara pochyliła się i odgarnąwszy kilka pasemek kruczoczarnych włosów obejrzała szczątki.

Żyłasty mężczyzna, poznaczony bliznami weteran wielu bitew. Pochodził z jednej z odległych krain zachodu. Nie wyglądał przyjemnie, nawet zanim ktoś obrócił jego głowę dookoła szyi i prawie wyrwał ramię ze stawu. Sztylet tkwiący w jego piersi (to już pewna przesada) wyglądał na jego własny. Nawet nekromanta nie mógłby powiedzieć, co go zabiło – jeszcze nie. Rozległa rana krwawiła porządnie, ale nie tak bardzo, jak powinna. Po co jednak rozpruwać ofiarę po skręceniu jej karku?

Cicho niczym śmierć, szczupła lecz kształtna dziewczyna podeszła do drugiego ciała.

Od razu poznała w nim Yizjerei, co jej zresztą nie zaskoczyło. Wszędzie wsadzający nosa i wykorzystujący każdy sposób na umocnienie swej władzy nad innymi Yizjerei byli, delikatnie mówiąc, sojusznikami nie do końca godnymi zaufania. Gdyby nie oni, taka sytuacja nigdy nie miałaby miejsca. Bartuc i jego brat zdobyli podstawy nauk Yizjerei, a szczególnie lekkomyślne przywoływanie demonów dla rzucania co bardziej potężnych zaklęć. Zwłaszcza celował w tym Bartuc, który przez ciągłe kontakty z mrocznymi siłami nabrał przekonania, że demony są jego sojusznikami. One zaś, jako pokrewne dusze ze świata ludzi i demonów, żywiły się jego rosnącą żądzą czynienia zła.

I choć Horazon i jego konfratry pokonali Bartuca i demoniczną hordeę, nie byli w stanie zniszczyć ciała władcy. Zbroja, w którą zaklęto kilka paskudnych czarów, nadal spełniała swe funkcje, chroniąc właściciela nawet po śmierci. Tylko dzięki temu, że Bartuc nie zasłonił gardła, udało się zabić go jednym ciosem.

Pozostawszy z ciałem i głową, których nie mogli spalić, Yizjerei przybyli do ludu Kary, szukając w gęstej dżungli żyjących w samotności czarowników uprawiających magię życia i śmierci, magię, przez którą zostali nazwani nekromantami. Dwa klany włożyły wiele wysiłku w to, by upewnić się, że wszyscy podwładni Bartuca zniknęli z powierzchni ziemi.

Szczęśliwie nawet zaklęcia władcy przestały z czasem działać.

Kara dotknęła zalanego krwią gardła czarodzieja. Zauważyła, jak wiele ciała zostało wyrwane z furją przekraczającą zwierzęcą zaciekłość. W przeciwieństwie do wojownika, mag umarł szybko, jednak nie mniej gwałtownie. Jego oczy, w których wciąż było widoczne przerażenie,

wpatrywały się w nią. Wyrażały zarówno szok, jak i niedowierzenie, prawie...

prawie jakby nie mógł uwierzyć, kto go morduje.

Jaka siła była w stanie pokonać Yizjerei, a nie powstrzymała złodziei? Czyżby mieli szczęście i unieśli stąd głowy? Kara skrzywiła się. Skoro padli nieumarli strażnicy i zniszczono zaklęcia, co mogło jeszcze zapolować na złodziei? Co?

Żałowała, że nie przybyli z nią inni, choć było to niemożliwe. Byli potrzebni gdzie indziej – wydawało się, gdziekolwiek indziej. Ogólny wzrost tak mrocznych mocy został odczuty nie tylko w Kehjistanie, ale również w Scosglen. W całej swej historii kapłani Rathmy nie byli tak rozproszeni.

I tak została tylko ona, najmłodsza i najmniej doświadczona w sprawach wiary. Mimo że jak inni podążający ścieżką Rathmy niemal od urodzenia była ćwiczona w byciu niezależną, teraz czuła, że wkroczyła na grunt, na który nie przygotowało jej żadne nauczanie ani doświadczenie.

A może... może Yizjerei wciąż mógł jej powiedzieć coś o tym, z czym musi się zmierzyć.

Kara wyjęła zza pasa wyglądający na delikatny, ale bardzo wytrzymały sztylet, którego ostrze falowało niczym wąż. Zarówno ostrze, jak i rękojeść wykonane były z najczystszej kości słoniowej, jednak tu również pozory myliły. Kara mogła spokojnie walczyć swoim sztyletem przeciwko innym, wiedząc, że zawarte w nim zaklęcia czynią go bardziej wytrzymałym i celniejszym niż każda inna broń.

Bez cienia niesmaku ani też gorliwości nekromantka dotknęła ostrzem jednego z najbardziej skrwawionych miejsc na gardle martwego Yizjerei. Obracała nim tak długo, aż całe pokryło się czerwienią. Potem, trzymając sztylet rękojeścią w dół, Kara wymruczała zaklęcie.

Ciemnoczerwone plamy na końcu ostrza rozbłysły jasno. Koncentrując się, wymruczała kilka dalszych słów.

Plamy zaczęły się zmieniać, rosnąć. Poruszały się, jakby żyły – lub pamiętały, jak żyły.

Kara, zwana przez swych nauczycieli Nocnym Cieniem, obróciła sztylet, po czym wraziła ostrze w podłoże.

Ostrze zagłębiło się do połowy, nie spowolnione przez twardą skałę. Cofnąwszy się szybko, Kara obserwowała, jak kościany sztylet otaczają rosące plamy, które zlewają się razem, tworząc niewyraźną ludzką sylwetkę, nieco wyższą od broni.

Kreśląc w powietrzu wzory, nekromantka wymruczała drugą i ostatnią część inkantacji.

W miejscu, gdzie znajdował się sztylet, w blasku czerwonego światła pojawiła się naturalnej wielkości postać. Szkarłatna od stóp do głów, ze skórą i ubraniem włącznie, patrzyła na nią wyczekująco. Nosił strój Yizjerei, taki sam, w jaki odziane było leżące za nim ciało.

Kara z przyjemnością odnotowała, jak bardzo widmo było podobne do martwego maga. Do tej pory robiła to tylko raz i w znacznie bardziej sprzyjających warunkach. To, co stało przed nią, większość ludzi nazwałaby duchem, widmem, ale mieliby rację tylko częściowo. Co prawda, jako utworzone z żywej krwi ofiary miało pewne ślady jego psychiki, ale przywołanie prawdziwego ducha wymagało wiele czasu i wysiłku, zaś Kara musiała działać szybko. Zjawa wystarczy, by odpowiedzieć jej na kilka pytań.

– Przedstaw się! – Zażądała.

Usta poruszyły się, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Jednak odpowiedź uformowała się w jej umyśle. Fauztin...

– Co tu się stało?

Duch patrzył się na nią, lecz nie odpowiadał. Kara nawymyślała sobie od idiotek – zapomniała, że zjawa mogła odpowiadać tylko na proste pytania. Wzięła głęboki oddech i zapytała:

– Czy to ty zniszczyłeś nieumarłych? Kilku...

– Kto zniszczył pozostałe? Wahanie, po chwili... Norrec.

Norrec? To imię nic jej nie mówiło.

– Yizjerei? Czarodziej?

Ku jej zaskoczeniu, zjawa pokręciła swoją szkarłatną głową.

Norrec... Yizharan...

Znów to imię. Ostatnia część oznaczała w starym języku „sługę Yizjerei”, ale ta wiedza niewiele pomogła Karze. To był ślepy trop. Postanowiła zająć się poważniejszą sprawą.

– Czy ten Norrec zabrał zbroję z postumentu?

Znów zjawa potrząsnęła głową. Kara skrzywiła się, gdyż żadna nauka nie wspominała o czymś takim. Może Yizjerei wymagali bardziej złożonych zaklęć. Długo zastanawiała się nad następnym pytaniem. Znając ograniczenia zjaw, nekromantka mogła spędzić cały dzień i całą noc pytając o różne rzeczy i nie otrzymując żadnej informacji przydatnej w jej zadaniu.

Kara musiała...

Z korytarza za nią dobiegł jakiś dźwięk.

Młoda czarodziejka obróciła się w miejscu. Przez króciutką chwilę wydawało się jej, że widzi małe, niebieskawe światełko gdzieś w jego głębi. Jednak znikło ono tak szybko, że Kara nie była pewna, czy to nie przywidzenie. Mógł to być świetlik lub inny owad, ale...

Zbliżywszy się ostrożnie do tunelu, Kara spojrzała w ciemność. Czy zbyt szybko się nie pospieszyła, idąc wprost do głównej komnaty? Czy ten Norrec mógł kryć się na zewnątrz, czekając, aż ktoś nadejdzie?

To absurdalne, ale Kara naprawdę słyszała jakiś dźwięk. Była tego pewna.

Wymruczawszy zaklęcie, Kara uformowała drugą szmaragdową kulę, którą posłała w głąb skalistego korytarza. Gdy odleciała, ciemnowłosa kobieta ruszyła kilka kroków za nią, próbując dostrzec jak najwięcej.

Choć wciąż nie było śladu intruza, Kara nie mogła ryzykować. Ktoś, kto był w stanie zabić maga Yizjerei, stanowił śmiertelne zagrożenie. Nie mogła go zignorować. Nekromantka wzięła głęboki oddech i spojrzała w głąb korytarza...

... i chwilę potem zamarła, przeklinając swoją nierozwagę. Zostawiła swój cenny sztylet, a bez niego nie odważyłaby się stawić czoła potencjalnemu wrogowi. Zapewniał on ochronę przed zagrożeniami nie tylko materialnymi, ale i magicznymi. Zostawiając go za sobą, czarodziejka ryzykowała, że wpadnie w ręce kogoś kryjącego się w grobowcu.

Szybko wróciła do komnaty, w umyśle przygotowując zaklęcie, którym odpędzi zjawę, gdy zobaczyła, że szkarłatna postać już zniknęła.

Kara zrobiła jeszcze jeden krok, gdy zauważyła coś innego. Wraz ze zjawą zniknął jej cenny sztylet, ale nie to sprawiło, że zamarła z szeroko otwartymi oczyma, niezdolna do wykrztuszenia choćby słowa.

Ciała maga Fauztina i jego szczuplejszego towarzysza również zniknęły.

CZTERY



Piaskowy wąż przemykał zwinnie po zmiennej pustyni, ciągłe ruchy ratowały go od poparzenia przez piasek. Dziś polowanie było niezbyt udane, a kiedy słońce wzeszło wyżej, gad musiał chcąc niechcąc, szukać sobie kryjówki. Kiedy słońce zejdzie nieco niżej, wyruszy ponownie, mając nadzieję pochwycić mysz lub żuka. Bez pożywienia nie wytrzyma długo na pustyni, gdzie polowanie zawsze było niełatwym zadaniem.

Wąż wspinał się pospiesznie na ostatnią wydniętą świadom, że tylko minuty dzielą go od cienia. Jeszcze tylko ta przeszkoda i będzie w domu.

Piach pod węzem nagle eksplodował.

Dłgie na stopę żwaczki chwyciły węża w połowie ciała. Gad rozpaczliwie uderzał nim o piach, starając się wyrwać z uścisku. Z piasku wychynęła potworna głowa, a za nią pierwsza para podobnych do igieł odnóży.

Walcząc, wąż uderzył na napastnika, sycząc i starając się wstrzyknąć mu swój jad. Jego kły nie były jednak w stanie przebić chitynowego pancerza stawonoga. Jedna noga przygwoździła do ziemi odwłok gada. Kojarzaca się z żukiem głowa przekreśliła się gwałtownie, zaciskając żwaczki. Wciąż wijąca się przednia część węża upadła na piach, z pyska zwierzęcia nadal wydobywał się syk.

Czarno–czerwony stawonóg wysunął się całkowicie ze swej kryjówki, aby zaciągnąć zdobycz w miejsce, gdzie mógłby ją w spokoju zjeść. Mierzący niemal siedem stóp drapieżnik zaczął popychać odwłok węża.

Naraz nad stworem pojawił się cień. Bestia szybko obróciła głowę i splunęła w stronę intruza.

Żrący jad padł na nieco podniszczoną jedwabną szatę brodatego, starszego mężczyzny o niezbyt przytomnym spojrzeniu. Spojrzał znad swojego długiego, podobnego do dzioba nosa na syczącą substancję i przesunął nad płamą powykrzywianą ręką. Gdy to uczynił, jad i wypalona przezeń dziura znikły, jakby ich nigdy nie było.

Niebieskie niczym woda oczy skupiły się na dzikim insekcie.

Z jego pancerza uniosły się wstążki dymu. Podobne do żuka stworzenie wydało wysoki pisk, przebijając gwałtownie odnóżami. Próbowало uciekać, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa, nogi ugięły się i stwór padł. Niektóre jego członki poczęły się rozpuszczać, jakby nie był istotą z ciała i chityny, ale z wosku, który zaczął się topić na słońcu.

Piszczący stawonóg roztopił się całkowicie. Tak groźne dla węża zwaczki zamieniły się kałużę czarnego płynu, który szybko wsiąkł w piach. Piski umierającego stworzenia wreszcie ucichły. Obszarpana postać przyglądała się, jak istota, która kiedyś była groźnym drapieżnikiem, znikła niby krople deszczu, który rokrocznie próbował użyźnić tę wyschniętą ziemię.

– Piasecznik. Jest ich zbyt wiele. Wszędzie zbyt wiele zła – zamruczał do siebie siwowłosa patriarcha. – Tyle zła nawet tutaj. Muszę być ostrożny, bardzo ostrożny.

Przeszedł obok ciała węża i jego niefortunego zabójcy, kierując się ku pobliskiej wydmie. W miarę, jak brodaty pustelnik zbliżał się do niej, stawała się wyższa i wyższa, aż wreszcie uformowała wejście prowadzące, wydawałoby się, do samych piekieł.

Wodniste niebieskie oczy jeszcze raz zlustrowały przytłaczający krajobraz. Ciałem starca wstrząsnął krótki dreszcz.

– Tyle zła... muszę być ostrożny.

Wszedł do środka wydmy. Piach zaczął natychmiast zasypywać wejście, szybko wypełniając korytarz, aż nie pozostał żaden ślad.

Gdy wydma opadła, pustynne wiatry dalej przemierzały krajobraz, zaś wąż i larwa dołączyły do innych nieszczęsnych mieszkańców w piaszczystym, zapomnianym grobie.



Góry zostały dawno za nim, choć Norrec tylko częściowo pamiętał, jakim cudem dotarł tak daleko. W pewnym momencie stracił przytomność z wyczerpania, lecz zbroja najwyraźniej kontynuowała marsz. Mimo że żaden ruch nie był wykonany z jego woli, każdy mięsień w ciele weterana krzyczał z wyczerpania, a każda kość wydawała się złamana. Usta miał spierzchnięte od wiatru, a pot spływał mu po ciele. Norrec gorąco pragnął zedrzeć zbroję i uciec, ale wiedział, że jest to niemożliwe. Zbroja robiła z nim, co chciała.

A teraz stał na szczycie pagórka, spoglądając na pierwszy ślad cywilizacji, jaki widział od wielu dni. Nieprzyjemna oberża, miejsce godne wywołańców i rozbójników, a nie takich wojowników jak on. Jednak wobec nadchodzącego zmierzchu i wyczerpania Norreca zbroja wydawała się rozumieć, że jeszcze raz musi dostosować się do ograniczeń ludzkiej rasy.

Bezwolnie pomaszerował w stronę budynku. Trzy ponure konie stały przywiązane nieopodal, a kolejny wyrażał głośno swoje niezadowolenie w rozsypującej się stajni. Norrec pożałował, że nie zabrał ze sobą miecza. Zbroja nie zatroszczyła się o to, gdy wyszła z nim z grobowca.

Nim weteran dotarł do drzwi, jego nogi ugięły się. Norrec szybko zrozumiał, że przeklęta zbroja Bartuca ofiarowała mu wątpliwy dar wejścia do karczmy o własnych siłach, jakby chcąc uniknąć wszelkich podejrzeń.

Jako że głód i chęć odpoczynku znaczyły w tej chwili dla Norreca więcej niż własna duma, żołnierz szeroko otworzył drzwi. Brudne, podejrzone twarze spojrzały na niego – większość gości stanowiła mieszankę ras nie tylko ze wschodu, ale także tych zamieszkujących po drugiej stronie Bliźniaczych Mór. Cztery kundle. Choć Norrec nigdy nie oceniał ludzi na podstawie pochodzenia, widział, że nie są to osoby, obok których chciałby siedzieć.

To miejsce, gdzie trzeba mieć oczy dookoła głowy nawet wtedy, gdy obok ciebie kręci się dziewczka służebna!, zażartowałby Sadun Tryst. Oczywiście Tryst zasiadłby do stołu z każdym, kto postawiłby mu drinka.

Ale Sadun nie żył.

– Zamknij drzwi albo wyłaź! – warknął siedzący najbliżej.

Norrec posłuchał, nie chcąc szukać zwady. Zmęczony wojownik pomaszerował do kontuaru z podniesioną głową, udając, że przed chwilą przyjechał. Gdy się poruszał, jego ciało krzyczało z bólu, ale nikt tutaj nie powinien o tym wiedzieć.

Tym ludziom wystarczyło pokazać najmniejszą oznakę słabości, a niecnie ją wykorzystają.

Zbliżył się do kogoś, kto wyglądał na karczmarza – wielkiej, mocarnej postaci jeszcze bardziej przerażającej niż jej klienci, stojącej za zniszczonym i podrapanym barem. Gąszcz brudnych, brązowych włosów wymykał się spod starej podróżnej czapki. Okrągłe jak paciorki oczy spoglądały na niego z owalnej, podobnej do psiej, twarzy. Gdy wchodził, Norrec wyczuł w powietrzu dziwny zapach. Teraz wiedział, że wydziela go ten człowiek.

Gdyby wiedział, że zbroja mu na to pozwoli, Norrec wyszedłby stamtąd czym prędzej, niezależnie od potrzeb.

– Czego? – wymruczał wreszcie karczmarz, drapiąc się po wydatnym brzuchu. Jego koszula była ozdobiona mnóstwem rozmaitych plam i rozerwana pod pachą.

– Potrzebuję jedzenia. – Tego Norrec potrzebował jak najszybciej.

– Potrzebuję dobrej monety.

Monety. Zdesperowany żołnierz stłumił rosnącą frustrację. Następny przedmiot, który pozostał przy zakrwawionych zwłokach jego towarzyszy.

Jego lewa ręka wystrzeliła nagle do przodu, a otwarta dłoń uderzyła w kontuar z taką mocą, że barman aż podskoczył. Siedzący przy stołach poderwali się na równe nogi, niektórzy sięgnęli po broń.

Dłoń cofnęła się... odsłaniając leżącą na blacie złotą monetę.

Ocknąwszy się szybko, Norrec dodał:

– A także pokoju.

Czuł, że oczy wszystkich wpatrują się w monetę. Jeszcze rtil Norrec przeklął zbroję.

Jeśli potrafiła wyczarowywać bogactwa z powietrza, mogła postarać się o coś mniej podejrzanego niż złoto. Znów pożałował, że nie ma przy sobie miecza albo chociaż dobrego, porządnego noża.

– Nastaw trochę gulaszu w kociołku – powiedział niedźwiedziowaty gigant w stronę kuchni. – i przygotuj pokój na drugim piętrze. Pierwszy po prawej.

– Zjem tam.

– Jak pan sobie życzy.

Karczmarz znikł na chwilę na zapleczu, po czym wrócił z poplamioną miską czegoś, co śmierdziało nawet gorzej niż on. Norrec jednak przyjął to z wdzięcznością. Był tak głodny, że teraz pożałoby nawet ofiarowanego przez impy kozła.

Z miską w zagięciu ręki Norrec udał się do swego pokoju. Gdy wchodził po skrzypiących schodach, słyszał ciche mruczenie w głównej sali. Jego wolna ręka zacisnęła się. Złota moneta utkwiała ludziom w pamięci.

Pokój okazał się być tak paskudny jak weteran się spodziewał: ciemna, zakurzona komórka z oknem tak brudnym, że nie przepuszczało światła. Łóżko wyglądało, jakby się miało zaraz rozpaść, zaś biała niegdyś pościel zszarzała. Pojedyncza lampka oliwna rozświetlała tylko swoje najbliższe otoczenie, ale nie resztę pokoju.

Z braku stołu czy krzesła, Norrec siadł na brzegu łóżka i zaczął spożywać zawartość miski. Smakowało jeszcze gorzej, niż sobie wyobrażał, ale przynajmniej było na tyle świeże, że go nie zabiło.

Gdy jedzenie wypełniło mu żołądek, stał się jeszcze bardziej senny. Norrec musiał zwalczyć zmęczenie, żeby dokończyć posiłek, a kiedy to się stało, odstawił miskę na podłogę i usiadł z powrotem. Gdzieś w głębi umysłu zaczął martwić się tymi na dole, ale wyczerpanie było silniejsze nawet od tego zmartwienia.

Gdy odpłynął w niebyt, Norrec zaczął śnić.

Widział, jak wykrzykuje rozkazy piekielnej armii groteskowych okropieństw o kształtach, jakich nie mogła stworzyć jego wyobraźnia. Łuskowate, przerażające, koszmarnie paskudztwa łaknące krwi – krwi, którą Norrec pragnął im dać. Były demonami, ale całkowicie mu posłusznymi. Dla niego niszczyły miasta, zabijając mieszkańców w jego imię. Nawet Piekło respektowało rozkazy Władcy Krwi, jego... Bartuca.

Po takiej myśli żołnierz starał się przebudzić. Nigdy nie będzie Bartucem! Nie chciał takiego koszmaru, nawet by zaspokoić swoje pragnienia! Nigdy!

Jednak władza tak absolutna miała swoją kuszącą stronę.

Wewnętrzna walka Norreca skończyła się nagle, gdy obudził go jakiś hałas. Otworzywszy szeroko oczy, nasłuchiwał dalej. Nie mógł określić tego, co usłyszał. Jakiś cichy, mało ważny dźwięk, którego nawet podświadomie nikt by nie zarejestrował. Usłyszał go znów, choć zza zamkniętych drzwi wydawał się bardzo cichy. To był trzask, jakby ktoś powoli i ostrożnie skradał się.

Oczywiście, karczma miała też inne pokoje, ale Norrec nie sądził, żeby ci na dole byli tak mili i nie chcieli mu przeszkadzać. Gdyby tupali po schodach jak zwykli ludzie, nie zwróciłby na to uwagi. Jednak taka ostrożność nakazywała podejrzewać, że chodzi im o coś innego, co niezbyt podobało się żołnierzowi.

Jeśli zmęczony podróżny ma jedną złotą monetę, to na pewno posiada ich więcej...

Jego ręka opadła na miejsce, gdzie powinien być miecz. Niestety. Musiał zawierzyć zbroi, a nie było to coś, czemu chciałby ufać. Być może zbroja uznałaby któregoś ze złodziei za osobę bardziej odpowiednią dla jej celów, tym samym czyniąc z żołnierza łatwy łup...

Skrzypienie ucichło.

Norrec wstał najciszej jak mógł.

Dwóch ludzi z wyciągniętymi nożami wpadło przez zniszczone drzwi, natychmiast atakując stojącą przed nimi postać. Za nimi pojawił się trzeci opryszek, wymachujący zakrzywionym krótkim mieczem. Każdy z napastników dorównywał wojownikowi wzrostem i umięśnieniem, a do tego mieli przewagę zaskoczenia, atakując go w pokoju z tak małym oknem, że Norrec nie był w stanie się przez nie przecisnąć.

Uniósł pięść, gotów odpłacić im...

A w pięści pojawił się nagle długi, czarny miecz z paskudnym zębatym ostrzem. Ręka Norreca opadła w dół, poruszając się tak szybko, że on i

najbliżej stojący przeciwnik mogli się tylko przyglądać.

Ostrze weszło w napastnika, bez trudu rozcinając ciało i ścięgna. Niczym za sprawą czarów na jego piersi otworzyła się szeroka rana, a krew popłynęła tak szybko, że dopiero po pewnym czasie ofiara zorientowała się, że została trafiona.

Pierwszy atakujący wreszcie osunął się na ziemię, a jednocześnie jego towarzysze oprzytomnieli po tym nieoczekiwanym obrocie wypadków. Ten z nożem próbował cofnąć się, ale jego kompan ruszył do przodu, najwyraźniej z zamiarem skrzyżowania ostrzy. Norrec pragnął ostrzec zbira, że czyni głupio, ale w tej chwili już się ścierali.

Zwarli się raz, drugi – na tyle zbroja pozwoliła jego przeciwnikowi. Gdy intruz unosił miecz do trzeciego cięcia, okryta rękawicą dłoń Norreca przekreśliła się gwałtownie. Czarne ostrze rozmazało się w szalonym zygzaku. Drugi bandzior znieruchomiał, gdy jego życiowe płyny wypływały z okropnego cięcia biegnącego od gardła do nadgarstka. Upuścił miecz, jakby desperacko chciał zapobiec nieuniknionemu. Ręka Norreca poruszyła się znów, jakby nie mogąc doczekać się końca. Głowa przeciwnika opadła na podłogę, poturlała do kąta i tam pozostała. Wszystko to wydarzyło się, zanim jeszcze ciało opadło podłogę.

– Bogowie! – wykrztusił żołnierz. Wyćwiczone go do walki, a nie do zarzynania.

Świadom okazji, jaka mu się nadarzyła, trzeci napastnik skoczył w stronę drzwi.

Norrec pozwoliłby mu odejść, nie chcąc dalszego rozlewu krwi. Jednak zbroja zdecydowała inaczej, każąc mu przeskoczyć przez dwa ciała i ruszyć w pościg.

U dołu schodów ostatni z trójki szamotał się z karczmarzem, który najwyraźniej pragnął wiedzieć, dlaczego jego przyjaciołom się nie

powiodło. Obaj mężczyźni spojrzeli w górę i zobaczyli szkarłatną postać ze smoliście połyskującym ostrzem. Karczmarz wyciągnął zza pasa zadziwiająco długi miecz – była to broń tak masywna, że Norrec przestraszył się, iż zbroja przeceniła swoją wytrzymałość. Drugi mężczyzna chciał dalej uciekać, ale piąty oprych, który nagle pojawił się za plecami karczmarza pchnął go z powrotem do walki.



Jeśli zamierzali zetrzeć się z nim na schodach, to się grubo mylili. Norrec poczuł, że jego stopy odrywają się od ziemi, a on sam skacze na całą trójkę. Ich twarze były bez wątpienia tak samo zadziwione, jak jego własna. Dwóm udało się w porę uskoczyć, ale niedobitek z poprzedniego starcia został na miejscu, zbyt przerażony, aby się poruszyć.

Straszliwa broń szybko się z nim uporała. Ostrze wbiło się weń i wyszło plecami, po czym natychmiast zostało wyciągnięte.

– Na prawo! – warknął masywny karczmarz. – Na prawo!

Drugi napastnik posłuchał. Norrec doskonale wiedział, co planuje herszt. Atakując z dwóch różnych stron zdekcentrują go. Cios jednego z nich z pewnością trafi, zwłaszcza karczmarza, którego broń była prawie dwa razy dłuższa niż czarny miecz.

– Teraz!

Dwaj ludzie rzucili się na Norreca. Jeden celował w gardło, drugi w nogi, których zbroja nie osłaniała w całości. Na pewno walczyli już razem, tak jak Norrec z Sadunem i Fauztinem. Pozostawiony samemu sobie, żołnierz wiedział, że zginąłby tu i teraz. Ale zbroja Bartuca walczyła z szybkością i dokładnością, której nie mógł dorównać żaden człowiek. Nie tylko zbiła gigantyczne ostrze większego napastnika, ale zdążyła unieść się w odpowiedniej chwili, by zablokować cios drugiego. Co dziwniejsze, za

blokiem poszło nagle pchnięcie, wycelowane w gardło mniejszego przeciwnika.

Gdy jego towarzysz padł, żelazne opanowanie karczmarza nagle przysło. Zaczął cofać się ku drzwiom, wciąż trzymając miecz przed sobą. Zbroja popchnęła Norreca do przodu, ale nie zaatakowała ostatniego z napastników.

Otworzył gwałtownie drzwi, karczmarz uciekł w noc. Norrec spodziewał się, że zbroja Bartuca ruszy za nim w pościg, ale tymczasem kazała mu się odwrócić i podejść do jednego z ciał. Gdy Norrec uklęknął przy zwłokach, czarne ostrze nagle rozpląnęło się, pozostawiając obie ręce wolne.

Ku jego przerażeniu, odziany w rękawicę palec zanurzył się w ranie aż do połowy.

Przesunąwszy się nad drewnianą podłogę, nakreślił wzór.

– Heyat tokaris! – wyrzucił z siebie bez własnej woli. – Heyat grendel!

Zbroja cofnęła się, a wtedy z krwawego wzoru uniósł się cuchnący, zielonkawy dym.

Szybko przybrał kształt rąk, nóg... oraz ogona i skrzydeł. Jaszczurza twarz ze zbyt wieloma oczami zamruwała z pogardą, która znikła jednak, gdy demon zobaczył, przed kim stoi.

– Władca... – wychrypiał. Oczy jak kartofle przyjrzały mu się dokładniej.
– Władca?

– Heskar, grendel! Heskar!

Demon pokiwał łbem. Potworna istota bez słowa skierowała się ku drzwiom. Norrec usłyszał w dali szaleńczy tętent kilku uciekających koni.

– Heskar! – rozkazały jego usta.

Jaszczurowaty potwór przyspieszył, opuszczając gospodę. Gdy tylko wyszedł, rozwinął skrzydła i odleciał, znikając w Ciemnościach.

Norrec nie musiał zgadywać celu jego misji. Na rozkaz Bartuca udał się na łowy.

– Nie rób tego – wyszeptał, pewien, że jakkolwiek duch siedział we zbroi, usłyszy go.

– Pozwól mu odejść!

Zbroja zwróciła się ku pierwszym zwłokom.

– Niech to! Zostaw go! Nie jest tego wart!

Zbroja ignorowała jego błagania, musiał znów uklęknąć przy zwłokach. Rękawica, która wcześniej włożyła do rany tylko jeden palec, teraz zanurzyła się w niej całkowicie, plamiąc krwią swoje wnętrze.

Na zewnątrz w niebo wzbił się ludzki krzyk – a potem umilkł, gwałtownie ucięty.

W drugiej ręce Norreca pojawiła się nowa broń. Tym razem był to szkarłatny sztylet o rozdwojonym sztychu.

Łopot skrzydeł powiadomił go o powrocie demona, ale Norrec nie mógł skrócić karku na tyle, aby to zobaczyć. Słyszał ciężki oddech stwora, a nawet szelest skórzastych skrzydeł, kiedy lądował w sali.

– Nestu veraki... – Sztylet przesunął się nad gardłem trupa. – Nestu verakuu...

Weteran zamknął oczy, modląc się za siebie. W jego pamięci pojawiło się wystarczająco dużo obrazów ukazujących śmierć przyjaciół, by wiedzieć, co się zaraz stanie.

Norrec nie chciał stawiać temu czoła, choć uciekłby, gdyby mógł.

– Nestu hanti...

Ale teraz nie mógł zrobić nic poza próbą zachowania zdrowych zmysłów i duszy.

– Nestu hantiri...

Sztylet wbił się w gardło zbira.



Generał Augustus Malevolyn podniósł się z morza poduszek, pozostawiając Galeonę wśród snów, jakie czarodziejka jej pokroju mogła śnić. Po cichu ubrał się i wyszedł ze swego namiotu.

Dwóch strażników stanęło na baczność, ich oczy spoglądały wprost przed siebie. Malevolyn ledwo dostrzegalnie pokiwał głową, po czym ruszył dalej. Na zachodzie rozciągało się miasto namiotów, jedyny dom oddanych ludzi generała.

Mimo że był szlachcicem bez ziemi, udało mu się zebrać armię, z którą nie mogła równać się żadna z armii Zachodnich Królestw. Za pieniądze służył wielu władcom, zbierając środki, dzięki którym mógł zaspokoić swe przyszłe ambicje. Jednak nadszedł czas, kiedy przysiągł sobie, że nie będzie służył już nikomu, a pewnego dnia on, Augustus Malevolyn, będzie władcą czegoś większego, niż tylko bezwartościowego spłachetka ziemi.

Generał spojrział na południe, gdzie leżała rozległa pustynia Aranoch. Już od pewnego czasu coś ciągnęło go w tę stronę, coś więcej niż tylko wielkie bogactwo zamożnego, pełnego luksusów miasta Lut Gholein, leżącego niedaleko stąd. Mimo położenia niedaleko od pustyni, Lut Gholein sąsiadowało również z Bliźniaczymi Morzami. To, jak również fakt, że leżało na pasie żyznej ziemi, sprawiało, że królestwu dobrze się wiodło. Już kilka razy różni zdobywcy zamierzali uzupełnić swoje skarbce jego bogactwami, ale każda próba kończyła się totalną klęską. Lut Gholein było nie tylko dobrze chronione, ale też wydawało się odrobinę zaczarowane. Według Malevolyna było to bardzo bliskie zwykłej magii. Coś pilnowało miasta.

I to coś najbardziej martwiło dowódcę. Miało to jakiś związek z jego pragnieniem, aby przejąć dziedzictwo Bartuca i uczynić swoim. Malevolyn śnił o tym, czując, że jego myśli wciąż zwracają się w tę stronę.

– Wkrótce – wyszeptał do siebie – Wkrótce...

I cóż poczniesz z tym dziedzictwem?, przyszło mu nagle do głowy. Będziesz naśladować Bartuca? Powtarzać jego biedy i jego zwycięstwa?

– Nie...

Nie zrobiłby tego. Mimo całej swej mocy, mimo rozkazywania hordom demonów, Bartuc posiadał jedną wadę, której generał nie mógł przeoczyć. Bartuc nie był najemnikiem. Sławny Władca Krwi był przede wszystkim czarodziejem. Magowie byli pożyteczni, zwłaszcza Galeona, ale jednocześnie niestali i zbyt skoncentrowani na swojej sztuce. Prawdziwy wódz musiał skupić się na polu walki, logistyce i nagłych zmianach sytuacji. Między innymi dlatego Augustus Malevolyn nie rozwinął w pełni swoich magicznych zdolności. Jego prawdziwą pasją była kariera wojskowa. Ze zbroją i magią Bartuca będziesz kimś więcej niż on, idealnym połączeniem żołnierza i czarodzieja! Będziesz kimś więcej, zaćmisz go...

– Taaak... taaak... – Oczyma duszy generał widział swój wizerunek wyryty w sercach i umysłach przyszłych pokoleń. Generał Augustus Malevolyn, władca świata!

Nawet demony uklękną przed tobą i nazwą ciebie panem.

Demony. Tak, gdy zbroja będzie jego, pojawi się zdolność przywoływania demonów.

Na to wskazywały sny, które miewał od czasu, gdy pierwszy raz założył hełm. Połączy zbroję i hełm, a wtedy wszystkie zaklęcia wewnątrz niej dadzą mu potęgę.

Zbroja... jego brew zmarszczyła się. Potrzebował zbroi!

A miał ją jakiś głupiec.

Malevolyn znajdzie go, znajdzie tego bezmózgiego śmiecia i zedrze zeń zbroję kawałek po kawałku. Później nagrodzi go zaszczytem bycia

pierwszą osobą, która zginie ł rąk nowego Władcy Krwi.

Tak, generał uczyni ze śmierci tego głupca pamiętne wyt darzenie.

Augustus Malevolyn szedł, marząc o chwale i wyobrażając sobie, jaki pożytek zrobi z ciemnych mocy, którymi wkrótce będzie dysponował. Jednak nawet wtedy, kiedy tak spacerował i marzył, starannie zwracał uwagę na obóz, gdyż dobry dowódca zawsze dba o to, by w szeregi jego wojska nie zakradła się gnuśność. Imperia powstawały i upadały dlatego, że ich władcy przeoczyli tak drobne sprawy.

Choć Malevolyn uważnie obserwował gorliwość, z jaką jego podwładni wykonują swoje zadania, nie dostrzegł cienia, którego z pewnością nie rzucało światło pochodni. Nie zauważył też, że ten właśnie cień stał chwilę wcześniej za nim, szepcząc mu to, co generał uważał za swoje własne myśli i wątpliwości.

Swoje własne marzenia.



Cień demona Xazaxa pomknął do namiotu Galeony. Tej nocy efekty jego pracy wydawały się bardziej niż zadowalające. Ten człowiek posiadał kilka ciekawych zdolności, które mógłby wykorzystać. Dawno temu stało się dla niego jasne, że zbroja Bartuca nigdy nie zaakceptuje demona jako swego pana, bowiem choć Władca przeszedł na stronę Piekła, zawsze ufał tylko sobie. Nie, jeśli duch Bartuca pozostał choć w części zbroi, potrzebował znacznie bardziej podatnego ludzkiego nosiciela, niezależnie od tego, jak kruche i krótkotrwałe są ich ciała.

Generał chciał odgrywać władcę. To pasowało Xazaxowi. Wiedźma była pożyteczna, ale dziedzic krwawego Bartuca... pan Xazaxa, Belial, z pewnością wynagrodziłby go sowicia za takie znalezisko. Wojna domowa w Piekło przeciwką Azmodanowi nie szła zbyt dobrze, a do tego pojawiły się] głoski, że Diabło wydostał się ze swego śmiertelnego więzienia. Jeśli

to prawda, na pewno zechce uwolnić braci Baala i Mefista, a potem spróbują razem odzyskać swoje trony z rąk Azmodana i Beliala. Ta trójca na pewno nie obejdzie się dobrze z demonami wiernie służącymi ich zbuntowanym podwładnym. Jeśli Belial przegra, przegra również Xazax...

– Co robiłeś?

Cień zatrzymał się w wejściu do namiotu czarodziejki.

– On ma wiele zadań i nie zawsze może być na twoje skinienie, człowieku Galeono... – wydał z siebie szczękający dźwięk, przypominający ten, jaki wydaje piasecznik, nim zmiażdży swoją ofiarę w żwaczkach. – Poza tym, spałaś...

– Nie tak mocno, by nie wychwycić twojej magii w powietrzu. Obiecywałeś, że nie będziesz tu rzucał żadnych czarów! Augustus posiada pewne zdolności, mógł się zorientować i zastanowić, co to oznacza!

– Nie było takiego niebezpieczeństwa, on ci to obiecuje.

– Pytam ponownie, demonie! Co robiłeś?

– On studiował hełm – skłamał Xazax, przesuwając się w inne miejsce namiotu.

– Szukając głupca, który nie wie, co nosi...

Jej gniew zamienił się w zaciekawienie.

– Dowiedziałeś się, gdzie jest? Gdybym mogła powiedzieć Malevolynowi coś więcej...

Demon zachichotał, a był to dźwięk podobny do drapania po dzbanie przez rój rozwścieczonych, uwięzionych w nim pszczół.

– Po co, skoro uzgodniliśmy, że zbroja nigdy nie będzie jego?

– Ponieważ nadal ma hełm, głupcze, a dopóki nie znajdziemy zbroi, Augustus i jego łączność z hełmem jest nam nadal potrzebna!

– To prawda – zastanowił się demon. – Jego połączenie z hełmem jest bardzo głębokie... można by rzec, że to więzy krwi...

Jej podbródek uniósł się wyżej, gdy odrzuciła włosy do tyłu – Xazax już dawno nauczył się, że oznacza to, iż kobieta wpada w gniew.

– A cóż to znaczy? Cień nawet nie zadrzał.

– To był tylko żart, czarodziejko. Tylko żart. Mówimy o rzeczach dotyczących Bartuca, nieprawdaż?

– Demon z poczuciem humoru. – Galeona nie wyglądała wcale na rozbawioną.

– Bardzo dobrze, ja też mam dla ciebie dowcip: zostawisz Augustusa mnie.

– On nie zajmie twojego miejsca w łóżku generała...

Czarodziejka posłała cieniowi spojrzenie z gatunku mogących zabijać, po czym opuściła namiot. Xazax wiedział, że będzie szukać Malevolyna, aby wzmocnić swoją władzę nad nim. Demon doceniał jej umiejętności, mimo iż był pewien, że gdyby starł się z Galeona, wiedźma przegrałaby. W końcu była śmiertelna, nie to, co te wstrętne anioły. Gdyby tak było, Xazax byłby bardziej ostrożny. Anioły były pobłażliwe, działały w cieniu, robiąc różne sztuczki, zamiast stanąć twarzą w twarz z przeciwnikiem.

Cień demona comął się, chowając w najciemniejszym kącie. Co prawda żaden anioł jak na razie się nie wtrącił, ale musiał być ostrożny. Gdyby jakiś się pojawił, chwyciłby go w swoje szpony i powoli urywał kończyny jedną po drugiej, przysłuchując się słodkiej melodii jego krzyków.

– Chodźcie, aniołki, o ile się odważycie – wyszeptał w mrok. – On was powita z otwartymi ramionami... kłami i pazurami!

Przygaszony płomyk jedynej lampki rozbłysnął nagle, oświetlając namiot Galeony jaśniej niż zwykle. Od tego światła cień zasyczał i skulił się. Zarys wielkiego, szkarłatnoszma–ragdowego owada błysnął w obrębie światła, po czym zniknął, gdy płomień przygasł.

Xazax zaklekotał wściekle, szczęśliwy, że Galeona nie widziała jego reakcji. Lampy oliwne często rozpały się jaśniej – został zaskoczony przez zwykły akt natury. Niemniej demon wcisnął się głębiej w wygodny kąt namiotu. Tutaj mógł j knuć w spokoju. Stąd mógł bezpiecznie używać swojej mocy, aby szukać człowieka noszącego zbroję Bartuca.

Stąd mógł szukać tchórzliwych aniołów.

PIĘĆ



Kłębiące się burzowe chmury sprawiły, że dzień stał się ciemny jak noc, ale Norrec tego nie zauważył. Po tym, co zdarzyło się poprzedniego wieczora, a w czym brał pewien udział, jego umysł wciąż tkwił w szponach przerażenia. Z powodu jego przekłętej żądzы złota zginęło gwałtowną śmiercią wiele osób. Choć ci, którzy go napadli, w przeciwieństwie do Saduna i Fauztina, zasłużyli na egzekucję za swoje zbrodnie, uważał, że ich śmierć była zbyt okrutna. Zwłaszcza karczmarza spotkał paskudny los – powracający demon przyniósł aż za wiele dowodów na wzorowe wykonanie zadania. Norrec był szczęśliwy, że wkrótce potem bestia wróciła do podziemi wraz ze swoją nagrodą.

Jednak Norrec nie mógł uciec przed potwornościami, jakich dopuściła się później zbroja. Gdy zdesperowany wojownik szedł, starał się nie patrzeć na pancerz, obficie poplamiony po nocnych szaleństwach. Co gorsza, z każdą sekundą Norrec uświadamiał sobie, że na jego twarzy wciąż widnieje kilka smug, których mimo wysiłków nie udało mu się usunąć. Zbroja wykonała swoją obrzydliwą robotę wyjątkowo dokładnie.

Gdy zmagął się okropnościami w swojej głowie, zbroja nielitościwie popychała go na zachód. Grzmoty rozlegały się raz po raz, wył wiatr, a zbroja wciąż się poruszała. Norrec nie miał najmniejszych wątpliwości, że będzie iść dalej, nawet jeśli rozpęta się burza.

Z tej sytuacji wyniósł przynajmniej jeden, niewielki zysk w postaci starego, zakurzonego płaszcza podróżnego, który wisiał na kołku w karczmie. Prawdopodobnie należał do złodziejskiego karczmarza, ale

Norrec starał się unikać takich myśli. Płaszcz zasłaniał większość zbroi i zapewniał minimum ochrony przed deszczem. Było to niewiele, ale i za to był wdzięczny.

Im bardziej szedł na zachód, tym bardziej zmieniał się krajobraz: góry ustępowały pagórkom, a nawet równinom. Im niżej schodził, tym robiło się cieplej. Roślinność stawała się coraz bujniejsza, przypominając gęste dżungle, które – tego wojownik był pewien – rosły dalej na południu.

Po raz pierwszy Norrec poczuł zapach morza. Z tego, co pamiętał z map, którymi dysponowali on i jego towarzysze, jedno z Mórz Bliźniaczych, bardziej wysunięte na północ, znajdowało się niedaleko od tego miejsca. Początkowo Norrec miał nadzieję, że udadzą się na południowy zachód, gdzie mógłby odnaleźć jednego z Yizjerei, ale podejrzewał, że przeklęta zbroja miała inne plany. Nagle przestraszył się, że zechce przejść morze w poprzek, pogrążając nieszczęsnego Norreca w atramentowych głębinach. Jednak do tej pory zbroja Bartuca utrzymywała go przy życiu, by nie powiedzieć, że się nim opiekowała. Aby osiągnąć swoje tajemne cele, potrzebowała go żywego.

A co potem?

Wiatr wzmagał się coraz bardziej, miotając Norrecem pomimo wysiłków zbroi starającej się utrzymać dotychczasowy kierunek. Co prawda nie spadła ani jedna kropla deszczu, ale powietrze stało się ciężkie i wilgotne, a z ziemi zaczęła podnosić się mgła.

Widzialność spadła do kilku stóp i choć zbroi wydawało się to nie przeszkadzać, Norrec ciągle bał się, że spadnie z jakiegoś urwiska i nawet tego nie zauważy.

W południe – choć równie dobrze mogłaby to być północ, gdyż słońce nie było w stanie przebić się przez chmury – znów przybyły impy, przyzwane niezrozumiałymi słowami padającymi z ust Norreca. Nawet

gęstniejąca mgła nie przeszkodziła im w szybkim znalezieniu dla niego pożywienia – tym razem był to jeleni. Norrec najadł się do syta, po czym łaskawie pozwolił hordzie zabrać resztę ściągniętego w piekielne otchłanie.

Wlókł się dalej, a zapach morza stawał się coraz silniejszy. Norrec nie widział wiele przed sobą, ale wiedział, że nie może być daleko, jakiegokolwiek miejsce piekielna zbroja miałyby na myśli.

Jakby na zawołanie we mgle pojawił się budynek... a prawie zaraz następny. W tej samej chwili usłyszał w oddali odgłosy ciężkiej pracy.

Szczelniej owinął się płaszczem – tym razem zbroja pozwoliła mu to zrobić własnymi rękami. Im mniej zobaczą tubylcy, tym lepiej.

Gdy szedł poprzez miasto, Norrec zauważył w oddali ciemny, ale potężny kształt.

Statek. Zastanowił się, czy właśnie przypląnął, czy też przygotowuje się do wyładunku. Jeśli to drugie, zapewne on właśnie jest celem zbroi. Inaczej czemu sprowadziłaby go do tego właśnie miejsca?

Z naprzeciwka nadeszła postać w marynarskim stroju, z zawiniątkiem pod pachą. Z oczu i twarzy przypominał nieco Fautzina, choć był bardziej ożywiony.

– Ahoj, podróżniku! To nie najlepszy dzień na podróż lądem, co?

– Nie – Norrec chciał bez słowa przejść obok marynarza, obawiając się, że będzie on następną ofiarą zbroi. Jednak jego nogi jakby wrosły w ziemię.

Tamten również się zatrzymał. Wciąż się uśmiechając, człowiek morza zapytał: – Skąd się urwał? Wyglądasz na kogoś z zachodu, ale pod tym zarostem dość trudno to stwierdzić!

– Tak, z zachodu – odparł żołnierz – Byłem na... na pielgrzymce.

– W górach? Tam nie ma niczego poza kozami!

Norrec próbował ruszyć nogami, ale nic się nie stało. Zbroja czegoś od niego oczekiwała, choć nie wiedział czego. Myślał szybko i gniewnie.

Przybył do portowego miasta, do którego najprawdopodobniej skierowała go zbroja. Norrec przypuszczał, że potrzebowała transportu dokądś, być może nawet statku...

Statku...

Norrec zapytał, wskazując na ciemny kształt:

– Czy ten statek wkrótce odpływa? Marynarz spojrzął do tyłu.

– „Napolys”? Właśnie przybił. Postoi tu dwa, może nawet pięć dni. Najszybciej odpływa „Ognisty Jastrząb”, stoi tam. – Jego palec wskazał na południe, po czym pochylił się, zbyt blisko, jak dla Norreca, i dodał – Uwaga: „Ognisty Jastrząb” nie jest dobrym statkiem.

Pewnego dnia osiadzie na dnie jednego z tych mórz, zapamiętaj moje słowa. Najlepiej poczekać na „Napolys” lub moją dziewczuszkę, „Odyseję”, choć odpłynie dopiero za tydzień.

Musimy uzupełnić zapasy.

Jego nogi dalej nie chciały się ruszyć. Czego jeszcze zbroja chciała? Celu?

– Powiedz, dokąd każdy z nich płynie?

– Mój statek płynie do Lut Gholein, ale, jak powiedziałem, trochę potrwa, nim odpłyniemy. „Napolys” płynie do odległego Królewskiego Portu – to długa podróż, ale to chyba twoje Zachodnie Królestwa, nie? Sądzę, że najszybciej zawiezie cię do domu! Pasuje ci, nie?

Norrec nie zauważył zmiany.

– A co z „Ognistym Jastrzębiem”?

– Sądzę, że odpływa jutro rano, ale ostrzegam. Pewnego dnia nie wróci z Lut Gholein – o ile wcześniej do niego dotrze!

Nogi żołnierza znów zaczęły się ruszać. Zbroja wreszcie dowiedziała się tego, co chciała. Norrec skinął marynarzowi głową.

– Dziękuję.

– Pamiętaj, co powiedziałem! – zawołał marynarz – Najlepiej będzie zaczekać!

Zbroja Bartuca poprowadziła Norreca przez miasto do południowej części portu.

Marynarze i miejscowi przyglądali się mu, gdy przechodził, gdyż osoby o jego wyglądzie nie pojawiały się tu zbyt często. Nikt nie powiedział jednak ani słowa. Mimo małych rozmiarów, port kipiał ruchem. Norrec przypuszczał, że jeszcze lepiej będzie wyglądał w pełnym słońcu, ale nie wiedział, czy będzie miał okazję to zobaczyć.

Gdy wszedł do najbardziej wysuniętej na południe części portu, poczuł się niepewnie.

W przeciwieństwie do tego, co Norrec widział do tej pory, ta strefa wyglądała na zrujnowana.

Tych kilka postaci, które zobaczył, wyglądało równie nieprzyjemnie jak ci głupcy, którzy próbowali go okraść. Co gorsza, jedyny statek w zasięgu wzroku wydawał się być najbardziej odpowiednim dla planowanej przez przeklętą zbroję podróży.

Gdyby jakiś zły duch podniósł z najgłębszych odmętów stary statek, a potem porzucił próby upodobnienia go do czegoś pochodzącego ze świata żywych, wyglądałby on tylko trochę gorzej niż „Ognisty Jastrząb” w tej chwili. Trzy maszty sterczały niczym chude, kościste postacie otulone w całuny żagli. Postać na dziobie, kiedyś zapewne kształtna syrena została tak odmieniona przez żywioły, że przypominała bardziej krzyczącą wodną banshee.

Co do kadłuba, to wyglądał, tak jakby coś dawno temu spaliło drewno niemal do smoły, zaś boki pokrywały głębokie bruzdy. Norrec zastanowił się, czy statek nie brał kiedyś udziału w bitwie morskiej lub, co bardziej prawdopodobne, nie był kiedyś statkiem pirackim.

Nie widział nikogo z załogi, tylko pojedynczą, chudą postać w znoszonym płaszczu, stojącą niedaleko od dziobu. Mimo iż nie był pewny, czy chce płynąć takim statkiem-widmem, Norrec musiał robić to, co kazała mu zbroja. Bez wahania pomaszerowała wraz ze swoim nosicielem po trapie ku wychudzonej postaci.

– Czego chcieć? – Szkielet okazał się być starszym człowiekiem o pergaminowej skórze i zupełnym braku ciała czy kości pod cienką osłonką życia. Jedno oko patrzyło ślepo gdzieś na lewo od Norreca, zaś prawe, nabiegłe krwią, łypało podejrzliwie na przybysza.

– Dostać się do Lut Gholein – odparł Norrec, starając się zakończyć rozmowę tak szybko, jak to było możliwe. Jeśli będzie współpracował, może zbroja władcy da mu trochę swobody.

– W porcie inne statki! – burknął kapitan z akcentem. Pod kapeluszem o szerokim rondzie miał siwe, związane w kucyk włosy. Wyblakły zielony płaszcz, należący kiedyś do oficera marynarki z Zachodniego Wybrzeża musiał przejść przez wiele rąk, nim dotarł do tego człowieka. – Nie ma czasu dla pasażera!

Ignorując jego smrodliwy oddech, Norrec pochylił się ku niemu.

– Dobrze zapłacę.

W zachowaniu kapitana zaszła nagła zmiana.

– De?

Mając nadzieję, że zbroja zachowa się tak samo jak w karczmie, Norrec kontynuował: – Potrzebuję tylko kajuty i jedzenia. Jeśli będę zostawiony w spokoju, tym lepiej. Po prostu zabierz mnie do Lut Gholein.

Trupia postać obejrzała go uważnie.

– Zbroja? – Potarł podbródek – Oficer?

– Tak – Niech sądzi, że Norrec to dezertor. Z pewnością podniesie to cenę, ale kapitan stanie się bardziej ufny. Norrec rzeczywiście musiał

znaleźć się daleko stąd.

Starzec znów potarł swój kościsty podbródek. Norrec zauważył tatuaże, biegnące od cienkiego nadgarstka i znikające w czeluści obszernego rękawa. Podejrzenie, że był to kiedyś statek piracki, zdawało się potwierdzać.

– Dwanaście draklinów! Własne łóżko, nie je z załogą, niewiele z nimi rozmawia! Gdy przybijamy, schodzi natychmiast!

Norrec zgodził się na wszystko, za wyjątkiem ceny. Jak dużo wart był draklin w porównaniu z monetą jego kraju?

Nie musiał się o to martwić. Lewa ręka wyprostowała się, na dłoni leżało kilka monet.

Kapitan spojrzał na nie chciwie i zgarnął je z wyciągniętej ręki. Nadgryzł jedną, by upewnić się co do wartości, po czym schował je do zniszczonej sakiewki przy pasie.

– Chodź! – Przekuśtykał obok Norreca. Po raz pierwszy widać było, że jego lewa noga owinięta jest łupkami sięgającymi aż do buta. Widząc rozległe bandaże i przypomniawszy sobie własne doświadczenia z polową chirurgią, weteran podejrzewał, że bez tych łupków nie mógłby on nawet ustać. Kapitan powinien bardziej zwracać uwagę na swoją nogę: łupki i bandaże wyglądały, jakby zostały założone dawno temu i zapomniane.

Choć nie wiadomo, ile w ojczyźnie Norreca wynosiłoby dwanaście draklinów, rzut oka na kajutę przekonał go, że była to zbyt wygórowana cena. Nawet pokój w gospodzie był przytulniejszy od tego, co tu zobaczył. Kajuta nie była większa od szafy – jedynie przybita do tylnej ściany chwiejna koja udawała, że są tu jakieś udogodnienia. Pościel była poplamiona, brudna i tak sztywna, że wyglądała jakby została wycięta wprost z żagli. Śmierdziało gnijącymi rybami, a rysy na podłodze stanowiły pamiątkę po jakiejś utarczce. W kątach pod sufitem kołysały się w

podmuchach wiatru z otwartych drzwi pajęczyny większe niż głowa Norreca. W kącie przy podłodze rozwijał się jakiś mech.

Wiedząc, że nie ma wyboru, ukrył swój niesmak.

– Dziękuję, kapitanie...

– Casco – Burknęła koścista postać. – Do środka! Jedzenie na dzwon!
Zrozumiano?

– Tak.

Z krótkim kiwnięciem, kapitan Casco zostawił go swoim sprawom. Kierując się jego radą, Norrec zamknął drzwi i usiadł na niezbyt pewnej koi. Ku jego żalowi, kabina nie miała żadnego bulaja, który można by otworzyć i choć trochę przewietrzyć.

Rozciągnął ręce, sprawdził nogi. Za współpracę Norrec uzyskał możliwość swobodnego ruchu, choć nie wiedział, na jak długo. Podejrzewał, że na pokładzie „Ognistego Jastrzębia” zbroja nie spodziewała się kłopotów. Co mógł uczynić Norrec poza skokiem za burtę i utonięciem w morskich odmętach? Choć jego sytuacja była straszna, nie mógł zmusić się do zakończenia życia w tak okropny sposób. Poza tym Norrec wątpił, czy zbroja pozwoli mu na to, przynajmniej do momentu, gdy był jej potrzebny żywy.

Ponieważ zbroja nie powiedziała mu, co ma robić, postanowił pójść spać. Pomimo smrodu – a może właśnie dzięki niemu – Norrecowi udało się zdrzemnąć. Niestety, jego sny znów były niespokojne, przede wszystkim dlatego, że nie był panem samego siebie.

Znów był Bartucem, czerpiąc przyjemność z przerażających czynów, jakich się dopuszczał. Osada, która zbyt długo zastanawiała się, czy przyjąć jego władzę odczuła pełną moc słusznego gniewu: starszyznę i kilku innych wybranych głupców rozciągnięto, poćwiartowano, a potem obdarto ze skóry dla dobra innych. Przyłapany na szpiegowaniu Yizjerei stał się

głównym elementem makabrycznego świecznika, który nie tylko oświetlał kwaterę władcy, ale też przyprawiał o dreszcze jego demoniczne służki. Zabrzmiał dzwon...

... wrywając wdzięcznego Norreca ze snu. Zamrugał, zdając sobie wreszcie sprawę, że spał aż do dzwonu wzywającego na wieczorny posiłek. Choć wątpił, że przypadnie on do gustu jego podniebieniu, był tak głodny, że nie wahał się dłużej. Poza tym nie chciał ryzykować, że zbroja przyzwie impy, aby go nakarmiły. Nie wiadomo, co uznałyby za jadalne...

Otuliwszy się szczelnie płaszczem, żołnierz wyszedł na zewnątrz. Zobaczył kilku zmęczonych, biednie odzianych ludzi kierujących się ku wnętrzu statku. Zakładając, że i oni udają się na posiłek, Norrec poszedł za nimi do dość paskudnie wyglądającej mesy. Były żołnierz stanął w milczeniu w kolejce, aż otrzymał kawałek twardego chleba i danie mięsne, które wyglądało tak, że zatęsknił za menu złodziejskiego karczmarza.

Rzut oka na gburowatych ludzi przekonał Norreca, że najlepiej będzie, jeśli wróci do kabiny. Niosąc swój posiłek przez pokład zatrzymał się na chwilę przy burcie, aby choć przez chwilę odetchnąć względnie świeżym morskim powietrzem.

Jego uwagę zwróciła postać, stojąca w otoczonym przez mgłę doku.

Jedzenie wypadło mu z rąk i rozchlapało się po pokładzie, ale Norrec nawet tego nie zauważył.

Fauztin. Nawet otulony w te szaty, to nie mógł być nikt inny.

Martwe oczy byłego towarzysza wpatrywały się w niego. Nawet z miejsca gdzie stał, mógł dostrzec dziurę w miejscu, gdzie kiedyś było gardło Yizjerei.

– Głupiec! – Wrzasnął za jego plecami Casco – Bałagan! Sam posprząta! Bez pomocy!

Zaskoczony weteran spojrział przez ramię na rozzłoszczonego kapitana, a potem najedzenie na pokładzie. Jego część spadła na czubki butów Bartuca.

– Posprząta! Bez pomocy! Nie dostanie jedzenia w nocy! – Casco odkuśtykał, mruczając w swoim ojczystym języku niewątpliwie coś pogardliwego o zagranicznych diabłach.

Pomimo złości kapitana, Norrec natychmiast zapomniał o upuszczonym jedzeniu, znów patrząc w stronę doku, szukając...

Nikogo. Żadnej patrzącej na niego postaci. Widmowa figura znikła, o ile kiedykolwiek tam stała.

Zrobił krok do tyłu. Ręce mu się trzęsły, nie był w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o przerażającym widoku. Fauztin, martwy, oskarżający swoimi pustymi oczyma...

Wciąż ignorując żądanie kapitana Casco, Norrec pognął do swojej kajuty, zamknął dokładnie drzwi i nie odważył się odetchnąć, dopóki znów nie usiadł na koi.

Przegrał walkę. Duch czarodzieja był tego wyraźnym znakiem. Norrec przegrał walkę o swoje zdrowe zmysły. Koszmary, przez jakie kazała mu przejść przekłeta zbroja zniszczyła ostatnie bariery chroniące umysł weterana. Teraz z pewnością stoczy się po spirali w dół, aż do kompletnego szaleństwa. Teraz z pewnością nie ma szans na ratunek.

Teraz z pewnością dziedzictwo Bartuca zażąda nie tylko jego ciała, ale także i duszy.



Wyczerpana Kara Nocny Cień z pewnym niesmakiem oglądała małe portowe miasto.

Przyzwyczajona do piękna dżungli i kultywowanych ścieżek swej tradycji, uznała, że port Gea Kuł śmierdzi zbyt wieloma niemytymi ciałami i zbytym przywiązaniem do rzeczy materialnych. Będąc nekromantką,

Kara uważała, że świat to równowaga między działaniami życia i tym, co dzieje się po śmierci. Wierzyła, że oba te aspekty muszą być odpowiednio traktowane z taką godnością, jaką tylko posiadała dusza. To, co widziała w ciągu ostatnich kilku minut wskazywało na bardzo małą godność.

Dotarcie tu tak szybko kosztowało wiele wysiłku, który wyczerpał ją fizycznie, psychicznie, a także magicznie. Kara bardzo pragnęła przespać się trochę, ale przybyła tu z powodów, które sama niezbyt dobrze rozumiała. Musiała przynajmniej rozejrzeć się po okolicy w poszukiwaniu jakichś odpowiedzi.

Gdy straciła nie tylko zbroję władcy, ale też swój cenny sztylet i dwa ciała, młoda nekromantką wykorzystała swoją wiedzę, aby odnaleźć wszystko naraz – a to bezbłędnie doprowadziło ją do tego miejsca. Nie wiedziała, co port mógł mieć z tym wszystkim wspólnego, ale na pewno nie rokowało to dobrze. Żałowała, że nie mogła się porozumieć z nauczycielami, ale czas był najważniejszy, a ona została wyszkolona, aby w jak największym stopniu polegać na sobie. Odkładanie pościgu oznaczało, że wraz z upływem czasu wszystko stanie się trudniejsze do wytropienia. Na to nie mogła sobie pozwolić. Jeśli złodzieje zamierzali wywieźć zbroję morzem, musiała ich powstrzymać teraz.

A jeśli chodzi o rewenantów... nie miała pojęcia, co zrobić z tą dziwną parą. Działali w sposób, o którym nikt jej nie uczył.

Ignorując niemiłe spojrzenia, jakimi obdarzali ją marynarze, Kara skierowała się do pierwszej tawerny, jaką znalazła. Odziana w czerń czarodziejka potrzebowała jedzenia, poza tym liczyła na uzyskanie kilku pożytecznych informacji. Ci, którzy przewozili zbroję Bartuca, z pewnością chcieli coś wypić i zjeść po tak męczącej podróży.

„Kapitański Stół”, bo tak nazywała się tawema, okazała się wyglądać od wewnątrz nieco lepiej, niż się spodziewała. Choć budynek sprawiał

wrażenie starego i podniszczonego, siwy, postawny mężczyzna utrzymywał go w porządku i czystości. Kara od razu domyśliła się, że kiedyś był oficerem w marynarce, sądząc z wyglądu, zapewne w jakiejś bogatej flocie z Zachodnich Królestw. Gigantyczny mężczyzna z bokobrodami, choć przez większość czasu był serdeczny, nie uniknął kłótni z pewnym klientem, który uznał, że może odejść bez płacenia. Mimo podeszłego wieku, karczmarz z łatwością poradził sobie z młodszym od niego marynarzem, nie tylko egzekwując od niego należność, ale też wyrzucając winowajcę w błoto i mgłę.

Wycierając dłonie o fartuch, właściciel zauważył nowo przybyłego gościa.

– Dobry wieczór panience! – Mimo tuszy ukłonił się z gracją. Jej widok rozjaśnił mu twarz. – Kapitan Hanos Jeronnan, sługa uniżony! To zaszczyt dla mojej skromnej tawerny!

Nienawykła do tak otwartego okazywania uczuć, Kara w pierwszej chwili nie odpowiedziała. Jednak kapitan Jeronnan, orientując się, że ją speszył, cierpliwie czekał, aż odpowie.

– Dziękuję, kapitanie – odpowiedziała wreszcie. – Potrzebuję czegoś do jedzenia i, jeśli masz chwilę czasu, odpowiedzi na kilka pytań!

– Dla ciebie, kochaniutka, na pewno znajdę czas! Odszedł, mruczając coś do siebie.

Kara poczuła, że się czerwieni. Kapitan Jeronnan z pewnością nie miał niczego złego na myśli, ale żaden, nawet najbardziej intensywny trening nie nauczył jej, jak przyjmować komplementy na temat swojej urody. Wiedziała, że dla kilku swoich pobratymców wyglądała atrakcyjnie, ale kapłani Rathmy traktowali te rzeczy tak samo formalnie, jak wszystko inne.

Usiadłszy przy bocznym stole, Kara przyjrzała się innym gościom. Większość przysłała tu, aby zjeść i się napić, ale kilku miało co innego do

załatwienia. Widziała kobietę w krzykliwym stroju nachylającą się ku marynarzowi – jej oferta nie wymagała zbyt wielu słów. Po jej prawicy dwóch mężczyzn omawiało jakieś sprawy w języku, którego nekromantka nie rozumiała. Było też kilku mężczyzn, którzy patrzyli na nią z większym zainteresowaniem niż kapitan Jeronnan, ale bez takiego taktu. Jeden, który okazywał, jak dla niej, zbyt duże zainteresowanie otrzymał mroźne spojrzenie jej srebrnych oczu. Było ono na tyle nieprzyjemne, że szybko odwrócił się, chowając głowę w drinku i wyraźnie drżąc przez kilka sekund.

Karczmarz wrócił z talerzem pieczonej ryby i jakimiś mor- 'J skimi warzywami

Postawił go wraz kubkiem przed nekromantką.

– W kubku jest cydr. To najłagodniejszy napitek, jaki tu mam, panienko.

Kara zamierzała mu powiedzieć coś o mocnych ziołowych (l wywarach, jakie wynaleźli kapłani Rathmy, ale zdecydowała się przyjąć słaby napitek. Spojrzała na rybę – przyprawy nadawały jej niezwykle zapach. Oczywiście, w tym momencie Kara byłaby gotowa zjeść ją prosto z morza. Było jej jednak miło, że znalazła tu aż tak cywilizowane miejsce.

– Ile płacę?

– Twoje towarzystwo jest najlepszą zapłatą. Nastroszyła się, myśląc o kobiecie sprzedającej swoje wdzięki marynarzowi. – Ależ nie jestem... Karczmarz wyglądał na zasmuconego.

– Nie, nie! Po prostu nie mam tu zbyt wielu tak miłych gości! Chciałem przysiąc się i odpowiedzieć na twoje pytania! Nie chciałem powiedzieć nic obraźliwego... – Jeronnan pochylił się i szeptem dodał:

– I dobrze wiem, że nie należy narzucać się komuś, kto podąża ścieżką Rathmy!

– Wiesz, kim jestem, a mimo to wciąż chcesz ze mną siedzieć?

– Panienko, żeglowałem po wszystkich morzach i całym Wielkim Oceanie. Widziałem wiele magii, ale najbardziej godnymi zaufania magami byli wyznawcy Rathmy...

Nagrodziła go lekkim uśmiechem, który jeszcze bardziej zarumienił jego i tak już rumiane policzki.

– Jesteś zatem człowiekiem, któremu mogę zaufać. Kapitan odsunął się od niej.

– Dopiero wtedy, gdy spróbujesz moich specjałów i wyrazisz swoją opinię.

Kara przecięła rybę, spróbowała kawałek. Natychmiast odcięła następny, zjadając go równie szybko jak pierwszy. Jeronnan promieniował radością.

– Czy to ci smakuje?

Naprawdę smakowało. Dżungle wschodu miały wiele różnych zapachów i smaków, ale nekromantka nigdy nie jadła czegoś takiego, jak ta ryba. W czasie krótszym niż się spodziewała zjadła większość dania i wreszcie zaczęła czuć się sobą.

Kapitan Jeronnan przeprosił i poszedł obsługiwać innych gości. Nim skończyła, pozostało tylko dwóch – para surowych żeglarzy wyraźnie zbyt zmęczonych, aby robić cokolwiek poza piastowaniem swojego jedzenia i piwa. Karczmarz usiadł naprzeciw niej i czekał.

– Nazywam się Kara Nocny Cień – zaczęła – Wiesz, kim jestem.

– Tak, ale nigdy nie widziałem kogoś, kto wyglądał tak jak ty.

Kara ciągnęła dalej, nie dając się rozproszyć komplementami.

– Kapitanie, czy zauważyłeś kogoś nietypowego? Zachichotał.

– W Gea Kuł? Niezwykłym byłoby zobaczyć tu kogoś typowego!

– A może... może człowiek podróżujący ze zbroją na grzbiecie zwierzęcia?

- Nekromantka zamilkła, aby zastanowić się nad innymi możliwościami.
- Albo mężczyznę w zbroi?
 - Mamy tu kilku żołnierzy. Nic niezwykłego.
 - W szkarłatnej płytówce? Brew Jeronnana zmarszczyła się.
 - Przypomniałbym to sobie... ale nie. Nikogo.

To była rozpaczliwa taktyka. Kara chciała zadać jedno, bardzo szczególne pytanie, ale obawiała się, że jeśli to zrobi, i zachowanie kapitana może ulec zmianie. Mógł znać takich jak ona, ale niektóre sprawy były za mroczne nawet jak dla niego. Na pewno zaliczały się do nich żywe trupy.

Kara już chciała pójść innym torem, ale to, co wyszło z jej ust, przypominało raczej długie ziewnięcie niż artykułowane, słowa.

Jej towarzysz przyjrzał się uważnie.

– Wybacz, że jestem dosadny, panienko, ale wyglądasz chyba bardziej blado niż zwykle. Sądzę, że powinnaś porządnie wypocząć.

Próbowała wybić mu to z głowy, ale znów ziewnęła.

– Może masz rację.

– Mam kilka wolnych pokoi. Dla ciebie za darmo – i bez żadnych oczekiwań, jeśli się o to boisz.

– Zapłacę. – Kara wygrzebała kilka monet z sakiewki. – Czy to wystarczy?

Zwrócił jej większość monet.

– Wystarczy... i nie pokazuj tych monet. Nie wszyscy są tak mili jak ja!

Nekromantka ledwo mogła się poruszyć. Jej nogi były ciężkie jak ołów. Zaklęcie, którego użyła, aby tu dotrzeć kosztowało ciemnowłosą czarodziejkę zbyt wiele wysiłku.

– Jeśli pozwolisz, udam się tam od razu.

– Daj mi kilka minut. Obawiam się, że przy tej pomocy, jaką zatrudniam, może być jeszcze niegotowy. Zostań tu: wkrótce powrócę!

Odszedł, nim zdążyła zaprotestować. Kara wyprostowała się, usiłując zachować przytomność. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że zarówno czar, jak i własny wysiłek mocno ją wyczerpał, to zmęczenie wydawało się większe niż powinno. To kazało jej sądzić, że...

Wstała, chcąc skierować się ku drzwiom. Być może Kara źle osądziła kapitana Hanosa Jeronnana. Może jego wytworne maniery skrywały coś innego.

Świadoma tego, że jej myśli mogą być zbyt zamglone, nekromantka ruszyła w stronę drzwi, nie zważając na to, co mogą sobie pomyśleć dwaj siedzący w kącie żeglarze. Jeśli wydostanie się na zewnątrz, być może uda się jej na tyle oczyścić umysł, aby się zastanowić.

Tak, po tych wszystkich duszących zapachach portu morskie powietrze na pewno pomoże jej odzyskać równowagę.

Jej nogi stały się tak miękkie, że Kara niemal wypadła przez drzwi. Natychmiast nabrała powietrza. Uczucie ociężałości częściowo znikło, przynajmniej na tyle, aby mogła zorientować się w otoczeniu, lecz dla czarnowłosej czarodziejki to było za mało. Dopóki nie odzyska pełnej jasności umysłu nie mogła zdecydować, co robi z karczmarzem.

Jeszcze raz nabrała haust powietrza, a gdy w jej głowie przejaśniło się jeszcze trochę, poczuła nagły niepokój.

Podniosła głowę i zobaczyła postać w znoszonym płaszczu, stojącą zaledwie o kilka stóp od niej. Twarz miała osłoniętą kapturem, ale spojrzawszy niżej Kara mogła dostrzec wychylającą się, bladą dłoń. Postać trzymała w niej sztylet, który połyskiwał nawet w mgle i ciemności nocy.

Sztylet z kości słoniowej.

Sztylet Kary.

Druga blada ręka powoli zsunęła kaptur, odsłaniając twarz, którą nekromantka już raz widziała. Yizjerei z grobowca Bartuca.

Yizjerei, któremu wydarto gardło.

– Twoje zaklęcie... powinno lepiej... na nią zadziałać – zaskrzypiał głos z za jej pleców.

Kara usiłowała się odwrócić, ale ciało wciąż poruszało się zbyt wolno. W tej samej chwili zrozumiała, że cały trening i wszystkie znane czary nie pomogły jej w zauważeniu nie jednego napastnika, ale dwóch.

Druga blada twarz uśmiechnęła się ponuro. Głowa mężczyzny była lekko przechylona na bok, jakby niedokładnie przylegała do ciała.

Drugie ciało z grobowca. Żyłasty mężczyzna ze skrzyconym karkiem.

– Nie dałaś nam... wyboru.

Jego ręka uniosła się, trzymał w niej inny sztylet, ale za ostrze. Nim dotarło to do jej ospałego mózgu, ręka opadła.

Cios trafił Karę Nocny Cień w skroń. Zakręciła się w miejscu i z pewnością rozbiłaby sobie głowę o kamienie, gdyby ghul, który jąuderzył, nie chwycił jej w ramiona.

Zadziwiająco delikatnie położył ogłuszoną kobietę na ziemi.

– Naprawdę... nie dałaś nam... wyboru.

A potem nastąpiła ciemność.

SZEŚĆ



Norrec nie opuścił swej kajuty aż do śniadania. Nikt z nim nie rozmawiał, a zwłaszcza kapitan Casco, który nie mógł mu wybaczyć faktu, iż pasażer zostawił bałagan na pokładzie.

W nocy przewracał się gwałtownie, nie tylko nawiedzany przez sny o chwale Bartuca, ale także przez przerażające obrazy ducha Fauztina, który przybył, aby się zemścić. Dopóki „Ognisty Jastrząb” nie postawił żagli, weteran nie mógł się uspokoić. Na morzu duchy z pewnością nie będą go ścigać. Gdy tylko statek wypłynął na wzburzone wody, Norrecowi wydawało się jasne, że coś mu się przywidziało, a osoba, którą wziął za Fauztina była po prostu innym Yizjerei – w końcu port leżał niedaleko wschodniego wybrzeża albo zupełnym złudzeniem.

To ostatnie wydawało mu się coraz bardziej prawdopodobne. W końcu Norrec był fizycznie i psychicznie rozdarty przez żądania przeklętej zbroi. Wciąż tkwiły w nim wspomnienia nie tylko z: grobowca, ale również rzezi, jakiej dokonał w karczmie. Do tego zbroja władcy wycisnęła zeń ostatnie krople potu, każąc mu maszerować bez odpoczynku po trudnym terenie w tempie, które zabiłoby wielu ludzi. Gdyby nie fakt, że tyDco część wysiłku była wykonana przez niego, Norrec podejrzewał, że zginąłby w drodze.

Gdy „Ognisty Jastrząb” wypłynął na głębokie wody, fale stały się większe. Z każdym skrzypnięciem kadłuba Norrec coraz bardziej nabierał przekonania, że w pewnej chwili morze strzaska okręt jak szczapkę. Jednak w jakiś sposób „Ognisty Jastrząb” płynął dalej, przeskakując z jednej fali na drugą. Mimo nieciekawego wyglądu, kapitan Casco i jego załoga całkiem

sprawnie kierowali statkiem. Wspinali się po linach, pędzili po pokładzie, przygotowując statek do spotkania z żywiołami.

Tym, z czym nie mogli sobie poradzić, był sztorm. Uderzył po kilku godzinach – niebo stało się czarne, zajaśniały błyskawice. Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej, przyginając maszty i próbując porwać żagle. Norrec, który w końcu zdecydował się wyjść z kabiny, musiał chwycić się burty, gdy morze zaczęło miotać okrętem na boki.

– Na sterburtę! – zawołał Casco z pokładu – Na sterburtę!

Człowiek przy sterze starał się wykonać polecenie, a wiatr i woda próbowały mu w tym przeszkodzić. Drugi marynarz ruszył mu na pomoc – razem, z trudem udało im się przekręcić koło sterowe.

W końcu rozpadał się deszcz, a właściwie ulewa, która skłoniła Norreca do powrotu do kabiny. Nie dość, że nie znał się na żeglowaniu, to będąc zakuty w zbroję, ryzykował życiem za każdym razem, gdy zbliżał się do burty. Wystarczyłaby jedna duża fala, aby zmyć go z pokładu.

Brudna latarnia huśtała się wściekle pod sufitem, oświetlając całą kajutę. Norrec usiadł w kącie koi i starał się myśleć. Nie porzucił jeszcze nadziei na uwolnienie się od zbroi, ale nie miał pomysłu, jak to zrobić. Potrzebna byłaby potężna moc, a on nie znał nikogo, kto by nią dysponował. Gdyby tylko mógł zapytać Fauztina...

Wspomnienie tego, co wydawało mu się, że zobaczył w doku, uderzyło go z całą siłą, przyprawiając o dreszcze. Najlepiej byłoby zapomnieć o Fauztinie... i o Sadunie też. Obaj nie żyli.

Nadeszła noc, a sztorm się nie uspokoił. Norrec zmusił się, aby pójść do mesy. Po raz pierwszy zobaczył tam, że kilka osób spośród załogi przygląda mu się nie tylko z niechęcią i pogardą. Teraz ich twarze były również wrogie, wrogie i nieco przestraszone. Norrec nie wątpił, że miało to związek ze zbroją. Zastanawiali się pewnie, kim jest. Zbroja sugerowała, że

jest kimś ważnym, jakimś dowódcą. Dlaczego ktoś taki jak on podróżował na takiej krypie jak „Ognisty Jastrząb”?

Znów zaniósł posiłek do kajuty, chcąc przebywać w samotności. Tym razem posiłek wydawał się bardziej jadalny albo poprzednie wypaliły mu do tego stopnia język. Norrec zjadł, po czym położył się spać. Nie starał się usnąć, gdyż czekały go koszmary o Bartucu lub o tym, co zdarzyło się w grobowcu. Jednak zmęczenie wzięło górę, a tak doświadczony weteran jak Norrec Yizharan wiedział, że nie należy z nim walczyć. Nawet gwałtowne podskoki „Ognistego Jastrzębia” nie przeszkodziły mu w zamknięciu oczu...

– Milo by było... odpocząć – Usłyszał skrzypiący, ale wciąż znajomy głos – Lecz, jak to mówią... zły nie zazna spoczynku, co?

Norrec poderwał się na równe nogi z szeroko otwartymi oczyma. Płomyk latarni ledwo pełgał, ale nawet ta niewielka ilość światła pozwoliła mu dostrzec, że w kajucie nie było nikogo.

– Cholera! – Następny koszmar. Patrząc na latarnię Norrec zorientował się, że musiał zasnąć, nie zdając sobie z tego sprawy. Głos siedział w jego głowie, nigdzie indziej. Głos martwego towarzysza...

Głos Saduna.

Uderzył piorun. „Ognisty Jastrząb” zatrzęsł się. Norrec chwycił bok koi, potem próbował wdrapać się na nią z powrotem.

– Powinieneś...posłuchaćFauztina... Norrec. Teraz... może być za późno.

Zamarł, jego wzrok obrócił się w stronę drzwi.

– Chodź do nas, przyjacielu... chodź do Fauztina... i do mnie.

Norrec wyprostował się.

– Sadun?

Brak odpowiedzi, ale kilka desek przed drzwiami kajuty zatrzeszczało, jakby ktoś po nich szedł, a potem zatrzymał się przed jego drzwiami.

– Jest tam kto?

„Ognisty Jastrząb” zanurkował, omal nie posyłając go na podłogę. Norrec rozpląszczył się pod ścianą, nie spuszczać drzwi z oka. Czyżby wyobrażał sobie skrzypiący, z trudem wychodzący z gardła głos Trysta?

Dni, które upłynęły od czasu koszmaru w grobowcu, wystawiały na próbę nerwy weterana znacznie częściej niż jakakolwiek bitwa, ale coś wewnątrz Norreca kazało mu podejść do drzwi. Gdy je otworzy, najprawdopodobniej po drugiej stronie nie ujrzy nikogo.

Nie będzie tam Saduna i Yizjerei, czekających grzecznie na przyjaciela, który tak okrutnie ich zamordował. Takie rzeczy zdarzają się tylko w opowieściach, snutyh nocami przy ognisku.

Takie rzeczy jak zbroja, którą nosił Norrec, również istniały tylko w opowieściach. Znów zatrzeszczały deski. Norrec zacisnął zęby, sięgnął do klamki...

Odziana w rękawicę dłoń nagle przekręciła się i zaczęła świecić na czerwono.

Norrec cofnął dłoń, przyglądając się, jak gaśnie. Wyciągnął ją jeszcze raz, ale tym razem nic się nie stało. Zbierając się w sobie, Norrec nacisnął klamkę, gwałtownie otworzył drzwi...

Uderzyły w niego deszcz i wiatr, ale za drzwiami nie stał żaden przerażający cień z kościstym palcem wyciągniętym w geście potępienia.

Otuliwszy się w płaszcz, Norrec wyszedł na zewnątrz. Natychmiast rozejrzał się dokładnie – wpierw na lewo, potem na prawo. Na dziobie widział marynarzy usiłujących utrzymać żagle, ale nie dostrzegł śladu jakiegokolwiek zjawy.

Ciężkie uderzenia stóp sprawiły, że znów spojrzał w stronę rufy. Zobaczył jednego z ludzi Casco biegnącego w stronę dziobu. Marynarz minąłby Norreca, ale ten zatrzymał go.

Ignorując wściekłe spojrzenie, krzyknął:

– Widziałeś tu kogoś? Czy ktoś stał przed drzwiami mojej kajuty?

Marynarz zagadał coś w swoim języku, po czym uciekł od Norreca, jakby był trędowaty. Norrec popatrzył na niego, jak biegnie, po czym spojrzał na burtę. Znow w jego głowie pojawiła się śmieszna myśl, by podejść do krawędzi i spojrzeć w dół.

Fale uderzały w stary kadłub „Ognistego Jastrzębia”. Wydawało się, że starają się ze wszystkich sił przedrzeć przez drewno i posłać okręt wraz z załogą wprost w głębinę. Morze burzyło się gwałtownie, czasem sięgając tak wysoko, że Norrec nie był w stanie dostrzec nieba.

Nie widział śladu niespodziewanego gościa. Żaden żądny zemsty ghul nie wspinał się po burcie statku. Nie wybaczące cienie Saduna Trysta i Fauztina nie stały za drzwiami kajuty. Tak jak przypuszczał, wyobraził je sobie.

– Ty! Co tu robisz? Do środka! Do środka! – Kulejąca postać kapitana Casco podeszła do Norreca od strony dziobu. Casco wydawał się być wściekły, że jego pasażer rozsierdził żywioły. Norrec wątpił, czy miało to jakiś związek z troską o dobre samopoczucie weterana.

Podobnie jak w przypadku reszty załogi, z pełnych wściekłości słów Casco przebijał strach.

– Co się dzieje? Coś się stało?

– Stało? – warknął żeglarz o wyglądzie trupa – Stało? Nic się nie stało!

Sztorm panuje!

Ty głupi?

Powstrzymawszy się od odpowiedzi „tak”, Norrec starał się nie kłócić z kapitanem. Pod okiem kalekiego żeglarza Norrec wrócił do kajuty, zamykając drzwi tuż przed nosem ponurego człowieka. Po chwili usłyszał, jak tamten odchodzi.

Choć myśl o ponownym zaśnieciu niezbyt mu się uśmiechała, mimo to spróbował. Pytania szalały w jego głowie, ale tylko na jedno z nich weteran nie potrafił odpowiedzieć. Dotyczyło ono szkarłatnej rękawicy i tego, czemu zaczęła świecić tuż przed tym, jak usiłował wyjść. Gdyby na zewnątrz nie czyhało nań żadne niebezpieczeństwo, dlaczego zbroja ostrzegła go? Owszem, nie przejęła nad nim kontroli, ale jej działania zawsze miały jakiś cel...

Norrec zasnął, wciąż zastanawiając się nad reakcją zbroi. Nie obudził się aż do chwili, gdy uderzenie pioruna zatrzęsło kajutą i nieomal wyrzuciło go z rozpadającej się koi.

Zdezorientowany żołnierz bezskutecznie usiłował obliczyć, jak długo spał. Sztorm nie osłabł, co oznaczało, że przespał zaledwie kilka godzin. Żaden ze sztormów, które przeżył, nie trwał dłużej niż dzień, choć podejrzewał, że na pełnym morzu może to wyglądać inaczej.

Choć ręce i nogi miał sztywne, Norrec wyprostował się, a potem próbował wrócić do swego legowiska.

Długi, trzeszczący dźwięk niepodobny do uderzenia pioruna znów podniósł go na nogi. Poznał go, mimo że nie słyszał go zbyt często. Był to odgłos pękającego drewna.

Na statku tkwiącym w środku sztormu mogło to oznaczać zagładę dla wszystkich.

Norrec wyprysnął z kabiny, kierując się w stronę dziobu. Krzyki mówiły mu, że załoga zмага się ze wszelkimi niebezpieczeństwami, jakie tylko mogą im zagrażać. On jednak wiedział, jak trudne będzie ich zadanie, jeśli to, czego się obawiał, naprawdę się zdarzyło. Niedobrze, jeśli statek został uszkodzony, ale naprawiać go w tym chaosie...

Chwilę potem potwierdziły się jego najgorsze obawy. Tuż przed nim kilku marynarzy usiłowało powstrzymać maszt przed złamaniem się w

połowie. Trzymali liny, starając się utnywać górną część na miejscu, podczas gdy reszta starała się wzmocnić uszkodzone miejsce deszczułkami, gwoździami i dużą ilością lin. Norrec widział jednak, że ich walka stała się daremna. Maszt coraz bardziej się przechylał, a kiedy padnie, rychło padną pozostałe.

Chciał coś zrobić, ale żadna ze znanych mu umiejętności nie pomogłaby znacznie bardziej doświadczonym marynarzom. Noirec popatrzył na swoje rękawice, szkarłatny kolor sprawiał, że wyglądały na tak potężne, tak pełne siły. Lecz cała olbrzymia moc dziedzictwa Bartuca teraz nie mogła mu pomóc.

Ta myśl znikła, gdy wokół każdej dłoni pojawiła się nagle błękitna poświata.

Norrec zorientował się nagle, że idzie do przodu, a zbroja znów kieruje jego ruchami.

Przynajmniej raz weteran nie stawiał oporu, pewien intencji, choć nie środków. Zbroja chciała dotrzeć do odległego miejsca przeznaczenia, a tak się nie stanie, jeśli Norrec utonie w morskich odmętach. Musiała działać, choćby dla ocalenia jego życia.

– Z dala! Z dala! – krzyczał kapitan Casco, pewny, że jego niezdarny pasażer tylko pogorszy sytuację. Norrec przeszedł obok niego, nieomal przewracając kulawego żeglarza.

Maszt trzeszczał złowieszczo – był to wyraźny znak, że za kilka sekund zwali się na sąsiedni. Norrec wziął głęboki wdech, niecierpliwie czekając na działanie zbroi.

– Kesral Qezal irakus!

Błyskawice punktowały każde słowo, które padło z ust żołnierza, ale Norrec nie zwracał na to uwagi. Tym, co zauważył, i co z pewnością zobaczyli także inni, było kilka migoczących, zielonych postaci, które nagle

otoczyły, a nawet przywarły do zrujnowanego masztu. Silne, smukłe ramiona kończyły się palcami z przyssawkami, a tam, gdzie powinny być nogi, stwory miały ciało podobne do ciał gigantycznych robaków. Potwory syczały i pełzały, zaś ich widziane częściowo twarze przywodziły na myśl obraz jakiegoś szalonego artysty, który postanowił pomalować nietoperze pyski w makijaż clowna.

Żeglarze uciekli w panice, puszczając liny i drewno. Maszt zaczął się przechylać...

Połykująca horda postawiła go do pionu. Podczas gdy kilka stworów utrzymywało go w takiej pozycji, pozostałe zaczęły krążyć wokół podstawy masztu. Pozostawiały za sobą na deskach pokładu smugi śluzu. Początkowo Norrec nie miał zielonego pojęcia, po co to robią.

Później zauważył, że śluz prawie natychmiast twardnieje, wzmacniając i stabilizując maszt.

Stwory wciąż wirowały w szalonym wyścigu, który nie miał mety. Ich towarzysze, którzy nie mieli już nic do roboty, obserwowali ich i syczeli, zachęcając w ten sposób krążących na dole.

– Kesra! Qezal ranakka!

Demony szybko zeszły z masztu i zebrały się w grupę. Norrec oderwał od nich wzrok i spojrzał na wykonaną robotę. Mimo sztormu maszt stał tak, jakby owiewała go tylko lekka bryza. Nie tylko naprawiły go, ale też wzmocniły do tego stopnia, że nie zdziwiłby się, gdyby zniósł tę podróż lepiej niż pozostałe dwa.

Zbroja machnęła ręką na demony, jakby i ona była zadowolona. Światło, tak silne, że Norrec musiał zasłonić sobie oczy, otuliło całą grupę. Ich syczenie stało się coraz głośniejsze, ostrzejsze, aż światło zgasło z dźwiękiem przypominającym westchnienie. Po demonach i wydzielanym przez nie śluzie nie zostało nawet śladu.

Sztorm szalał dalej, rzucając „Ognistym Jastrzębiem”, jakby nic się nie wydarzyło.

Jednak mimo ciągłego zagrożenia załoga nie kwapiła się z powrotem na stanowiska, uległszy dopiero krzykom kapitana. Marynarze przechodzący obok Norreca omijali go szerokim łukiem, ze strachem wyraźnie malującym się na twarzach. Choć ich życie zostało uratowane dzięki wezwaniu demonów, świadomość, że płyną z kimś potrafiącym im rozkazywać, najwyraźniej wstrząsnęła nimi do głębi.

Jednak Norrec nie zwracał na to uwagi, gdyż nogi miał tak zmęczone, iż obawiał się, że się przewróci. Choć to zbroja rzuciła czar, nagle poczuł się tak, jakby odbudował maszt własnymi rękoma. Norrec czekał, aż zbroja zaprowadzi go do kajuty, ale teraz, kiedy zagrożenie już minęło, najwyraźniej pozostawiła mu wolną rękę.

Gdy odwrócił się i zszedł z pokładu, metalowa zbroja ważyła chyba z tysiąc funtów.

Norrec czuł na sobie nieprzyjemne spojrzenia załogi „Ognistego Jastrzębia”. Bez wątpienia wkrótce zapomną o tym, że zawdzięczają mu życie i zaczną się zastanawiać, co to znaczy mieć władcę demonów na pokładzie. Strach łatwo zamieniał się w przemoc...

Jednak mimo tej świadomości Norrec pragnął tylko położyć się na łóżku. Niczego nie potrzebował tak bardzo, jak snu. Tym razem nawet sztorm go nie obudzi. Rano zrobi co może, aby wyjaśnić to, co zaszło.

Norrec miał tylko nadzieję, że w międzyczasie nikt z załogi nie zrobi czegoś głupiego... i fatalnego w skutkach.



Ciemność. Ciepła, przyjazna ciemność.

Kara mościła się w niej, zakopała, było jej tak dobrze, że przez długi czas w ogóle nie chciała jej opuścić. Nadeszła jednak chwila, gdy coś – niemiłe

uczucie, podobne do przecucia – zmusiło ją do obrócenia się, przekręcenia... i próbę przebudzenia.

Usłyszała też głos.

– Kara! Dziewczyno! Gdzie jesteś?

Głos był znajomy, jednym z tych, które wyciągały ją z zapomnienia. Gdy próbowała się obudzić, Karze Nocnemu Cieniowi pomogła jej własna wola. Ta ciemność, ta nicość więziła ją. Wygoda, jaką oferowały, była duszącym, wiecznym snem.

– Kara!

Nie była już wygodna. Teraz drapała, niszczyła, przypominała raczej trumnę niż wygodne łóżko...

– Kara!

Oczy nekromantki otworzyły się.

Stała uwięziona w drewnianym grobie, a jej członki wydawały się zamrożone.

Gdzieś zaszczekał pies. Nekromantka zamruwała, próbowała wyteńczyć wzrok. Kilka promyków słabego światła pozwoliło jej lepiej zrozumieć, co się z nią stało. Drewno ściśle otaczało ją ze wszystkich stron, wydrążone drzewo bez większych dziur. Jednak w jakiś sposób została tu umieszczona, zapieczetowana... aby umrzeć?

Dopadła ją klaustrofobia. Kara usiłowała poruszyć rękami, ale nie mogła. Zostały przymocowane do boków i owinięte przez rośliny rosnące w wydrążonym drzewie. Co gorsza, jej usta zaklejał mech. Próbowała wydać jakiś dźwięk, ale zrozumiała, że stłumiony przez mech i pień nie zostanie usłyszany na zewnątrz.

Szczekało coraz więcej psów, tym razem bliżej. Skupiła się na głosie, głosie kapitana Jeronnana, wołającym jej imię.

– Kara! Dziewczyno! Słyszysz mnie?

Jej nogi również nie mogły się ruszyć, zapewne z tych samych powodów jak ręce.

Fizycznie Kara była zupełnie bezradna.

Klaustrofobia narastała. Choć większość swojego krótkiego życia nekromantka spędziła w odosobnieniu, zawsze miała swobodę ruchu, wolność wyboru. Ghule, które ją zaatakowały, pozbawiły jej obu tych rzeczy. Ciemnowłosa czarodziejka nie wiedziała, czemu nie zabiły jej od razu. Jeśli szybko

stąd nie wyjdzie, śmierć będzie równie pewna... i to w znacznie okrutniejszy sposób.

Ta myśl oraz narastające przekonanie, że pień napiera na nią ze wszystkich stron, zdopingowała Karę tak, jak nie potrafił żaden z nauczycieli. Chciała uciec, być wolna, nie cierpieć głodowych mąk...

Teraz, gdy była związana i zakneblowana, nie mógł uratować jej żaden wyszukany czar. Emocje, które wyznawcy Rathmy zwykle trzymali na uwięzi, nagle wybuchły, domagając się ujścia. Kara patrzyła na drewno przed sobą, uważając je za swoje nemezis, za swój grób.

Nie umrze w ten sposób, nie z powodu złej magii nieumarłego czarownika...

Nie umrze w ten sposób...

We wnętrzu drzewa zrobiło się goręcej, coraz bardziej duszno. Nekromantka spływała potem. Rośliny zdawały się zaciskać wokół jej kończyn.

Nie umrze...

Jej srebrne oczy rozbliły jasno... jaśniej...

Drzewo eksplodowało.

Kawałki drewna poleciały na wszystkie strony, bombardując otoczenie. Kara usłyszała dobiegający skądś ludzki głos i szczekanie psów.

Nekromantka wypadła z drzewa, jej ręce i nogi nie były już dłużej związane. Instynktowne wyciągnięcie rąk przed siebie uratowało ją przed uderzeniem głową o ziemię, ale nie zapobiegło szarpnięciu, gdy upadła, zamroczona na chwilę.

Niewyraźnie słyszała głosy, które zdawały się przybliżyć. Jakaś bestia obwąchiwała ziemię wokół jej głowy, zimny nos przez chwilę otarł się o ucho. Usłyszała polecenie, a potem poczuła silne, lecz delikatne dłonie dotykające jej ramion.

– Kara! Co się, na Morską Wiedźmę, z tobą działo?

– Jeron... – Udało się jej wymamrotać. Ten wysiłek omal znów nie pozbawił jej świadomości.

– Spokojnie! Tutaj, głupcze! Weź smycze, podniosę ją!

– Tak jest, kapitanie!

Kara prawie nie pamiętała podróży do Gea Kuł za wyjątkiem chwili, gdy niosący ją na rękach karczmarz skłął jednego ze swoich ludzi za to, że psy prawie go przewróciły. Traciła przytomność i ją odzyskiwała, przypominając sobie spotkanie z nieumarłymi. Coś w ich zachowaniu niepokoiło ją bardziej, niż to sobie wyobrażała.

Nawet w obecnym stanie zadziwiło Karę, że byli oni niewykrywalni dla jej zmysłów, bawili się z nią, a nie odwrotnie. To nekromanci manipulowali mocami życia i śmierci, a nie ci, co umarli. Tymczasem Vizjerei i jego uśmiechnięty kolega podeszli ją, jakby była nowicjuską pierwszego roku. Jak? A dokładniej: dlaczego w ogóle chodzili po świecie?

Odpowiedź miała związek z jej wcześniejszymi błędami, jakich dopuściła się w grobowcu. W jakiś sposób, mimo że podczas swojego szkolenia nigdy nie słyszała o tak zadziwiających przypadkach, zjawa zyskała pełną kontrolę nad ciałem. Musiał potem przyzwać towarzysza, którego znał za życia, po czym obaj znikli, unikając jej magii.

Proste wyjaśnienie, ale wcale nie zadowalające. Kara coś przeoczyła – tego była pewna.

– Czarodziejko?

Słowo odbijało się echem w jej czaszce, wyrywając z zamyślenia. Zmusiła się do otworzenia oczu – dopiero teraz zdała sobie sprawę, że miała je zamknięte – i spojrzała w zmartwione oblicze kapitana Hanosa Jeronnana.

– Co...?

– Spokojnie, panienko! Przeżyłaś dwa dni bez jedzenia i wody! Co prawda nie zrobiło ci to jakiejś poważnej krzywdy, ale na pewno nie wyszło na dobre!

Dwa dni? Była uwięziona w tym drzewie przez dwa dni?

– Kiedy zniknęłaś nocą, rozpocząłem poszukiwania, ale dopiero rano znalazłem tę sakiewkę obok tawerny. – Pokazał małą, skórzaną sakiewkę, w której Kara nosiła zioła niezbędne w pracy. Choć nie wszyscy o tym wiedzieli, zaklęcia nekromantów wymagały innych składników poza krwią.

Dziwne, że zgubiła tę sakiewkę. Zwykle trzymała ją dobrze przymocowaną. Aby ją zdjąć, napastnicy musieliby poświęcić sporo swojego cennego czasu. Oczywiście, miało to jeszcze mniej sensu, gdyż jedynym powodem, aby tego dokonać, było pozostawienie śladu porwania, czego raczej żaden ghul by nie zrobił.

Ale pozostawili ją żywą, choć pogrzebaną w pniu uschłego drzewa.

Była skołowana. Jej irytacja musiała się ujawnić, gdyż karczmarz natychmiast ku niej pospieszył.

– Coś się stało? Przynieść wody? Dodatkowy koc?

– Jestem... – Jej głos przypominał skrzeczenie wrony lub głos bardziej wygadanego z napastników. Kara z wdzięcznością przyjęła kubek wody,

wypiła i spróbowała jeszcze raz: – Jestem cała, kapitanie... dziękuję ci za opiekę. Oczywiście, zapłacę...

– Nie lubię takich brzydkich słów w moim lokalu, panienko! Koniec dyskusji!

Naprawdę ją zadziwił.

– Kapitanie Jeronnan, większość ludzi, a zwłaszcza z zachodu, pozostawiłoby kogoś takiego jak ja, aby zgnił w tym drzewie, zamiast zbierać grupę poszukiwawczą. Czemu to zrobiłeś?

Wielki mężczyzna wyglądał na zakłopotanego.

– Zawsze dbam o swoich gości.

Mimo bólu w ciele uniosła się do pozycji siedzącej. Jeronnan ulokował ją w pokoju, jakiego nigdy nie spodziewałaby się w Gea Kuł. Był czysty i wygodny, nie przesycony zapachem ryb. Zadziwiające. Jednak Kara nie pozwoliła, aby takie otoczenie odwiodło ją od zadania pytania.

– Czemu to zrobiłeś, kapitanie?

– Kiedyś miałem córkę – Zaczął niechętnie – i zanim tak pomyślisz, nie, nie wyglądała jak ty, za wyjątkiem tego, że też była ładna.

Jeronnan przełknął ślinę.

– Jej matka pochodziła z wyższej sfery niż ja, lecz moje sukcesy w marynarce umożliwiły nam ślub. Urodziła się Terania, ale jej matce udało się tylko donosić ciążę.

– Zuchwała łza spłynęła z oka dużego mężczyzny, który szybko ją starł. – Przez ponad dziesięć lat nie wiedziałem jak żyć, rozdarty pomiędzy służbą a dzieckiem. W końcu, gdy stała się już panienką, złożyłem dymisję i zabrałem ją przez morze do miejsca, które zapamiętałem jako bardzo piękne. Na szczęście, Terania nigdy nie narzekała, wydawało się, że nawet tu rozkwita.

– W Gea Kuł?

– Nie bądź tak zaskoczona. Dziesięć lat temu było znacznie ładniejszym, czystszy miejscem. Coś złego dotknęło je od tego czasu, tak jak dotknęło wszystkie inne miejsca, o których teraz słyszę.

Kara starała się zachować neutralny wyraz twarzy. Jako jedna ze służek Rathmy wiedziała, że mroczne siły rozprzestrzeniały się po świecie. Rabunek grobu Bartuca tylko przyspieszył to zjawisko. Nekromantka obawiała się, że świat rychło straci delikatną równowagę i przypadnie w udziale władcom Piekieł.

Te demony znów chodziły po świecie.

Kapitan Jeronnan mówił, kiedy ona myślała o tym wszystkim i w efekcie nie usłyszała niektórych jego słów. Jednak coś zwróciło jej uwagę, gdyż nagle burknęła: – Co?

Jego twarz stała się ponura, bardzo ponura.

– Ano, tak się stało! Przez dwa lata byliśmy tu szczęśliwi. Pewnej nocy usłyszałem jej krzyk w pokoju, a żaden mężczyzna nie wszedłby tam nie przechodząc pierwiej obok mnie!

Wpadłem przez drzwi... i nie znalazłem najmniejszego po niej śladu. Okno było zamknięte, nawet w szafie sprawdziłem, ale jakoś znikła z pokoju!

Jeronnan szukał córki wszędzie – kilku mieszkańców przyłączyło się do niego. Szukał jej trzy dni, które okazały się bezowocne... aż pewnej nocy, gdy próbował usnąć, usłyszał głos wołającej go córki.

Mimo przebłysku nadziei, jako człowiek ostrożny zabrał ze sobą broń, którą otrzymał od admirała. Tak uzbrojony, karczmarz podążył w głąsę za wołaniem dziecka. Przez godzinę krążył wśród drzew i pagórków, rozglądając się, szukając...

Wreszcie obok pogiętego drzewa zobaczył swoją Teranie. Dziewczyna o dziwnie bladej skórze – bledszej nawet niż skóra Kary – czekała na ojca z

wyciągniętymi rękami.

– Zawołała go jeszcze raz, a on, rzecz jasna, odpowiedział.

Z mieczem w ręku podszedł do córki... Jej kły niemal rozdarły mu gardło. Kapitan Jeronnan przepłynął cały świat, widział wiele zadziwiających i niezwykłych rzeczy, w imię swoich panów walczył z piratami i złoczyńcami – ale żadne doświadczenie nie znaczyło dla niego więcej niż wychowanie jedynaczki.

A teraz nic tak bardzo nie rozdarło mu duszy niż przebicie serca potwora, jakim się stała.

– Broń wisi na dole – wymruczał na zakończenie – Ładnie wykonana, lecz zarazem praktyczna.

Po chwili dodał, jakby po namyśle:

– Gdyby nie była zdobiona srebrem lub czymś takim, nie siedziałbym tu teraz.

– Co się z nią stało? – Kara słyszała już takie opowieści jednak różniły się znacznie między sobą.

– Nigdy nie dowiedziałem się tego, ale na pewno stała się czymś przeklętym! Dopóki nie zniknęłaś, udało mi się to zepchnąć gdzieś w głąb umysłu. Obawiałem się, że wróciła po ciebie! – Łza spłynęła mu z oka – Wciąż słyszę jej krzyki... gdy zniknęła, jak i wtedy, kiedy ją ugodziłem.

Koszmar Jeronnana nie polował na Karę, ale dwaj nieumarli rabusie grobów na pewno czekali. Ta myśl przypominała jej o własnych sprawach.

– Wybacz, kapitanie, że tak niegrzecznie przerwę opowieść o twojej ogromnej stracie, ale czy mógłbyś mi powiedzieć, czy jakiś statek odpłynął w czasie, kiedy mnie tu nie było?

Pytanie Kary zaskoczyło zasmuconego mężczyznę, ale szybko się opanował.

– Jedynym statkiem, który na razie odpłynął, był ten przeklęty „Ognisty Jastrząb”!

Jestem zdziwiony, że jeszcze nie zatonął.

Wypłynął tylko jeden statek. To pewnie ten, o który jej chodziło.

– Dokąd płynął?

– Do Lut Gholein. Zawsze pływa do Lut Gholein.

Znała to miejsce. Zamożne królestwo położone na zachodnim wybrzeżu Bliźniaczych Mórz. Miejsce, gdzie handlowali kupcy z całego świata.

Lut Gholein. Yizjerei i jego uśmiechnięty przyjaciel przebyli drogę z grobowca aż tutaj, poruszając się z szybkością, jaką mogły utrzymać tylko osoby nie odczuwające zmęczenia. Przybyli akurat do Gea Kuł, a jedynym powodem, aby tu przybyć był fakt, że stąd można było popłynąć do innych królestw. Ale po co?

Powód mógł być tylko jeden. Ścigali pozostałych członków swojej drużyny, którzy zabrali ze sobą zbroję Bartuca. Kara przypuszczała, że był to jeden człowiek, ale nie odrzucała też możliwości, że rabusiów było więcej.

Tak więc, „Ognisty Jastrząb” miał na pokładzie albo tych, co przeżyli, albo tych, którzy zginęli. Jeśli to drugie, musieli się gdzieś ukryć, aby uniknąć znalezienia, choć słyszała opowieści o nieumarłych, którzy podczas pościgu za swoją ofiarą robili to, co musieli.

Przepłynięcie morza było trudne, ale nie niemożliwe.

Lut Gholein. Mógł to być tylko kolejny przystanek, ale Kara przynajmniej miała jakiś cel.

– Kapitanie, kiedy odpływa stąd następny statek?

– Panienko, ledwo możesz siedzieć, a co dopiero...

Srebrne oczy spojrzały na niego bez mrugnięcia.

– Kiedy?

Potarł podbródek.

– Nie teraz. Za tydzień, może dłużej.

Za późno. Do tej pory rewenanci i ci, których ścigali mogą już dawno przepaść, a zbroja wraz z nimi. Sprawą nawet ważniejszą niż zgubienie jej sztyletu był fakt, że zbroja krwawego władcy wciąż była w ruchu. Zakłęcia w niej zawarte z pewnością mogły przywołać kogoś ambitnego i złego.

Niekoniecznie człowieka.

– Mam pieniądze. Czy możesz mi polecić jakiś statek do wynajęcia?

Jeronnan patrzył na nią przez chwilę.

– Czy to aż tak ważne?

– Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

– W najbardziej wysuniętym na północ zakątku portu stoi nieduży, ale szybki statek, „Królewska Tarcza”. – Powiedział karczmarz z westchnieniem – Może odpłynąć w każdej chwili. Wystarczy poczekać dzień lub dwa, aby zebrać załogę i zapasy.

– Czy sądzisz, że uda ci się przekonać właściciela, aby mnie wysłuchał?

Jeronnan roześmiał się głośno.

– Nie musisz się o to martwić, panienko! To człowiek, który służył wielu sprawom, tak długo, jak były godne!

Jej nadzieje rosły. Już czuła się na tyle zdrowa, aby podróżować. „Ognisty Jastrząb”

miał kilka dni przewagi, ale spodziewała się, że dysponując dobrym statkiem Kara dotrze do Lut Gholein wkrótce po nim. Tam jej wyjątkowe zdolności oraz kilka odpowiednich pytań pozwolą jej podjąć trop.

– Muszę z ram porozmawiać. Muszę stąd odpłynąć jutro rano.

– Jutro rano...

Znów spojrzała na niego. Kara żałowała, że musi naciskać, ale stawką było coś ważniejszego niż jej zdrowie i cierpliwość tego kapitana.

– Tak musi być.

– Dobrze – Potrząsnął głową – Przygotuję wszystko. Rano podniesiemy żagle.

Kara poczuła się dotknięta jego nagłą ofertą.

– Wystarczy, że przekonasz kapitana „Królewskiej Tarczy”, żeby ze mną popłynął.

Nie musisz opuszczać swej ukochanej tawerny! To już nie twoja sprawa.

– Nie lubię, gdy moi goście są bliscy utraty życia... albo czegoś więcej. Poza tym, zbyt długo byłem na ładzie! Dobrze byłoby znów poczuć morze!
– Pochylił się nad nią z uśmiechem – A co do przekonywania kapitana, to chyba mnie nie zrozumiałaś, czarodziejko!

Ja jestem właścicielem tej zgrabnej panny i klnę się na wszystkie świętości, że albo rankiem podniesiemy żagle, albo obiecuję ci, że zapłacę piekielnie dużo!

Gdy zbiegł na dół, aby doglądać przygotowań, Kara opadła na poduszki, uderzona jego ostatnimi słowy. Zapłaci piekielnie dużo?

Kapitan Hanos Jeronnan nie miał pojęcia, jak prawdziwa mogła okazać się jego przysięga.

SIEDEM



– Moi ludzie stają się niespokojni i doskonale ich rozumiem, Galeono. Przyzywa nas wielkość, a zatrzymaliśmy się tu, na granicy pustyni!

– To na twój rozkaz pozostaliśmy tu tak długo, mój drogi Augustusie.

Stał nad nią.

– Ponieważ powiedziałaś, że wkrótce będziemy dokładnie wiedzieć, gdzie znajduje się zbroja Bartuca! Musimy wiedzieć, gdzie ten dureń podąża! – Malevolyn chwycił ją za włosy i uniósł, aż ich twarze niemal się zetknęły.

– Znajdź go, kochana. Znajdź go... albo okaże się, że będę opłakiwał twój zgon!

Nie pozwoliła, by zobaczył jej strach. Ci, którzy okazywali lęk w obecności generała, tracili w jego oczach szacunek, znajdowali się w niełasce. Galeona długo i wytrwale pracowała nad tym, aby być uznawaną za bezcenną i nie zamierzała tego zmieniać.

– Zobaczę, co da się zrobić, ale tym razem wykonam to bez ciebie.

Zmarszczył brwi.

– Dawniej zawsze potrzebowałaś mojej obecności. Czemu to się zmieniło?

– Ponieważ teraz będę musiała zanurzyć się głębiej, niż kiedykolwiek przedtem... a jeśli z jakiegoś powodu ktoś mi przeszkodzi, zginę nie tylko ja, ale również wszyscy w pobliżu.

To zrobiło wrażenie nawet na generale. Brwi uniosły się, pokiwał głową.

– Dobrze. Czy potrzebujesz czegoś?

Naraz w głowie Galeony odezwał się głos: Musi być... jakaś ofiara.

Czarodziejka uśmiechnęła się, objęła Malevolyna jedną ręką i przycisnęła swoje usta do jego. Gdy skończyła pocałunek, zapytała jakby od niechcienia: – Kto cię ostatnio najbardziej zawiódł, ukochany?

Jego usta zacisnęły się w wąską kreskę, nieustępliwe i Nielitościwe.

– Ostatnio rozczarował mnie kapitan Tolos. Sądzę, że jego oddanie znacznie zmalało.

Jej dłoń pogładziła policzek Malevolyna

– Zatem być może uczynię go dla ciebie bardziej pożytecznym.

– Rozumiem. Przyślę go do ciebie natychmiast. Byle tylko były jakieś rezultaty.

– Myślę, że będziesz zadowolony.

– Zobaczymy.

Generał Malevolyn wyszedł z namiotu. Galeona natychmiast odwróciła się do cieni, a zwłaszcza do jednego z nich.

– Sądysz, że to wystarczy?

– On tylko spróbuje – odparł Xazax. Cień oddzielił się od innych, podszedł bliżej.

Kawałek cienia dotknął stóp czarodziejki wywołując u niej wrażenie podobne do uczucia zbliżającej się śmierci.

– Tym razem muszę go znaleźć! Widzisz, jak bardzo generał się niecierpliwi!

– On czekał dłużej niż zwykły śmiertelnik – zazgrzytał cień – On chce go odnaleźć znacznie bardziej niż inni.

Obaj usłyszeli kroki na zewnątrz namiotu. Sylwetka Xazaxa natychmiast wtopiła się w cień. Galeona odrzuciła włosy i poprawiła suknię dla lepszego efektu.

– Możesz wejść – zagruchała.

Wszedł młody oficer z hełmem pod pachą. Rudy, ze świeżo zapuszczaną brodą i niewinnym spojrzeniem wyglądał jak owieczka idąca na rzeź. Galeona pamiętała jego twarz i ciekawe myśli, które miała nie raz i nie dwa.

– Podejdź bliżej, kapitanie Tolos.

– Generał przysłał mnie tu – odparł oficer głosem, w którym dawało się wyczuć nutkę niepewności. Bez wątpienia słyszał o reputacji czarodziejki... nie mówiąc już o jej upodobaniach – Powiedział, że masz dla mnie jakieś zadanie.

Podeszła do stołu, na którym stało wino dla generała i nalała mu puchar najlepszego trunku. Podniosła go, zapraszając mężczyznę, aby podszedł bliżej. Zmieszany, zrobił to, podążając niczym ryba za przynętą.

Wcisnąwszy mu kielich do ręki, Galeona uniosła go do jego ust. W tej samej chwili drugą ręką poczęła bładzić po jego ciele, co jeszcze bardziej pogłębiało jego niepewność.

– Pani Galeono – wyjąkał Tolos – Generał przysłał mnie tu w jakimś celu. Nie podobałoby mu się, gdyby zobaczył, że...

– Ciii... – Przytknęła puchar do jego ust, aż się zakrztusił. Rudy żołnierz łyknął raz i drugi, nim czarodziejka odstawiła kielich. Drugą ręką przysunęła jego głowę do swojej, aż ich usta zetknęły się na długo. Przez kilka sekund wahał się, potem oddał pocałunek, odurzony jej wdziękami.

Starczy tych przyjemności, usłyszała głos demona w swojej głowie. Mamy pracę do wykonania...

Za plecami zakochanego żołnierza cień rósł i rósł, aż zrobił się bardziej rzeczywisty.

Dźwięk podobny do buczenia roju much stawał się coraz głośniejszy, aż wyrwał kapitana Tolosa spod uroku wiedźmy. Światło lampy sprawiło, że dostrzegł część cienia, cienia niepodobnego do niczego innego.

Tolos odepchnął ją, po czym, zwracając się w stronę domniemanego zabójcy, począł szukać miecza.

– Nie weźmiesz mnie tak...

Cokolwiek zamierzał powiedzieć, nie dokończył. Kapitan Tolos przerwał, jego skóra stała się całkiem biała. Palce wciąż szukały miecza, ale obezwładniający strach sprawił, że ręce trzęsły mu się tak, iż nie był w stanie zacisnąć dłoni na rękojeści.

Górując nad nim, demon Xazax z pewnością przedstawiał sobą widok zdolny wywołać taki strach. Mając ponad siedem stóp wzrostu, Xazax przypominał modliszkę, ale taką, jaką mogło stworzyć tylko Piekło. Szalona mieszanka szkarłatu i szmaragdu barwiła skórę, pod którą pulsowały złote żyły. Głowa demona wyglądała tak, jakby ktoś zdjął pancerz insekta, szukając pod nim czaszki. Duże, żółte, pozbawione źrenic oczy patrzyły na żalсного śmiertelnika. Grubsze niż głowa żołnierza odnóża i mniejsze, lecz nie mniej groźne zwaczki położone w pobliżu ust otwierały się i zamykały ze straszliwą gorliwością. Smród gnijących roślin rozchodził się w powietrzu i zaczynał przenikać namiot.

Środkowe odnóża, szkieletowe ramiona zakończone trzema pazurami wystrzeliły z niesamowitą prędkością, przyciągając bliżej skamieniałego oficera. Tolos próbował krzyknąć, ale demon zdążył splunąć, pokrywając twarz żołnierza miękką, lepką substancją.

Główne odnóża, zakrzywione kosy zakończone ostrymi szpikulcami, uniosły się do góry. Demon wbił je obie w pierś oficera, rozrywając Tolosa niczym rybę. Ciało rzucało się dziko, czym bardzo uradowało Xazaxa. Dłonie Tolosa darły zarówno twarz, jak i pierś, ale nie udało mu się uwolnić.

Galeona zmarszczyła się, usiłując skryć fizyczną obecność strachu pod maską gniewu i sarkazmu.

– Jeśli skończyłeś się bawić, to mamy pracę do wykonania. Xazax pozwolił opaść wciąż podskakującemu ciału. Tolos osunął na ziemię, jego złane krwią zwłoki padły niczym pozbawiona sznurków marionetka. Piekielna modliszka podeszła do niej.

– Oczywiście.

– Narysuję wzory. Bądź gotów do dostrojenia się.

– On będzie gotów, nie zrobi błędu, człowieku Galeono.

Dotykając klatki piersiowej Tolosa, wiedźma zaczęła rysować wymagane wzory.

Namalowała pierwszą linię koncentrycznych okręgów, po czym w środku największego namalowała pentagram. Następnie namalowała szkarłatem znaki przywołania i symbole ochronne, które miały ustrzec ją, a nawet Xazaxa, przed pokonaniem przez moce zaklęcia.

Po kilku minutach pracy Galeona była gotowa. Czarodziejka popatrzyła na swojego demonicznego towarzysza.

– On jest gotów, jak obiecał. – Usłyszała odpowiedź na nie zadane pytanie.

Modliszka zbliżyła się, jej podobne do kos ramiona dotknęły środka głównego wzoru Galeony. Z ust Xazaxa buchnął raniący uszy Galeony dźwięk – demon przemawiał w języku, który nie miał swojego odpowiednika. Była szczęśliwa, że dzięki jej zaklęciom ochronnym nikt z zewnątrz nie usłyszy przeklętego głosu stwora.

Namiot zaczął się trząść. W środku rozszalał się wiatr, który unióś włosy Galeony i odrzucił je w tył. Światło lampy zmałało, w końcu zgasło zupełnie, ale ze skrwawionej piersi martwego żołnierza wychynęło inne jego źródło: wilgotna kula o barwie jadowitej zieleni.

Xazax wciąż mrucał w swoim demonicznym języku, jednocześnie kreśląc nowe wzory wewnątrz szkarłatnego rysunku. Galeona poczuła, że

przybywają siły natury i piekiel – było to połączenie niemożliwe w świecie rzeczywistym.

Wyciągnęła rękę, dodając swoje rysunki do wzorów kreślonych przez demona. Teraz wewnątrz namiotu wypełniało trzaskanie energii, łączącej się i ścierającej.

– Wymów słowa, człowieku – rozkazał Xazax – Mów, zanim zostaniemy otoczeni przez nasze własne dzieło...

Starożytne słowa spłynęły z jej ust. Każde słowo paliło krew, sprawiało, że żyły na ciele jej towarzysza błyszczały coraz mocniej. Śniada czarodziejka mówiła coraz szybciej, wiedząc, że gdyby zrobiła coś złe, obawy Xazaxa mogłyby okazać się prawdziwe.

Ponad ciałem kapitana Tolosa pojawiło się coś w kolorze pleśni, o kształtach przypominających ropuchę. Walczyło, skręcało się, próbowało krzyczeć nie do końca uformowanymi ustami.

Dajcie... mi... odpocząććć!, rozkazało.

Zdeformowane bardziej niż demony, groteskowe stworzenie usiłowało dosięgnąć najpierw Galeony, a potem Xazaxa. Jednak namalowane przez nią znaki ochronne wywoływały niebieskie błyski w miejscach, gdzie istota usiłowała ich dotknąć. Musiały ją porządnie boleć. Wreszcie, sfrustrowana, zwinęła się, otulając długimi pazurzastymi ramionami, jakby usiłując się wystarczająco skulić, by zupełnie zniknąć.

– Musisz nas słuchać – powiedziała Galeona do uwięzionego stwora.

Muszę... odpocząć!

– Nie możesz, dopóki nie wykonasz zadania, jakie dla ciebie mamy!

Zwisające luźno, koszarne, lecz w jakiś sposób ludzkie oczy spjrzały na nią z otwartą złośliwością.

Dobrze... przez jakiś czas. Co... macie... dla mnie?

– Żadna magia nie przysłania ci oczu, żadne przeszkody nie zasłaniają ci wzroku.

Zobacz dla nas to, czego szukamy i powiedz nam, gdzie to leży.

Koszmar nad stygnącym ciałem Tolosa zadrżał, zatrząsł się. Zarówno Xazax, jak i Galeona z początku cofnęli się, dopóki nie zrozumieli, że istota śmiała się z ich żądania.

To... wszystko? Dlatego... jestem torturowany... zmuszony do przebudzenia... a nawet... zmuszony do pamiętania?

Wiedźma pokiwała głową.

– Zrób to, a pozwolimy ci usnąć.

Oczy spojrzały na demona. Pokaż mi... czego... szukasz.

Modliszka zakreśliła małe kółko pośrodku wzoru. Pomarańczowa mgiełka wypełniła sferę w której pływał stwór. Oczy wpatrywały się w mgłę, widząc to, czego nie mogła dostrzec Galeona.

Coraz wyraźniej widzę... czego szukasz. To będzie wymagać... zapłaty.

– Zapłaty – wtrącił się Xazax – Której części już spróbowałeś.

Ich więzień spojrzał w dół, na leżące ciało.

Zgoda.

A wtedy... jakaś moc uderzyła tak mocno w umysł Galeony, że ta upadła na poduszki.



Płynęła statkiem o słabej konstrukcji i wątpliwej reputacji. Walczył on ze sztormem, który nie do końca powstał z przyczyn naturalnych. Podarł mu część żagli, lecz łajba wciqz płynęła.

Ku jej zdziwieniu, Galeona nie widziała na pokładzie żadnej załogi, jakby okręt nawiedzały tylko duchy. Jednak coś skłoniło ją do tego, aby spojrzeć pod pokład. Bez poruszania nogami czarodziejka znalazła się gdzie indziej, przed drzwiami do kajuty. Galeona uniosła przezroczystą

dłoń, próbując pchnięciem otworzyć drzwi. Przeniknęła przez nie niczym jedno z widm, które według niej nawiedzały statek.

Jednak samotny lokator tej parodii pokoju w żaden sposób nie przypominał martwego. Z bliska wyglądał nawet lepiej, niż Galeona się spodziewała. Bardzo przypominał żołnierza.

Bardzo przypominał mężczyznę.

Wiedźma próbowała dotknąć jego twarzy, ale dłoń przeniknęła przez skórę. Tamten jednak poruszył się lekko i prawie uśmiechnął. Galeona obrzuciła wzrokiem resztę ciała zauważając, że zbroja Bartuca dobrze na nim leży.

Naraz jej uwagę zwrócił kryjący się w kącie cień, który wyglądał znajomo. Xazax.

Wiedząc, że musi postępować ostrożnie, Galeona skupiła się na tym, czego szukała ona i demon. Jeszcze raz poruszając dłonią, jakby gładząc wojownika po policzku, wiedźma zamruczała:

– Kim jesteś?

Poruszył się lekko, jakby zakłócono mu odpoczynek.

– Kim jesteś? – spytała ponownie.

Tym razem jego usta otwarły się i wymamrotał:

– Norrec.

Uśmiechnęła się tryumfująco. – Na jakim statku płyniesz?

– „Ognisty Jastrząb”.

– Dokąd on płynie?

Zaczął się zmieniać. Zmarszczył swoją senną twarz, jakby nie chciał odpowiadać, nawet w snach. Zdecydowana, aby uzyskać odpowiedź na to najważniejsze z pytań, Galeona zadała je ponownie. Znów nie otrzymała odpowiedzi. Wiedźma podniosła wzrok, zobaczyła, że cień Xazaxa zaczyna

się utrwałać. Nie sądziła, że demon się tym zajmie. Tak naprawdę, jego obecność mogła tylko pogorszyć sprawę.

Czarodziejka znów zwróciła się do Norreca, spoglądając na niego i przemawiając najbardziej kuszącym tonem, zarezerwowanym tylko dla Augustusa.

– Powiedz mi, mój dzielny, przystojny wojowniku... powiedz Galeonie, dokąd płyniesz...

Jego usta otwarły się.

– Lut...

W tej chwili cień demona padł na jego twarz.

Oczy Norreca gwałtownie się rozszerzyły.

– Na wszystkie świętości...



Galeona na powrót znalazła się w namiocie z oczami patrzącymi w sufit i ciałem pokrytym zimnym potem.

– Ty imbecyłu! – wrzasnęła, wstając – Co ty sobie wyobrażasz?

Żwaczki Xazaxa otwarły się i zamknęły.

– Wyobrażał sobie, że uzyska odpowiedzi szybciej niż bardzo rozproszona ludzka samica...

– Są lepsze sposoby ujawniania tajemnic niż zastraszenie! Jeszcze kilka chwil i wiedzielibyśmy wszystko, co było nam potrzebne! – Przemyślała szybko kilka spraw i dodała – Może nie jest jeszcze za późno! Jeśli...

Zawahała się, popatrzyła na miejsce, gdzie wciąż leżały zwłoki Tolosa... a raczej kiedyś leżały.

Ciało, a nawet rozlana na dywanie krew, zniknęły.

– Śniący zabrał swoją nagrodę – zauważył Xazax. – Kapitan Tolos będzie miał straszne życie pośmiertne...

– Nieważne! Musimy przywołać Śniącego z powrotem... Modliszka poruszyła głową do tyłu i do przodu, co miało być odpowiednikiem kręcenia głową.

– On nie będzie nawiedzał Śniącego w jego domenie. Ich królestwo znajduje się nawet poza Niebem czy Piekłem. Tu możemy im rozkazywać, ale wystarczy zerwać połączenie i wezmą to, co do nich należy. – Demon podszedł bliżej – Czy sądzisz, że twój generał dostarczy następną duszę?

Galeona zignorowała to pytanie, zastanawiając się, co odpowie Malevolynowi. Znała imię mężczyzny i nazwę statku, ale jaki był z tego pożytek? Statek mógł płynąć w dowolnym kierunku! Gdybyż tylko udało się jej dowiedzieć o celu jego podróży zanim demon wszystko zepsuł! Gdyby tylko...

– Powiedział „Lut”... – szepnęła wiedźma – To musi być to!

– Co masz na myśli?

– Lut Gholein, Xazaxie! Nasz głupiec płynie do Lut Gholein! – Jej oczy rozszerzyły się z zadowolenia. – Zbliża się do nas, tak jak przepowiedziałam!

Ogromne żółte oczy rozbłysły.

– Jesteś tego pewna?

– Jak najbardziej! – Galeona pozwoliła sobie na gardłowy śmiech, który mógłby zaskoczyć człowieka, ale na demonie nie zrobił najmniejszego wrażenia. – Muszę natychmiast powiedzieć o tym Augustusowi! To pozwoli w najbliższym czasie utrzymać go na smyczy!

Pomyślała dalej.

– Może wreszcie uda mi się go przekonać, aby wkroczyć na pustynię. Chce Lut Gholein. Teraz będzie miał jeszcze jeden powód, aby je zdobyć!

Xazax spojrzał na nią w sposób, który miał być pełen zdziwienia.

– Ale jeśli człowiek Malevolyn rzuci swoich ludzi na Lut Gholein, z pewnością przegra! Ha! To rozumiem! Jak sprytnie!

– Nie wiem, o co ci chodzi... i nie mam czasu kłócić się z tobą! Muszę powiedzieć Augustusowi, że zbroja płynie w naszą stronę, tak jak przepowiedzieliśmy!

Wyszła z namiotu, pozostawiając demona swoim sprawom. Xazax popatrzył na miejsce, gdzie leżało ciało oficera, a potem na płachtę namiotu, przez który wyszła śniada czarodziejka.

– Zbroja płynie w naszą stronę, tak – zazgrzytała modliszka, chowając się w cień.

– Ciekawe, co o tobie pomyśli generał... jeśli nie dopłynie do Lut Gholein.



Oczy Norreca gwałtownie się rozszerzyły.

– Na wszystkie świętości...

Przerwał w połowie słowa. Choć jego lampa zgasła, Norrec wiedział, że jest jedyną osobą w kajucie. Pochylająca się nad nim kobieta – takiego widoku na pewno długo nie zapomni – z pewnością była jego snem. Weteran nie mógł powiedzieć, co robiła, wiedział tylko, że chciała z nim porozmawiać.

„Piękna kobieta, która chce z tobą jedynie porozmawiać, z pewnością interesuje się wyłącznie twoją sakiewką”, powiedział kiedyś Fauztin Sadunowi, gdy ten chwilę wcześniej omal nie stracił ostatniej wypłaty na rzecz jakiejś złodziejki. Ale biorąc pod uwagę jego podłą sytuację, jaką szkodę mogła mu wyrządzić wyśniona kobieta?

Żałował, że nie obudził się wcześniej. Być może gdyby sen trwał dalej, byłoby to znacznie bardziej ekscytujące. Na pewno byłby to jakieś urozmaicenie po ostatnich koszmarach.

Myśląc o koszmarach, Norrec próbował przypomnieć sobie, co go obudziło. Nie kobieta. Jakieś przeczucie? Nie do końca. Było to uczucie, że gdy śniada kusicielka pochyliła się, zbliżyło się coś strasznego...

Gwałtowny podrzut „Ognistego Jastrzębia” wyrzucił Norreca z koi. Poturlał się pod drzwi kajuty, które nagle się otworzyły.

Norrec nie zareagowałby tak szybko, ale jedna rękawica zadziałała sama i wystrzeliła do przodu, chwytając framugę i ratując bezradnego wojownika przez wpadnięciem do morza.

Gdy Norrec przeniósł się w bezpieczne miejsce i uniósł się na równe nogi, jego ręce na powrót należały do niego.

Czy kapitan Casco nie panował nad swoją załogą? Jeśli nie będą ostrożni, fale oraz wiatr wezmą górę i rozerwą „Ognistego Jastrzębia” na sztuki!

Chwycił się mocniej relingu i ruszył w stronę dziobu. Ryk fal i nieustające grzmoty uniemożliwiały usłyszenie marynarzy, ale z pewnością Casco zbeszta ich za nierozwagę. Z pewnością kapitan zadba o to, żeby jego załoga...

Na pokładzie „Ognistego Jastrzębia” nie było żywej duszy.

Nie mogąc uwierzyć własnym oczom, Norrec spojrział ku kołu sterowemu. Ktoś utrzymał kurs przy użyciu mocnej liny, nadając pozory kontroli. Jednak na tym się kończyło.

Kilka lin utrzymujących żagle zerwało się i miotano się wściekle na wietrze. Jeden z żagli był podarty – jeżeli ktoś czegoś nie zrobi, rozdarcia mogą się pogłębić.

Załoga musiała być pod pokładem. Nikt nie byłby na tyle szalony, aby w trakcie takiej burzy opuścić w pełni sprawny statek, nawet taki jak „Ognisty Jastrząb”. Casco na pewno zwołał ich do mesy, aby przedyskutować jakieś ważne sprawy. Z pewnością tak właśnie się stało...

Szalupa, która wisiała nieopodal miejsca, gdzie stał, zniknęła.

Norrec przechylił się przez burzę i zobaczył liny, swobodnie uderzające o kadłub. Nie wydarzył się żaden wypadek. Ktoś opuścił łódź na wodę.

Biegał od burty do burty, a jego najgorsze obawy potwierdziły się. Załoga opuściła „Ognistego Jastrzębia”, pozostawiając statek i Norreca na łasce sztormu...

Ale dlaczego?

Na to pytanie znał odpowiedź. Przypomniawszy sobie twarze załogi wkrótce po tym, jak zbroja przyzwała demony, aby naprawiły maszt. Strach i przerażenie – skierowane nie przeciwko zbroi, ale człowiekowi, który ją nosił. Załoga obawiała się mocy, którą, jak wierzyli, posiadał Norrec. Od początku podróży, za każdym razem, gdy wchodził do mesy, wywoływał strach. Wiedzieli, że nie jest zwykłym pasażerem, a wypadek z masztem potwierdził ich obawy.

Ignorując deszcz i wiatr, jeszcze raz podszedł do burty, próbując dostrzec jakikolwiek ślad załogi. Niestety, musieli uciec kilka godzin temu, korzystając z jego wyczerpania po przyzwaniu demonów. Nieważne, że najprawdopodobniej skazali się na śmierć na pełnym morzu – marynarze bardziej dbali o swoje nieśmiertelne dusze niż o śmiertelne ciała.

Co mógł teraz zrobić? Jak kierować „Ognistym Jastrzębiem” samemu, czy nawet obrać kurs na Lut Gholein?

Trzask na plecami sprawił, że wojownik szybko się odwrócił.

Kapitan Casco wyszedł spod pokładu. Wyglądał na zmęczonego i niezbyt zadowolonego ze spotkania z Norrecem. O ile wcześniej wyglądał jak trup, teraz bardziej przypominał ducha.

– Ty... – wymruczał – Człowiek demon...

Norrec podszedł do Casco, potrząsnął go za ramiona.

– Co się stało? Gdzie załoga?

– Uciekła! – Warknął kapitan, wyrywając się z uścisku. – Wolą utonąć niż płynąć z władcą demonów!

Przeszedł obok Norreca.

– Zbyt wiele roboty! Odejdź!

Skonsternowany wojownik patrzył, jak Casco zaczął wzmacniać wiązanie lin. Cała załoga opuściła statek, ale kapitan nie tylko starał się utrzymać „Ognistego Jastrzębia” w dobrym stanie, ale także na kursie. Wydawało się to szalone i pozbawione sensu, ale Casco sprawiał wrażenie gotowego działać najlepiej, jak potrafił.

Idąc za nim, Norrec zawołał:

– Jak mogę ci pomóc?

Przemoczony żeglarz, obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

– Wskoczyć!

– Ale...

Casco zignorował go, podchodząc do następnej liny. Norrec zrobił krok, po czym zorientował się, że nadaremnie usiłowałby namówić kapitana do wysłuchania go. Casco miał powód, aby bać się i go nienawidzić, a weteran nie mógł mieć o to pretensji. Z jego powodu Casco mógł stracić okręt i życie.

Błyskawica zajaśniała tak blisko, że Norrec musiał się odwrócić, aby nie oślepnąć.

Zirytowany, że nie może nic zrobić, skierował się do włazu prowadzącego pod pokład. Być może z dala od sztormu będzie mu się łatwiej myślało.

Gdy zszedł do głębin „Ognistego Jastrzębia”, kilka latarni wciąż się świeciło, choć ich światło nie stłumiło w Norrecu poczucia otaczającej go pustki. Wszyscy prócz Casco opuścili statek, wołąc pewną śmierć, aby

tylko pozbyć się władcy demonów. Gdyby chcieli go zabić, na pewno by tak zrobili, ale demonstracja mocy zbroi zniechęciła ich do tego pomysłu.

Norrec zastanawiał się, jak długo jeszcze „Ognisty Jastrząb” wytrzyma, nim fale i wiatr rozniosą go w drzazgi.

Spojrzał na rękawice, część zbroi najbardziej związaną z jego udreką. Gdyby nie zbroja, nigdy nie znalazłby się w takiej sytuacji.

– No? – Norrec prawie splunął. – Co teraz zamierzasz? Będziemy pływać, jeśli statek zatoni?

Z początku pożałował, że nawet tak pomyślał, bojąc się, że zbroja zdecyduje się zadziałać właśnie w taki sposób. Norrec nawet nie starał się wyobrazić sobie, jak ciężki pancerz próbuje utrzymać się na powierzchni. Dla niego, człowieka który pływał po morzu tylko na krótkich trasach, utonięcie wydawało się najgorszą z możliwych śmierci. Dusić się, gdy woda wypełnia płuca, a wokół zamyka się czarne morze... lepiej podciąć sobie gardło!

„Ognisty Jastrząb” znów zatrzęsł się, tym razem tak gwałtownie, że cały kadłub jęknął rozdzierająco. Norrec spojrział w górę, zastanawiając się, czy kapitan Casco stracił ostatecznie kontrolę nad statkiem.

Kadłubem znów zatrzęsło, deski zaczęły się wyginać. Po kilku chwilach żołnierz był pewny, że jego najgorsze obawy wkrótce się spełnią. Już czuł zamykającą się wokół niego wodę.

Zdecydowany nie wpadać w panikę, Norrec ruszył po schodach na górę, starając się utrzymać na nogach. Cokolwiek żeglarz mógł o nim sądzić, Norrec musiał jakoś pomóc Casco odzyskać kontrolę nad „Ognistym Jastrzębiem”.

Usłyszał, jak Casco krzyczy coś w swoim ojczystym języku: sądząc po wymowie, była to niekończąca się litania przekleństw. Norrec rozejrzał się wokoło, usiłując odnaleźć kapitana.

Znalazł Casco... wraz z gigantycznym koszmarem wynurzającym się z morza.

Gargantuiczny stwór, który wydawał się składać z setki macek i jednej dużej, czerwonej kuli trzymał w uścisku rufę „Ognistego Jastrzębia”. Wodny potwór przypominał gigantyczną kałamarnicę, która została odarta ze skóry i przyozdobiona wszędzie pokręconymi drutami. Co gorsza, mniejsze macki miały zamiast przyssawek małe, podobne do kłów uchwyty, które łapały i rwały każdy kawałek statku, jaki mogły dosięgnąć. Odpadła już część burty i pokładu. Kilka macek i rąk sięgało w stronę żagli.

Kapitan Casco biegł przez pokład, uchylając się przed jedną z macek i atakując pozostałe bosakiem. Niedaleko rzucał się odcięty fragment, chlapiąc dookoła ciemną krwią.

Mimo niebezpieczeństwa, marynarz starał się odpędzić morskiego potwora. Widok był tak absurdalny, jak przerażający, jeden człowiek starający się pokonać nieuniknione...

Jeszcze raz Norrec spojrział na rękawice i krzyknął: – Zrób coś!

Zbroja nie zareagowała.

Skoro nic innego mu nie pozostało, Norrec rozejrzył się w poszukiwaniu broni.

Widząc inny bosak, natychmiast pochwycił go i podbiegł do Casco.

Trafił na moment, kiedy para pazurzastych dłoni pojawiła się za walczącym kapitanem i sięgała ku jego plecom. Jedna z nich zatopiła się w kościstym ramieniu Casco, wyrywając z jego ust krzyk.

Norrec zrobił użytek ze swojego bosaka, wbijając ostrze w potworną rękę i ciągnąc z całej siły.

Ku jego zaskoczeniu dłoń odpadła, uderzyła o pokład. W tej samej chwili druga macka, z wyciągniętymi pazurami, zwróciła się w stronę Norreca. Do tego dwie macki T. przyssawkami zbliżyły się do weterana od prawej.

Zakręciwszy bosakiem, Norrec ugodził w jedną z macek, zmuszając ją do cofnięcia się. Ręka uderzyła w niego, długie niczym jego palce pazury usiłowały rozerwać mu twarz.

Uderzył w nie bokiem kija, ale chybił.

Cóż to za potwór wychynął z morskich czeluści? Choć musiał przyznać, że niewiele wie o istotach żyjących w Bliźniaczych Morzach, Norrec Yizharan nie słyszał żadnej opowieści o stworze podobnym do tej przeklętej hybrydy. Wyglądała na istotę z okropnej opowieści, bardziej podobna do demonicznych impów, które wcześniej przyzywała zbroja.

Demony? Czy ten potwór mógł być jakimś demonem? Czy to wyjaśniało, dlaczego zbroja nie zadziałała? Wciąż tyle zagadek, choć...

Ponad tuzin macek z rękami lub bez nich wystrzeliło z morza i z różnych stron zaatakowało Norreca i Casco. Bardziej doświadczony w wymachiwaniu bosakiem kapitan dowiódł, że nie jest z nim wcale tak źle, zwinnie rozcinając dwie macki na raz. Norrec nie miał takiego szczęścia, gdyż udało mu się odepchnąć kilka z nich, ale żadnej nie zrobił krzywdy.

Coraz więcej macek przestawało zajmować się statkiem, starając się raczej pokonać przeciwnika. Jednej z nich udało się wyrwać bosak z ręki Casco i to z taką siłą, że kapitan poleciał na pokład, kiedy zawiodła go ranna noga. Kilka macek z pazurami zawinęło się wokół niego, przyciągając w stronę wielkiego behemota.

Norrec pospieszyłby mu na pomoc, ale jego sytuacja była jeszcze gorsza niż marynarza. Macki owinęły się mu wokół nóg, potem pasa, zaś dwie inne wyrwały bosak z ręki. Żołnierz został porwany w powietrze, pomimo zaczarowanej zbroi macki powoli wyciskały z niego dech.

Krzyknął, gdy kilka pazurów rozdarło mu lewy policzek. Norrec słyszał, jak znajdujący się gdzieś poza zasięgiem jego wzroku Casco wykrzykuje klątwy w momencie, gdy śmierć miała porwać obu mężczyzn.

Wężowy kształt owinał się wokół gardła Norreca. W rozpaczy chwycił za niego świadom, że jego siła może nie być wystarczająca.

Rękawica rozbłysła jaskrawą czerwienią.

Macka natychmiast rozluźniła uścisk na gardle, ale rękawica jej nie puściła. Druga dłoń Norreca, również świecąc na czerwono, chwyciła mackę oplatającą go w pasie.

Pozostałe macki stwora odpadły, pozostawiając Norreca wiszącego na rękach ponad pokładem „Ognistego Jastrzębia”. Sztorm rzucał nim na wszystkie strony, ale zbroja Bartuca nie chciała puścić, nawet wtedy, gdy bestia usiłowała oderwać pochwycone macki. Norrec wrzeszczał, ramiona bolały go tak, jakby zaraz miały zostać wyrwane ze stawu.

– Kosori nimth! – wykrzyczały jego usta – Lazarai... lazarai!

W lewiatana uderzyła błyskawica.

Stwór zatrząsł się z bólu, niemal odrzucając Norreca. Nawet wtedy rękawice trzymały go dalej. Najwidoczniej zbroja władcy jeszcze nie skończyła swego dzieła.

– Kosori nimth! – powtórzyły wargi żołnierza – Lazarai dekadas!

Druga błyskawica uderzyła stwora wprost w jego przerażające oko. Bez problemu wypaliła gałkę, ciskając gorące płyny na Norreca i statek.

– Dekadas!

Miejsce, gdzie palce Norreca dotykały macek, stały się szare. Wężowe ciało z zaskakującą prędkością zamieniało się w kamień.

Lawiatan skamieniał, jego macki pozostały tam, gdzie były w chwili wypowiedzenia ostatniego słowa zaklęcia. Od trzymany przez wojownika macek szary kolor szybko podążył na dół, a potem zaczął się rozchodzić na wszystkie strony, w kilka sekund pokrywając ciało giganta i pozostałe jego kończyny.

– Kosori nimthl – wykrzyknął Norrec po raz trzeci i – jak mu się wydawało – ostatni.

Błyskawica jaśniejsza niż pozostałe uderzyła wprost w zniszczone oko poszarzałego demona.

Potworny behemot zatrzęsł się.

Rękawice zwolniły uchwyt na mackach i przywróciły Norrecowi władzę w dłoniach. Pozbawiony nagle punktu oparcia, przestraszony wojownik chwycił jedną z masywnych kończyn i ją odłamał. Spadał na statek, mając tylko nadzieję, że umrze od uderzenia o twarde pokład, a nie utonięcia we wzburzonej wodzie.

OSIEM



– To dziwne – mruknął kapitan Jeronnan, patrząc w dal – Wydaje mi się, że to szalupa.

'Kara zmrużyła oczy, nic nie widząc. Kapitan miał z pewnością zadziwiająco dobry wzrok.

– Czy ktoś w niej jest?

– Nikogo nie widzą, ale muszę przyjrzeć się dokładniej. Nie zaryzykuję życia jednego żeglarza tylko po to, aby zaoszczędzić kilka minut... mam nadzieję, że wiesz, co mam na myśli, dziewczyno.

– Oczywiście! – I tak była wdzięczna, że Jeronnan w ogóle zorganizował tę podróż.

Uczył coś, czego nekromantka nie mogłaby się spodziewać po obcej osobie: postawił okręt i załogę do jej wyłącznej dyspozycji. W zamian przyjął tylko taką zapłatę, która pokrywała wydatki. Za każdym razem, gdy próbowała nalegać, jego twarz przybierała ponury wyraz, ostrzegając czarnowłosą czarodziejkę, że ośmieliła się deptać pamięć córki byłego oficera floty.

Dopiero po dwóch dniach na morzu Kara zdała sobie sprawę, że rzeczywiście bardzo potrzebował tej wyprawy. Jeśli wcześniej wysoki karczmarz wydawał się hałaśliwy, teraz tryskał energią. Nawet chmury na zachodzie nie były w stanie popsuć mu humoru.

– Panie Drayko! – Na okrzyk Jeronnana zwinny mężczyzna o ostrych rysach twarzy, w doskonale zachowanym mundurze „oficerskim odwrócił się i zasalutował. Drayko wcale nie wydawał się rozzłoszczony, gdy jego

przełożony ogłosił, że przejmuje dowodzenie na statku. Z pewnością drugi oficer Jeronnana żywił wobec karczmarza wielki szacunek – Szalupa przed nami!

– Tak jest, kapitanie! – Drayko natychmiast wydał rozkazy, marynarze przygotowywali się do przyjęcia rozbitków. Załoga „Królewskiej Tarczy” działała szybko i sprawnie, czego Kara Nocny Cień mogła się spodziewać. Ci, którzy służyli pod Jeronnanem służyli pod człowiekiem, który przeżył większość swego życia pod dyktando ścisłej dyscypliny. Nie znaczyło to jednak, że rządził żelazną ręką. Jeronnan uważał również każdego ze swoich ludzi za człowieka, a to wśród współczesnych dowódców było rzadkością.

Gdy „Królewska Tarcza” podpłynęła do samotnej łodzi, dwaj marynarze natychmiast przygotowali liny, aby ją pochwycić. Jeronnan i Kara podeszli, aby przyrzeć się ich wysiłkom.

Nekromantka zaczęła odczuwać pewien niepokój. Płynęli tym samym szlakiem, którym prawdopodobnie płynął „Ognisty Jastrząb” – czy mogła to być łódź z tego statku? Czy misja Kary już się zakończyła, a cel jej poszukiwań znajduje się na dnie morza?

– Ktoś tam jest – zamruczał kapitan Jeronnan. Rzeczywiście, na dnie łodzi leżał marynarz. Jednak gdy załoga starała się pochwycić łódkę, Kara zdążyła zaobserwować wyraźne znaki świadczące o tym, że dla tego człowieka pomoc przybyła za późno.

Drayko wysłał dwóch ludzi na łódź, aby sprawdzili, co z rozbitkiem. Ześlizgnąwszy się po linach, ostrożnie odwrócili leżące twarzą w dół ciało.

Niewidzące oczy spojrzały na niebo.

– Nie żyje od wczoraj – powiedział jeden z marynarzy. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie. – Sir, proszę o zgodę na złożenie go na spoczynek.

Kara nie musiała pytać, co to znaczy. Tutaj niewiele można było zrobić z ciałem.

Ceremonia... i pochówek w wodzie.

Jeronnan skinął głową, ale Kara szybko położyła rękę na jego ramieniu.

– Chcę zobaczyć ciało... być może czegoś się dowiemy.

– Myślisz, że pochodzi z „Ognistego Jastrzębia”?

– A ty nie, kapitanie? Zmarszczył czoło.

– Taak... ale co zamierzasz zrobić?

Nie zamierzała tłumaczyć mu wszystkiego.

– Chcę wiedzieć, co się wydarzyło... jeśli zdołam.

– Dobrze. – Jeronnan wydał marynarzom rozkaz, aby wciągnęli zwłoki na pokład.

– Przygotuję dla ciebie kajutę, panienko! Nie chcę, żeby ktoś przyglądał się temu, co będziesz robić. Nie zrozumieliby tego.

W krótkim czasie przeniesiono zwłoki do kajuty wybranej przez Jeronnana. Kara sądziła, że pozostanie z ciałem sama, ale kapitan nie chciał wyjść. Nawet gdy wyjaśniła mu szczegółowo, co zamierza zrobić, były karczmarz nie zamierzał opuszczać kajuty.

– Widziałem ludzi rozrywanych w bitwie, potwory, o których wątpię, żebyś słyszała, śmierć w tysiącu odmianach... a po tym, co zdarzyło się mojej córce wątpię, aby coś mnie tak przestraszyło, bym uciekł. Będę się przyglądał i pomogę, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– W takim razie, proszę, zamknij drzwi na skobel. Nie chcę, aby ktoś jeszcze to oglądał.

Gdy wykonał jej polecenie, Kara uklękła przy ciele. Marynarz był mężczyzną w średnim wieku – widać było, że życie nie było dlań łaskawe. Przypomniawszy sobie to, co wiedziała o „Ognistym Jastrzębiu”,

ciemnowłosa czarodziejka coraz bardziej podejrzewała, że łódź rzeczywiście pochodziła z tego statku.

Człowiek, który niósł ciało, zamknął mu oczy, ale Kara znów je otworzyła.

– Na Morską Wiedźmę, co ty robisz, panienko?

– To, co muszę. Kapitanie, jeśli chcesz, nadal możesz wyjść. Nie musisz przy tym wszystkim być.

Zamarł.

– Zostanę... mówi się, że spojrzenie umarłego przynosi pecha.

– Już i tak miał go wystarczająco dużo – Sięgnęła do sakiewki, szukając komponentów.

Bez sztyletu nie mogła przyzwać ducha tak, jak uczyniła to w grobowcu Bartuca. Poza tym, gdyby to zrobiła, mogłoby to skłonić Jeronnana do powstrzymania jej. Nie, to co zamierzała uczynić działało równie dobrze, a nie wywoła złości kapitana.

Z jednej z sakiewek Kara wyciągnęła szczyptę białego proszku.

– Co to?

– Sproszkowana kość, zmieszana z ziołami – Sięgnęła w stronę twarzy martwego żeglarza.

– Ludzka kość?

– Tak. – Kapitan Jeronnan nie wydał z siebie żadnego dźwięku, nie protestował, co sprawiło nekromantce ulgę. Kara zatrzymała dłoń nad oczami, po czym posypała białą substancją niewidzące źrenice.

Jeronnan nadal trzymał język za zębami, co mu się chwaliło. Dopiero gdy wyciągnęła małą czarną fiolkę i otworzyła trupowi usta, zdecydował się jej przerwać.

– Nie zamierzasz mu tego wlać do gardła, co, panienko? Spojrzała na niego.

– Nie dokonuję profanacji, kapitanie. Robię to, aby się dowiedzieć, dlaczego ten człowiek zginął. Wygląda na odwodnionego, zagłodzonego, jakby nie jadł i nie pił przez tydzień. Bardzo dziwny stan jak na kogoś, kto, jak przypuszczamy, płynął na ściganym przez nas statku. Sądzę, że tamten kapitan raczej karmi swoją załogę, prawda?

– Casco to szalony, zagraniczny diabeł, ale zapewne dba o swoich ludzi.

– Tak sądziłam. A jeśli ten biedak nie jest z „Ognistego Jastrzębia”, musimy dowiedzieć się, na jakim statku płynął, zgodzisz się ze mną?

– Racja, panienko... wybacz mi.

– Tu nie ma czego wybaczać. – Gdy odkorkowała fiolkę, rozwarła zaciśnięte szczęki żeglarza. Zaraz potem przechyliła naczynie tak, że połowa zawartości spłynęła wprost do gardła. Zadowolona, zatkała ją i schowała z powrotem.

– Może chociaż pociesz mi, jak zamierzasz się czegoś dowiedzieć.

– Zobaczysz. – Mogła mu to wyjaśnić, ale Jeronnan nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ostrożnie musiała teraz działać. Płyn, który Kara wykorzystała, działał przez bardzo krótki czas, a ona wciąż miała najważniejszą część zaklęcia do rzucenia. Każda przeszkoda oznaczała utratę cennych sekund.

Kara nakreśliła palcem okrąg na piersi marynarza, po czym pociągnęła linię do góry, przez gardło i szczękę aż do ust. Jednocześnie szeptała słowa zaklęcia. Zrobiwszy to, zapukała w jego pierś raz, dwa, trzy razy. Od tego momentu ciemnowłosa czarodziejka liczyła wpływające sekundy.

Martwy żeglarz westchnął głośno, gdy jego płuca zaczęły napędnąć się powietrzem.

– Bogowie! – wykrzyknął Jeronnan, cofając się o krok. – Przywróciłaś go do życia!

– Nie – Odparła Kara krótko. Wiedziała, że kapitan pomylił to ze wskrzeszeniem.

Ludzie nigdy nie rozumieli wielu aspektów działań nekromantów. Wbrew plotkom, kapłani Rathmy nie bawili się śmiercią – to było przeciwne ich naukom. – A teraz, kapitanie Jeronnan, proszę pozwolić mi kontynuować.

Mruknął coś, lecz potem się nie odzywał. Kara pochyliła się nad marynarzem i zajrzała w jego martwe oczy. Emanował z nich delikatny złoty blask – był to dobry znak.

Cofnęła się.

– Powiedz mi swoje imię.

Zimne usta wypowiedziały jedno słowo:

– Kalkos.

– Na jakim statku pływałeś? Znów wdech, potem odpowiedź: – „Ognisty Jastrząb”.

– Więc on pochodzi z...

– Ani słowa, proszę! – zwróciwszy się do trupa, zapytała: – Czy statek zatonął?

– Neeee...

Zadziwiająco. Dlaczego więc ten mężczyzna opuścił go?

– Czy zaatakowali was piraci?

Znów przecząca odpowiedź. Kara policzyła, ile czasu jej zostało i stwierdziła, że lepiej będzie zmierzać wprost do celu.

– Czy wszyscy opuścili statek? – Neeee...

– Kto został na pokładzie? – Nekromantka starała się usunąć niecierpliwość z głosu.

Trup jeszcze raz nabrał powietrza.

– Casco... kapitan... – Usta zamknęły się, co nie było do końca normalne. Ciało marynarza zdawało się nie chcieć powiedzieć nic więcej, ale wreszcie szepnęło – Czarrrodziej...

Czarodziej? Ta odpowiedź na chwilę wytrąciła Karę z równowagi. Spodziewała się, że powie coś o złodziejach ze zbroją lub, biorąc pod uwagę rozpaczliwy czyn załogi, dwóch rewenantów, którzy ją zaatakowali. Ich obecność z pewnością zmusiłaby twardych marynarzy do ucieczki na groźne morze.

– Opisz go!

Usta otworzyły się, ale nie padło z nich żadne słowo. Podobnie jak w przypadku duchów, ten czar umożliwiał tylko uzyskanie odpowiedzi na proste pytania. Kara zaklęła cicho, po czym zmieniła pytanie.

– Jak był ubrany? Wdech, a potem...

– Zbrojaa... Zamarła.

– Zbroja? Czerwona zbroja?

– Taaak...

Tego się nie spodziewała. A więc jeden z tych, którzy wyszli z grobowca, był czarodziejem. Czy to był ten Norrec Vizharan, o którym mówiła zjawa w grobowcu?

Powtórzyła imię marynarzowi pytając, czy je zna. Niestety, odpowiedź była przecząca. Jednak Kara dowiedziała się wielu rzeczy. Gdy ten Kalkos ostatni raz widział „Ognistego Jastrzębia”, statek nie tylko płynął, ale też miał na swoim pokładzie zbroję, której poszukiwała.

– Bez załogi – zapytała milczącego kapitana Jeronnana – Statek nie popłynie daleko, prawda?

– Raczej będzie pływał w kółko, o ile ten czarodziej i kapitan pozostaną na pokładzie.

– Jeronnan zawahał się, a potem zapytał: – Nie masz więcej pytań?

Miała, ale na żadne z nich trup by nie odpowiedział. Kara szczerze żałowała, że nie ma swojego sztyletu. Mogłaby przywołać prawdziwego ducha, który odpowiadałby dłuższymi, bardziej złożonymi zdaniami. Starsi, bardziej doświadczeni nekromanci dochodzili do znacznie lepszych wyników bez używania przyrządów, ale Kara wiedziała, że upłynie jeszcze wiele lat, nim osiągnie taki poziom doświadczenia.

– A co z nim? – Nalegał były oficer marynarki. – Co stało się z nim... i resztą załogi?

Dzień na wzburzonym morzu może zabić wielu ludzi, ale w jego wyglądzie jest coś niezwykłego...

Zawstydzona, że Jeronnan musiał jej o tym przypominać, Kara szybko pochyliła się nad ciałem.

– Gdzie są twoi towarzysze?

Brak odpowiedzi. Szybko dotknęła klatki piersiowej, poczuła, jak ugina się pod lekkim dotknięciem jej palców. Płyn, który był składnikiem czaru, zaczął wypływać.

Czarodziejka miała tylko jedną szansę. Oczy martwego człowieka często zapamiętywały ostatnie obrazy, jakie widział przed śmiercią. Jeśli proszek, którym je posypała zachował swoją moc, Kara mogła zobaczyć te obrazy sama. Nie oglądając się na kapitana, powiedziała:

– Pod żadnym pozorem nie wolno mi teraz przeszkadzać. Zrozumiano?

– Tak... – Jeronnan powiedział to z niechęcią.

Kara spojrzała wprost w martwe oczy i zaczęła mrużyć. Złoty blask w jego oczach przyciągał ją, pochłaniał. Nekromantka zwalczyła instynktowną chęć ucieczki ze świata umarłych, skupiając się na zaklęciu, które rzucała.



I nagle Kara znalazła się na małej łodzi pośrodku wzburzonego morza, wiosłując z całej siły, jakby ścigała ją cała Mroczna Trójca. Nekromantka spojrzała w dół, zobaczyła, że jej ręce są twarde, szorstkie – ręce marynarza, ręce Kalkosa.

– Gdzie łódź Pietra? – zawołał do niej brodaty mężczyzna.

– Skąd mogę wiedzieć? – odparły jej usta głębokim, chrapliwym głosem.

– Wiosłuj!

Jeśli będziemy płynąć na wschód, mamy szansę! Ten sztorm musi się kiedyś zakończyć!

– Powinniśmy zabrać ze sobą kapitana!

– Nigdy nie zostawi statku, nawet jeśli zatonie! Jeśli chce płynąć z władcą demonów, niech płynie!

– Uwaga na falę! – krzyknął ktoś.

Jej głowa zwróciła się w tamtą stronę, a z ust popłynął strumień epitetów, których Kara jeszcze nie słyszała. W pewnej odległości zobaczyła dwie inne szalupy, również pełne zdesperowanych ludzi.

Brodacz nagle wstał, co w tych warunkach nie było najmądrzejszą rzeczą. Patrzył się na coś za jej plecami – plecami Kalkosa – i jak szalony dźgał powietrze palcem.

– Uważaj! Uważaj!

Spojrzenie Kalkosa przesunęło się, o ile mogło. Marynarz dalej napierał na wiosła.

Kątem oka dostrzegł wynurzający się, węzowy kształt.

– Zawracać! Zawracać! – zawołał Kalkos – Siadaj, Bragga! Brodacz klapnął na swoje miejsce. Ci, którzy mogli poruszać wiosłami, rozpaczliwie starali się zawrócić łódź.

Ponad rykiem fal i grzmotami gromów Kara usłyszała odległe krzyki. Kalkos spojrział w tamtą stronę i zobaczył okropny widok, gdy kilka macek

pochwyciło jedną z łodzi. Kilku ludzi uniosły w powietrze przyssawki na mackach, innych –przerazająco chwytne pazury, niemal ręce, które wyrywały marynarzy z łodzi niczym kwiatki z grządki.

Kara spodziewała się, że teraz marynarze zostaną wrzuceni do straszego otworu w środku potężnej, potwornej postaci. Stwór przypominał gigantyczną kałamarnicę, z jednym wielkim okiem i okropną skórą – z pewnością nie zamieszkiwał tego świata. Tymczasem potwór trzymał ich w powietrzu, używając pazurzastych kończyn do przytykania marynarzy do rozmaitych przyssawek. Ofiary wrzeszczały, błagając o pomoc tych, którzy byli na łodziach.

– Wiosłować, przekłęci! – ryczał Kalkos – Wiosłować!

– Mówiłem ci, że nas nie wypuści! Mówiłem! – Cicho bądź, Bragga! Cicho...

Nakryła ich duża fala, wyrzucając krzyczącego marynarza za burtę. Obok łódki wynurzyły się macki, otaczając towarzyszy Kalkosa ze wszystkich stron i sięgając po nich.

– Do broni! To jedyny sposób...

Choć żeglarzom udało się obronić przed atakiem kilku demonicznych ramion, byli porywani z łodzi jeden po drugim, aż pozostał tylko Kalkos i tylko jedno wiosło jako broń...

Gdy macki owinęły się wokół nóg i chwyciły ją za ramiona, Kara poczuła chłód.

Poczuła, jak ssawki przyczepiają się do jej ciała... nie! To wszystko już się wydarzyło! To przytrafiło się Kalkosowi, nie jej!

Mimo iż sobie to powtarzała, wciąż przeżywała koszmar marynarza jako coś nowego i przerażającego. Nawet pomimo ubrania Kalkos słabł, jakby z jego ciała było odsysane samo życie. Jego skóra zmarszczyła się i

wysuszyła, mimo wilgoci dookoła. Czuł się jak bukłak, którego zawartość jest powoli wypijana...

Nagle, gdy wydawało się, że całe życie zostało z niego wypite, a ciało zdawało się być tylko suchą skorupą, macki wypuściły Kałkosa, który wpadł do łodzi. Choć wiedział, że na pomoc jest już za późno, jednak wolał spędzić ostatnie godziny życia na łodzi, niż w paszczy jakiejś pięknej bestii.

Gdy pazury zanurzyły się w jego ramieniu i uniosły go do pionu, odzyskał przytomność na tyle, by zauważyć, że w łodzi znajduje się ktoś jeszcze.

Nie, nie ktoś, ale coś.

Mówiło głosem przypominającym buczenie tysiąca umierających insektów – choć Kara usiłowała przyjrzeć mu się dokładniej, oczy Kalkosa nie widziały już tak dobrze.

Czarodziejka mogła tylko zobaczyć przerażający, szmaragodowo-czerwony kształt górujący nad konającym marynarzem, kształt, który nie pasował do żadnych ludzkich norm. Przerośnięte, intensywnie żółte oczy, w których zdawało się nie być źrenic, skupiły się na nieszczęsnym Kałkosie.

– Me zaznasz jeszcze rozkoszy śmierci – zaświergotał. – On musi się czegoś dowiedzieć! Gdzie jest głupiec? Gdzie jest zbroja?

– Ja... – zakaszłał marynarz. Jego ciało wydawało się bardzo suche, nawet dla Kary.

– Co...?

Nieludzki inkwizytor potrząsnął nim. Para ostro zakończonych włóczni pojawiła się znikąd, naciskając na pierś Kalkosa.

– On nie ma czasu, człowieku. Nim życie z ciebie wypłynie, zdąży ci zadać jeszcze wiele bólu. Mów!

Gdzieś w swoim wnętrzu Kalkos znalazł siły, by się przyznać.

– O–obcy...wzbroi.. krwi... wciąż... na „Ognistym Jastrzębiu ”.

– Gdzie to?

Marynarz wskazał kierunek.

Demon, tego Kara była pewna, świergotał do siebie, po czym zapytał: –
Czemu ucieka?

– On... demony na statku.

Mroczna istota wydała z siebie dźwięk, którego Kara nie spodziewała się usłyszeć od kogoś z jego gatunku. Poznała, że był to dźwięk świadczący o konsternacji.

– Niemożliwe! Kłamiesz!

Marynarz nie odpowiedział. Kara poczuła, że odpływa. Odpowiedzi napytania gigantycznej figury wycisnęły z niego resztki sił.

Rozmyta postać upuściła Kalkosa, impuls bólu przeszył nekromantkę, gdy ciało upadło. Znów słyszała świergotanie demona, potem usłyszała jedno słowo.

– To niemożliwe!

Kara oglądała wewnętrzną stronę łodzi i zaciskające się palce marynarza – a potem wizja zbladła.

Biorąc głęboki wdech, Kara skoncentrowała się, choć jej oczy były nadal skupione na oczach trupa. Czuła obecność kapitana Jeronnana. Były oficer położył ręce na jej ramionach.

– Wszystko w porządku?

– Jak długo? – wymruczała nekromantka – Jak długo?

– Od kiedy zaczęłaś coś robić? Minuta, może dwie.

Taki mały upływ czasu w świecie rzeczywistym, a tak długi i pełen przemocy we wspomnieniach umarłego. Nekromantka rzucała już raz ten czar, ale nigdy nie spotkała się ze śmiercią tak okrutną jak ta, która stała się udziałem Kalkosa.

„Ognisty Jastrząb” wyprzedzał ich o dzień lub dwa – na pokładzie nie pozostał nikt z załogi, za wyjątkiem kapitana i tego czarodzieja, Norreca Yizharana. To nazwisko powinno ją ostrzec: „Sługa Yizjerei”? Raczej jeden z tych niewartych zaufania magów we własnej osobie! Miał zbroję, miał nawet czelność ją założyć! Czyżby nie rozumiał, na jakie niebezpieczeństwo się naraża?

Bez załogi nawet on miałby kłopoty z utrzymaniem statku na kursie. Kara wciąż miała szansę dogonić go, o ile wcześniej nie dopadli go rewenanci albo demony, które widziała oczami Kalkosa.

– I co? – zapytał Jeronnan, pomagając jej wstać na nogi. – Dowiedziałaś się czegoś?

– Niewiele – skłamała, mając nadzieję, że oczy jej nie zdradzą. – Nic o jego śmierci.

Jednak „Ognisty Jastrząb” dalej płynie, z kapitanem i moim celem na pokładzie.

– Więc wkrótce powinniśmy ich dogonić. Dwóch ludzi nie może za długo kierować takim statkiem.

– Sądzę, że to kwestia najwyżej dwóch dni.

Pokiwał głową, po czym spojrzał na ciało.

– Skończyłaś z nim, panienko?

Zmusiła się, aby nie zdrzeć na wspomnienie ostatnich chwil Kalkosa.

– Tak. Sprawcie mu należyty pochówek.

– Oczywiście... a potem ruszymy za „Ognistym Jastrzębiem”.

Gdy wyszedł z kajuty, aby zawołać kogoś, Kara Nocny Cień otuliła się swoim płaszczem. Choć patrzyła na zwłoki, jej umysł krążył wokół tego, na co się właśnie zdecydowała a wraz z nią każdy człowiek na pokładzie „Królewskiej Tarczy”.

– To musi zostać wykonane – powiedziała cicho nekromantka – Musi być pochwycony, a zbroja przeniesiona w ukrycie. Nieważne, za jaką cenę... nieważne, ile demonów stanie mi na drodze.



– Xazax!

Galeona odczekała chwilę, ale demon nie odpowiedział. Rozejrzała się wokół, szukając wysokiego cienia. Czasami Xazax igrał z nią, a zabawy te miały jakiś ukryty cel.

Czarodziejka nie miała czasu na zabawy, zwłaszcza takie, które czasami okazywały się fatalne dla innych, poza jej partnerem.

– Xazax!

Wciąż bez odpowiedzi. Pstryknęła palcami: płomień lampy rozgorzał jaśniej, lecz cień demona nie pojawił się.

Galeona nie przejmowała się tym. Xazax w namiocie – w porządku. Xazax gdziekolwiek indziej oznaczał kłopoty. Czasem modliszka zapominała, kto pomaga jej w tajemnicy przemierzać świat ludzi.

Nieważne. Miała wiele do zrobienia. Śniada czarodziejka zwróciła swój płonący wzrok na dużą skrzynię, stojącą w kącie namiotu. Skrzynia, wykonana z żelaza i dębu i stojąca na czterech stylizowanych na lwie łapy nogach wydawała się na tyle ciężka, że dwóch żołnierzy z trudem mogłoby ją przenieść. Jednak, podobnie jak w wypadku demona, Galeona nie miała czasu na szukanie rąk do pomocy, zwłaszcza że wszyscy byli zajęci zwijaniem obozowiska. Nie, w tym przypadku musiała poradzić sobie sama.

– Chodź!

Dolne rogi skrzyni zabłyśły. Metalowe nogi obróciły się, lwie łapy przeciągnęły i wyprostowały.

Skrzynia zaczęła iść.

Wielki mebel szedł w stronę Galeony, wyglądając niczym pies przywołany przez swoją panią. Gdy od wiedzy dzieliło go zaledwie kilka cali, zatrzymał się, czekając na dalsze rozkazy.

– Otwórz się!

Wieko rozwarło się z głośnym skrzypieniem.

Zadowolona Galeona wsunęła dłonie pod jeden okaz ze swojej kolekcji. Okaz odczepił się i wpadło miękko w jej nadstawione ręce. Czarodziejka ułożyła go w skrzyni, podobnie postąpiła z następnym.

Układała przedmioty w środku, jeden po drugim. Postronny obserwator mógłby dostrzec, że niezależnie od tego, ile rzeczy Galeona zapakowała do skrzyni, nigdy nie wydawała się ona całkowicie wypełniona. Wiedźma zawsze znajdowała miejsce na coś nowego...

Gdy wydawało się, że już zapakowała wszystko, lekki chłód przeszedł ją po krzyżu.

Galeona odwróciła się i po krótkim poszukiwaniu znalazła cień, którego wcześniej tu nie było.

– Nareszcie wróciłeś! Gdzieś ty był?

Z początku demon nie odpowiadał, głębiej wnikając w załamania namiotu.

– Augustus nakazał zwijać obóz. Chce wyruszyć natychmiast po zakończeniu pakowania, niezależnie od tego, czy będzie to dzień, czy noc.

Xazax wciąż nie odpowiadał. Galeona zamilkła – nie podobała jej się ta cisza.

Modliszka mamrotała coś, nie mogąc się opanować.

– Co się stało? Co się z tobą dzieje?

– Gdzie chce iść generał? – zapytał nagle cień.

– Musisz pytać? Do Lut Gholein, oczywiście. Demon zdawał się przetrawiać informację.

– Tak, on pójdzie do Lut Gholein. Tak... tak będzie najlepiej... Zrobiła krok w stronę cienia.

– Co się z tobą dzieje? Gdzie byłeś?

Kiedy nie odpowiedział, wiedźma podeszła do rogu namiotu, z każdą chwilą stając się coraz bardziej rozzłoszczona.

– Odpowiadaj, albo...

– Odejdź!

Demon wypadł z cienia, jego potworna sylwetka górowała nad człowiekiem. Galeona cofnęła się, padając na poduszki wciąż leżące na podłodze.

Śmierć pod postacią piekielnego owada z płonącymi, żółtymi oczyma i gwałtownie szczękającymi odnóżami unosiła się nad nią. Pazury i podobne do kos odnóża zbliżały się na odległość cala do twarzy Galeony.

– Nie kłap tyle i trzymaj się od niego z daleka! Lut Gholein jest naszym celem! Nie będziesz mówić, dopóki on nie zdecyduje inaczej!

Potem... Xazax cofnął się w ciemny kąt, jego fizyczna forma zbladła, a cień stał się mniej wyraźny. Po kilku sekundach jedynym znakiem jego obecności był kawałek potwornego kształtu pośród załamania tkaniny.

Jednak Galeona nie ruszyła się z miejsca, gdzie leżała, dopóki nie była absolutnie pewna, że modliszka stamtąd nie wyskoczy. Kiedy wreszcie wstała, była pewna, że znalazła się wystarczająco daleko od miejsca, gdzie krył się cień. O włos minęła się ze śmiercią, śmiercią długą i powolną.

Xazax nie wydał żadnego dźwięku ani się nie poruszył. Galeona nie pamiętała, czy kiedykolwiek widziała, aby ten przerażający demon zachowywał się w taki sposób. Mimo, iż zawarli pakt, był gotów ją zabić, gdyby nie usłuchała go natychmiast – o tym przyrzekła nie zapominać. Pakt powinien być nie do złamania dla nich dwojga – był to jedyny powód, dla którego tak długo się tolerowali. Jeśli Xazax był gotów zaryzykować

konsekwencje zerwania paktu i pozbycia się jej, to zmuszało to Galeonę do szybszego znalezienia jakiegoś sposobu na pozbycie się go... co oznaczało wybór między generałem a tym głupcem w zbroi. Wiedziała, że nad mężczyznami zawsze miała jakąś kontrolę.

Czarodziejka wróciła do pakowania namiotu, ale jej umysł wciąż krążył wokół zachowań demona. Oprócz niebezpieczeństwa, jakie stanowiło jego pragnienie złamania paktu, ten wybuch stanowił zagadkę, na którą bardzo pragnęła poznać odpowiedź.

Wyjaśniłoby to nie tylko jego nerwową reakcję, ale też uczucie, którego nigdy wcześniej u niego widziała.

Co, zastanawiała się Galeona, mogło tak bardzo przestraszyć demona?

DZIEWIĘĆ



Potworny ból rozlewający się po ciele Norreca Yizharana przekonał go, że jeszcze nie umarł. To, że oddychał znaczyło, że nie wpadł do morza, ale uderzył o deski pokładu. Fakt, że nie skręcił sobie karku ani nie połamał kości zawdzięczał tylko przeklętej zbroi Bartuca.

Uratowała go z uścisku piekielnego behemota – ocalenie przed upadkiem było dla niej więcej niż łatwe. W głębi serca weteran żałował, że się jej udało. Wtedy pozbyłby się koszmarów.

Norrec otworzył oczy i zobaczył, że leży w swojej kajucie. Na zewnątrz wciąż szalał sztorm. Tylko dwie siły mogły go tu zanieść, a jedną z nich była zbroja. Po tym, co zrobiła temu stworowi z mackami, wydawała się być mocno osłabiona, niezdolna do wykonania żadnego ruchu. Sam Norrec czuł się wyczerpany, dziwił się, iż w ogóle był w stanie się poruszać. Jego słabość była tak niezwykła, że żołnierz zastanawiał się, czy zbroja lub potwór nie wyssały z niego części życia.

W tym momencie drzwi do kajuty otworzyły się i kapitan Casco wszedł, kuśtykając, z miską w ręce. Płynął z niej zapach pociągający i odrażający jednocześnie.

– Przebudził się? Dobrze! Jedzenia nie straci! – Wychudły marynarz wcisnął żołnierzowi miskę.

Norrecowi udało się usiąść, aby móc jeść.

– Dziękuję.

Kapitan tylko mruknął coś w odpowiedzi.

– Jak długo byłem nieprzytomny?

Casco rozważał przez chwilę odpowiedź, jakby chcąc się upewnić, czy dobrze zrozumiał pytanie.

- Dzień. Trochę dłużej.
- Co ze statkiem? Czy ten potwór bardzo go uszkodził? Znów przerwa.
- Statek zawsze uszkodzony... ale nadal może płynąć.
- Jak będziemy żeglować w czasie sztormu i bez załogi?

Kapitan skrzywił się. Norrec podejrzewał, że zadał pytanie, na które Casco nie miał dobrej odpowiedzi. Oczywiście, bez załogi nie mogli płynąć. Prawdopodobnie „Ognisty Jastrząb” pływa w kółko, miotany przez fale i wiatr. Mogli przeżyć atak potwora, ale to nie znaczy, że dopłyną do Lut Gholein.

Potwór... wspomnienia Norreca były tak niezwykle, że musiał zapytać Casco, czy to, co widział, było prawdą.

Kapitan zadrżał.

- Widział ty spadał... widział jak Morska Wiedźma ginie...

Marynarz uznał, że istota, z którą się zmierzyli, była legendarnym potworem, o którym opowiadało tak wielu marynarzy. Norrec uważał inaczej – po spotkaniach z impami i skrzydlatym stworem był pewien, że ten potwór stanowił kolejną demoniczną siłę, tym razem nie przyzwaną przez jego zaczarowaną zbroję.

Legendy o Bartucu mówiły, że zaczynał on swoją karierę h jako sługa piekielnych sił, potem jako czarnoksiężnik obdarzany był przez demony szacunkiem i strachem, aż wreszcie, pragnąc zdobyć świat, stał się dowódcą legionu demonów. Jednak żadna z tych opowieści nie wspominała, jak potężniejsze demony przyjęły taką uzurpację. Czyżby zauważyły, że zbroja zniknęła z grobowca i tak bardzo obawiały się, że duch Bartuca odzyska swoją władzę nad ich rodem?

Od takich niesamowitych myśli pękała mu głowa. Najlepiej zajmie się swoją sytuacją.

Jeśli „Ognisty Jastrząb” pozostanie bez sternika, to będzie błędził po Bliźniaczych Morzach jeszcze długo po śmierci swoich ostatnich załogantów albo też zatonie z powodu sztormu.

– Nie jestem człowiekiem morza – powiedział do Casco pomiędzy jednym kęsem a drugim – Ale jeśli pokażesz mi, co należy zrobić, pomogę. Musimy ustawić statek na dobrym kursie.

Teraz Casco parsknął.

– Zrobił dość! Po co więcej? Po co?

Jego nastawienie nie tylko uderzyło Norreca, ale też wywołało gniew wojownika.

Wiedział, że o taki stan rzeczy można obwiniać jego – a dokładniej zbroję – ale oferta pomocy była szczerą. Norrec wątpił, żeby zbroja powstrzymała go od pomagania – w końcu to jej najbardziej zależało na dotarciu do Lut Gholein.

– Posłuchaj! Zginiemy, jeśli nie uda się nam odzyskać kontroli nad „Ognistym Jastrzębiem”. Jeśli sztorm nas nie zabierze, umrzemy z głodu, gdy zepsują się zapasy lub, co bardziej możliwe, wpadniemy na jakieś skały i pójdziemy na dno jak kamień! Czy chcesz, żeby twój statek właśnie tak skończył?

Widmowa postać potrząsnęła głową.

– Głupiec! Upadek uszkodził głowę? – odważył się potrząsnąć ramieniem Norreca.

– Chodź! Chodź!

Odkładając niemal pustą miskę, podążył za Casco na zewnątrz, w sztorm. Jego nogi musiały ponownie przyzwyczać się do kołysania statku, ale kapitan zaczekał na niego.

Uczucia wobec pasażera balansowały pomiędzy nienawiścią, szacunkiem i strachem. Nie zaproponował mu żadnej pomocy, ale też i nie popędzał Norreca, pozwalając mu iść tak szybko, jak ten mógł.

Gdy doszli do pokładu, marynarz puścił Norreca przodem. Weteran trzymał się resztek poręczy i usiłując dostrzec przez kurtynę ulewnego deszczu, co też Casco chciał mu pokazać. Widział tylko ten sam pusty pokład, co wcześniej. Marynarze nie zwijali lin, nikt nie stał przy kole sterowym.

A jednak... koło się obróciło. Liny nie trzymały go już w jednej pozycji. Norrec zmrużył oczy, pewny, że koło powinno dziko wirować – tymczasem poruszało się orio lekko to w jedną, to w drugą stronę, jakby trzymał je w rękach jakiś niewidzialny marynarz.

Jego uwagę zwrócił ruch z boku. Ku swemu przerażeniu Norrec zobaczył, jak jedna z lin nagle się rozwiązała, a potem zawiązała w nowy węzeł.

Dookoła siebie zaczął dostrzegać delikatne poruszenia, zmiany. Liny dopasowywały się do potrzeb żagli. Ster kierował statek prostopadle do fal, ustawiając „Ognistego Jastrzębia” na konkretnym kursie – Norrec spodziewał się, że płyną niemal wprost na zachód.

Żadna załoga nie kierowała statkiem, ale to wydawało się nie mieć znaczenia.

– Co się dzieje? – wrzasnął do kapitana.

Casco spojrział na niego znacząco.

Zbroja! Jej moc znów go zadziwiła. Poradziła sobie z ogromnym demonem, a teraz zadbała o to, aby jej podróż trwała dalej, niezależnie od braku załogi. Tak czy inaczej, „Ognisty Jastrząb” dotrze do portu.

Norrec zrobił krok do przodu, kierując się nie do kajuty, ale do mesy. Casco szedł za nim – w tej podróży nie miał już nic do roboty. Obaj

mężczyźni otrząsnęli się z deszczu.

Casco pogrzebał w skrzyni i wyciągnął zakurzoną butelkę, której zawartością nie podzielił się ze swym kompanem. Norrecowi przemknęło przez głowę, czy by nie poprosić o łyk – na pewno go potrzebował – ale przemyślał to jeszcze raz. Głowa wystarczająco go bolała i wołał, aby nic jej nie zaćmiewało. Wreszcie zapytał:

– Kiedy dotrzemy do portu?

Casco odkleił się od butelki na tak długo, by odpowiedzieć: – Trzy. Może cztery dni.

Norrec skrzywił się. Miał nadzieję, że dotrą szybciej. Trzy lub cztery dni na pokładzie statku, gdzie ster i liny poruszają się same, a jego jedynym towarzyszem jest kapitan o wyglądzie szaleńca, który sądzi, że wojownik jest diabłem w ludzkiej skórze.

Wstał.

– Do pory następnego posiłku będę w swojej kabinie.

Casco nie kiwnął palcem, aby go zatrzymać. Chudy żeglarz wydawał się być szczęśliwy sam na sam ze swoją butelką.

Wychodząc na sztorm, Norrec przedarł się do swojej kajuty. Wolałby zostać w znacznie bardziej obszernej i suchej części pod pokładem, ale obecność Casco wywoływała w Norrecu poczucie winy za wszystkie kłopoty, jakie mu sprawił. Dziwił się, że Casco nie poderżnął mu gardła, kiedy leżał nieprzytomny. Oczywiście, widząc co Norrec zrobił i to, że nie zabił się przy upadku, musiał pomyśleć, że każda próba targnięcia się na jego życie smutno się dla niego skończy.

I zapewne niewiele się mylił.

Deszcz starał się nie tylko zmoczyć Norreca, ale i zmieść go z pokładu. W czasie tych wszystkich lat, kiedy Norrec walczył dla tego lub innego pana, zdarzyło mu się podróżować w znacznie gorszych warunkach, nawet

w zadymce śnieżnej. Jednak ten sztorm nie miał sobie równych. Pozostawało tylko modlić się, że ucichnie, gdy „Ognisty Jastrząb” dopłynie do Lut Gholein.

Założywszy, rzecz jasna, że statek w ogóle dopłynie do portu.

Silny deszcz ograniczał widzialność, choć na samym statku ani między falami nie było niczego, co warto byłoby oglądać. Norrec musiał wciąż mrugać, aby usunąć lejącą się do oczu wodę i móc dostrzec cokolwiek w odległości kilku jardów. Kajuta nigdy nie wydawała się tak odległa, jak w tej chwili. Ciężar zbroi także robił swoje, metalowe płyty wydawały się być dwa razy cięższe. Norrec przynajmniej nie musiał martwić się o jej czyszczenie – zaklęcia Bartuca sprawiały, że była tak czysta, jak w chwili, kiedy ją założył.

Nie po raz pierwszy Norrec zatrzymał się. Klnąc pogodę, wyprostował się i przetarł oczy, aby zobaczyć, jak daleko znajduje się od drzwi kajuty.

Mroczna postać patrzyła na niego z rufowej części przejścia.

– Casco? – zawołał i zdał sobie sprawę, że ze swoją nogą kapitan nie pokonałby tak szybko drogi na rufę. Co więcej, postać była wyższa od żeglarza i nosiła płaszcz z poszerzonymi ramionami podobny do tych, jakie nosili Yizjerei...

Podobny do płaszcza Fauztina.

Zrobił krok do przodu, usiłując lepiej przyjrzeć się postaci. Wydawała się ona w połowie zasłonięta i Norrec zastanawiał się, czy to, co widzi nie jest tylko produktem jego zmęczonego umysłu.

– Fauztin? Fauztin? Cień nie odpowiedział.

Norrec zrobił następny krok do przodu – i nagle włosy na karku stanęły mu dęba.

Obrócił się.

Druga, nieco niższa postać stojąca obok dziobu pojawiała się i znikwała, jej szczupła sylwetka wskazywała na akrobatę lub złodzieja. Coś podobnego do podróżnego płaszcza łopotało na wietrze, zasłaniając szczegóły, ale Norrec wyobraził sobie martwą twarz z zastygłym uśmiechem i głowę przechyloną pod kątem z powodu złamania karku.

– Sadun? – wykrztusił.

Jego ręce lekko zadrżały. Norrec spojrział na dół, z trudem dostrzegając delikatną czerwoną aurę dookoła nich.

Piorun uderzył tak blisko, że na chwilę oświetlił cały statek, a ogłuszony wojownik gotów był przysiąc, że trafił w „Ognistego Jastrzębia”, ale nie zrobił statkowi żadnej krzywdy.

Na chwilę Norreca otoczyła oślepiająca jasność sprawiając, że zapomniał o dwóch zjawach.

Jego wzrok wreszcie wrócił do normalności. Mrugając, wojownik popatrzył w stronę dziobu i steru: po dwóch cieniach nie zostało ani śladu.

– Sadun! Tryst! – wykrzyknął przerażony wojownik. Obracając się ku sterowi, wrzasnął – Fauztin!

Tylko sztorm mu odpowiedział, atakując ze wzmożoną furją. Nie chcąc się poddać, Norrec ruszył z powrotem w stronę dziobu, wykrzykując imię Saduna. Wyszedł na otwarty pokład, rozglądając się dookoła. Nawet on sam nie wiedział, dlaczego chciał się zmierzyć ze swoimi martwymi towarzyszami. Przeprosić ich? Wyjaśnić? Jak mógł to zrobić, nawet wiedząc, że to zbroja ich zabiła. Przecież wojownik wciąż obwinał się o to, że nie posłuchał Fauztina tych kilka cennych sekund wcześniej.

Gdyby to zrobił, nie byłoby go tutaj.

– Tryst! Niech cię! Jeśli jesteś prawdziwy... jeśli jesteś gdzieś tutaj... przyjdź do mnie!

Przepraszam! Przepraszam!

Czyjaś dłoń spadła na jego ramię.

– Kogo woła? – zapytał natarczywie Casco – Co teraz przyzywa?

Nawet w zapadającym mroku i ulewnym deszczu Norrec zobaczył strach w wodnistych oczach kapitana. Według niego, pasażer zupełnie oszalał lub zamierzał przyzwać nowe demony. Oba warianty tak samo przerażały żeglarza.

– Nikogo... nic!

– Żadnych demonów?

– Żadnych. Ani jednego. – Przeszedł obok kapitana, pragnąc tylko odpoczynku, lecz nie w swojej kajucie. Spoglądając na zaskoczonego i sfrustrowanego kapitana, Norrec spytał: – Czy na dole są hamaki dla załogi?

Casco pokiwał ponuro głową. Prawdopodobnie on spał w kajucie obok i nie podobało mu się to pytanie. Nie dość, że musiał dzielić statek z osobą przywołującą piekielne istoty, to teraz ten władca demonów chciał spać w jego pobliżu.

Casco bez wątpienia sądził, że gdy się tak stanie, pod pokładem będą spacerować różne potwory...

– Będę spał w jednym z nich. – Nie zwracając uwagi na to, co czuł w tym momencie kapitan, Norrec zszedł pod pokład. Być może bitwa z piekielnym behemotem wyczerpała go tak, że obudziła poczucie winy za śmierć towarzyszy. To wydawało się bardzo prawdopodobne, tak jak to, że wyobraził sobie Fauztina w dokach Gea Kuł. Ich okaleczone ciała nadal spoczywają w grobowcu, aż do chwili, gdy odnajduje następni poszukiwacze skarbów.

Gdy otrząsnął się z deszczu i ruszył na poszukiwanie hamaków, przyszła mu do głowy pewna myśl. Norrec popatrzył na swoje odziane w rękawice dłonie, poruszył palcami, które teraz były posłuszne jego woli. Jeśli to

wszystko było tylko jego wyobrażeniem, jeśli na pokładzie nie spotkał cieni Fauztina i Saduna Trysta, to dlaczego jego rękawice świeciły, choćby przez chwilę?



W środku nocy armia Augustusa Malevolyna wkroczyła na rozległą, przerażającą pustynię Aranoch. Wielu z nich nie oczekiwało tego marszu, ale dostali rozkaz i nie mogli zrobić nic innego, jak tylko go wykonać. Nie poruszała ich świadomość, że wielu z nich padnie, nim dotrą do celu – zakładając, że tym celem było Lut Gholein. Każdy miał nadzieję, że to właśnie on będzie jednym z tych szczęśliwców, którzy przeżyją i położą rękę na części skarbów portowego królestwa.

Na czele armii jechał sam generał, dumnie nosząc hełm Bartuca. Wyczarowana przez Galeonę blada kula światła płynęła przed nim, oświetlając drogę jego wierzchowcowi. To, że przy okazji był doskonałym celem dla różnych zabójców, w najmniejszym stopniu nie poruszało Malevolyna. Odziany we własną zaklętą zbroję i ze starożytnym hełmem, generał chciał pokazać swoim ludziom, że nie boi się niczego i nic nie jest w stanie go pokonać.

Obok swego ukochanego jechała Galeona, na zewnątrz nie przejmująca się niczym, ale przez cały czas po kryjomu wykorzystująca swoje moce do wykrywania jakichkolwiek zagrożeń dla pochodu. Za wiedźmą jechał kryty wóz ze zwiniętym namiotem Malevolyna, jego wyposażeniem oraz – jakby załadowanym w ostatniej chwili – kufrem Galeony.

– Wreszcie... zbroja będzie moja – mruzczał generał, patrząc w ciemność – Już mogę wyczuć jej bliskość! Gdy ją zdobędę, będę miał wszystko! Gdy ją zdobędę, będę dowodził hordami demonów!

Galeona zastanowiła się, po czym ośmieliła się zapytać: – Czy jesteś pewien, że zapewni ci to wszystko, mój generale? To prawda, hełm jest

zaczarowany, a powiada się, że zbroja jest obłożona jeszcze większą ilością zaklęć, ale jak do tej pory ten hełm nas zbijał z tropu! A jeśli zbroja będzie działać tak samo? Oby nie, ale tajemnice Bartuca mogą od nas zażądać więcej niż możemy...

– Nie! – krzyknął na nią tak gwałtownie, że jadąca tuż za nimi straż wyciągnęła miecze sądząc, że czarodziejka zamierza zdradzić ich dowódcę. Augustus Malevolyn kazał im schować broń, po czym spojrzał na Galeonę.

– Tak się nie stanie, moja droga! Hełm ukazał mi wizje pełne chwały, to na pewno cień Bartuca wzywa mnie, abym dodał swoje zwycięstwa do jego! W każdej z tych wizji widziałem połączoną moc zbroi i hełmu! Duch krwawego władcy wciąż żyje w jego zbroi i pragnie, abym to ja jako wybrany śmiertelnik podniósł jego sztandar! – Wskazał na pustynię.

– W przeciwnym razie, dlaczego głupiec, który ją nosi, podążałby w naszą stronę? Bo tak zostało mu przeznaczone! Mówię ci, zostanę dziedzicem Bartuca!

Wiedźma skuliła się, zaskoczona jego wybuchem.

– Rzekłeś, mój generale.

Malevolyn nagle się uspokoił, a pełen samozadowolenia uśmiech pojawił się na jego twarzy.

– Tak rzekłem. A do tego Lut Gholein również będzie moje. Tym razem nie poniosę klęski.

Choć Galeona podróżowała z generałem dopiero od Marchii Zachodniej, prawdopodobnie znała go lepiej niż ktokolwiek z jego podwładnych. Przez cały ten czas Malevolyn wspominał o Lut Gholein jako o celu prawdopodobnym, o którego zdobyciu marzył. Nigdy nie słyszała, żeby mówił o nim jako o porażce z przeszłości.

– Czy byłeś już kiedyś... tam?

Delikatnie, jakby z oddaniem generał poprawił hełm, odwracając się od niej i uniemożliwiając latającej kuli oświetlenie choć kawałka twarzy.

– Tak... i gdyby nie mój brat... byłoby moje... ale tym razem... tym razem Vizjun upadnie!

– Vizjun? – wykrztusiła z niedowierzaniem.

Na szczęście generał Malevolyn nie zwrócił na nią uwagi, skupiwszy się na ciemnych, poruszających się piaskach. Galeona nie powtarzała tego słowa, gotowa jeśli nie zapomnieć, to porzucić temat. Być może po prostu mu się wymknęło, to co powiedział mogło być zwykłą, niewinną pomyłką. W końcu generał miał tyle spraw na głowie...

Wiedziała, że nigdy nie był w słynnym mieście–świątyni Kehjistanu, nawet nie płynął morzem do tamtego kraju. Augustus Malevolyn był jedynakiem... i do tego niechcianym bastardenem.

Jednak... ktoś, o kim Galeona słyszała, był w sławnym Vizjun, próbował je zdobyć i zniszczyć, ale w końcu został pokonany przez swojego brata.

Bartuc.

Próbując ukryć swoje zamiary, wiedźma uważnie przyjrzała się hełmowi. Wizje, które nawiedzały dowódcę, były przeznaczone tylko dla niego – kiedy w tajemnicy założyła hełm, nie widziała żadnych obrazów. Wyglądało jednak na to, że im dłużej Augustus nosił hełm, tym więcej miał problemów z rozróżnieniem własnego życia od życia okrutnego władcy.

Czy za każdym razem, kiedy coś takiego się zdarzało, hełm rzucał jakieś zaklęcie?

Galeona od niechcienia dotknęła noszonego na palcu lewej ręki pierścienia z czarnym kamieniem i skierowała go w stronę głowy kochanka. Wyszeptała dwa dawno zapomniane słowa, cały czas bacząc, by generał nie dostrzegł, że jej usta poruszają się.

Nie dostrzegł tego, nie zauważył też niewidzialnych macek, które wysunęły z pierścienia i dotykały hełmu w różnych miejscach. Tylko Galeona wiedziała, że tam są, szukając, badając, usiłując odkryć, jakie siły przenikały starożytny hełm.

Gdyby udało się jej dowiedzieć, jak działają na generała, wiedźma mogłaby zrobić pierwszy krok ku wykorzystaniu potężnych zaklęć dla własnych celów. Nawet najmniejszy fragment wiedzy mógł znacznie zwiększyć jej moce...

Błysk czerwonego światła rozblęsnął z hełmu, oświetlając na oczach zdumionej Galeony każdą z magicznych macek.

Moc pomknęła ku niej TL prędkością światła, pożerając macki i podążając w stronę jej palca. Bojąc się o siebie, czarodziejka chciała ściągnąć pierścień.

Była śmiertelnikiem, więc poruszała się zbyt wolno. Strumienie czerwonego światła pożarły ostatnie macki, po czym uderzyły w czarny kamień.

Klejnot zasyczał i stopił się w mgnieniu oka. Płynny kamień kapał na jej palec, przepalając skórę i mięśnie...

Galeonie udało się stłumić krzyk strasznego bólu i zamienić go w ledwo słyszalne westchnięcie.

– Mówiłaś coś, moja droga? – zapytał niedbale generał Malevolyn, nie odrywając oczu od krajobrazu.

Starła się, aby mimo cierpienia jej głos brzmiał spokojnie i pewnie.

– Nie, Augustusie. To tylko kaszlnięcie... piasek w gardle.

– Owszem, to może być groźne. Powinnaś zasłonić usta. – Nie powiedział nic więcej, wracając do swych obowiązków dowódcy lub znów zatapiając się w przeszłości Bartuca.

Galeona ostrożnie rozejrzała się wokół. Nikt nie zauważył zadziwiającego pokazu starcia potężnych mocy. Tylko ona, dysponująca zmysłami wrażliwymi na magię, była świadkiem swej porażki i kary.

Milcząco dziękując za to szczęście, ostrożnie obejrzała ranę. Pierścień zamienił się w żużel, a rzadki kamień w czarną, palącą plamę na palcu. Zdołała ściągnąć obrączkę, ale stopiony klejnot pozostawił trwałą i bolesną czarną plamę na jej nieskalanej dłoni.

Rana nie była dla niej groźna. W swojej karierze miewała już gorsze obrażenia. Nie, Galeonę martwiła gwałtowna reakcja hełmu na jej badania. Na żadne z zaklęć, jakie rzucała na niego w przeszłości nie zareagował tak gwałtownie. Wydawało się, że w hełmie coś się zbudziło, coś, co miało własne zamiary.

Zawsze spodziewała się, że dawny władca obłożył swoją zbroję wieloma zaklęciami o zadziwiającej mocy, aby pomagały mu w bitwach. Takie środki miały sens. A gdyby zgadła część z nich? A jeśli nawet zabójcy Bartuca nie zdawali sobie sprawy z pełni jego umiejętności w dziedzinie demonicznej magii?

Czy to zaklęcia opanowały hełm i zbroję, czy też Galeona odkryła coś więcej?

Czy to sam Bartuc usiłował wrócić z zaświatów?

DZIESIĘĆ

DZIESIĘĆ



„Królewska Tarcza” wpłynęła w sztorm wieczorem piątego dnia po opuszczeniu Gea Kuł. Kara miała nadzieję, że burza skończy się, nim dogonią tamten statek, ale tak naprawdę kierujący statkiem mogli mieć pretensje tylko do siebie. Kapitan Jeronnan dowodził doskonałą załogą, która dobrze wiedziała, jak płynąć po wzburzonym morzu. Nekromantka wątpiła, czy jakikolwiek inny statek mógłby płynąć z taką łatwością i prędkością, co niestety oznaczało, że był on szybszy nawet od burzy.

Nieszczęsny Kalkos został pochowany na morzu – Kara dodała kilka słów od siebie, opierając się na zwyczajach pogrzebowych swego ludu. Według niej Kalkos przeniósł się do innej sfery egzystencji, gdzie w nowym wcieleniu, wraz z innymi zmarłymi będzie starał się utrzymać równowagę wszechrzeczy. Jednak wciąż dręczyło ją poczucie winy, obawy dotyczące wypowiedzianej modlitwy. Błada czarodziejka nie zapomniała, jak bardzo pragnęła żyć, gdy była pogrzebana w drzewie. Jak dotąd jedynym usprawiedliwieniem dla niej było stwierdzenie, że gdyby zginęła, nie tylko zachwiałyby to równowagą, ale także sprawiłoby, że nie pozostałby nikt, kto mógłby odnaleźć zbroję. Do tego nie można było dopuścić.

Gdy tylko wpłynęli na wzburzone wody, Kara Nocny Cień spędziła mnóstwo czasu, obserwując z dziobu rozszalałe morze. Jeronnan uważał to za szaleństwo, ale ona odmówiła powrotu do bezpiecznej kajuty. Sądził, że wypatruje „Ognistego Jastrzębia”, co częściowo było prawdą. Jednak bardziej martwiła ją możliwość powrotu opisanych przez Kalkosa

demonów, a zwłaszcza wodnego lewiatana, który w tak przerażający sposób zabił załogę tamtego statku. Trzymanie straży wydawało się Karze honorowym zobowiązaniem. Uważała też, że ze wszystkich osób na pokładzie ma największe szansę odstraszyć lub odwrócić uwagę potwora, zaś „Królewskiej Tarczy” uda się uciec.

Nawet wśród ulewnego deszczu i rozszalałego morza załoga Jeronnana pozostała zdeterminowana i, jeśli o nią chodzi, uprzejma. Przez jakiś czas Kara obawiała się, że zasłyszane opowieści o żeglarzach będą dotyczyły także jej, zmuszając ją do odrzucania niechcianych zalotów. Kilku z nich się wyraźnie podobała, i to mimo faktu, że wiedzieli, kim jest, a jednak nie byli natrętni. Tak naprawdę to tylko oficer Drayko ośmielił się na coś podobnego do zalotów i zrobił to w taki sposób, że przypominało to bardziej błaganie. W sposób grzeczny i taktowny odrzuciła awanse, ale jego zainteresowanie pochlebiło jej.

Sam kapitan Jeronnan już dawno temu wymazał jakiegokolwiek wątpliwości co do stosunku do pasażera. Kiedy nie traktował Kary jak arystokratki, zachowywał się tak, jakby była członkiem jego rodziny. Teraz były oficer marynarki przelewał na nią uczucia, jakie kiedyś żywił do Teranii. Pozwalała mu na to, nie tylko dlatego, że dzięki temu był w dobrym nastroju, ale również dlatego, że i jej samej było z tym dobrze. Gdy była młodsza, nie brakowało jej rodzicielskiej miłości, ale kiedy rozpoczęła swój dorosły trening, jak inni kapłani

Rathmy musiała ukrywać swoje uczucia, aby jak najlepiej chronić równowagę świata.

Równowaga była ważniejsza niż wszystko inne, nawet rodzina.

„Królewska Tarcza” wspięła się na wyjątkowo wysoką falę, a dwie lub trzy później opadła w dół. Kara mocno trzymała się relingu, usiłując dostrzec cokolwiek w deszczu i mgle.

Choć dzień powoli stawał się nocą, jej oczy, przyzwyczajone do widzenia w ciemności, mogły zobaczyć więcej niż oczy najbardziej nawet doświadczonego marynarza. Na pewno dotarli już, albo nawet minęli miejsce, gdzie zginął Kalkos i reszta załogi. Oznaczało to, że w każdej chwili mogli zostać zaatakowani przez moce spoza tego świata.

– Panienko Karo! – zawołał z tyłu Drayko. – Pogoda robi się coraz gorsza! Naprawdę powinna panienka zejść na dół!

– Nic mi nie będzie – Choć nie była dobrze urodzoną panią, ciemnowłosa czarodziejka nie mogła zmusić załogi do mówienia jej po imieniu. Była to zasługa Jeronnana, który, przedstawiając ją załodze, kładł nacisk ten tytuł i, co ważniejsze, okazywał jej niezwykle szacunek. To, co działało na kapitana, działało też na załogę.

– Ale sztorm...!

– Dziękuję za troskę, panie Drayko.

Już się nauczyłam, że nie należy się z nią kłócić.

– Tylko bądź ostrożna, panienko!

Gdy z trudem przedzierał się z powrotem, Kara uznała, że poszanowanie, jakie żywili dla niej Jeronnan wraz z załogą z pewnością nie przygotowują ją na Lut Gholein. Wiedziała, że tam spotka się z powszechnymi uprzedzeniami na temat osób takich jak ona. Nekromanci mieli do czynienia ze śmiercią, a większość ludzi nie lubiła, kiedy przypominało się im o własnej śmiertelności ani o tym, że ich dusze mogą być potem niepokojone przez takich jak ona.

Mimo odmownej odpowiedzi udzielonej Drayko, nekromantka uznała, że nie może już dłużej stać na dziobie. Nadchodząca noc i okropna pogoda z każdą sekundą pogarszały widoczność. Wkrótce nawet jej zdolności staną się bezużyteczne. Jednak nadal była zdecydowana wytrwać na posterunku tak długo, jak tylko człowiek może wytrzymać.

Fale przelewały się w górę i w dół, ich ruch był monotony, mimo całego pokazu pierwotnej siły. Raz czy dwa dostrzegła coś, co wydawało się jej morskim stworem, jeszcze wcześniej zauważyła jakiś kawałek gnijącego drewna – poza tym, Kara nie mogła poszczycić się lepszymi efektami. Znaczyło to również, że nie było tu śladu po demonach, za co mogła być tylko wdzięczna.

Otarła z oczu pył wodny i deszcz, ostami raz spoglądając na lewą burtę „Królewskiej Tarczy”. Wiele fal, wiele piany, wiele...

Ręka?

Zmieniwszy pozycję, Kara wpatrywała się w czarne wody, wytyżając każdy zmysł.

Tam! Ręka i górna część ludzkiego ciała. Nie mogła dostrzec szczegółów, ale była pewna, że unosząca się wodzie kończyna poruszała się sama.

Kara nie miała przygotowanego żadnego zaklęcia na taką okazję, więc odwróciła się w stronę pokładu i... dostrzegła zmniejszającą się postać drugiego oficera Jeronnana.

– Panie Drayko! Człowiek za burtą!

Na szczęście usłyszał ją natychmiast. Zawoławszy trzech marynarzy, Drayko pobiegł w stronę miejsca, gdzie stała nekromantka.

– Gdzie?

– Tam! Widzi go pan?

Przyjrząwszy się wzburzonym wodom, pokiwał ponuro głową.

– Głowa i ręka, zdaje się, że się poruszają.

Drayko krzyknął do sternika, aby obrócił statek, a potem, znacznie cichszym głosem, powiedział jej:

– Być może w tych warunkach nie zdołamy go uratować, ale spróbujemy.

Nie starała się odpowiedzieć, gdyż znała sytuację nawet lepiej, niż on. Jeśli równowaga wymagała uratowania tego człowieka, zostanie on uratowany. Jeśli nie, wówczas, według nauk Rathmy, podobnie jak dusza Kalkosa powędruje do innego wymiaru, gdzie będzie wypełniać swoją rolę w utrzymywaniu równowagi.

Oczywiście, ta sama równowaga nakazywała walkę o uratowanie życia, jeśli tylko pozostaje jakiś cień nadziei. Rathma nauczał pragmatyzmu, a nie zatwardziałości serca.

Sztorm się nasilał, ale pomimo to „Królewskiej Tarczy” udało się zbliżyć do słabej, zmagającej się z prądem postaci. Noc uczyniła zadanie jeszcze trudniejszym, gdyż niewyraźna sylwetka pojawiała się i znikła wraz z nadpływaniem kolejnych fal.

Tymczasem do załogi dołączył kapitan Jeronnan, przejmując dowodzenie. Ku zaskoczeniu Kary rozkazał dwóm marynarzom przynieść łuki. Jak wyjaśnił jej Drayko, byli oni bardzo dobrze obeznani z bronią.

– Czy chce ukrócić cierpienia tego człowieka? – spytała, zaskoczona nieznaną dotychczas stroną charakteru byłego oficera. Kara oczekiwała, że przynajmniej spróbuje uratować życie nieszczęsnego marynarza.

– Patrz, panienko.

Zrozumiała, gdy zobaczyła, jak łucznicy szybko przywiązują liny do strzał. Zamiast rzucać je rozbitkowi, próbowali dzięki strzałom podesłać je bliżej. W ten sposób nawet w czasie sztormu mogli podać ją dokładniej niż gdyby polegali tylko na własnych mięśniach.

Było to ryzykowne, ale szansa powodzenia była większa.

– Prędeż, do licha! – ryczał Jeronnan.

Łucznicy strzelili. Jedna strzała przeleciała ponad rozbitkiem, ale druga wylądowała bliżej młócej wodę postaci.

– Łap ją! – krzyczał Drayko. – Łap ją!

Postać nie ruszyła w stronę liny. Bardzo ryzykując, nekromantka przechyliła się przez reling, aby podrzucić linę jeszcze bliżej. Może postać zareagowałaby, gdyby lina jej dotknęła.

Kara знаła starszych, którzy potrafili poruszać rzeczy mocą umysłu, ale jej wiedza w tym zakresie była zbyt mała. Mogła mieć tylko nadzieję, że w tej trudnej chwili jej zdecydowanie połączone z umiejętnościami wystarczą.

Może dzięki jej myślom, a może dzięki poruszeniu wody lina zbliżyła się do ramienia mężczyzny na odległość kilku cali.

– Łap ją! – zachęcił go kapitan.

Nagle ciałem szarpnęło. Fala nakryła go, a po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach postać znikła. Kara dostrzegła ją pierwsza, kilka jardów od drugiej liny.

– Niech to! – Drayko uderzył pięścią w reling. – Jest albo martwy albo...

Płynąca postać znów podskoczyła, prawie zanurzając się.

– To nie fale nim poruszają! – zaklął pierwszy oficer.

Przy narastającym przerażeniem Kara i marynarze patrzyli, jak ciało podskoczyło jeszcze dwa razy, a potem znów skryło się pod wodę.

Tym razem nie wypłynęło.

– Rekiny się nim zajęły – zamruczał jeden z marynarzy. Kapitan Jeronnan skinął głową.

– Wciągnijcie liny, chłopcy. Zrobiliśmy, co było w naszej mocy. Niewykluczone, że już był martwy, a poza tym, mamy swoje zmartwienia, co?

Zgnębiona bezcelowością wysiłków załoga wróciła do swoich zadań. Oficer Drayko pozostał z Karą, która wciąż próbowała dostrzec jakiś ślad marynarza.

– Morze upomniało się o niego – szepnął – Musimy dalej z tym żyć.

– Uważamy, że to część ogarniającej wszystko równowagi – odparła – ale strata życia, które mogło zostać uratowane wciąż wymaga opłakania.

– Najlepiej będzie, gdy odejdziesz już stąd, panienko. Dotknąwszy grzbietu jego dłoni, Kara odparła:

– Dziękuję za troskę, ale chciałabym tu jeszcze chwilę zostać. Wszystko będzie w porządku.

Niechętnie pozostawił ją po raz kolejny samą. Nekromantka sięgnęła do płaszcza i zdjęła z szyi mały, czerwony wisiołek w kształcie straszego czerwonego smoka z błyszczącymi oczyma i wyszczerzonymi zębami. Wyznawcy Rathmy wierzyli, że świat opiera się na plecach wielkiego smoka Trag'Oula, który służy jako punkt podparcia i w ten sposób pomaga utrzymać równowagę. Wszyscy nekromanci bardzo szanowali płomienistego lewiatana.

Kara modliła się szeptem, aby Trag'Oul zaniósł nieznanego człowieka do innego wymiaru. O to samo, gdy nikt nie widział, modliła się dla marynarza Kalkosa. Ludzie z zewnątrz nie rozumieli w pełni miejsca Trag'Oula we wszechświecie.

Zadowolona, że nie musi robić nic więcej, zwinna kobieta o srebrnych oczach wróciła do swej kajuty pod pokładem. Pomimo poświęcenia, z jakim wypełniała swoje zadanie, Kara z ulgą weszła do pokoju. Wyglądanie demonów i przyglądanie się niepowodzeniu akcji ratunkowej bardzo ją osłabiły. Wykonując narzucone samej sobie zadanie czarodziejka robiła krótkie przerwy na posiłek. Tak naprawdę, była na nogach dłużej, niż ktokolwiek z załogi.

Teraz pragnęła tylko spać, spać, spać i jeszcze trochę się zdrzemnąć.

Kajuta przydzielona jej przez Hanosa Jeronnana była przeznaczona dla jego córki – Kara musiała więc znosić panieńskie falbanki i zbyt miękkie poduszki. W przeciwieństwie do załogi miała też prawdziwe łóżko, solidnie

przymocowane do podłogi, aby się nie przesunęło. Dla bezpieczeństwa z każdej strony zamontowano również niskie barierki, aby śpiący nie wypadł z łóżka na podłogę nawet w czasie najgorszego sztormu. Kara już kilka razy doceniła ich zalety – doceniała je zwłaszcza teraz, gdy była tak zmęczona. Nekromantka wątpiła, czy dziś udałoby się jej utrzymać na łóżku o własnych siłach.

Odrzuciwszy mokry płaszcz, Kara usiadła na brzegu pościeli, usiłując zebrać myśli. Wodą nasiąkła także reszta jej odzieży, od czarnej bluzki po skórzane spodnie i buty. Wilgotna bluzka przylegała ściśle do jej ciała i potęgowała uczucie zimna. Jeronnan dziwił się, że nekromantka nie zabrała ze sobą jakiegokolwiek odzieży na zmianę i przed wyruszeniem w podróż nalegał, aby wzięła chociaż jeden komplet. Kara uległa dopiero wtedy, gdy zgodził się, żeby jak najbardziej przypominały jej własny, czarny strój. Nauki Rathmy kazały nie zwracać uwagi na modę: Kara potrzebowała praktycznej, wygodnej odzieży.

Teraz wdzięczna za to nekromantka szybko przebrała się, rozwieszając mokre rzeczy, aby wyschły. Co noc przeprowadzała ten sam rytuał, starając się, aby wszystko było czyste.

To, że zajmowała się krwią i śmiercią nie oznaczało, że mogła nie dbać o czystość.

Wreszcie młoda kobieta z ulgą wyciągnęła się na łóżku. Kapitan na pewno by się gniewał, gdyby zobaczył, że śpi w ubraniu, ale w takiej podróży Kara nie miała innego wyjścia. Gdyby pojawiły się demony ze wspomnień Kalkosa, Kara musiała być gotowa do stawienia im czoła natychmiast. Jedyne na co się zdobyła, to zdjęcie butów, które, z szacunku dla Jeronnana i jego córki, postawiła w nogach łóżka.

Zgasiwszy lampę, Kara zapadła się w pościel. Wściekłe fale przyspieszyły jej zapadnięcie w sen, kołysząc ją w kołysce. Troski

tego świata zaczęły blaknąć...

Aż słabe niebieskie światełko przesączyło się przez jej powieki, budząc ją z drzemki.

Początkowo sądziła, że to fragment snu, ale gdy zdała sobie sprawę, że widzi je przez zaciśnięte powieki nawet gdy jest przebudzona, jej nerwy napięły się niczym struny.

Ciemnowłosa czarodziejka sprężyła się... a potem obróciła, klękając na łóżku i kierując ręce w stronę dziwnego światła.

Jako że znajdowała się w kabinie położonej poniżej linii wody, początkowo Kara sądziła, że morze w jakiś sposób wdarło się przez bulaj. Jednak gdy z jej głowy wywietrzały resztki snu, zobaczyła coś znacznie bardziej niezwykłego. Niebieskie światło z jej snu nie tylko istniało naprawdę, ale oblewało swym światłem większą część kajuty. Wyglądało to tak, jakby ściany pomieszczenia nagle zamieniły się w mgłę i pulsowały. Kara poczuła, że przechodzą ją ciarki...

Przez magiczną mgłę przeszła niejedna, ale dwie przemoczone postacie.

Otworzyła usta, choć sama nie była pewna, czy po to, by rzucić czar, czy aby zawołać o pomoc. Jednak zarówno głos, jak i całe ciało odmówiły posłuszeństwa. Nekromantka nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje, dopóki nie zobaczyła, że jedna z postaci trzyma znajomy sztylet z kości słoniowej. Połyskiwał on niebieskim blaskiem za każdym razem, gdy Kara pomyślała tylko, aby coś zrobić.

Ociekające wodą i całkiem martwe ciało Fauztina, czarodzieja Yizjerei – dziurę ziejącą w miejscu, gdzie było kiedyś jego gardło, zakrywał tylko częściowo kołnierz – patrzyło na nią ponuro. Nie mrugające oczy milcząco ostrzegały Karę przed pochopnym działaniem.

Stojący obok niego uśmiechnięty towarzysz otrząsnął się nieco z morskiej wody. Za ich plecami niebieskie światło bladło, a wraz z nim

znikały resztki magicznego portalu.

Niższy z nieumarłych zrobił krok w jej stronę i wykonał szyderycki ukłon. Wtedy Kara zorientowała się, że to jego widziała wraz z załogą w morzu. To on był nieszczęsnym marynarzem. Fauztin i jego towarzyszy zakpili z nich tylko po to, aby zorganizować tę przerażającą wizytę.

Uśmiech ghula poszerzył się, żółte zęby i gnijące dziąsła dopełniały obrazu złażącej skóry i mokrych, gnijących mięśni pod spodem.

– Miło... cię znowu... widzieć... nekromantko.



O ile sztorm nie skończył się z chwilą, gdy „Ognisty Jastrząb” zbliżył się do portu Lut Gholein, to przynajmniej zmałał na tyle, że stał się znośny. Norrec Yizharan był za to wdzięczny losowi, podobnie jak za to, że statek wpłynął do portu tuż przed wschodem słońca, gdy większość mieszkańców jeszcze spała i nikt nie zwrócił uwagi na dziwny, mroczny statek.

Gdy „Ognisty Jastrząb” przybił do brzegu, zakłęcie rzucone przez zbroję znikło, wskutek czego kapitan Casco i Norrec musieli się starać, aby wszystko dokończyć. Statek zauważyło kilka osób, ale na szczęście nikt nie zwrócił uwagi na samowiążące się liny ani żagle opuszczające się bez pomocy ludzi.

Kiedy wreszcie opuszczono trap, Casco jeśli nie słowami, to swoim wyrazem twarzy dał mu do zrozumienia, że nadszedł czas, aby pasażer opuścił pokład i już nigdy nie wrócił.

Norrec wyciągnął rękę, chcąc pogodzić się z chudym kapitanem, ale Casco popatrzył na rękawicę swoim zdrowym okiem, a potem spojrział nim prosto w oczy żołnierza. Po kilku niemiłych chwilach Norrec opuścił rękę i szybko zszedł po trapie.

Jednak gdy odszedł kilka kroków od „Ognistego Jastrzębia”, nie mógł oprzeć się pokusie, by po raz ostatni spojrzeć na okręt. Zobaczył, że kapitan

nadal czujnie mu się przygląda. Przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem, po czym Casco uniósł dłoń tak, jak wcześniej zrobił to Norrec.

Weteran pokiwał w odpowiedzi głową. Najwyraźniej zadowolony z takiej odpowiedzi, Casco opuścił rękę i odszedł, wydając się zainteresowany tylko i wyłącznie ocenianiem szkód na swoim mocno sponiewieranym statku.

Norrec ledwo uczynił krok, gdy ktoś go zawołał z drugiej strony.

– „Ognisty Jastrząb” jeszcze raz oszukał los. – Stary kapitan z białą, kocią bródką i ogorzałą twarzą spoglądał oczami o kształcie migdałów z pokładu swojego statku. Mimo wczesnej pory i paskudnej pogody powitał Norreca szerokim uśmiechem. – Choć tym razem udało się to ledwo–ledwo! Przypłynąłeś z tym sztormem, prawda?

Żołnierz skinął głową.

– Mieliście szczęście, tyle wam powiem! Nie każdy marynarz, który na niej pływał, ukończył podróż! Ta łajba przynosi pecha, zwłaszcza kapitanowi!

Zwłaszcza ostatnio, pomyślał Norrec, choć nie odważył się powiedzieć tego marynarzowi. Znów kiwnął głową, po czym chciał odejść, ale stary kapitan zawołał jeszcze raz:

– Hej tam! Po takiej podróży chciałbyś pewnie odwiedzić jakąś tawernę! Najlepsza to Atmal Prowadzi ją pewna dobra kobieta po śmierci swego męża! Powiedz jej, że kapitan Meshif każe dobrze cię ugościć!

– Dziękuję – mruknął Norrec, mając nadzieję, że tak krótka odpowiedź zadowoli tego zbyt uprzejmego człowieka. Chciał czym prędzej wydostać się z dzielnicy portowej, wciąż obawiając się, że ktoś dostrzeże coś dziwnego w przypłynięciu „Ognistego Jastrzębia” i powiąże to z Norrecem.

Otuliwszy się płaszczem, zmęczony weteran ruszył przed siebie i po kilku minutach opuścił dzielnicę statków i magazynów, wkraczając na ulice

sławnego Lut Gholein. Przez wiele lat słyszał opowieści o tym królestwie, ale jeszcze nigdy tu nie był. Sadun Tryst mawiał, że można tu nabyć wszystko, co tylko człowiek sobie zamarzy... i to w dużych ilościach. Przypływały tu statki T. całego świata, przywożąc dobra sprzedawane legalnie lub nie. Lut Gholein był bardzo otwartym rynkiem, lecz rządzący dbali o to, aby jednocześnie panował tu porządek.

Nie było takiej pory dnia czy nocy, żeby spało całe miasto. Jak mówił Sadun, wystarczyło tylko dobrze poszukać, aby każdy miłośnik egzotycznych uciech znalazł coś dla siebie, niezależnie od pory dnia. Oczywiście, ci, którzy nie potrafili utrzymać swoich interesów w odpowiednim miejscu narażali się na podpadnięcie czujnej Gwardii, która z dużym oddaniem służyła sułtanowi. Tryst znał kilka sensacyjnych opowieści o lochach Lut Gholein...

Mimo wszystkiego, co mu się przydarzyło od czasu gdy weszli do grobowca, uwaga Norreca wyostrzyła się, gdy tylko zaczęła iść ulicami. Wokół niego stały kolorowe budynki ze spajanych zaprawą kamieni, a na szczycie każdego z nich powiewała flaga sułtana. Po zadziwiająco czystych, brukowanych kamieniem ulicach, które prowadziły we wszystkie strony, zaczęły jeździć pierwsze wozy. Jakby wychodząc z cieni, szybko poruszające się postacie w powiewnych szatach zaczynały otwierać kramy i drzwi sklepików, przygotowując się do nowego dnia pracy. Niektóre wozy przystawały przy nich, dostarczając towar.

Po sztormie zostało tylko kilka ciemnych chmur. Wraz z ich zmniejszeniem się, nastrój Norreca poprawiał się jeszcze bardziej. Jak dotąd zbroja niczego od niego nie żądała.

Przez jakiś czas mógł chodzić własnymi ścieżkami. W mieście tak dużym jak Lut Gholein na pewno mieszkali jacyś znani czarodzieje, którzy

pomogliby mu pozbyć się tej przeklętej zbroi. Udając, że podziwia budynki – co było dosyć łatwe – mógł bez problemu szukać pomocy.

Wraz ze wschodem słońca ulice zapełniły się ludźmi różnych postaci, ras i koloru skóry. Podróżni z tak odległych krajów jak Ensteig czy Khanduras kroczyli obok odzianych w czerń przybyszy z Kehjistanu i jeszcze bardziej odległych krain. Wydawało się, że przybyszów jest więcej, niż samych mieszkańców miasta. Tak zróżnicowany tłum był Norrecowi na rękę, gdyż pozwalał się weń wtopić bez wzbudzania podejrzeń. Nie wyróżniała go nawet zbroja, gdyż wszędzie pojawiały się postacie ubrane podobnie jak on. Niektórzy z nich musieli zejść na ląd całkiem niedawno, lecz inni, zwłaszcza ci z turbanami na hełmach, eleganckimi srebrnymi pelerynami i szaroniebieskimi napierśnikami najwyraźniej służyli władcom tego królestwa.

Zabudowa była dość jednolita – niższe piętra miały kształt prostokąta, zaś dachy często wieńczyły małe wieże przypominające minarety. Dziwny wystrój, zwłaszcza dla kogoś, kto urodził się i wychował wśród wysokich zamków rycerstwa i małych, krytych słomą chatek chłopów, sprawiał, że Norrec co chwila czemuś się dziwił. Nie było dwóch jednakowych domów –jedne były szerokie, nawet przysadziste, a inne wydawały się rekompensować brak miejsca wznosząc się w górę.

Zabrział róg i nagle ulica dookoła Norreca opustoszała. Postępując podobnie, ledwo uniknął stratowania przez konny patrol, odziany w takie same hełmy z turbanami i napierśniki, jakie widział już wcześniej. Lut Gholein mogło być żywe, ale również, jak mówił Sadun, dobrze strzeżone. Co dziwniejsze, nikt nie zatrzymał Norreca w porcie, aby zadać mu choć kilka pytań. Większość najważniejszych portów czujnie strzegła nabrzeża dzień i noc, ale tu nie widział nikogo. Mimo sławy Lut Gholein, dziwiło go to.

Gdy tak spacerował, z wolna zaczął odczuwać głód i pragnienie. Co prawda posilał się na pokładzie „Ognistego Jastrzębia”, ale był tak przejęty dopłynięciem do portu, że nie zjadł zbyt dużo. Poza tym w cichości ducha liczył na to, że uda mu się znaleźć coś na mieście, a nie konsumować kolejną porcję niesmacznych wywarów Casco.

Zbroja już raz dała mu pieniądze, więc teraz Norrec śmiało rozglądał się wokół. W okolicy mieściło się kilka tawem i gospod, ale jedna z nich natychmiast zwróciła uwagę Norreca.

Najlepsza jest Attnal Powiedz jej, że kapitan Meshifkaże dobrze cię ugościć! Tawema ta znajdowała się o kilka kroków od żołnierza, nad jej wejściem wisiał niewyraźny znak.

Dość zapuszczona, ale wyglądająca na tyle dobrze, że postanowił zaryzykować. Z determinacją skierował się ku jej drzwiom, mając nadzieję, że zbroja nie zadecyduje nagle, iż trzeba iść gdzie indziej.

Wszedł do środka z własnej woli, co, w połączeniu z nowym otoczeniem, jeszcze bardziej podniosło Norreca na duchu. Mimo wczesnej pory w Atmie było dość tłoczno.

Większość klienteli stanowili marynarze, ale dostrzegł też kilku kupców, turystów i żołnierzy.

Nie chcąc zwracać na siebie zbyt dużej uwagi, Norrec usiadł na ławie w kącie.

Dziewczyna, stanowczo zbyt młoda, aby pracować w takim miejscu, podeszła do niego, aby przyjąć zamówienie. Nos Norreca wyczuł, że coś się gotuje i zamówił to – czymkolwiek by się później nie okazało – oraz kubek ale do przepłukania gardła. Dziewczyna ukloniła się i odeszła, umożliwiając mu rozejrzenie się dookoła.

Zbyt wiele lat swojego życia spędził w tawernach i karczmach, aby nie poznać lokalu, w którym kucharz nie wrzuca do kotła wszystkiego, co

wpadnie w leżące na podłodze pułapki. Właściciele utrzymywali stoły i ławy we względnej czystości, a żaden z gości nie skarżył się na jakość podawanego jedła i napitku. Atma utwierdziła jego przekonanie, że Lut Gholein to bogate królestwo, gdzie wszyscy, nawet ci z niższych klas, opływają w dostatki.

Dziewczyna wróciła z jego zamówieniem, które wyglądało tak dobrze, jak pachniało. Uśmiechnęła się do niego, pytając o zapłatę. Norrec spojrział na swoją odzianą w rękawicę dłoń i czekał. Nic się nie wydarzyło. Dłoń nie uderzyła o stół, aby zostawić monetę. Norrec usiłował nie pokazać po sobie nagłej złości. Czy zbroja wpędziła go w pułapkę? Jeśli nie zapłaci, to go w najlepszym razie wyrzucą. Spojrział w stronę drzwi, gdzie dwóch krzepkich wykidajłów, którzy nie zwrócili na niego uwagi, gdy wchodził, teraz z zainteresowaniem obserwowało jego rozmowę z dziewczyną.

Powtórzyła kwotę, tym razem z mniej uprzejmym wyrazem twarzy. Norrec popatrzył na rękawicę, myśląc: dalej, do diaska! Chcę tylko coś zjeść! Możesz to zrobić, prawda?

Nadał nic.

– Czy coś się stało? – zapytała dziewczyna, choć wyraz jej twarzy wskazywał na to, że doskonale zna odpowiedź.

Norrec nie odpowiedział, zaciskając i otwierając dłoń w nadziei, że w jakiś cudowny sposób pojawią się w niej monety. Rzuciwszy okiem na dwóch ochroniarzy, dziewczyna zaczęła się wycofywać, mówiąc:

– Proszę mi wybaczyć... mam inne zamówienia...

Żołnierz spojrział za jej plecy, gdzie para mięśniaków zaczęła iść w jego stronę.

Zachowanie dziewczyny było dla nich wyraźnym sygnałem do działania.

Wstał, kładąc dłonie na stole.

– Zaczekaj! To nie tak...

Pod palcami usłyszał dzwonięcie monet, uderzających o stół.

Ona również je usłyszała, a uśmiech znów zagościł na jej twarzy. Norrec usiadł z powrotem, wskazując na niewielki stosik przed sobą.

– Przepraszam za zamieszanie. Nie byłem jeszcze w Lut Gholein i zastanawiałem się, czy mam odpowiednią kwotę. Tyle wystarczy?

Jej wyraz twarzy powiedział jej wszystko, co chciał wiedzieć.

– Tak, proszę pana! Nawet z nawiązką!

Ponad jej ramieniem dostrzegł, że tęga dwójka zawahała się. Większy stuknął swojego towarzysza w ramię i wrócili na stanowiska.

– Weź tyle, ile trzeba za jedzenie i picie – powiedział dziewczynie, czując ulgę. Gdy to zrobiła, Norrec dodał: – A największą monetę zachowaj dla siebie.

– Dziękuję, dziękuję panu!

Niemal pofrunęła w stronę kontuaru: wyglądało na to, że właśnie otrzymała największy napiwek w swoim życiu. Ten widok ucieszył Norreca. Przynajmniej raz przeklęta zbroja uczyniła coś dobrego.

Popatrzył na rękawice, świadom tego, co się przed chwilą wydarzyło. Zbroja dała mu wyraźnie do zrozumienia, że to ona, a nie on, kontroluje sytuację. Norrec żył tylko dzięki niej.

Głupotą byłoby myśleć inaczej.

Niezależnie od swego smutnego położenia, Norrec zjadł posiłek ze smakiem. W porównaniu z kuchnią kapitana Casco, tutejsze danie smakowało niczym niebiańska ambrozja. Myśląc o tym mistycznym królestwie, żołnierz zastanawiał się nad kolejnym posunięciem. Zbroja ściśle go kontrolowała, ale z pewnością istniał jakiś sposób na obejście tej kontroli. W tak ożywionym królestwie jak Lut Gholein muszą mieszkać nie tylko magowie, ale i kapłani. Jeśli czarodziej nie zrobi nic dla Norreca,

może uda się to słudze Niebios. Kapłan z pewnością ma dostęp do mocy potężniejszych niż te, którymi dysponowała zbroja.

Ale jak porozmawiać z takim? Norrec zastanowił się, czy zbroja pozwoli mu wejść na poświęconą ziemię. Czy wystarczy udać się w stronę świątyni, a potem rzucić na jej schody?

Czy uda mu się zrobić choć tyle?

Dla kogoś tak zdesperowanego jak on, taka próba wydawała się możliwa. Zbroja potrzebowała go żywego i w dobrym zdrowiu – już to stwarzało pewną szansę. W końcu Norrec musiał podjąć tę próbę nie tylko po to, by ratować swoje ciało, ale także i duszę.

Zjadł i szybko dopił resztki ale. Przez ten czas dziewczyna podchodziła jeszcze kilka razy, aby sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje – wyraźny znak, że dał jej bardzo hojny napiwek. Norrec dał jej jedną z mniejszych monet, jakie mu zostały, co jeszcze bardziej poszerzyło jej uśmiech. Potem zaczął delikatnie pytać o kilka miejsc w mieście.

– Jest arena – odparła szybko dziewczyna o imieniu Miram. Bez wątplenia to pytanie zadawano jej bardzo często. – A także pałac! Musicie koniecznie zobaczyć pałac, panie! – Jej wzrok stał się rozmarzony – Tam mieszka sułtan Jerhyn...

Sądząc po gwałtownej reakcji Miram, ten Jerhyn musiał być przystojnym i młodym mężczyzną. Choć z pewnością pałac sułtana był ciekawym obiektem do zwiedzania, nie tego szukał.

– A poza tym?

– Jest także teatr Agaros obok placu z katedrą Tomasa Pokutnika, ale kapłani Zakarum wpuszczają odwiedzających tylko w południe, a teatr jest w remoncie. Ach, sajeszcze psie i konne wyścigi na północy miasta...

Norrec nie słuchał dalej, wiedział już to, czego potrzebował. Jeśli Niebo albo poświęcona ziemia miały jakąś władzę nad tym piekielnym spadkiem

po Bartucu, ta katedra była najlepsza. Kościół Zakarum był najpotężniejszą organizacją po obu stronach Bliźniaczych Mórz.

–... niektórzy uczeni i żacy odwiedzają położone za miastem ruiny świątyni Yizjerei, ale po Wielkiej Burzy Piaskowej nie ma tam zbyt wiele do oglądania...

– Dziękuję, Miram. To mi wystarczy. – Zbierał się do wyjścia, zastanawiając się, jak dotrzeć w okolice świątyni Zakarum.

Cztery postacie w strojach Gwardii Lut Gholein weszły do Atmy, ale na pewno nie chcieli tu zjeść ani wypić. Za to uważnie, z coraz bardziej ponurymi twarzami, przyglądali się Norrecowi. Gotów był przysiąc, że oni doskonale wiedzą, kim jest.

Z dokładnością, którą w innej sytuacji by podziwiał, cała czwórka rozstawiła się po lokalu, uniemożliwiając przejście w sposób niezauważony. Choć nie wyciągnęli jeszcze swoich długich szabel, każdy gwardzista trzymał dłoń w pobliżu rękojeści. Jeden fałszywy ruch i cztery ostrza wyskoczą z pochew, gotowe posiekać go na kawałki.

Udając, że w ogóle tego nie zauważył, zmęczony wojownik zwrócił się do kelnerki: – Umówiłem się z przyjacielem na ulicy za tętawerną. Czy macie jakieś drugie wyjście?

– Tędy – zamierzała pokazać mu kierunek, ale on delikatnie przytrzymał jej dłoń, wciskając w nią monetę.

– Dziękuję, Miram – Norrec przesunął się obok niej, jakby chcąc zamówić przy kontuarze następnego drinka. Czterech gwardzistów zawahało się.

W pół drogi do baru skręcił w stronę tylnego wyjścia.

Choć ich nie widział, Norrec był pewien, że tamci znają jego zamiary. Przyspieszył, mając nadzieję, że jak najszybciej dotrze do wyjścia. Gdy się wydostanie, spróbuje zgubić się w tłumie.

Norrec pchnięciem otworzył drzwi, wyskoczył na ulicę...

...i zaraz się zatrzymał, gdy czyjeś mocne ręce pochwyciły go za ramiona.

– Zrób coś, a twoja sytuacja się pogorszy, przybyszu z zachodu! – warknął śniady gwardzista ze złotymi patkami na płaszczu. Popatrzył na Norreca i powiedział: – Dobra robota, to ten! Zabieramy go stąd!

Ścigający Norreca gwardziści przeszli obok niego, przystając na chwilę, aby zsalutować oficerowi. Wojownik skrzywił się, pojmując, że wpadł właśnie w najbardziej prymitywną pułapkę.

Nie znał zamiarów tych, którzy go pojмали. W tej chwili zastanawiał się, dlaczego zbroja Bartuca nie zareagowała. Sytuacja z pewnością tego wymagała, ale do tej pory nie uczyniła nic, aby uwolnić swojego nosiciela. Czemu?

– Uważaj, przybyszu z zachodu! – Oficer zbliżył się, by spoliczkować Norreca, ale w ostatniej chwili opuścił dłoń. – Idziesz spokojnie, a nic ci się nie stanie! Stawisz opór...

Dłoń mężczyzny opadła na rękojeść szabli, dając mu jasno do zrozumienia, co się stanie.

Norrec pokiwał głową na znak, że zrozumiał. Jeśli zbroja postanowiła nie stawiać oporu, nie zamierzał uwalniać się samemu.

Gwardziści ustawili się w czworobok, z dowódcą na przedzie i Norrecem w środku.

Drużyna pomaszerowała przez ulicę, unikając większych zbiorowisk. Kilka osób przyjrzało się pochodowi, ale nikt nie wydawał się współczuć obcokrajowcowi w opałach. Zapewne uważali, że jest tu wystarczająco wielu obcokrajowców, więc po co przejmować się stratą jednego z nich?

Nikt mu nie wyjaśnił, dlaczego został aresztowany, ale Norrec podejrzewał, że miało to jakiś związek z przyplłynięciem „Ognistego

Jastrzębia". Prawdopodobnie mylił się, gdy sądził, że nikt nie obserwuje portu. Prawdopodobnie Lut Gholein zwracało na przybyszów baczniejszą uwagę, niż mu się wydawało. Niewykluczone również, że kapitan Casco zawiadomił kogoś o wydarzeniach na pokładzie i powiedział, kto odpowiada za stratę załogi.

Dowódca nagle skręcił w wąską, boczną uliczkę, reszta drużyny trzymała się blisko.

Norrec zmarszczył się, myśli o Casco i „Ognistym Jastrzębiu” wywietrzały mu z głowy.

Gwardziści szli teraz mniej uczęszczanymi, bardziej zapuszczonymi ulicami, gdzie słońce z trudem docierało nawet w bezchmurny dzień. Żołnierz sprężył się, wyczuwając w tej sytuacji coś złego.

Przeszli jeszcze trochę, po czym skręcili w ciemną uliczkę. Drużyna weszła w nią, po czym gwardziści nagle się zatrzymali.

Trwali w napięciu, prawie obawiając się oddychać. Tak naprawdę, czterech gwardziści stali bez ruchu tak długo, że skojarzyli się Norrecowi z marionetkami, którym nagle przecięto sznurki.

Jakby na potwierdzenie tego faktu, oderwały się od nich kawałki cienia, łącząc się w postać starego, pomarszczonego, brodatego mężczyzny o długich, srebrnych włosach, odzianego w elegancką szatę z szerokimi ramionami. Przypominała tę, którą nosił pewien znajomy Norreca... Fauztin. Ten Yizjerei był nie tylko o wiele starszy od nieszczęsnego przyjaciela wojownika, ale też jego umiejętności były znacznie bardziej rozwinięte niż u martwego maga.

– Zostawcie nas... – rozkazał gwardzistom mocnym, rozkazującym głosem.

Oficer i jego podwładni natychmiast obrócili się na pięcie i odmaszerowali w stronę, z której przyszli.

– Nikogo nie zawołają – powiedział Yizjerei – A ci, którzy im pomagali, niczego sobie nie przypomną... tak jak chciałem...

Norrec chciał coś powiedzieć, ale srebrnowłosa postać posłała mu jedno, ostrzegawcze spojrzenie.

– A jeśli chcesz żyć, przybyszu z zachodu... również będziesz robić to, co zechcę... dokładnie tak, jak zechcę...

JEDENACIE



– Czy dobrze się czujesz, panienko? – zapytał kapitan Jeronnan. – Wychodzisz z kajuty tylko po to, aby odebrać swoją rację i wracasz do środka.

Kara popatrzyła mu prosto w oczy.

– Czuję się dobrze, kapitanie. Nim „Królewska Tarcza” dopłynie do Lut Gholein, muszę już być gotowa. Muszę zająć się wieloma rzeczami. Przepraszam, jeśli tobie lub twojej załodze wydaje się to niegrzeczne.

– Nie niegrzeczne... to raczej trzymanie nas na dystans – westchnął – Cóż, jeśli będziesz czegoś potrzebować, daj mi znać.

Potrzebowała wielu rzeczy, ale dobry kapitan nie mógł dostarczyć jej żadnej z nich.

– Dziękuję... za wszystko.

Gdy odchodziła do kajuty, czuła na sobie wzrok kapitana. Niezależnie od sytuacji, Jeronnan zrobiłby dla niej wszystko, co możliwe i Kara bardzo to doceniała. Jednak w tej chwili w żaden sposób nie mógł pomóc czarodziejce.

Gdy Kara weszła do środka, zobaczyła dwóch nieumarłych czekających w ciemnym kącie z cierpliwością przysłowiową dla ich rodzaju. Fauztin trzymał świecący sztylet w pogotowiu, rzucone nań zaklęcie Yizjerei dawało im pewność, że nekromantka nie spróbuje jakichś sztuczek. Pożółkłe oczy maga wpatrywały się w nią bez mrugania. Wyraz jego twarzy zmieniał się tak niewiele, że Kara nigdy nie była pewna, o czym Fauztin teraz myśli.

Inaczej było z Sadunem Trystem. Drugi rewenant wciąż się uśmiechał, jakby chciał się podzielić jakimś dowcipem. Kara ciągle odczuwała chęć wyprostowania mu głowy, która przychyliła się za mocno w jedną albo drugą stronę.

Otaczał ich zapach śmierci, ale jak do tej pory nie przeniknął on poza kajutę. Jako że była nekromantką, więc smród jej nie przeszkadzał, co nie znaczyło, że nie wolałaby obejść się bez niego. Jej nauki i wiara sprawiały, że niemal codziennie miała do czynienia z trupami, ale te spotkania zawsze odbywały się na jej warunkach. Nigdy jeszcze nie miała do czynienia z sytuacją, kiedy to role się odwracały i to ona musiała przychodzić na zawołanie umarłych.

– Mam nadzieję... że dobry kapitan... nadal pozostawił cię... w spokoju...
– wyszeptał Tryst.

– Troszczy się o mnie, to wszystko.

Żyłasty mężczyzna zaśmiał się, jego głos przypominał odgłos wydawany przez zwierzę podczas obgryzania kości. Prawdopodobnie podczas skręcania karku któraś z kości utkwiała mu w tchawicy. To by tłumaczyło, dlaczego tak mówił. Nawet jeśli Sadun Tryst nie potrzebował powietrza do oddychania, to nadal potrzebował go, aby mówić.

Oczywiście, z powodu dziury w gardle jego towarzysz Vizjerei pozostał niemy na wieki.

– Miejmy nadzieję... że jego troska... będzie się trzymać z dala... od tego pokoju.

Fauztin wskazał na krawędź łóżka, wydając rozkaz, który ciemnowłosa czarodziejka natychmiast zrozumiała. Usiadła tam z miską w ręku, czekając na rozkazy, które mogli jej wydać. Dopóki Yizjerei trzymał sztylet, jego magia trzymała Karę Nocny Cień na uwięzi.

Tryst zamrugał, co było dużym wysiłkiem. W przeciwieństwie do Fauztina, starał się udawać, że w jego gnijącym ciele pozostało jeszcze nieco życia. Będąc magiem, blady Yizjerei postrzegał sytuację w bardziej praktyczny, realistyczny sposób. Z drugiej strony, wojownik zdawał się być bardziej zakochany we wszystkich elementach życia. Kara podejrzewała, że mimo uśmiechu ta sytuacja rozzłościła go bardziej, niż jego towarzysza.

– Jedz...

Zrobiła to czując na sobie ich niemrugające spojrzenia. Jednak przez cały czas nekromantka przetrząsała zakamarki swojej pamięci, usiłując odnaleźć strzępy wiedzy, która mogłaby być przydatna do uwolnienia się od tego wszystkiego. To, że jak do tej pory jej nie dotknęli, nie uspokoiło jej. Rewenanci mieli jeden cel – dopaść swojego przyjaciela, Norreca Yizharana. Jeśli okaże się, że będą musieli poświęcić ją dla osiągnięcia tego celu, Kara była pewna, że zrobią to bez wahania.

Yizharan był ich partnerem, towarzyszem, który najprawdopodobniej brutalnie zamordował obydwu i uciekł ze zbroją. Sadun Tryst nie powiedział jej tego wprost, ale do takiego wniosku doszła, zbierając informacje zasłyszane od rozmownego ghula. Tak naprawdę Tryst nigdy nie oskarżał Norreca, mówiąc, że muszą odnaleźć partnera, aby dokończyć to, co zaczęło się w grobowcu. Ponieważ Kara, wbrew ich życzeniom, nie trzymała się od tego z dala, stała się ich towarzyszką w tej makabrycznej wyprawie.

Kara jadła w milczeniu, usiłując tak długo, jak to możliwe, nie patrzeć na tę przekłętą dwójkę. Im mniej przyciągała ich uwagę, a zwłaszcza Trysta, tym lepiej. Jednak gdy tylko łyżka sięgnęła dna miski, bardziej rozmowny rewenant nagle zazgrzytał: – I co... smakowało?

To pytanie tak ją zaskoczyło, że aż musiała na niego spojrzeć.

– Co?

Blady, oblaşący ze skóry palec wskazał na miskę.

– Jedzenie. Czy... dobrze... smakowało?

Coś sobie przypomniała, choć było tego mniej, niż w tej chwili chciała. Przypomniała sobie wszystko, co wiedziała o nieumarłych, ale nie słyszała, aby któryś z nich miał apetyt na rybi gulasz. Na ludzkie mięso, owszem, ale nigdy na rybi gulasz. Jednak, mając nikłą nadzieję, że to nieco złagodzi napięcie, nekromantka wyciągnęła w jego stronę miskę i zapytała spokojnym głosem:

– Chcesz spróbować?

Tryst spojrział na Fauztina, który trwał niewzruszony niczym skała. Niższy ghul zrobił wreszcie krok do przodu, sięgnął po jedzenie, po czym natychmiast wrócił na swoje miejsce.

Kara nigdy nie spodziewała się, że żywy trup może poruszać się tak szybko.

Wybrał gnijącymi palcami nieco resztek i władował je sobie do ust. Sadun próbował żuć, ale kawałki ryby wypadły mu z powrotem. Mimo, że on i mag zachowywali się jak żywi, ciało nie działało już tak sprawnie, jak przed morderstwem.

Nagle wszystko wypluł, a jego gnijącą twarz wykrzywił wyraz gniewu.

– Zgnilizna! To smakuje jak... jak... śmierć – Sadun spojrział na nią – Była zbyt długo martwa... powinni ją... gotować... krócej... znacznie krócej.

Nie spuszczać wzroku z Kary, zaczął się nad tym zastanawiać.

– Sądzę... że nie powinni jej... wcale... gotować... im świeższa... tym lepsza... co?

Kruczowłosa kobieta z początku nie odpowiadała, nie chcąc przedłużyć rozmowy, która mogła sprowadzić się do wyliczania, jakie rodzaje mięsa ghul uważa za najlepsze na surowo. Zamiast tego, Kara próbowała

sprowadzić ją na temat znacznie dla niej ważniejszy – polowanie na Norreca Yizharana.

– Byliście na „Ognistym Jastrzębiu”, prawda? Byliście tam, aż zdarzyło się coś, co zmusiło załogę do opuszczenia statku.

– Nie na statku... pod nim... przez większość czasu.

– Pod nim? – Usiłowała sobie wyobrazić tę dwójkę uczeptioną z nieludzką siłą kadłuba, nie puszczającą nawet przy największej fali. Tylko rewenant był w stanie dokonać czegoś tak wyczerpującego.

– Co to znaczy... przez większość czasu?

Sadun wzruszył ramionami, przez co jego głowa trzęsa się przez jakiś czas.

– Weszliśmy na pokład... na krótką... chwilę... po tym, jak ci głupcy... uciekli.

– Co ich do tego skłoniło?

– Widzieli coś... czego nie chcieli... zobaczyć.

Niezbyt pomocna odpowiedź, ale im dłużej Kara podtrzymywała konwersację, tym mniej mieli czasu na wymyślenie dla niej kolejnego zadania – i ile to mogło kosztować nekromantkę.

Jeszcze raz Kara pomyślała o ich nieludzkiej wytrwałości. Rewenantom niemal udało się dogonić ofiarę, przykleili się do statku niczym pijawki do rekina. Wizja dwóch nieumarłych trzymających się „Ognistego Jastrzębia” pośród gwałtownego sztormu pozostanie na zawsze w umyśle nekromantki. Norrec Yizharan nie umknie ich zemście.

A jednak... do tej pory mu się to udawało i to mimo faktu, że byli tuż obok niego.

– Skoro na statku byliście tylko wy i on, to dlaczego polowanie jeszcze się nie skończyło?

Uśmiech Trysta stał się ponury, przez co wyglądał jeszcze bardziej widmowo niż wcześniej.

– Powinno się... zakończyć.

Na tym zakończył, a kiedy Kara spojrzała na Fauztina, jego ponura twarz nie powiedziała nic więcej. Analizowała ich odpowiedzi tak szybko jak mogła, decydując się wykorzystać ich porażkę na „Ognistym Jastrzębiu”.

– Wiecie, że mogę być wam jeszcze bardziej przydatna. Następnym razem nic nie pójdzie źle.

Tym razem to Fauztin mrugnął. Nekromantka nie wiedziała, co to znaczy, ale zachowanie Yizjerei miało swoje przyczyny. Oczy Saduna Trysta lekko się zwęziły.

– Pomożesz nam... na tyle... na ile będziemy potrzebować. Bądź tego... pewna.

– Ale mogę być czymś więcej, niż tylko bezwolną marionetką. Wiem, co cię gnębi.

Wiem, po co chodzisz po ziemi. Jako sojusznik, a nie więzień bardzo zwiększam wasze możliwości!

Krępy nieboszczyk podrzucał swój sztylet w milczeniu – jak do tej pory, robił to tylko raz. Widać nawet śmierć nie uwolniła go od kilku nawyków. Kara sądziła, że robi to, gdy wyjątkowo intensywnie się nad czymś zastanawia. – Wiesz... mniej... niż myślisz.

– Próbuję tylko powiedzieć, że nie musimy być wrogami. To moje zaklęcie zbudziło wasze duchy i wysłało was na tę wyprawę, więc czuję się nieco odpowiedzialna. Szukacie Norreca Yizharana, ja też. Czemu nie możemy działać jako sojusznicy?

Mag znów mrugnął, jakby chciał coś powiedzieć, co było, oczywiście, niemożliwością. Zamiast tego popatrzył na swego towarzysza. Nieumarli patrzyli sobie w oczy przez długi czas – czarodziejka zaczęła się

zastanawiać, czy nie porozumiewają się w jakiś nieosiągalny dla niej sposób.

Gdy w kajucie rozległ się zgrzytliwy, niesamowity śmiech Saduna Trysta, Kara była pewna, że ani kapitan Jeronnan, ani nikt załogi tego nie usłyszy. Yizjerei rzucił zaklęcie, zagłuszające wszelkie dźwięki wewnątrz. Dla załogi „Królewskiej Tarczy” Kara nie robiła więcej hałasu niż gdyby cichutko spała.

– Mój przyjaciel... poczynił pewne... śmieszne spostrzeżenie.

Ty... jako nasz dobry sojusznik... z pewnością zechcesz... sztylet z powrotem... co?

– Gdy nie odpowiadała, Tryst dodał:

– To nie jest dla nas najlepsza okazja... jeśli wiesz, co mam na myśli.

Kara rozumiała to bardzo dobrze. Sztylet nie tylko zapewniał im kontrolę nad nią, ale również służył jako przedmiot umożliwiający działanie na tym świecie. Rytualne ostrze przywołało ducha Fauztina, a gdyby je odebrała, ciała mogłyby po prostu upaść, zaś ich mściwe duchy zostałyby na zawsze odesłane w zaświaty.

Ta dwójka z pewnością nie chciała tego.

– Pomożesz nam... gdy będziemy tego potrzebować. Posłużysz... jako zasłona... skrywająca prawdę... wobec tych, których spotkamy. Będziesz robić to... czego my nie możemy zrobić... w świetle dnia... gdy wszyscy widzą...

Fauztin zamrugął po raz trzeci, co było bardzo niepokojące. Nigdy nie okazywał zainteresowania rozmowami, pozwalając wypowiadać się bardziej gadatliwemu towarzyszowi.

Tryst wyprostował się, nawet uśmiechnął. Im dłużej Kara Nocny Cień o tym myślała, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę uśmiech nigdy nie opuścił twarzy ghula.

Wyjątkiem były chwile, gdy zmuszał się do zmiany jej wyrazu, jak wtedy, gdy nie posmakowało mu jedzenie. To, co wzięła za radosny wygląd, było tylko grymasem, który śmierć zamroziła na jego twarzy. Tryst prawdopodobnie będzie się uśmiechał nawet wtedy, gdy wyrwie serce swego zdradzieckiego kompana, Norreca.

– Ale ponieważ... musimy zapewnić sobie twoją współpracę... mój dobry przyjaciel zasugerował sposób... dzięki któremu będziesz jeszcze bardziej... posłuszna... w tej sytuacji.

On i Yizjerei podeszli do niej. Kara zeskoczyła z łóżka. – Masz sztylet. Nie potrzebujesz innych środków, aby mnie kontrolować.

– Fauztin uważa... że tak. Bardzo mi..., przykro.

Mimo niewielkiej szansy, że ktoś ją usłyszy, otwarła usta do krzyku.

Mag zamrugał po raz czwarty i żaden dźwięk nie wymknął się z ust nekromantki.

Wyrażna bezradność zarówno przeraziła, jak i rozzłościła bladą kobietę. Kara wiedziała, że bardziej doświadczeni studenci uprawianej przez nią sztuki zamieniliby ich w milczących, posłusznych służących. Jeszcze kilka lat, a nawet ona byłaby w stanie to zrobić. Tymczasem to ghule zamieniły ją w marionetkę, której teraz chcieli założyć niewidzialne łańcuchy.

Białe oczy i makabryczny uśmiech Trysta wypełniły jej pole widzenia. Z każdym słowem wypowiedzanym przez gnijącą postać, w jej nozdrza uderzał smród rozkładu.

– Daj mi... lewą dłoń... a nie będzie... tak bolało.

Nie mając innego wyjścia, Kara posłuchała. Sadun Tryst ujął ją w swoje rozkładające się palce, ściskając tak mocno, jakby on i czarodziejka byli zakochani. Na tę myśl Kara poczuła chłód wzdłuż kręgosłupa. Słyszała już takie opowieści...

– Straciłem wiele rzeczy... z życia... kobieto... wiele rzeczy...

Ciężka dłoń spadła na jego ramię. Tryst pokiwał głową na tyle, na ile pozwalał mu złamany kark i zrobił krok do tyłu. Jego uścisk był nadal bolesny, gdy odwrócił jej dłoń wnętrzem do góry.

Fauztin wbił w nią błyszczący sztylet.

Kara westchnęła i nagle zdała sobie sprawę, że choć czuje niewygodę, wcale nie czuje bólu. Patrzyła zdumiona, niezupełnie wierząc w to, co widzi. Ponad dwa cale ostrza wychodziło z drugiej strony jej dłoni, a nigdzie nie widziała plam krwi.

W miejscu, gdzie zanurzył się sztylet pojawił się żółty blask, który rozlał się na całą dłoń.

Yizjerei próbował coś powiedzieć, ale wydobył z siebie tylko ciche westchnięcie.

Nawet przewiązanie zniszczonego gardła niewiele pomogło.

– Może ja... – warknął Tryst. Patrząc na pojmaną nekromantkę, zaintonował: – Nasze życia są... twoim życiem. Nasza śmierć to... twoja śmierć. Nasz los... to twój los... przez ten sztylet... i twoją... duszę...

Fauztin wyciągnął sztylet. Yizjerei pchnął ostrze w jej stronę, pokazując, że na ostrzu nie pozostała nawet plamka krwi. Potem wskazał na dłoń.

Choć przyglądała się jej uważnie, nie dostrzegła nawet najmniejszej blizny. Aby rzucić ten straszliwy czar, zamordowany czarodziej skorzystał z potężnej magii.

Tryst popchnął ją w stronę łóżka, nakazując kobiecie usiąść.

– Teraz... jesteśmy... jednością. Jeśli my zginiemy... zginiesz i ty. Jeśli my zginemy... albo zostaniemy zdradzeni... ty również... zawsze o tym pamiętaj...

Kara zadrżała lekko. Przywiązali ją do siebie w sposób znacznie bardziej skuteczny, niż kiedy dysponowali tylko sztyletem. Jeśli cokolwiek stanie się

tej dwójce, nim wypełni swoją przerażającą misję, jej dusza może zostać wciągnięta w zaświaty i skazana na wieczną tułaczkę.

– Nie musieliście tego robić! – Próbowала dostrzec w ich oczach choć błysk sympatii, ale na próżno. Nic nie liczyło się bardziej niż zemsta na tym, kto ich zabił. – Pomogłabym wam!

– Teraz... jesteśmy pewni, że tak będzie. – Tryst i Fauztin znów cofnęły się w ciemny kąt. Rytualny sztylet połyskiwał złościście. – Teraz... nie będziesz robić... żadnych sztuczek... gdy spotkamy się... z czarodziejem...

Mimo tego, co jej zrobili, Kara zamarła.

– Czarodziej? W Lut Gholein?

Fauztin skinął głową. Sadun Tryst jeszcze bardziej przechylił głowę... lub też jej ciężar na resztkach karku okazał się nagle zbyt duży.

– Taak... Yizjerei, tak jak... mój przyjaciel... starzec... o wielkiej wiedzy... znany jako...

Drogan.



– Nazywam się Drogan – powiedział mag, gdy weszli do komnaty. – Spocznij, Norrecu Yizharanie.

Gdy rozejrzał się po pracowni Yizjerei, uczucie niepokoju, które dręczyło Norreca, powróciło, tym razem tysiąc razy silniejsze. Ten stary, ale z pewnością straszny mężczyzna, szybko sprowadził weterana do siebie, a do tego zdawał się doskonale wiedzieć, co przydarzyło się Norrecowi – z wyprawą przeklętej zbroi włącznie.

– Zawsze uważałem, że przekleństwo Bartuca nie może trwać w zamknięciu na wieki – powiedział, gdy żołnierz rozsiadł się na starym, podniszczonym krześle. – Zawsze o tym wiedziałem.

Przyszli do tej ciemnej komnaty po krótkiej wędrówce przez bardzo nieprzyjemne uliczki bogatego królestwa. Drzwi, którymi tu weszli,

zdawały się prowadzić do opuszczonego, zamieszkałego tylko przez szczury budynku Wnętrze zmieniło się... w stary, ale wspaniały gmach, który, według słów Drogana, był kiedyś domem Horazona, brata krwawego władcy.

Choć opuszczono go długo po tym, jak zniknął brat Bartuca, zaklęcia osłaniające dom przed oczyma ciekawskich wciąż spełniały swoje zadanie, dopóki Drognan nie przełamał ich, poszukując grobowca tego, kto je rzucił. Uważając, że nikt poza nim nie ma większego prawa do tego zaczarowanego mieszkania, Yizjerei wprowadził się tu i kontynuował poszukiwania.

Przeszli przez pusty hol, gdzie ściany ozdobione były gobelinami przedstawiającymi zwierzęta, wojowników oraz legendarne budowle, i weszli do tej komnaty, którą czarodziej mógł nazwać swoim domem. Ściany zakrywały półki zastawione taką ilością ksiąg i pergaminów, o jakiej Norrec, prosty żołnierz, mógł jedynie marzyć. Co prawda potrafił czytać, ale zaledwie kilka tytułów było napisane w znanym mu języku.

Poza księgami na półkach stało tylko kilka innych przedmiotów. Najbardziej przyciągały wzrok wypolerowana czaszka i kilka słoików z ciemnym płynem. Poza tym w pokoju znajdował się solidnie wykonany stół i dwa stare, ale stabilne krzesła. Przypominało to biuro szambelana w sułtańskim pałacu. Norrec nie spodziewał się czegoś takiego po Yizjerei ani po żadnym innym czarodzieju. Podobnie jak większość ludzi, oczekiwał mnóstwa przerażających przedmiotów, będących narzędziami pracy Drogana.

– Jestem... badaczem – dodała nagle pomarszczona postać, jakby musiała tłumaczyć, dlaczego ta komnata tak wygląda.

Badacz, dzięki któremu nikt nie zatrzymał Norreca w porcie. Badacz, który z łatwością tak namieszał w głowach pół tuzinowi żołnierzy, że

sprowadzili go wprost do niego.

Badacz, który babrał się w mrocznych sztukach, wiedział, jakie zaklęcia znajdują się w zbroi Bartuca i z łatwością je przełamał.

Dlatego właśnie Norrec tak chętnie z nim poszedł. Po raz pierwszy od czasu opuszczenia grobowca pojawiła się nadzieja, że ktoś uwolni go wreszcie z tej pasożytującej na nim zbroi.

– Tydzień temu lub dwa miałem wizję – Czarodziej przejechał pomarszczonymi palcami po grzbietach książek, najwyraźniej poszukując konkretnego dzieła. – Dziedzictwo Bartuca znów powstało! Oczywiście, z początku w to nie wierzyłem, ale kiedy wizja się powtarzała zrozumiałem, że jest prawdziwa.

Drognan opowiadał dalej: rzucał czar za czarem, aby poznać jej znaczenie, aż końcu odkrył sekret Norreca i do jakiej podróży zmusiła go zbroja. Choć nie mógł śledzić wojownika od chwili opuszczenia grobowca, to był w stanie określić, dokąd prowadzi ślad.

Wkrótce okazało się, że szczęśliwym dla Drognana zbiegiem okoliczności zarówno człowiek, jak i zbroja pojawią się niedaleko Yizjerei.

Czarodziej zdjął z półki opasłe tomisko i delikatnie położył na stojącym pośrodku komnaty stole. Zaczął je kartkować, wciąż mówiąc: – Nie zdziwiło mnie, młody człowieku, że zbroja usiłuje dotrzeć do Lut Gholein. Jeśli jakiś pozostający na tym świecie, widmowy aspekt Bartuca chce spełnić swoje ostatnie życzenie, to podróż do tego królestwa ma sens z dwóch istotnych powodów.

Norrec nie zwracał na to uwagi, zastanawiając się nad tym, co Yizjerei uznał za możliwe do wykonania – uwolnieniem wojownika ze zbroi.

– Czy odpowiednie zaklęcie znajduje się w tej księdze? Stary czarodziej spojrział na niego.

– Jakie zaklęcie?

– Takie, które uwolni mnie od tego, rzecz jasna! – Norrec uderzył pięścią w napierśnik.

– Przeklęta zbroja! Mówiłeś, że znasz jakiś sposób, aby uwolnić mnie od niej!

– Sądzę, że moje słowa brzmiały: „jeśli chcesz żyć, będziesz robił dokładnie to, co zechcę.

– Ale zbroja! Przeklęty magu, tylko o to mi chodzi! Rzuć czar! Wyciągnij mnie z niej, póki nie działają jej moce!

Srebrnowłosey mag spojrział na niego wzrokiem ojca patrzącego na rozwrzeszczane dziecko.

– Jeśli chodzi o zbroję, to mogę zapewnić cię, że choć nie mogę jej na razie z ciebie zdjąć, nie musisz się obawiać jej zaklęć, dopóki znajduje się pod moją kontrolą. "\.

Drogan sięgnął do jednej z głębokich kieszeni w swojej szacie i wyciągnął stamtąd coś, co początkowo zdawało się być krótkim patykiem, ale wkrótce okazało się, że tak naprawdę jest znacznie, znacznie dłuższe. Od chwili kiedy czarodziej wyciągnął go z kieszeni, „patyk” rósł wzdłuż i wszerz, aż stał się długą na ponad' cztery stopy czarodziejską laską, pokrytą skomplikowanymi, błyszczącymi runami.

– Patrz.

Drogan skierował laskę w stronę gościa.

Norrec, który wystarczająco długo podróżował z Fauztinem, aby wiedzieć, co znajduje się na tym końcu magicznej laski, poderwał się na równe nogi.

– Czekaaj...

– Furiosic! – krzyknął mag.

W stronę żołnierza wystrzelił ogień, rozprzestrzeniając się w miarę posuwania się do przodu. Norreca otoczyła strefa płomieni.

O kilka cali od jego nosa ogień nagle zgasł.

Początkowo Norrec sądził, że to zbroja go uratowała, ale wtedy usłyszał śmiech pomarszczonej postaci.

– Nie bój się, młody człowieku, nie spadł ci nawet włos z głowy! Widzisz, co mam na myśli? Całkowicie panuję nad zbroją! Gdybym zechciał, zostałyby z ciebie tylko spalony szkielet i nawet zbroja by cię nie ocaliła! Ochroniło cię tylko to, że przerwałem działanie czaru! A teraz usiądź...

Norrec osunął się na krzesło, zapach spalenizny wciąż wypełniał jego nos.

Odbierający odwagę pokaz Drogana wyjaśnił mu dwie rzeczy. Pierwsza, że stary czarodziej miał rację – jego magia ujarzmiła zaklęcia umieszczone w zbroi.

Druga, że znalazł się w rękach nieco zbyt bezwzględnego i prawdopodobnie na wpół oszalałego czarodzieja.

Ale... co jeszcze chciałby uczynić?

– Obok ciebie stoi butelka wina. Nalej sobie, uspokój nerwy.

Sama propozycja nie uspokoiła Norreca, gdyż zarówno butelki, jak i stolika jeszcze sekundę temu obok niego nie było. Nalewając sobie nieco wina do kielicha i pociągając łyk postanowił, że nie pokaże po sobie niepokoju.

– Powinno być lepiej – Drogan popatrzył na gościa, kładąc rękę na jednej ze stron. W drugiej dłoni trzymał laskę – Znasz historię Lut Gholein?

– Nie bardzo.

Czarodziej oderwał się od księgi.

– Jest to rzecz, którą podzielę się z tobą zaraz, a która jest w twojej sytuacji niezmiernie istotna. Nim powstało Lut Gholein, region ten był kolonią Imperium Kehjistanu.

Były tu świątynie Yizjerei i garnizony wojskowe. Jednak jeszcze przed czasami Bartuca i Horazona imperium zaczęło wycofywać się z tej części morza. Wpływy Yizjerei pozostały silne, ale ich obecność okazała się zbyt kosztowna – Na jego ciemnej, wąskiej twarzy pojawił się niemal dziecięcy uśmiech – To naprawdę fascynujące!

Norrec, który z różnych powodów nie zwracał uwagi na historyczne wykłady, zmarszczył się. Drogan, nie zwracając na to uwagi, ciągnął dalej: – Po wojnie, pokonaniu Bartuca i jego śmierci imperium nigdy nie odzyskało pełni swojej potęgi. Co gorsza, ich największy mag, oczko w głowie, zbyt ucierpiał na ciele i, niestety, również na umyśle. Mówię, rzecz jasna, o Horazonie.

– Który przybył do Lut Gholein – podsunął Norrec, mając nadzieję pomóc zawile gadającemu staruszkowi w dotarciu do konkluzji. Miał nadzieję, że Drogan zgodzi się, aby mu pomóc.

– Dokładnie tak, do Lut Gholein. Oczywiście, wtedy nazywało się inaczej. Horazon, który tak wiele przecierpiał, choć ostatecznie zwyciężył, przybył tu i próbował wieść życie poświęcone intelektualnym poszukiwaniom. Wówczas, jak już mówiłem wcześniej, nagle zniknął.

Weteran oczekiwał, że jego gospodarz będzie ciągnął opowieść dalej, ale Drogan tylko patrzył nań, jakby już wszystko wyjaśnił.

– Widzę, że nie rozumiesz – zauważył w końcu mag.

– Rozumiem, że Horazon przybył tu, a teraz znalazła się tu również przeklęta zbroja jego brata! Rozumiem też, że musiałem patrzeć, jak zabijani są ludzie, demony wychodzą z piekieł, a moje życie nie należy już do mnie, ale do martwego władcy demonów! – Norrec znów wstał, mając tego wszystkiego dosyć. Drogan mógł z łatwością podnieść laskę i zabić na miejscu, ale jego cierpliwość była już na wyczerpaniu.

– Pomóż mi lub mnie zabij, Yizjerei! Nie mam czasu na lekcje historii!
Chcę uciec z tego piekła!

– Usiądź.

Norrec usiadł, ale tym razem nie z własnej woli. Przez twarz Drognana przemknął cień, który uświadomił nieszczęsnemu żołnierzowi, że ten człowiek nie tylko z łatwością kontrolował sześciu gwardzistów, ale również przekłętą zbroję.

– Ocalę cię, nawet wbrew twojej woli, Norrecu Yizharanie – choć poza nazwiskiem nie ma w tobie nic ze służby Yizjerei! Uratuję cię, podczas gdy ty poprowadzisz mnie do czegoś, czego szukałem przez ponad połowę swego życia!

Nie wiadomo, jakiego zaklęcia użył Drognan, ale tak mocno wcisnął Norreca w fotel, że ten z ledwością mógł mówić.

– O... o co ci chodzi? Do czego mam cię zaprowadzić? Drognan obrzucił go niedowierzającym spojrzeniem.

– Do tego, co musi znajdować się gdzieś pod miastem, a czego musi szukać również zbroja... grobowca brata Bartuca, Horazona... legendarnego Wielkiego Sanktuarium!

DWANAŚCIE



Jak każdej nocy, generał Augustus Malevolyn obchodził granice obozu. Jak każdej nocy, uważnie przyglądał się wszystkiemu, co dotyczyło stopnia przygotowania jego ludzi.

Niedbałość oznaczała karę niezależnie od rangi.

Jednak tym razem generał wprowadził niewielką zmianę, która uszła uwadze żołnierzy. Tej nocy Malevolyn dokonał obchodu w szkarłatnym hełmie Bartuca.

Zupełnie go nie obchodziło, że hełm niezbyt pasuje kolorem do reszty zbroi. Tak naprawdę, to coraz częściej zastanawiał się, w jaki sposób przemalować resztę zbroi na kolor bardziej pasujący do osłony głowy. Jednak do tej pory Malevolyn znalazł tylko jeden sposób, aby uzyskać taki odcień, ale jego zastosowanie wywołałoby z pewnością otwarty bunt.

Gdy poprawiał hełm, dłoń dotykała go niemal z czułością. Kiedy odmówił jego zdjęcia, Malevolyn zauważył pewne niezadowolenie Galeony, ale złożył to na karb jej strachu przed jego wzrastającą potęgą. Gdy zdobędzie hełm i zbroję, nie będzie już potrzebował czarodziejskich mocy wiedzy. Choć jej bardziej przyziemne talenty były doskonałe, wiedział, że zawsze znajdzie inną, bardziej posłuszną kobietę do zaspokajania swoich potrzeb.

Oczywiście, tak przyziemne sprawy musiały poczekać. Wzywało go Lut Gholein. Nie zostanie oszukany, jak został oszukany w Vizjun.

Czy jesteś tego wart? Czy jesteś wart chwały i dziedzictwa Bartuca?

Malevolyn zamarł. Głos w jego głowie, ten sam, który poprzedniego wieczora zadawał pytania, które on sam bał się wypowiedzieć głośno, mówił teraz to, co on sam bał się mówić.

Czy jesteś tego wart? Czy sprawdzisz się? Czy weźmiesz swoje przeznaczenie we własne ręce?

Jego uwagę zwrócił niewyraźny błysk światła poza obozem. Otworzył usta, aby zawołać strażę, ale dostrzegł zmierzającą ku niemu postać żołnierza z dogasającą pochodnią w ręce. Przytłumiony blask płomieni skrywał jego twarz w cieniu, nawet gdy podszedł na odległość kilku jardów.

– Generale Malevolyn – wyszeptał żołnierz, salutując – Musisz to zobaczyć.

– Co się stało? Znalazłeś coś? Żołnierz już się odwrócił i ruszył w mrok.

– Lepiej zobacz to sam, generale...

Malevolyn ruszył za żołnierzem, trzymając dłoń na rękojeści miecza. Strażnik bez wątpienia wiedział, że to, co chce pokazać dowódcy musi być naprawdę ważne, inaczej poniesie srogą karę. Malevolyn nie lubił, kiedy ktoś mu przeszkadzał.

Przeszli kilka jardów wśród pofałdowanego krajobrazu. Wspięli się na wydmę i ostrożnie zsunęli po jej drugim zboczu. Przed nimi, na tej przeważnie piaszczystej pustyni czerniał zarys skalistej grani. Generał przypuszczał, że cokolwiek strażnik zauważył, musiało znajdować się gdzieś tu. Jeśli nie...

Zatrzymali się. Malevolyn nie wiedział, czemu ten człowiek wciąż niesie pochodnię.

Słabiutki płomyk w ogóle nie oświetlał terenu i gdyby przed nimi stał jakiś przeciwnik, blask ostrzegłby go. Przeklął się, że nie kazał mu jej wcześniej zgasić, ale założył, że skoro żołnierz o tym nie pomyślał, to, co chciał pokazać generałowi, nie było siłami wroga.

– No i co zobaczyłeś? To gdzieś obok skał? – zapytał niewyraźnie Augustus Malevolyn.

– Trudno to wyjaśnić, generale. To trzeba zobaczyć. – Skryty w mroku żołnierz wskazał na prawo. – Tam jest twardsze podłoże, generale. Jeśli pójdziesz...

Prawdopodobnie żołnierz odkrył jakieś ruiny. To ciekawiło Malevolyną. Vizjerei mieli w okolicach Aranoch długą historię. Gdyby były to pozostałości którejs z ich świątyń, prawdopodobnie kryły w sobie tajemnice, z których mógłby skorzystać.

Ziemia w miejscu, na którym kazał mu stanąć żołnierz, wymknęła mu się spod nóg.

Malevolyn wpierw potknął się, potem rzucił do przodu. Obawiając się utraty hełmu przytrzymał go jedną ręką, przez co jednak nie mógł uchronić się od upadku. Generał padł na kolana, z twarzą o kilka cali od piasku. Zabolęła go prawa ręka, która przyjęła na siebie ciężar jego ciała. Próbował wstać, choć utrudniało to sypkie podłoże.

Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu głupca, który go tu wprowadził.

– Nie stój tak, ty łotrze! Pomóż mi...

Strażnik zniknął, nie było nawet widać jego pochodni.

Łapiąc równowagę, Malevolynowi udało się wstać. Ostrożnie sięgnął po miecz i odkrył, że on również zniknął.

Czy jesteś tego godzien?, powtórzył przekłęty głos w jego głowie.

Spod piasku wyskoczyły cztery ohydne postacie, tylko w ogólnym zarysie podobne do ludzi.

Nawet w ciemnościach generał mógł dostrzec twarde pancerze i powykręcane głowy, podobne do owadzich. Obrazu 1 dopełniała para przerośniętych, ostrych szczyptec – wyglądały jak insekty z jakiegoś koszmaru, lecz nie były one wytworem wyobraźni Malevolyną. Słyszał o

piasecznikach, wielkich stawonogach, które polowały na dzikich pustkowiach Aranoch i słyszał o potworach, które polowały na nie... gdy zabrakło ludzi.

Choć owadzie demony przez lata były sprawcami zniknięć całych karawan, generał nigdy nie słyszał, aby kręciły się wokół tak dużej masy ludzi jak jego armia. Nie była to jeszcze największa z armii, lecz zdyscyplinowani wojownicy Malevolyna z pewnością nie byli łatwym kąskiem dla takich potworów. Wolały mniejsze, słabsze ofiary.

Takie, jak samotny wojownik wciągnięty w ich pułapkę?

Gdy znajdzie zdradziecki posterunek, dowie się, który z oficerów go zdradził. Jednak teraz Malevolyn miał ważniejsze sprawy na głowie, na przykład jak nie stać się następnym posiłkiem owadopodobnych demonów.

Czy jesteś godzien?, powtarzał głos w jego głowie.

Jakby nagle pobudzony do działania, jeden z groteskowych potworów sięgnął ku niemu, jego odnóża i żwaczki szczękały w nadziei na krwawą ucztę. Choć nie były prawdziwymi demonami z piekła rodem, owadzie stwory były dla zwykłego człowieka wystarczająco przerażającymi napastnikami.

Jednak Augustus Malevolyn nie uważał się za zwykłego człowieka.

Gdy pazury zbliżały się ku niemu, generał zareagował instynktownie, jego ręka wystrzeliła do przodu, aby jak najlepiej osłonić go przed atakiem. Ku swojemu i potwora zaskoczeniu, w dłoni zmaterializowało się ostrze o barwie hebanu, rozsiewające wokół szkarłatny blask jaśniejszy od światła pochodni. Broń nadal rosła, gdy zakreślał nią łuk w powietrzu – przez cały czas jej waga i wyważenie były doskonałe.

Ostrze bez oporu zagłębiło się w pancerzu, odcinając odnóże, które poleciało gdzieś w bok. Demon wydał z siebie cienki pisk i cofnął się – z odciętego ramienia skapywała jakaś ciemna substancja.

Generał Malevolyn nie zatrzymał się, zaskoczony niezwykle obrotom wydarzeń. Z łatwością przeciął drugiego z atakujących. Jeszcze nim stwór upadł, generał obrócił się ku następnemu, nieustannym atakiem zmuszając go do cofnięcia się.

Pozostała dwójka dołączyła do trzeciego, usiłując zaatakować dowódcę z różnych stron. Malevolyn zrobił krok do tyłu, zmienił pozycję i natychmiast zabił tego, któremu odciął odnóże. Gdy następna para padła trupem, weteran odwrócił się, zawiązał mieczem i pozbawił kolejnego głowy.

Trysnął śmierdzący płyn, oślepiając go. Ostatni z napastników wykorzystał tę przewagę najpierw przygważdżając go do ziemi, a następnie usiłując przegryźć się przez gardło i zdjąć mu głowę z ramion. Warcząc jak zwierzę, Malevolyn zablokował żwaczki osłoną przedramienia, mając nadzieję, że zbroja ochroni ciało i kość na tyle długo, żeby zdołał się podnieść.

Kolanem odepchnął potwora i jego żwaczki, zyskując trochę miejsca, którego potrzebował. Obróciwszy broń, z całej siły wbił ostrze w miejsce poniżej głowy demona, gdzie pancerz był najcieńszy.

Przerażający owad wydał z siebie krótki, cienki pisk i padł martwy na generała Malevolyna.

Z niewielkim obrzydzeniem dowódca zepchnął z siebie trupa i wstał. Jego wypucowana zbroja była uwalana krwią owadopodobnych demonów, ale poza tym nie odniósł żadnych obrażeń. Popatrzył na ciemne, nieruchome sylwetki, rozgniewany zdradą i bardzo zadowolony, że w pojedynkę pokonał cztery piekielne stwory.

Augustus Malevolyn dotknął napierśnika, pokrytego krwią potworów. Przez prawie minutę wpatrywał się w śmierdzące błoto pokrywające rękawicę. Tknięty impulsem, Malevolyn ponownie dotknął napierśnika,

lecz zamiast oczyścić zbroję, zaczął rozmazywać krew – tak, jak czynił Bartuc z krwią pokonanych ludzi.

– Taak... prawdopodobnie jesteś godzien... Malevolyn odwrócił się, dostrzegając otuloną mrokiem postać zdradzieckiego strażnika. Jednak zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że ten, którego wziął za jednego ze swoich ludzi jest istotą znacznie bardziej potężną, by nie powiedzieć złowrogą...

– Teraz cię poznaję... – zamruczał. Jego oczy lekko się rozszerzyły, gdy dostrzegł prawdę. – A raczej... wiem, czym teraz jesteś... demonie...

Postać zaśmiała się cicho głosem, jakiego nie wydałby z siebie żaden człowiek. Przed oczyma zaskoczonego generała Malevolyna sylwetka strażnika zwinęła się, urosła, zmieniła w istotę nie z tego świata. Górowała ona nad człowiekiem, a tam, gdzie były cztery kończyny, widać było sześć. Pierwsza para miała wygląd wielkich kos z ostrym zakończeniem, druga kościstych rąk zakończonych morderczymi pazurami, a ostatnia, zagięta do tyłu, służyła jako nogi tak, jak u owada, do którego podobny był demon.

Modliszka. Modliszka z piekła rodem.

– Bądź pozdrowiony, generale Augustusie Malevolynie z Zachodniej Marchii, wojowniku, zdobywco, cesarzu... i prawy dziedzicu Krwawego Władcy – Odrażający potwór wykonał dziwny ukłon, zagrzebując w piasku ostre zakończenia kos – On gratuluje ci twej godności...

Malevolyn popatrzył na swoją dłoń, w której nie trzymał żadnej broni. Magiczne ostrze znikło w chwili, gdy nie było już potrzebne, ale generał był pewien, że z łatwością będzie je mógł przywołać, jeśli pojawi się taka potrzeba.

– To ty jesteś głosem w mojej głowie – odpowiedział wreszcie dowódca – To ty mi się przypochebiałeś...

Demon przekrzywił głowę, wypukłe oczy rozblęły.

– On się nie przypochlebia... on zachęca.

– A gdybym nie zdał tego małego testu?

– Wtedy on by się strasznie rozczarował.

Słowa te, pomimo zawartej w nich sugestii, sprawiły, że generał Malevolyn roześmiał się.

– Zatem piekielnie dobrze się stało, że nie zawiodłem.

Gdy Malevolyn myślał, jedna ręka poprawiała hełm. Najpierw wizje, potem rozwinięcie ograniczonych do tej pory mocy, a teraz magiczne ostrze i kłaniający się demon.

Z pewnością było tak, jak powiedziała modliszka: Augustus Malevolyn zasłużył na zbroję Bartuca.

– Jesteś godzien – zaświergotał demon – Tak mówi on – Xazax, bo tak on się zwie – lecz jedna rzecz wciąż poza twym zasięgiem pozostaje! Jedną rzecz mieć musisz, nim Bartucem się staniesz!

Generał Malevolyn zrozumiał.

– Zbroja. Zbroja, którą nosi ten kmiotek! Przybyła do mnie zza morza! Galeona mówi, że zbliża się do Lut Gholein, dlatego podążamy w tamtą stronę – Zastanowił się

– Prawdopodobnie nadeszła pora sprawdzić, czego się o niej dowiedziała. Być może z twoją pomocą...

– Lepiej nie mów o mnie swojej czarodziejce, o wielki! – Xazax zaświergotał z troską

– Takim jak ona... nie zawsze można ufać. Najlepiej w ogóle się z nimi nie zadawać.

Malevolyn szybko przemyślał słowa demona. Xazax mówił tak, jakby on i Galeona znali się przez jakiś czas, co zresztą wcale nie zaskoczyło generała. Wiedźma od dawna utrzymywała kontakty ze złymi mocami.

Jednak zaciekało go, że ten stwór najwyraźniej nie chciał, aby Galeona wiedziała o sprawach, o których teraz rozmawiali. Zmiana zdania?

Zdrada? Cóż, jeśli Malevolynowi było to na rękę, tym lepiej.

Pokiwał głową.

– Dobrze. Dopóki czegoś nie zadecyduję, nie dowie się o naszej rozmowie.

– On docenia twoje zrozumienie.

– Oczywiście... – Generał nie miał czasu zajmować się czarodziejką. Xazax poruszył temat znacznie bardziej istotny – Mówiłeś o zbroi. Wiesz coś o niej?

Przerażająca modliszka znów się skłoniła. Nawet w świetle gwiazd generał mógł dostrzec pulsujące bez przerwy, pokrywające ciało, żyły.

– Obecnie ten głupiec dostarczył ją do Lut Gholein... ale do tej pory mógł ją ukryć gdzieś w mieście, z dala od tego, do kogo ona naprawdę należy...

– Już o tym myślałem – Rzeczywiście, generał Malevolyn dużo o tym myślał, myślał i stawał się coraz bardziej rozzłoszczony, choć nie okazywał tego. Część jego umysłu była pewna, że mógłby zdobyć Lut Gholein i pojmać wieśniaka w zbroi, ale bardziej praktyczna część obliczyła straty, jakie by poniósł i wykazała, że byłyby one zbyt znaczne. Nadal istniała możliwość porażki. Tak naprawdę, to Malevolyn zamierzał krążyć ze swoją armią nie wykryty przez władze królestwa, czekając, aż obcy sam wyjdzie na pustynię. Niestety, generał nie mógł wierzyć, że ten głupiec postąpi tak, jak on by tego chciał.

Xazax zbliżył się.

– Królestwo jest silne i ma wielu żołnierzy wyszkolonych w sztuce wojennej. Ten, kto ma zbroję, może się czuć tam bezpiecznie.

– Wiem.

– Ale on może ci dać sposób, aby Lut Gholein było twoje... siłę przerażającą... której nie oprze się żadna ludzka armia.

Malevolyn z trudem uwierzył w to, co przed chwilą usłyszał.

– Czy sugerujesz...

Demon nagle spojrział w stronę obozu, jakby usłyszał stamtąd jakiś dźwięk. Po chwili uwaga Xazaxa znów skoncentrowała się na człowieku.

– Spotkamy się znów, gdy będziesz o dzień drogi od miasta. Wówczas będziesz musiał być gotów, aby zrobić to...

Dowódca wysłuchał demona. Początkowo nawet on poczuł obrzydzenie wobec tego, co proponował stwór, ale gdy Xazax wyjaśnił mu, czemu tak musi być, Augustus Malevolyn zrozumiał... i poczuł narastające podniecenie.

– Zrobisz to? – zapytała modliszka.

– Tak... tak, zrobię... z chęcią.

– Zatem wkrótce znów się spotkamy – Postać Xazaxa stała się nagle niewyraźna, rychło upodabniając się raczej do cienia niż istoty z krwi i kości – Do tego czasu bądź pozdrowiony po raz wtóry, generale! On pozdrawia dziedzica Bartuca! On pozdrawia nowego władcę demonów! On pozdrawia nowego Władcę Krwi!

W tym momencie ostatnie ślady Xazaxa znikły w ciemnościach nocy.

Generał Malevolyn natychmiast zaczął wracać do obozu. Jego umysł gnał jak szalony, a słowa potwornej modliszki odbijały się echem w głowie. Test demona i łatwość, z jaką Malevolyn go przeszedł zbladł w porównaniu ze złożoną mu propozycją, zbroja i sposób, dzięki któremu ona i całe Lut Gholein bez większych problemów wpadną w ręce generała.

Władca demonów, powiedziała modliszka.



Jeszcze jedna noc. Jeszcze jedna noc i „Królewska Tarcza” wpłynie do portu w Lut Gholein.

Jeszcze jedna noc i Kara znajdzie się na obcej ziemi, w towarzystwie dwóch groteskowych towarzyszy.

Tak jak wcześniej, wróciła z wieczerzą do kajuty i zjadła ją pod czujnym okiem dwóch nieumarłych. Fauztin nadal stał w kącie – blady Yizjerei wyglądał niczym jakaś makabryczna statua. Za to Sadun Tryst zbliżył się do niej – bardziej gadatliwy z ghuli siedział na wbudowanej w ścianę ławce tuż obok łóżka. Krępy ghul próbował nawet z nią rozmawiać czarodziejka świetnie mogłaby obyć się i bez tego.

Jednak jeden temat był dla niej na tyle ciekawy, że zmusiła się do rozmowy – dotyczył on tajemniczego Norreca Yizharana. Kara zauważyła coś dziwnego w sposobie, w jaki Tryst mówił o swoim byłym towarzysz. Nie żywił złości wobec swego mordercy. Przez większość czasu po prostu zarzucał ją opowieściami o przygodach, które wspólnie przeżyli. Mimo przerażającego czynu, którego Norrec się dopuścił, Tryst wydawał się nawet współczuć weteranowi.

– Ocalił... moje życie... więcej niż trzy razy... – zakończył ghul, zachęcony do rozmowy o swoim zdradzieckim przyjacielu. – Nie było wojny... gorszej... niż ta.

– Od tego czasu podróżowaliście razem? – Wojna, o której mówił Tryst, toczyła się w Zachodnich Królestwach jakieś dziewięć lat temu. Tak długi kontakt oznaczał dla ludzi takich jak oni zadzierzgnięcie wyjątkowo mocnych więzów.

– Taak... za wyjątkiem... choroby Norreca... opuścił nas... na trzy miesiące... potem dołączył... – gnijąca postać spojrzała na Yizjerei – Pamiętasz... Fauztin?

Czarodziej lekko skinął głową. Kara spodziewała się, że jakoś zabroni Sadunowi rozwodzić się nad takimi sprawami, ale on również wydawał się być pochłonięty opowieściami. Za życia obaj mężczyźni bardzo cenili Norreca, a po tym, co usłyszała, zaczynała cenić go również nekromantka.

Jednak ten sam Norrec Yizharan zamordował tę dwójkę, a rewenanci istnieją dzięki pragnieniu zemsty i sprawiedliwości przekraczającej ludzkie pojmowanie. Powinni myśleć tylko o zemście, o rozdarciu Yizharana na sztuki i odesłaniu jego przeklętej duszy w zaświaty. To, że czuli jeszcze coś innego, było dla niej zaskakujące. Sadun Tryst i Fauztin nie zachowywali się jak rewenanci, o których mówiły legendy.

– Co zrobicie, gdy go znajdziecie? – Już raz o to pytała, ale nie uzyskała jasnej odpowiedzi.

– Zrobimy to... co musi... być... zrobione...

Znów odpowiedź, która jej nie zadowalała. Czemu skrywali prawdę przed Karą?

– Po tym co zrobił, nawet wasza przyjaźń musi niewiele znaczyć. Jak Norrec mógł zrobić coś tak strasznego?

– Zrobił to... co musiało... być... zrobione. – Po tej tajemniczej odpowiedzi uśmiech Trysta jeszcze bardziej się rozszerzył, odsłaniając poźółkłe zęby i odpadające kawałki dziąseł.

Codziennie, mimo pochłaniającej ich wyprawy, rewenanci wyglądali coraz gorzej. Nigdy nie zgniją do końca, ale ich więzy z człowieczeństwem będą się coraz bardziej kurczyły – Jesteś bardzo piękna...

– Co? – Kara Nocny Cień zamrugła, niepewna, czy dobrze usłyszała.

– Bardzo piękna... i świeża... żywa. – Ghul nagle chwycił pasemko jej długich, kruczoczarnych włosów – Życie jest piękne... piękniejsze niż... dotąd...

Powstrzymała dreszcz. Sadun Tryst wyraził się całkiem jasno. Wciąż zbyt dobrze pamiętał przyjemności życia. Jedną z nich – jedzenie – już go rozczarowała. Teraz, przebywając przez wiele dni w jednej kajucie z żywą kobietą najwyraźniej chciał przeżyć inne – a Kara nie wiedziała, jak go powstrzymać.

Sadun Tryst bez ostrzeżenia odwrócił się i popatrzył na swego przyjaciela. Choć Kara niczego nie zauważyła, pomiędzy nimi musiała odbywać się jakaś rozmowa, której wynik nie zachwycił krępego ghula.

– Niech mi... chociaż zostaną... złudzenia...

Fauztin nic nie odrzekł, jego odpowiedzią było mrugnięcie. Jednak to wydawało się zduszać zapał jego towarzysza.

– Nie... dotknąłbym jej... za bardzo... – Tryst popatrzył na nią, po czym spojrzał prosto w jej oczy – Ja tylko...

Głośne łomotanie do drzwi zmusiło go do cofnięcia się w ciemny kąt. Kiedy to robił, Kara za każdym razem nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zawsze czytała, że szybkość nie jest najlepszą stroną ghuli. Mieli za to wytrzymałość i nieludzką cierpliwość.

Ukryty obok Yizjerei, Tryst mruknął:

– Odpowiedz.

Zrobiła tak, podejrzewając, kto to może być. Tylko dwóch ludzi miało odwagę pukać do tych drzwi –jednym z nich był kapitan Jeronnan, z którym niedawno rozmawiała, a drugi...

– Tak, panie Drayko? – spytała, uchylając nieco drzwi. Wyglądał na niezadowolonego.

– Pani Karo, wiem, że życzyła sobie pani, aby nikt nie przeszkadzał, ale... chciałbym zapytać, czy mogłaby pani zamienić ze mną kilka słów na pokładzie?

– Dziękuję, panie Drayko, ale jak już to powiedziałam kapitanowi, mam jeszcze dużo do zrobienia, nim dopłyniemy do portu – Zaczęła zamykać drzwi – Dziękuję za propozycję...

– Nawet dla odrobiny świeżego powietrza?

Coś w tonie jego głosu zaskoczyło ją, ale nekromantka nie miała czasu, aby się nad tym zastanawiać. Tryst dał jej jasno do zrozumienia, że powinna spędzać na zewnątrz tylko tyle czasu, ile zajmuje odebranie posiłku z mesy. Rewenanci woleli mieć na oku swoją żywą marionetkę.

– Przepraszam, ale nie.

– Tak myślałem – Obrócił się do wyjścia... po czym tak mocno walnął w drzwi ramieniem, że Kara poleciała na łóżko. Cios nie ogłuszył jej, ale przez chwilę leżała bez ruchu, zupełnie zaskoczona jego działaniem.

Drayko wbiegł do środka i padł na kolana. Spojrzał w górę, zobaczył ghule i zbladł.

– Na Króla Głębin!

W dłoni Trysta nagle pojawił się sztylet.

Marynarz sięgnął po nóż, który Kara dostrzegła u jego boku. Drayko najwyraźniej ukrywał go tam podczas rozmowy z czarodziejką. Cały czas działał ze świadomością, że w kajucie jest coś nie tak... choć chyba nawet Drayko nie spodziewał się, co zobaczy.

Gdy Sadun Tryst uniósł ramię, do małego pomieszczenia wpadła druga postać.

Trzymając w ręku pamiątkową broń, kapitan Hanos Jeronnan osłonił swojego oficera. W przeciwieństwie do Drayko, nie wydawał się zaskoczony potwornymi postaciami stojącymi tak blisko. Tak naprawdę, na ich widok niemal się ucieszył.

– Nie pozwolę, by to się powtórzyło... – zamruczał – Nie weźmiecie jej...

Kara natychmiast zrozumiała słowa kapitana. Według niego nieumarli uosabiali niewidzialnego potwora, który nie tylko porwał mu córkę, ale też zamienił ją w potwora, którego musiał zabić. Teraz zamierzał wyrzucić na nich swą zemstę.

Posiadając zdobiony srebrem miecz, miał ku temu możliwości.

Tryst rzucił sztyletem, znów poruszając się z szybkością, której zaprzeczała jego rozkładająca się postać. Małe ostrze wbiło się w ramię Jeronnana, zatoczył się do tyłu. Jednak były oficer marynarki nie wycofał się. Mimo kapiącej krwi i ostrza do połowy tkwiącego w ramieniu Jeronnan zaatakował, tnąc swojego nieumarłego przeciwnika.

Z makabrycznym, zdawałoby się szyderczym uśmiechem Sadun Tryst sięgnął po ostrze, zamierzając pochwycić je w rękę. Zwykła broń nie była w stanie mu nic zrobić.

Ostrze kapitańskiej broni odcięło mu dwa palce.

Po ciele Kary rozlał się potworny ból, tak ogromny, że zgięła się wpół, niemal upadając.

Tryst cofnął swoją okaleczoną dłoń, sycząc. Patrząc na Jeronnana, wyszeptał do swojego towarzysza:

– Zrób coś... póki jeszcze mam... głowę... na karku... Mimo że jej oczy wypełniły się łzami, nekromantka dostrzegła, że Fauztin mrugnęła.

– Uważaj! – udało się jej krzyknąć.

Z ceremonialnego sztyletu buchnął strumień mocy, ciskając Jeronnanem i Drayko na przeciwległą ścianę. W tej samej chwili Yizjerei położył drugą rękę na ścianie za nimi.

Za ghulami pojawiła się błękitna poświata, która szybko się powiększała.

Dwaj marynarze gramolili się na nogi. Drayko ruszył do przodu, ale Jeronnan powstrzymał go.

– Nie! To jest jedyna broń, jaka ich powstrzyma! Przysięgam, że posiekam ich na przynętę dla ryb, o ile tylko ryby zjedzą coś tak zgniłego! Zajmij się dziewczyną!

Oficer posłuchał, przyskoczył do Kary.

– Możesz wstać?

Przy jego pomocy Karze się to udało. Choć ból jej nie opuścił, zmniejszył się na tyle, że mogła myśleć... i zdała sobie sprawę z tego, co się stało.

Fauztin poprzez sztylet związał jej życie z ich egzystencją. Sadun Tryst, który od dawna był wolny od takich słabości, nie odczuł ciosu, jaki zadał mu Jeronnan. Wyglądało jednak na to, że każdy zadany im cios będzie odczuwany przez nią.

Mając broń zdobioną srebrem, kapitan Jeronnan mógł nie tylko posiekać ich na przynętę., ale przy okazji zabić osobę, którą chciał ocalić.

Musiła go ostrzec.

– Drayko! Musisz zatrzymać Jeronnana!

– W porządku, panienko! Kapitan wie, co robi! Jego srebrne ostrze to najlepsza rzecz na takich jak oni! W tak małym pomieszczeniu uwinie się z nimi, zanim zdążą rzucić następny czar! – Drayko zmarszczył nos – Bogowie, co za smród! Po tym, jak zaczęłaś się dziwnie zachowywać, kapitan Jeronnan przypomniał sobie, co się wydarzyło w Gea Kuł i był pewien, że coś się stało! Po obiedzie wezwał mnie do swojej kajuty, przedstawił podejrzenia, wreszcie kazał pójść ze sobą i być gotowym na spotkanie choćby z samym diablem – choć chyba nie wiedział, jak bliski był prawdy!

Nekromantka spróbowała jeszcze raz.

– Słuchaj! Rzucili na mnie zaklęcie...

– Rozumiem, dlatego nie mogłaś nic powiedzieć! – Zaczaj popychać ją w stronę drzwi, przed którymi zgromadziło się kilku marynarzy. Niektórzy mieli przygotowaną broń, ale nikt nie kwapił się do wejścia, bardziej niż nieumarłych bojąc się narazić kapitanowi lub drugiemu – Chodź, zabierzemy cię Z dała od nich!

– Ale to nie... – Kara zamilkła, gdy jej ciało nagle uwolniło się z uścisku oficera. Złapał ją za ramię.

– Nie tędy! Lepiej, abyś...

Ku jej zaskoczeniu zwinęła dłoń w pięść i mocno walnęła swojego obrońcę w żołądek.

Choć cios nie był zbyt silny, jednak zupełnie zaskoczył Drayko. Drugi oficer Jeronnana cofnął się, bardziej zaskoczony niż ranny.

Kara odwróciła się w stronę nieumarłych... i zobaczyła zapraszającego ją, ponurego Yizjerei.

Jej kończyny posłuchały, choć starała się tego nie robić. Błękitna poświata za ghulami zajmowała już większość ściany. Odkryci przez żywych, nieumarli zaczęli się cofać... ale mieli zamiar zabrać ze sobą łup.

Kara usiłowała stawiać opór, wiedząc nie tylko to, że nie chce iść z tą dwójką, ale też, że za ścianą jest tylko morze. Tryst i jego towarzysz nie musieli oddychać, ale Kara z pewnością tak.

Chodź do mnie, nekromantko... usłyszała nagle w głowie. Oczy Fauztina wpatrywały się w jej oczy, usuwając myśli.

Niezdolna do kontroli nad własnym ciałem, Kara pobiegła w stronę nieumarłych.

– Panienko, nie! – Kapitan Jeronnan wyciągnął ramię, ale rana sprawiła, że nie chwycił jej zbyt mocno. Wydarła się z uścisku, po czym chwyciła poranioną dłoń Saduna Trysta.

– Mam... ją! – wyszeptał uśmiechnięty ghul.

Fauztin złapał towarzysza za ramię, po czym padł na plecy, znikając w błękitnej poświacie i pociągając za sobą Trysta. Za Trystem poleciała Kara.

– Łap ją! – krzyknął kapitan. Drayko zawołał coś, pewnie jej imię, ale było zbyt późno, aby mogli coś zrobić.

Ciemnowłosa czarodziejka wpadła w poświatę i w morskie odmęty.

TRZYNAŚCIE



Grób Horazona... Wielkie Sanktuarium...

Norrec Yizharan przedzierał się przez cienką, lepką pajęczynę, idąc zawiłym systemem korytarzy.

Horazon...

Wzdłuż ścian stały posągi, a każdy z nich miał twarz kogoś znajomego. Rozpoznał Attisa Zuuna, tego głupiego instruktora. Korbia, bogom ducha winny akolita, którego poświęcił dla swoich celów. Merendi, przywódca rady, który padł ofiarą jego gładkich słówek wyrażających zachwyty. Jeslyn Kataro, przyjaciel, którego zdradził. Pod pajęczynami znalazł wszystkich, których kiedykolwiek znał – za wyjątkiem jednej osoby.

Za wyjątkiem swojego brata, Horazona.

– Gdzie jesteś? – krzyknął Norrec – Gdzie jesteś? Nagle znalazł się w ciemnej, rozległej krypcie. W niszach po lewej i prawej stronie stały szkielety w strojach Yizjerei. Na olbrzymim sarkofagu, stojącym tuż przed opancerzonym intruzem, wyrzeźbiony był symbol klanu: smok zgięty nad półksiężycem.

– Horazon! – zawołał Norrec – Horazon!

Echo niosło się po krypcie, jakby się z niego naśmiewając. Norrec początkowo cofnął się, ale złość i determinacja zagłuszyły wszystkie inne emocje. Ignorując ostrzeżenia umarłych, żołnierz zepchnął pokrywę sarkofagu i pozwolił jej upaść na podłogę, gdzie rozbiła się na tysiące kawałków.

Wewnątrz trumny Norrec dostrzegł otuloną w całun postać. Przeczuwając zwycięstwo, wyciągnął rękę, aby zedrzeć zasłone z twarzy i spojrzeć w wysuszone, rozpadające się oblicze swojego przeklętego brata.

Dłoń pokryta gnijącym mięsem i robakami chwyciła go za nadgarstek.

Szarpał się, ale potworne palce nie zamierzały go puścić. Ku przerażeniu Norreca ciało zaczęło zapadać się w trumnie coraz głębiej i głębiej, jakby jej dno znajdowało się w bezdennej otchłani. Norrec nie mógł się uwolnić i wpadł do sarkofagu.

Krzyczał, gdy świat umarłych zamknął się nad nim...

– Obudziłeś się.

Norrec potrząsnął głową, jego odziane w rękawice dłonie usiłowały odpędzić koszmary. Zamrugał oczyma, zdając sobie sprawę, że wciąż siedzi na starym krześle w pracowni Drognana. Sen o krypcie jego brata – nie, brata Bartuca – wydawał się prawdziwy, tak bardzo prawdziwy.

– Spałeś. Śniło ci się coś – wyjaśnił stary Yizjerei.

– Tak... – w przeciwieństwie do innych snów, ten weteran pamiętał bardzo wyraźnie – Przepraszam, że zasnąłem...

– Nie musisz przeproszać. W końcu to ja, z niewielką pomocą wina, sprawiłem, że usnąłeś... i śniłeś.

Nagły wybuch gniewu sprawił, że Norrec chciał zerwać się na równe nogi, ale powstrzymał go ruch dłoni Drognana.

– Siadaj z powrotem.

– Coś ty zrobił? Jak długo spałem?

– Uspiełem cię wkrótce po tym, jak usiadłeś. A spałeś... prawie cały dzień. Minęła już noc – czarodziej podszedł bliżej, podpierając się laską. Jednak Norrec nie uznał tego za oznakę starczej słabości. – A co do przyczyn, dla których tak postąpiłem, to powiedzmy, że uczyniłem właśnie pierwszy krok zbliżający nas do realizacji naszych zamiarów, przyjacielu.

– Uśmiechnął się wyczekująco – A teraz powiedz mi, co widziałeś we śnie?

– Nie wiesz tego?

– Sprowadziłem na ciebie sen, ale nie wiem, o czym śniłeś.

– Chcesz powiedzieć, że sam wyśniłem ten koszmar? Stary mag potrząsnął siwą brodą.

– Być może miałem pewne możliwości wyboru odpowiedniego tematu... ale efekty były już twoje. Powiedz mi, o czym śniłeś.

– Ale w jakim celu?

Głos Drognana przestał być miły

– Celem jest twoje życie.

Świadom, że tak naprawdę nie ma wyboru, Norrec poddał się i opowiedział czarodziejowi wszystko, co ten chciał wiedzieć. Z niezwykłą dokładnością opisał miejsce, wydarzenia, a nawet twarze i imiona osób uwiecznionych w posągach. Drognan kiwał głową, uważnie słuchając. Zadawał pytania, wyciskając zeń szczegóły, o których Norrec sądził, że je zapomniał. Dla maga nic nie wydawało się nieistotne.

Szczególne uwagę zwrócił Yizjerei na przerażające zdarzenia, które miały miejsce w krypcie. Drognan zdawał się czerpać szczególną przyjemność z nakłonienia Norreca do opisywania szkieletów magów i otwarcia sarkofagu. Nawet gdy ten zaczął się wzdragać przed opisywaniem szczegółów zejścia do otchłani, czarodziej zmusił go do opowiedzenia wszystkiego, aby nie opuścić żadnej sekundy i żadnego skrawka informacji.

– To fascynujące! – wykrzyknął Drognan, gdy Norrec skończył, całkowicie przy tym zapominając, jaki koszmar kazał mu przeżywać po raz kolejny – Tak wyraźny obraz! To musi być prawda!

– Co... co musi być prawdą?

– Naprawdę widziałeś grobowiec! Prawdziwe Wielkie Sanktuarium! Jestem tego pewien!

Jeśli spodziewał się, że Norrec podzieli jego entuzjazm, to czekało go rozczarowanie.

Żołnierz nie wierzył, że to, co zobaczył, istnieje w rzeczywistości... a nawet gdyby tak było, Norrec zamierzał trzymać się od niego z daleka. Po odwiedzinach w grobowcu Bartuca myśl o wejściu do grobu jego brata przerażała wytrwałego wojownika. Od chwili, gdy to się zaczęło, doświadczył tylko nieszczęść i okropności. Norrec pragnął jedynie uwolnić się od tej zbroi.

Powiedział o tym Drognanowi, który odparł:

– Będziesz miał taką szansę, Yizharan... jeśli zdecydujesz się jeszcze raz stawić czoło koszmarowi.

Norrec nie był zaskoczony odpowiedzią czarodzieja. Zarówno Bartuc, jak i Drognan byli dziedzicami kultury, która na pierwszym planie stawiała ambicję niezależnie od konsekwencji. Na tej zasadzie zbudowano imperium Kehjistanu, a jego szkielet – Yizjerei, zagłębiał się w przywoływanie demonów, aby w ten sposób zapanować nad innymi. Dopiero, gdy demony zwróciły się przeciwko nim, porzucili tę drogę, choć do tej pory zachowały się opowieści o Yizjerei, którzy w poszukiwaniu mocy zwrócili się ku Piekłu.

Czasami nawet Fauztina pociągało udanie się dalej, niż jego klan uznawał za bezpieczne. Jednak Norrec chciał wierzyć, że jego przyjaciel nie miałby aż takich skłonności jak Drognan i nie posunąłby się do tego, aby dla prostej odpowiedzi kazać komuś przeżywać jakiś koszmar dwa razy.

Jaki wybór miał teraz"? Tylko magia Drognana powstrzymywała przeklętą zbroję od pognania wraz z nim ku jakiemuś straszemu

przeznaczeniu...

Popatrzył na wielką ilość ksiąg i zwojów zebranych w przeciągu wielu lat przez starego Yizjerei. Norrec przypuszczał, że stanowiły one zaledwie część wiedzy Drogana.

Czarodziej gościł go tylko w tym pokoju, z pewnością ukrywając przed wojownikami różne tajemnice. Tak naprawdę, to gdyby ktokolwiek miał go uwolnić od zbroi, byłby to Yizjerei – pod warunkiem, że Norrec zgodziłby się zapłacić za to stosowną cenę.

W końcu, jaki miał wybór?

– Dobrze! Rób, co musisz... i to szybko! Chcę, aby to się skończyło! – Nawet gdy to powiedział, Norrec był świadom, że nigdy nie pozbędzie się okropnego poczucia winy.

– Oczywiście – Drogan odwrócił się i wyciągnął kolejne opasłe tomiszczce.

Przewertował kilka stron kiwając głową, po czym zamknął księgę – Tak, to powinno zadziałać.

– Co?

– Pomimo animozji, Bartuc i Horazon są na zawsze ze sobą związani, nawet po śmierci – wyjaśnił mag, odstawiając księgę na półkę – Fakt, że zbroja sprowadziła cię do Lut Gholein wskazuje na to, że owa więź nadal pozostała silna.

Jego twarz spoważniała.

– A twoja więź ze zbroją jest niemal tak samo silna. Rzecz to niespodziewana i dodam, zadziwiająca. Kiedy będzie po wszystkim, być może przeprowadzę dokładniejsze badania.

– Nadal nie powiedziałaś mi, co chcesz zrobić – przypomniał weteran, nie chcąc, aby Drogan znów się rozproszył. Zrozumiał, co czarodziej mówił o więzi łączącej braci i co ma z tym wspólnego zbroja, ale reszta

brzmiała dla niego jak bełkot, w który Norrec nie zamierzał się zagłębiać. Jego związki ze zbroją zaczęły się, gdy wkroczył do grobowca Bartuca, a skończą się, gdy Drognan zdejmie ją z niego. Potem Vizjerei może zrobić z nią co zechce, najlepiej przetapiając na lemieszce i inne pożyteczne narzędzia.

– Tym razem rzucę zaklęcie, które pozwoli nam ustalić, gdzie znajduje się grobowiec – zawsze uważałem, że musi być gdzieś pod miastem! – Oczy Drognana błyszczały z emocji – Będzie to wymagać od ciebie powrotu do snu... ale tym razem na jawie.

– Jak będę mógł śnić, skoro nie będę spał? Mag przewrócił oczyma.

– Chroń mnie od niewtajemniczonych! Norrecu Yizharanie, będziesz śnił na jawie dzięki mojemu zaklęciu. To wszystko, co musisz wiedzieć.

Z ogromną niechęcią zmęczony wojownik pokiwał głową.

– Dobrze! Miejmy to za sobą!

– Przygotowania trochę potrważą...

Zbliżywszy się, stary Yizjerei zakreślił czubkiem laski okrąg dookoła krzesła. Z początku Norrec nie widział niczego ciekawego, ale kiedy Drognan dojechał do końca, okrąg rozblysnął żółtym, pulsującym światłem. Gdyby nie ostrzegawcza poświata, jaką roztoczyła zbroja, pewnie znów zeskoczyłby z krzesła. Chcąc się uspokoić, Norrec przypomniał sobie, czemu to wszystko ma służyć – jego oswobodzeniu. Dla tego był gotów przejść przez wszystko, cokolwiek Drognan zechce.

Czarodziej zamruczał coś, po czym dotknął lewą ręką czoła Norreca. Żołnierz poczuł tylko lekki wstrząs.

Drognan zakreślał palcem w powietrzu różne symbole, rozblyskujące i gasnące w chwili, gdy kończył je rysować. Norrec widział tylko błyski, choć przynajmniej jeden symbol skojarzył mu się ze znakami, które widział

na ścianach grobowca. Znów stał się czujny, ale na ucieczkę było już za późno. Teraz mógł tylko zmierzyć się z tym, co przyniesie zaklęcie.

– Shazari... Shazari Tomei...

Ciało Norreca zeszywniało, jak gdyby zbroja znów przejęła nad nim kontrolę. Jednak weteran wiedział, że tak nie mogło się stać, gdyż Drogan już dawno pokazał, że potrafi ją kontrolować. Nie, to musiał być kolejny element czaru.

– Tomei! – zakrzyknął siwy mag, unosząc laskę wysoko nad głowę. Mimo podeszłego wieku był teraz bardziej przerażający i potężny niż ktokolwiek inny, choćby spotkany na polu bitwy. Yizjerei otoczyła biała, trzaskająca wyładowaniami aura, która sprawiła, że jego broda i włosy zdawały się poruszać jak żywe.

– Shazari Saruphi!

Ciało Norreca zatrzęsło się, aż jęknął. Jakaś siła wcisnęła go głęboko w krzesło.

Pracownia maga zaczęła oddalać się od niego z taką prędkością, że zdębiał. Norrec miał wrażenie, że płynie, choć nie poruszał ani ręką, ani nogą.

Przed nim pojawiła się szmaragdowa poświata o rozmazanym, okrągłym kształcie. Z dali Norrec słyszał, jak Drogan wykrzykuje coś, ale jego głos był spowolniony i niewyraźny, jak gdyby dla Yizjerei czas zwolnił i nawet dźwięk nie mógł poruszać się szybciej niż żółw.

Poświata przyjęła kształt idealnej kuli. Wypełniająca ją szmaragdowa mgła zniknęła, a wtedy wewnątrz pojawił się obraz miejsca.

Krypta.

Coś w tym widoku zaniepokoiło Norreca. Szczegóły były inne, w wielu przypadkach błędne. Szkielety Yizjerei nie nosiły szat, ale bogato zdobione zbroje i nie były prawdziwymi szczątkami, lecz kamiennymi rzeźbami.

Potężne pajęczyny zostały zastąpione przez zniszczone gobeliny przedstawiające smoki, roki i inne stwory magiczne. Zmienił się nawet symbol klanu braci – teraz był to duży ptak, trzymający w szponach słońce.

Norrec próbował coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. Jeszcze raz usłyszał z trudem wypowiedane słowa Drognana. Mag wydawał się być jeszcze bardziej oddalony.

Nagle obraz krypty wycofał się. Coraz szybciej zaczął oddalać się od Norreca. Choć wciąż siedział na krześle, wojownikowi zdawało się, że biegnie do tyłu przez zatęchłe korytarze wiodące do grobu Horazona. Przed Norrecem przesuwały się szeregi posągów, znikając równie szybko jak krypta. Choć większość twarzy była tylko rozmazanymi plamami, udało mu się rozpoznać kilka z nich – nie były to oblicza z mrocznej przeszłości władcy.

Zamiast tego zobaczył twarze ze swojej przeszłości – Sadun Tryst, Fauztin, pierwszy dowódca Norreca, kilka kobiet, które kochał, a nawet kapitan Casco. Niektórych w ogóle nie znał, jak chociażby bladej, ale atrakcyjnej młodej kobiety o włosach czarnych jak noc i oczach fascynujących nie ze względu na kształt, ale dlatego, że srebrzyście błyszcząły.

Wreszcie i posągi znikły mu z oczu. Teraz widział tylko ziemię i kamienie, unoszące się wokół niego, jakby w odwrotności pogrzebu. Drognan zawołał coś, ale Norrec i tak go nie zrozumiał.

Wreszcie ziemia i kamień zamieniły się w bardziej sypką substancją... piasek, jak z opóźnieniem się zorientował. Pojawił się błysk światła, być może światła dziennego.

Norrec!

Weteran potrząsnął głową pewny, iż wyobraził sobie, jak ktoś woła jego imię.

Norrec! Vizharan!

Głos brzmiał jak głos Drognana, ale takiego, jakiego Norrec nigdy nie słyszał. Głos Yizjerei przepełniała niepewność, a nawet strach.

Yizharan! Walcz z tymi.

Coś poruszyło się wewnątrz Norreca, strach przeszył go do szpiku kości...

Lewa ręka uniosła się sama.

– Nie! – krzyknął. Jego głos dobiegał z oddali, jakby nie należał do niego.

Jego druga ręka uniosła się, a ciało podążyło za zbroją.

Prawie wstał z krzesła, gdy jakaś siła próbowała go powstrzymać. Norrec widział zniekształconą postać Drognana z laską trzymaną w obu rękach, jak próbuje odepchnąć żołnierza od wizji Wielkiego Sanktuarium. Widział, jak jego odziane w rękawice dłonie chwytają za laskę, pragnąc ją wyrwać.

Gdy dwaj mężczyźni się zmagali, laska trzaskała wyładowaniami, żółtymi w miejscu, gdzie ścisnął ją Drognan i szkarłatnymi tam, gdzie znalazły uchwyt palce Norreca. Norrec czuł, jak potężne moce przepływają przez niego...

– Walcz z tym, Vizharan! – zawołał skądś Drognan. Jego usta się nie poruszały, ale wysiłek malujący się na twarzy dorównywał temu, który słyszał w głosie – Zbroja jest silniejsza, niż sądziłem! Cały czas nas oszukiwała!

Nic więcej nie trzeba było mówić. Doskonale rozumiał, co mag chciał powiedzieć.

Zaczarowana zbroja najwyraźniej nigdy nie była pod kontrolą Yizjerei – przyczaiła się, czekając, aż Drognan pokaże to, czego przez tak długi czas szukał.

Grobu Horazona.

Jednak Drognan miał w kilku sprawach rację. Powiedział, że Bartuc i jego brat są związani na wieki. Teraz Norrec rozumiał, czemu zbroja wlokła go z jednego krańca świata na drugi. Coś przyciągało jaku miejscu wiecznego spoczynku Horazona, coś tak potężnego, że nawet śmierć nie mogła jej powstrzymać.

Zbroja posiadała coś w rodzaju własnego umysłu – z pewnością była sprytniejsza, niż Norrec i wszyscy, których w swoim życiu spotkał. Zapewne, gdy „Ognisty Jastrząb” przybił do Lut Gholein, wykryła zaklęcia Drognana... i wiedziała jak wykorzystać je dla swoich mrocznych celów.

Niezwykłe, nie do wiary, nieprawdopodobne – ale jak najbardziej prawdziwe.

Pomiędzy rękawicami Norreca zasyczała energia. Drognan krzyknął i upadł, nie martwy, ale ogłuszony. Rękawice puściły laskę, a prawa ręka wyciągnęła się w stronę postaci przed Norrecem...

Gdy tak się stało, postać zaczęła się oddalać, jakby ktoś inny próbował udaremnić zamiary zbroi. Obraz bladł, falował...

Mimo to zbroja położyła prawą rękawicę w samym środku. Wokół dłoni pojawiła się czerwona aura...

– Sazari Giovox!

Gdy te słowa padły z ust Norreca, jego ciało zdematerializowało się. Krzyczał, ale nic nie mogło powstrzymać tego procesu. Jego ciało niczym dym rozciągało się i skręcało, aż wreszcie przeniknęło zmniejszającą się wizję.

Jego krzyk trwał aż do chwili, gdy Norrec i magiczny krąg zniknęli.



Tego dnia stracili jednego człowieka pożartego przez piaseczniki i jednego, który zmarł z gorąca. Jednak Galeona zauważyła, że Augustus

Malevolyn zachowywał się coraz radośniej, jakby już miał nie tylko zbroję Bartuca, ale też moc i chwałę, o której marzył.

Wiedźmę niepokoiło to bardziej, niż się spodziewała. Takie okazywanie uczuć było dla generała czymś niezwykłym. Jeśli jego nastrój tak bardzo się poprawił, to musiał mieć ku temu istotny powód.

Galeona podejrzewała, że ten powód miał jakiś związek z Xazaxem. Dawno nie widziała demona, a to nigdy nie wróżyło czegoś dobrego. Od tamtej nocy, kiedy Malevolyn najwyraźniej stracił resztki zdrowego rozsądku i udał się na samotny spacer po pustyni, modliszka zachowywała się powściągliwie. Czarodziejce udało się dwa razy pod jakimś pretekstem oddzielić od kolumny wojsk i porozmawiać z nim na osobności. Za każdym razem Xazax wypowiadał się o swoich planach dziwnie ogólnikowo. Wydawało się, iż to wszystko, czego dokonali razem, nie miało teraz znaczenia.

Xazaxpragnie zbroi, przypomniała sobie. Ale sam nie może korzystać z zaklęć.

Skoro on nie może, to może ludzki pionek... Augustus znakomicie się do tego nadawał. Wiedźma podejrzewała, że Xazax próbuje manipulować jej kochankiem. Teraz była pewna, że nie doceniała modliszki.

Galeona musiała odzyskać swój wpływ na generała. Jeśli się jej nie uda, ryzykowała utratą czegoś więcej niż pozycji –także utratą głowy.

Malevolyn zarządził postój. Maszerowali zadziwiająco szybko i niewielu ludzi zginęło. Przez jakiś czas podążało za nimi stado skoczków – wielkich, skaczących paskudztw nieco podobnych do jaszczurek, z szeregiem długich, ostrych kolców na grzbiecie – jednak żołnierze nie dopuścili do tego, aby zbliżyły się na tyle, by zrobić użytek ze swoich długich pazurów i kłów. Po zabiciu jednego reszta rzucała się na ścierwo. Podobnie jak inne

pustynne stworzenia wolały łatwy posiłek – nawet z kogoś własnego gatunku – od takiego, który się odgryza.

Piach i gorąco wciąż były ich największymi wrogami, dlatego generał w końcu ustąpił. Gdyby musiał decydować sam, podążałby do przodu, zajeżdżając konia na śmierć i wędrując samemu dalej.

– Prawie ją widzę – wspomniał, gdy zrównała się z nim. Malevolyn wysunął się nieco przed kolumnę. Z wysokości siodła przyglądał się okolicy – Prawie czuję jej smak...

Podjechała jeszcze bliżej i wyciągnęła rękę, aby go dotknąć. Generał Malevolyn, wciąż w krwawym hełmie Bartuca, nie zaszczyił jej nawet spojrzeniem. Nie był to dobry znak.

– I zasłużenie... – zagruchała, próbując zwrócić jego uwagę – Wyobraź sobie, że wjeżdżasz do Lut Gholein z hełmem władcy na głowie! Pomyśl, że to on sam wrócił do życia!

Niemal natychmiast pożałowała tych słów przypomniawszy sobie, jak jego myśli zmieszały się z obrazami z hełmu. Od ostatniego, groźnego zdarzenia nie doświadczył następnego ataku, ale Galeona wciąż nosiła bolesną tego pamiątkę.

Na szczęście wydawało się, że Augustus był zbyt zajęty własnymi myślami. Wreszcie spojrzął na Galeonę, a w jego głosie brzmiało zadowolenie z komplementu.

– Tak, to będzie cudowny widok... i ostami, jaki zobaczą! Prawie to widzę... okrzyki strachu i przerażone spojrzenia, gdy zrozumieją, że są skazani na zagładę i kto jej dokona.

Być może właśnie teraz miała okazję, na którą tak długo czekała.

– Wiesz, kochanie, póki mamy czas, mogę rzucić dla ciebie jeszcze jedno zaklęcie poszukujące. Skoro masz hełm, nie będzie to...

– Nie – Tak po prostu. Malevolyn przestał na nią patrzeć i dodał: – Nie. To nie będzie konieczne.

Nie widział, że przeszedł ją dreszcz. Te kilka słów potwierdzało jej najgorsze obawy.

Generał był odporny nawet na propozycję odszukania legendarnej zbroi Bartuca przy pomocy magii. Od chwili, kiedy hełm dostał się w jego ręce w sposób, który nawet ona uznała za szczęśliwy zbieg okoliczności, nie przepuścił żadnej okazji, aby wykorzystać go dla odnalezienia reszty zbroi. Nawet, gdy dowiedzieli się, że Norrec chodził po ziemi w upragnionym łupie Malevolyna nalegał, aby korzystała z hełmu dla prowadzenia regularnych poszukiwań i ustalania trasy wędrowca.

Teraz mówił jak ktoś, kogo to nie obchodziło, jakby stał się tak pewien przejęcia zbroi, że nie potrzebował obserwowania jej przez magiczne oko. Tak nie zachowywał się Augustus, którego znała na wylot – Galeona czuła, że nie miało to związku z hełmem. Z pewnością ten artefakt na tyle umocnił swój związek z nim, że mógł wytrzymać chwilowe rozłączenie.

W ten sposób jej myśl wróciła do Xazaxa.

– Jak sobie życzysz – Galeona odparła – Ile czasu minie, nim znów ruszymy, ukochany?

Spojrzał na słońce.

– Kwadrans. Nie dłużej. Będę gotów zmierzyć się z moim przeznaczeniem we właściwym czasie.

Nie prosiła go o wyjaśnienia. Kwadrans jej wystarczy.

– Zatem pozostawiam cię twoim myślom, mój generale. Nie zaskoczył jej fakt, że nawet nie kiwnął głową. Tak, Xazax zrobił swój ruch, być może nawet bezpośrednio porozumiewał się z dowódcą. W ten sposób demon nie tylko zrobił pierwszy krok ku zerwaniu paktu z wiedźmą, ale też zabiciu jej.

– Zobaczmy, czyją głowę zatkną na włączni – zamruczała. Z braku cienia, Xazax musiał za dnia trzymać się z dala od kolumny wojska. Oznaczało to, że Galeona mogła rzucić zaklęcie bez obawy, że zdradziecka modliszka wykryje to.

Wiedźma znalazła idealne miejsce za wydmą niedaleko obozu. Nie obawiała się piaseczników i im podobnych stworów: zaklęcia ochronne, które rzuciła na siebie na początku podróży wciąż działały. Mogła, co prawda, rzucić je również na całe wojsko, ale wtedy nie mogłaby używać żadnych innych zaklęć. Nie widziała powodu, dla którego miałyby być aż tak wielkoduszna. Kilku żołnierzy mniej nie miało dla niej żadnego znaczenia...

Zsiadła z konia, wzięła swój bukłak i uklękła na gorącym piasku. Wylała kilka garści drogocennego płynu na spalony grunt. Kiedy uznała, że wystarczy, zakorkowała go i wróciła do pracy.

Jej smukłe, spiczaste palce uformowały mokry piasek w ludzką postać wielkości lalki.

Stworzywszy kształt ogólny, Galeona wypowiedziała pierwszą część formuły, dostrajając ją do tego, kogo pragnęła.

Piaskowa figurka przybrała postać mężczyzny o szerokich ramionach z kreskami w poprzek tułowia, jakby nosiła zbroję.

Wiedząc, że błoto zaraz wyschnie, Galeona szybko wyjęła małą fiolkę. Wciąż szepcząc, wylała kilka kropel zawartości na pierś lalki. Fiolka zawierała najcenniejszy dla niej płyn: krew, którą poświęciła ze swojego ciała i zachowała dla pewnych delikatnych zaklęć.

Wyobrażenie zbroi Bartuca potrzebowało krwi, aby ją pomalować i, co ważniejsze, złączyć Galeonę z figurką. Miała nadzieję, że w ten sposób skontaktuje się z tym Norrecem, dotknie go tak, jak to miało miejsce na

statku. Gdyby była tak daleko jak wówczas, kiedy wraz z Xazaxem przywołali Śniącego, takie zaklęcie wymagałoby od niej zbyt wiele krwi.

Żołnierz, którego poświęcili w namiocie ostatnim razem zastępował ją. Jednak teraz Galeona była pewna, że to, co teraz zamierza powiedzieć się, i to przy minimalnym wysiłku z jej strony.

Dookoła podobizny nakreśliła okrąg, po czym ułożyła dłonie z rozczapierzonymi palcami po obu stronach figurki. Pochyliwszy się, patrzyła w miejsce, gdzie powinna być twarz, szepcząc ostatni fragment zaklęcia i wplatając weń imię żołnierza.

– Norrec... Norrec...

Świat wokół niej odsuwał się. Wzrok Galeony wyostrzył się, przemykała ponad pustynią jakby była orłem, który porusza się z prędkością wiatru. Mknęła coraz szybciej aż nie mogła dostrzec, jaki krajobraz rozciąga się pod nią.

Jej czar działał. Wspomnienie krótkiego spotkania z tym głupcem wzmocniła magią, koncentrując się na jego twarzy i postaci.

– Norrec... pokaż mi... pokaż mi, gdzie jesteś...

Nagle wokół zapadła ciemność. Ta zmiana tak zaskoczyła Galeonę, że niemal przerwała zaklęcie. Tylko szybkie myślenie umożliwiło utrzymanie cennego połączenia – nie miała czasu na ponowne nawiązywanie łączności. Oddalenie się od armii nawet na tak krótki czas mogło wywołać podejrzenia Augustusa.

– Norrec... pokaż mi...

Pojawiła się jego twarz, z zamkniętymi oczyma i ustami. Przez chwilę wiedźma zastanawiała się, czy przypadkiem nie umarł, ale potem zdała sobie sprawę, że gdyby tak było, to jej zaklęcie by nie zadziało. Piaskowa podobizna wymagała żywego celu.

Skoro nie jest martwy, zatem co się dzieje? Galeona sięgnęła głębiej, wkroczyła do wymiaru, w którym przebywał Norrec. Ze światem rzeczywistym łączyła ją teraz tylko wiotka nitka kontaktu, ale też mogła dowiedzieć się znacznie więcej.

Wreszcie wiedźma zobaczyła, gdzie znajduje się jej cel.

To, co zobaczyła, zaskoczyło ją tak bardzo, że tym razem nie mogła się powstrzymać i zerwała z nim kontakt. Jego twarz wycofała się, znikając z taką szybkością, że poczuła zawroty głowy. W tej podróży do tyłu znów pojawiła się ciemność, a potem Galeona ponownie mknęła przez pustynię.

Wiedźma upadła z westchnieniem na gorący piasek.

Zignorowała niewygodę, ignorowała wszystko. Liczyło się tylko to, czego się dowiedziała.

– A zatem... – wyszeptała Galeona – Mam cię, moja śliczna laleczko...

CZTERNAŚCIE



Gwałtowny wstrząs targnął Karą Nocny Cień, wyrzucając z otaczającej ją ciemności.

Nekromantka próbowała nabrać powietrza, ale natychmiast zaczęła kaszleć. Próbowała oddychać, lecz jej płuca nie działały tak, jak powinny.

Rozkaszała się, wypluwając cały ocean wody. Kaszłała i kaszłała, usiłując opróżnić płuca po to, by móc nabrać życiodajnego powietrza.

Wreszcie mogła oddychać, choć nieco niepewnie. Nekromantka leżała nieruchomo, starając się przyjść do siebie. Powoli odzyskała świadomość na tyle, że zaczęła wyczuwać inne rzeczy, takie jak otaczający ją chłód i przenikająca przez ubranie wilgoć. Zgrzytające coś w ustach zmusiło ją do plucia – w końcu zdała sobie sprawę, że leżała twarzą w dół na piaszczystej plaży.

Świat znowu zakręcił się wokół niej. Podnosząc głowę, Kara zobaczyła, że na niebie gromadzą się chmury: zupełnie jak przed burzą, przez którą płynęła „Królewska Tarcza”.

Podejrzewała, że te chmury zapowiadają tę samą burzę, tym razem mającą uderzyć na dużym odcinku wschodniego wybrzeża.

Zaczęły powracać wspomnienia: kapitan Jeronnan walczący z rewenantami, dwóch nieumarłych wyciągających nekromantkę przez portal wprost w szalejące morze. Dalej nie mogła sobie niczego przypomnieć. Nie miała pojęcia, jak przeżyła. Czarodziejka nie wiedziała nawet, jak los spotkał kapitana Jeronnana i jego ludzi. Wydawało się, że portal nie wpłynął na całość kadłuba, więc jeśli „Królewska Tarcza” przetrwała to

zdarzenie, to statek wkrótce powinien przyplłynąć do Lut Gholein – o ile już tam nie dotarł.

Kara zamrugała, pomyślała o mieście. Niezależnie od losu „Królewskiej Tarczy”, gdzie, na Rathmę, wylądowała? Nekromantka z wysiłkiem dźwignęła się na klęczki i rozejrzała wokół.

Niewiele się dowiedziała – piach i kilka wytrzymałych roślin typowych dla nadbrzeżnego środowiska. Nie widziała śladu cywilizacji czy jakiegokolwiek człowieka.

Przed nią znajdowało się strome urwisko, uniemożliwiające obserwację. Kara wołała uniknąć wspinaczki, więc uważnie popatrzyła wpierw na lewo, potem na prawo, lecz to również niewiele dało. Jedynym wyjściem było wspięcie się na urwisko.

Kara zmusiła się do dźwignięcia na nogi, wciąż czując się tak, jakby wypłuła Bliźniacze Morza. Wiedziała, że powinna zdjąć większość przemoczonej odzieży, ale nie uśmiechała się jej myśl o byciu odkrytym przez tubylców bez czegoś na grzbiecie. Poza tym, mimo wiatru, dzień wydawał się dość ciepły. Jeśli się trochę porusza, jej strój z pewnością wyschnie.

Nie widziała śladu Saduna Trysta czy Fauztina, ale Kara nie była przekonana, że na pewno pozbyła się dwóch ghuli. Najprawdopodobniej rozdzielili się w wodzie. O ile mogła się zorientować, prąd zniósł ich dalej. Skoro tak, to musiała dotrzeć jak najszybciej do Lut Gholein, nawet poszukać Yizjerei, o którym mówili, tego Drognana. Wątpiła, czy zechciałby on pracować z nieumarłymi – prawdopodobnie próbowali wykorzystać jego moc, aby odnaleźć byłego przyjaciela. Niezależnie od sytuacji, Drognan mógł nie tylko uwolnić ją od związania z rewenantami, ale też zlokalizować Norreca Vizharana i jego zbroję.

Czarodziejka z pewnym wysiłkiem wspięła się na szczyt piaszczystego urwiska... i odkryła dobrze utrzymaną drogę. Co więcej, gdy spojrzała na południe, Kara dostrzegła na horyzoncie zamglony kształt przypominający miasto.

Lut Gholein?

Z całym entuzjazmem, jaki mogła wycisnąć ze swego zmęczonego umysłu, ruszyła na południe. Jeśli to rzeczywiście Lut Gholein, minie cały dzień, nim tam dotrze, zwłaszcza w takim stanie. Co gorsza, głód skręcał jej żołądek – z każdym krokiem czuła się coraz gorzej.

Jednak Kara nie zamierzała poddać się słabości. Dopóki będzie rżogła iść, dopóty będzie kontynuować swoją misję.

Kara uszła niewielki odcinek drogi, gdy turkot za plecami kazał się jej odwrócić. Ku swej uldze zobaczyła dwa załadowane wozy jadące z północy. Na koźle pierwszego siedział mężczyzna z bujną brodą i gruba kobieta, drugim powoził chłopak o dużych oczach, obok którego siedziała dziewczyna – zapewne jego siostra. Bez wątpienia była to rodzina kupców jadących do bogatej metropolii, aby sprzedać swoje towary. Wyczerpana nekromantka zatrzymała się, mając nadzieję, iż zlitują się nad zmęczonym wędrowcern.

Starszy mężczyzna przejechałby obok niej, ale kobieta rzuciła na nią okiem i kazała mu się zatrzymać. Przez chwilę rozmawiali ze sobą, a potem kobieta zapytała ją we wspólnym:

– Czy z tobą wszystko w porządku, dziewczyno? Coś się stało? Potrzebujesz pomocy?

Zbyt zmęczona, by mówić, nekromantka wskazała na j wschód.

– Mój statek, on...

Nie musiała mówić nic więcej. Na okrągłej twarzy kobiety zagościł smutek, nawet mężczyzna popatrzył ze współczuciem. Każdy, kto mieszkał

lub podróżował wzdłuż wybrzeża wiedział, jak morze potrafi być groźne. Kupcy bez wątpienia słyszeli o niejednej morskiej tragedii.

Mąż zeskoczył z kozła ze zręcznością zadziwiającą w tym wieku. Podeszedł do niej i zapytał:

– Czy jest tam ktoś jeszcze? Tylko ty ocalałaś?

– Nie ma... nikogo. Zostałam... statek jest być może cały... zostałam... zmyta z pokładu.

Żona syknęła cicho.

– Dziewczyno, jesteś nadal przemoczona! Twoje ubranie jest w strzępach! Hesia!

Znajdź dla niej jakąś bluzkę i ciepły koc! To drugie natychmiast! Pospiesz się!

Nie chcąc żadnej zapomogi, Kara pogrzebała przy pasie. Ku swej wielkiej uldze, sakiewka z pieniędzmi jakoś nie zginęła.

– Przrzekam, że za wszystko zapłacę.

– Bzdura! – stwierdził mężczyzna, ale gdy udało się jej wcisnąć kilka monet, zabrał większość z nich.

Hesia, córka kupców Rhubina i Jamili, przyniosła odzienie, które, jak Kara sądziła, mogło należeć tylko do niej samej. Najwyraźniej mając na względzie surowe odzienie obcej, wybrała czarną bluzkę i szary koc, w który Kara mogła się owinąć. Przebrała się z dala od oczu Rhubina i jego syna Ranula, czując się znacznie lepiej niż w przemoczonej i zniszczonej odzieży.

Gdy założyła bluzkę, niemal od razu pożałowała płaszcza. Choć pasowała kolorem, była zbyt wydekoltowana i obcisła. Nie narzekała jednak, świadoma, że był to najlepszy wybór i, co najważniejsze, dany jej z prawdziwej troski. To, że zapłaciła za niego, nie zmieniało tego faktu.

Ku swej uldze, Jamila pozwoliła Karze jechać na pierwszym wozie. Ranul, wystarczająco dorosły, aby docenić kobiece walory przyjrzał się jej uważnie już na początku, a jeszcze uważniej, gdy się przebrała i wysuszyła włosy. Nie sądziła, by posunął się dalej, ale nie chciała prowokować jakichkolwiek utarczek między nią a swoimi wybawcami.

W ten sposób, dzięki uprzejmości pewnej kupieckiej rodziny, Kara Nocny Cień dotarła do Lut Gholein przed zachodem słońca. Początkowo chciała jak najszybciej udać się do portu i sprawdzić, czy kapitan Jeronnan już tu jest, ale waga jej zadania przeważała.

Odnalezienie Norreca Yizharana i zbroi Bartuca było najważniejsze.

Pozegnała się z rodziną Jamili na barwnym bazarze. Oddała koc, po czym zaczęła szukać kogoś, kto mógłby niedrogo sprzedać jej porządny płaszcz. Zmarnowała na to ponad godzinę, ale teraz nie czuła się już tak odsłonięta. Kara chętnie dokupiłaby też inne części ubrania, ale jej fundusze uległy znacznemu uszczupleniu – musiała oszczędzać je na jedzenie.

Ostrożne przepytywanie mieszkańców dało ciemnowłosej czarodziejce kilka informacji o tajemniczym Droganie. Mieszkał w starym domu, w pewnej odległości w głębi miasta. Rzadko go odwiedzano, chyba że po eliksiry i tym podobne. Drogan opuszczał swoją pracownię tylko po to, by rozmawiać z uczonymi o czymś, co go interesowało.

Idąc za wskazówkami sprzedawcy warzyw, który czasami dostarczał Yizjerei swój towar, Kara wędrowała przez labirynt uliczek. Masa kolorów i dźwięków nieco ją ogłuszała, ale udało się jej nie zgubić drogi więcej niż dwa razy. Nekromantka często pytała przechodniów, czy nie widzieli mężczyzny w czerwonej zbroi, ale bez skutku.

Porwanie i przytępienie w morzu pozbawiło ją prawie wszystkiego. Poza sakiewką monetami przetrwały tylko dwie inne. Niestety, znajdujące się w

nich proszki i chemikalia zostały zniszczone; pozostało zaledwie kilka fiolek, dla których w obecnej chwili nie miała zastosowania. Co dziwniejsze, wisiołek przedstawiający Trag'Oula wciąż wisiał na jej szyi, za co podziękowała wielkiemu smokowi. W tym dziwnym kraju dodawało jej to pewności siebie.

Utrata komponentów nie znaczyła, że nie mogła rzucać zaklęć, choć nieco zmniejszało to możliwości. Na szczęście zmiana odzienia sprawiła, że jak do tej pory nikt nie rozpoznał kim jest, choć jeden czy drugi przechodzień oferował jej nie tylko informacje. W Lut Gholein nie lubiano nekromantów. Mający wielkie wpływy w królestwie Kościół Zakarum nie lubił ich jeszcze bardziej niż Yizjerei, których młody sułtan zdawał się tolerować. Minęła kilku akolitów Kościoła, ale poza przelotnymi spojrzeniami żaden z nich nie zwrócił większej uwagi na szczupłą kobietę.

Za resztę pieniędzy Kara zakupiła tyle jedzenia, że mogła je spożywać w marszu, szukając Drogana. Perspektywa spotkania z potężnym Yizjerei bardzo ją martwiła, ale stawanie naprzeciw niego, słaniając się na nogach z głodu było głupotą. Nie mogła zakładać, że na pewno będzie wobec niej przyjazny. Pomiedzy ich zgromadzeniami panowała zadawniona niechęć.

Obok niej przejechało trzech konnych strażników o surowych spojrzeniach, z mieczami gotowymi do wyciągnięcia. Jadący na czele, z pewnością oficer, dosiadał przepięknego, białego ogiera, pozostali dwaj jechali na umięśnionych kasztanach. Kara rzadko jeździła konno, ale patrząc na nich zdała sobie sprawę, że jeśli okoliczności zmuszą ją do opuszczenia Lut Gholein, będzie musiała kupić sobie konia. Na pustyni Aranoch ciemnowłosa czarodziejka nie dowierzała żadnym zaklęciom transportowym. Nawet w swej odległej ojczyźnie Kara słyszała opowieści o czających się na niej okropnościach.

Domy wokół niej stały się zniszczone i wilgotne, stanowiąc zupełne przeciwieństwo do dobrze utrzymanych kwartałów, po których chodziła do tej pory. Kara przeklęła się, że za resztę pieniędzy nie kupiła jakiegoś porządnego sztyletu. Ten, który dał jej kapitan Jeronnan, gdy wchodziła na pokład „Królewskiej Tarczy”, zaginął w morzu. Czarodziejka skupiła się na swoich zaklęciach, w głębi duszy mając nadzieję, że będzie miała siłę, aby je rzucić, gdyby sytuacja okazała się poważna.

Nekromantka dotarła wreszcie do domu, który opisał jej handlarz. Mimo zaniedbanego wyglądu, Kara natychmiast wyczuła działające wewnątrz i wokół niego moce.

Niektóre były bardzo stare, z pewnością starsze niż sam budynek. Inne były nowsze, niektóre z nich mogły zostać przywołane nie tak dawno.

Kara pokonała zewnętrzne schody, zajrzała przez zrujnowane drzwi, potem weszła do środka...

...i znalazła się w nadgryzionym zębem czasu, ale wciąż wspaniałym holu, mówiącym o chwale dawnych dni. Choć wyglądał na opuszczony, wsparty na wysokich kolumnach hol tak nie pasował do odrapanego frontonu, że Kara poczuła ochotę, aby wyjść i sprawdzić, czy przypadkiem nie weszła do złego budynku. Nie była to ruina, ale dawny cud wypełniony wspomnieniami minionej chwały i splendoru, któremu nie dorównywało nawet współczesne Lut Gholein.

Nekromantka szła powoli przez hol. Wciąż pamiętała o swojej misji, ale obecnie pochłonięta była podziwianiem marmurowych kolumn, wspaniałego, zajmującego prawie całą ścianę kamiennego kominka i mozaiki, po której ostrożnie stąpała.

Podłoga coraz bardziej przyciągała jej uwagę. Artysta przedstawił skomplikowane obrazy, realistyczne i fantastyczne. Smoki owijały się wokół drzew. Lwy ścigały antylopy.

Przerażający, kamienni wojownicy w napierśnikach i kiltach walczyli ze sobą.

W oddali coś zagrzechotało.

Kara zamarła, skierowała spojrzenie w tamtą stronę. Jednak mimo doskonałego wzroku zdolnego przebić ciemność wypatrzyła tylko skryty w mroku zarys drzwi. Zamarła, nie chcąc nawet zbyt głośno oddychać. Kara odetchnęła, uświadamiając sobie, że w tak starym domu kawałki muru czy kolumn mogą czasem odpadać. Tu nawet najcichszy dźwięk rozchodził się głośnym echem.

W tym momencie coś zaskrobało za nią po posadzce.

Odwróciła się, pewna, że to rewenanci podążali za nią i teraz postanowili się ujawnić.

Kara nie mogła nic im zrobić, jednak nie zamierzała poddać się bez walki. Zrobili zbyt wiele, posunęli się za daleko.

Jednak to, co ujrzały jej oczy, było jeszcze bardziej zaskakujące niż wiecznie uśmiechnięty Sadun Tryst i jego towarzysze.

Szara postać z potężnym mieczem szła wolno, lecz zdecydowanie w jej kierunku.

Kara wzięłaby go za jakiegoś rabusia, który zaczął się w cieniu, gdyby nie to, że widziała go kilka sekund wcześniej. Oczywiście, gdyby nawet Kara nie rozpoznała go, na pewno zauważyłaby wiele małych, kamiennych kwadracików, z których składały się nie tylko napierśnik i kilt, ale także skóra.

Mozaikowy wojownik zbliżał się ku niej powoli, jego twarz była tak samo wykrzywiona gniewem jak wtedy, gdy był tylko dekoracją na podłodze. Zamachnął się mieczem i wówczas okazało się, że choć ma wzrost i szerokość barków człowieka, to nie jest grubszy niż kamyki, z których został złożony.

Ani przez chwilę Kara nie uznała tego za słaby punkt. Magia, która stworzyła takiego strażnika, na pewno nie uczyniła go kruchym. Uderzenie w mozaikowego wojownika było równie skuteczne, jak walenie w kamienny mur. Przypuszczała też, że cios jego miecza rozciąłby ją równie łatwo jak cios zadany świeżo naostrzoną bronią z żelaza.

Co go uruchomiło? Z pewnością Drogan nie szykował takiego powitania dla wszystkich, którzy wchodzili przez te drzwi. Nie, prawdopodobnie Kara została zidentyfikowana przez jakieś ukryte zaklęcie jako nekromanta, mroczny mag o niepewnych zamiarach. Znała takie zaklęcia i wiedziała, że wielu magów korzysta z nich dla własnego bezpieczeństwa. Gdyby Kara nie była tak zmęczona, z pewnością przypomniaby to sobie wcześniej i być może uniknęła niebezpiecznego spotkania.

Za makabrycznym napastnikiem rozległ się grzechot i ku jej przerażeniu, z podłogi podniósł się drugi wojownik i dołączył do pierwszego. Kara odwróciła się na prawo, skąd jeszcze głośniejszy grzechot oznajmił pojawienie się trzeciego.

– Nie zamierzam nic złego – szepnęła – Szukani waszego pana.

Czy oni służyli Droganowi? Kara mogła tylko przypuszczać, że trafiła do właściwego domu. Być może ktoś, z kim czarodziejka rozmawiała po drodze rozpoznał, kim jest i wysłał ją tu na pewną śmierć. Wiele osób, zwłaszcza wyznających wiarę w Zakarum, nie uznałoby śmierci nekromanty za stratę.

Pierwsza mozaika zbliżyła się na tyle, aby mieć jaw zasięgu miecza. Kara nie miała innego wyboru, musiała się bronić., Gdy wyciągnęła symbol Trag'Oula i skierowała na pierwszego atakującego, z jej ust padały już słowa zaklęcia. Jednocześnie Kara cofała się: gdyby jej czar zadziałał,

wezwane przez nią potężne moce mogły się nie ograniczyć do zniszczenia magicznego strażnika.

W powietrzu pojawił się rój pocisków o kształcie zębów, który runął na najbliższego z atakujących. Den 'Trag, czyli Zęby smoka Trag'Oula przecięły kamienne ciało strażnika, rozsypując dookoła małe kwadraciki. Wojownik próbował się poruszyć, ale upadł, gdyż nie miał już rąk i nóg. Wciąż mając twarz wykrzywioną grymasem, próbował rzucić się na nią, ale rozpadł się na milion kawałków.

Kara odetchnęła, szczęśliwa, że pozbyła się jednego napastnika i modliła się, aby starczyło jej sił na uporanie się z pozostałymi. Przyzwanie Den 'Trag kosztowało wiele wysiłku i tak już osłabioną nekromantkę. Jednak jeśli udałoby się Karze pokonać kamiennych wrogów, mogłaby wtedy odpocząć.

Jeszcze raz nekromantka ścisnęła symbol, mrużąc zakłęcie. Jeszcze kilka słów i...

Głośny turkot wokół niej sprawił, że jej głos się załamał. Spojrzała pod nogi i zobaczyła, jak kamyczki, z których składał się wojownik gromadziły się za plecami pozostałych w szybko rosnącą stertę. Ku jej przerażeniu najpierw pojawiły się stopy, potem nogi. Kamienny wojownik odbudowywał się kawałek po kawałku, jakby czar go w ogóle nie dotknął.

Zęby Trag'Oula zawiodły. Cofając się, Kara weszła do korytarza prowadzącego ku drzwiom. Mogła posłużyć się innymi zaklęciami, ale w połączeniu z jej osłabieniem i nieprzyjaznym otoczeniem, żadne z nich nie pomogłoby jej wystarczająco szybko, aby nie ryzykowała życiem.

– Yerikos! – zawołał jakiś głos – Yerikos... Dianysi!

Postacie zatrzymały się... a potem upadły, rozlatując na tysiące kawałków ze zwielokrotnionym przez echo łomotem. Kamyczki nie leżały jednak,

lecz szybko potoczyły się w stronę, gdzie pierwotnie leżały, wracając na swoje ściśle przewidziane miejsce.

Wskakiwały do dziur jeden po drugim. W kilka sekund groźni wojownicy nie tylko poniechali ataku, ale też w całości odbudowali się jako obrazki na eleganckiej posadzce.

Kara odwróciła się, aby podziękować swemu wybawcy, pewna, że był to ów tajemniczy Drogan.

– Dziękuję za pomoc...

Postać, która stała przed nią nie przypominała czcigodnego, elegancko odzianego Yizjerei, o którym mówił sprzedawca i inni ludzie. Jedyne, co on i stojący przed nią szalony żebrak o długich siwych włosach, rozwianej brodzie i płonących oczach mieli ze sobą wspólnego to podeszły wiek, choć nawet Drogan nie mógł być aż tak stary jak ten człowiek.

Choć wciąż zachował nieco krzepy, jednak jego skóra była tak pomarszczona, a wodniste, niebieskie oczy tak zmęczone, że wydawał się być najstarszym człowiekiem na świecie.

Położył powykręcany palec na ustach.

– Cicho! – żebrak szeptał stanowczo za głośno – Wkoło jest mnóstwo zła! Tyle niebezpieczeństw! Nie powinniśmy tu przychodzić!

– Czy ty... jesteś Drogan?

Stary człowiek zamrugął, zmieszany, po czym poklepał! swoją noszoną jedwabną szatę, jakby czegoś szukał. Po chwili podniósł głowę i odparł: – Nie... oczywiście, że nie! Teraz cicho! Tu jest zbyt wiele zła! Musimy być ostrożni!

Musimy się strzec!

Kara zastanowiła się. Ten człowiek musiał być kimś podobnym do służącego maga.

Być może Drognan trzymał go tu, litując się nad szalonym żebrakiem. Zamierzała pytać wprost. Być może w żebraku pozostało wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, aby pomógł

jej z Yizjerei.

– Muszę zobaczyć się z twoim panem, Drognanem. Powiedz mu, że ma to związek z czymś, co go interesuje, zbroją Bartuca...

– Bartuc? – starzec zmienił się przerażająco, gdy wykrzykiwał imię nieżyjącego władcy – Bartuc! Nie! Nadchodzi zło! Ostrzegalem cię!

W tej chwili od strony wejścia do budynku rozległ się inny głos: – Kto tam? Kto wszedł do mojego domu? Nekromantka zamierzała odpowiedzieć, ale obszarpany człowiek poruszył się z zadziwiającą szybkością. Zakrył dłonią jej usta i wyszeptał:

– Cicho! Nie może nas usłyszeć! To może być Bartuc! Przybysz okazał się być Yizjerei – prawdopodobnie tym, którego szukała Kara. Co dziwniejsze, wyglądał, jakby wyszedł z jakiegoś wypadku: miał pokancerowaną twarz i krzywił się, gdy stawał na prawej nodze. Pod pachą trzymał niewielką paczkę. Nie miała wątpliwości: przed nią stał Drognan, który właśnie wrócił ze sprawunkami.

– Norrec? – zapytał – Yizharan?

Znał człowieka, którego szukała Kara? Próbowała coś powiedzieć, ale żebrak, jak na dość chudą postać, miał zadziwiająco dużą siłę.

– Cicho! – szepnął jej niechciany towarzysz – Tyle tu zła! Musimy być ostrożni! Nie może nas zobaczyć!

Drognan podszedł bliżej, gdyby chciał, mógłby ich zobaczyć... a jednak patrzył przez intruzów jak przez powietrze.

– To dziwne... – powąchał powietrze, po czym zmarszczył nos – Pachnie, jakby kręcił się tu jakiś nekromanta... to niemożliwe.

Drognan popatrzył na posadzkę, szczególnie dużo uwagi poświęcając wojownikom.

– Taak... to niemożliwe.

Rozglądał się dalej, jakby się nad czymś zastanawiając. Mógłby nie raz dostrzec szamoczącą się kobietę lub jej dziwnego towarzysza. Wreszcie czarodziej potrząsnął głową, zamruczał do siebie coś na temat zaginionego śladu i potrzeby dalszych poszukiwań, a potem, ku zaskoczeniu Kary, przeszedł przez nią i szaleńca. Drognan podążał dalej, kierując się w stronę mroku i drzwi, które wcześniej dostrzegła.

Odchodząc od kogoś, kto bardzo potrzebował jego pomocy.

Odziana w łachmany postać zdjęła dłoń z jej ust dopiero wtedy, gdy zniknął za drzwiami. Trzymając swoją twarz blisko jej twarzy, wyszeptał: – Byliśmy tu zbyt długo! Lepiej wracajmy! Zbyt długo byłem na zewnątrz! Może nas odnaleźć!

Wiedziała, że nie chodziło mu o Drognana. Sądząc po wcześniejszym zachowaniu, mogło mu chodzić tylko o jedną osobę – Bartuca.

Poprowadził ją ku środkowi posadzki, w miejsce, gdzie nieznany artysta ułożył z setek kamyczków niezwykłą świątynię, która mogła stać w legendarnym Vizjun. Kara nie poszłaby za nim aż tak daleko, ale, podobnie jak w przypadku rewenantów, nie miała wpływu na to, co robi jej ciało. Nie mogła nawet krzyczeć.

– Wkrótce będziemy bezpieczni! – zamruczała do niej szalona postać – Wkrótce będziemy bezpieczni!

Tupnął prawą nogą – i nagle drzwi świątyni otworzyły się, zagłębiły, zamieniły w okrągłą dziurę w posadzce, w której nekromantka mogła dostrzec schody prowadzące do... dokąd?

– Chodź, chodź! – zachęcił ją szaleniec. – Nim Bartuc nas odnajdzie! Chodź, chodź!

Niezdolna uczynić nic innego, podążyła za nim w głąb ziemi, w kierunku dalekiego, pożółkłego światła. Gdy Kara zeszła poniżej poziomu podłogi, poczuła, jak poruszają się kamienie, a wizerunek świątyni Yizjerei wraca na swoje dawne miejsce.

– Tam na dole będziemy bezpieczni – zapewnił ją szalony pustelnik, który wydawał się teraz bardziej spokojny – Mój brat nigdy nas tu nie znajdzie...

Brat? Czy dobrze usłyszała?

– Horazon? – wyrzuciła z siebie Kara, zdziwiona nie tylko wnioskiem, ale też faktem, że zdołała to wymówić. Najwyraźniej ten, który ją pojmał, nie martwił się, że ktoś może usłyszeć ją pod zwałami ziemi i kamieni.

Pierwszy raz popatrzył na nią, jego wodniste oczy po raz pierwszy spojrzwały na nią bardzo uważnie.

– Czy my się znamy? Nie sądzę, żebyśmy się znali... – Kiedy nie odpowiedziała, wzruszył ramionami i ruszył w dalszą drogę, cały czas mamrocząc – Jestem pewien, że się nie znamy, ale może się poznamy...

Kara Nocny Cień nie miała innego wyjścia, jak iść za nim, ale niezbyt na to zważała.

Jej myśli goniły jedna za drugą, a cały świat wywrócił się do góry nogami.

Przybyła tu, aby odnaleźć zbroję Władcy Krwi, a znalazła – mimo tych wszystkich wieków – jego żywego, oddychającego i znienawidzonego brata.



Gdy Norrec odzyskał zmysły, uderzyło go niesamowite gorąco. Z początku sądził, że moce zaklęte w zbroi wywołały pożar w pracowni Drognana. Jednak weteran rychło przekonał się, że gorąco nie pali i z pewnością musi pochodzić od słońca.

Odwróciwszy się na plecy, Norrec osłonił oczy i próbował rozejrzeć się dookoła – gdziekolwiek nie spojrzeł, widział tylko morze piasku. Skrzywił się, zastanawiając się, gdzie wylądował tym razem. Wydawało mu się, że w oddali zobaczył ciemność, jakby z tamtej strony zbliżała się burza. Czy Lut Gholein mogło leżeć gdzieś pod tymi chmurami?

Wyglądało na to, że gdziekolwiek nie poszedł, za nim pojawiała się burza. Gdyby tak było, wiedziałyby przynajmniej, że znajduje się gdzieś na zachód lub północny zachód od nadmorskiego królestwa.

Ale dlaczego tak się stało?

Drogan mówił coś, że zbroja go przechytryła. Te słowa były bardzo prawdziwe.

Wystrychnęła na dudków jego i Vizjerei, bez wątpienia wykorzystwała maga w poszukiwaniu swojego celu. Czy chodziło jej o grobowiec Horazona, jak uważał Drogan? Jeśli tak, to dlaczego Norrec znalazł się tu, gdzieś na środku pustyni?

Zmaltretowany i zmęczony wojownik wstał z dużym wysiłkiem. Sądząc po słońcu, do zapadnięcia zmroku pozostała godzina lub dwie. Powrót do Lut Gholein trwałby dłużej, prawdopodobnie dwa dni – i to zakładając, że Norrec przeżyłby taką wyprawę. Co ważniejsze, nie był nawet pewny, czy zbroja pozwoliłaby mu na to. Jeśli to, czego szuka znajduje się gdzieś tutaj, to zrobi wszystko, aby zatrzymać go na pustyni.

Norrec zrobił kilka kroków, czekając na reakcję zbroi. Kiedy nie zrobiła nic, aby powstrzymać go przed powrotem do miasta, zwiększył szybkość. W końcu zaczął rozglądać się za jakimś schronieniem na noc. Jedyнным takim miejscem było dziwacznie ukształtowane wzgórze, majaczące na horyzoncie. Dotrze do niego już po zachodzie słońca, a może nawet później. Oznaczało to, że mimo gorąca, musi się poruszać jeszcze szybciej.

Norrec parł do przodu, mimo że nogi bolały go potwornie. Sypki piach i wysokie wydmy utrudniały marsz i Norrec często gubił z oczu swój cel. W pewnym momencie nawet kręcił się w kółko, gdyż szeleszczące wydmy zmieniały swoją wielkość i kierunek ruchu nawet w chwili, kiedy się na nie wspinał.

Mimo to, wzgórze wydawało się osiągalne. Norrec modlił się, aby było mu dane znaleźć tam jakąś wilgoć – pustynia już zdążyła go wysuszyć. Jeśli szybko nie znajdzie wody, nie będzie miało znaczenia, czy zdoła dotrzeć do wzgórza czy...

Duży skrzydlaty cień przeciął jego cień... po chwili dołączył do niego drugi.

Norrec uniósł głowę, próbując dostrzec cokolwiek pod słońce. Dostrzegł jakieś dwa lub trzy skrzydlate kształty, ale nie mógł ich rozpoznać. Sępy? Na pustyni Aranoch było to możliwe, choć te nie do końca przypominały ptaki. Dłoń Norreca opadła na miejsce, gdzie powinien nosić broń i kolejny raz przeklął zbroję Bartuca za to, że zmusza go do spotykania się z takimi okropnościami bez odpowiedniej broni u boku.

Pomimo osłabienia, weteran starał się zwiększyć tempo. Jeśli dotrze do skały, znajdzie jakąś ochronę przed krążącymi ptakami. Sępy były ścierwojadami, ale te ptaszki wyglądały na bardziej agresywne i w jakiś nieokreślony sposób niepokojące.

Cienie znów przeleciały nad nim, tym razem większe, bardziej wyraźne. Stwory zniżały lot, aby lepiej mu się przyjrzeć.

Z trudem wyczuł moment, gdy upierzony stwór spadł na niego z tyłu. Wycwiczony w czasie bitew instynkt nakazał mu rzucić się na ziemię, gdy wielkie jak jego dłoń szpony zazgrzytały na napleczniku i niemal dotknęły jego włosów. Doświadczony wojownik przetoczył się z pomrukiem, gotów

stawić czoło ptakom. Z pewnością odstraszy kilka sępów, zwłaszcza jeśli pokaże im, że nie zamierza leżeć spokojnie i umierać dla nich.

Ale to nie były sępy... choć z pewnością wywodziły się od tych pustynnych ścierwojadów.

Cztery groteskowe stwory krążyły nad nim: miały wielkość człowieka, ptasie głowy i skrzydła, zaś stopy i niemal ludzkie ręce gotowe były zerwać mu głowę z karku. Ich zakończone batami ogony chłostały Norreca, gdy ten gwałtownie się cofał. Kiedy usiłowały okrążyć swoją ofiarę, demoniczne ptaki wydały ostry krzyk, który sprawił, że puls Norreca gwałtownie przyspieszył.

Czekał na reakcję zbroi, ale pancerz Bartuca wydawał się trwać w uśpieniu. Klnąc, Norrec przygotował się do walki. Jeśli ma umrzeć, nie pójdzie jak owieczka na rzeź tylko dlatego, że tak bardzo uzależnił się od zbroi. Przez całe życie staczał jakieś bitwy. Ta nie różniła się od innych.

Jeden z olbrzymich ptaków znalazł się w jego zasięgu. Poruszając się szybciej, niżby tamten się spodziewał, Norrec chwycił go za nogę i ściągnął na ziemię. Mimo rozmiaru, pustynne potwory miały odziedziczone po przodkach lekkie kości, stworzone do latania.

Skorzystał z tego, przyciskając kwiczące stworzenie swoim znacznym ciężarem i przekręcając łeb tak mocno, jak tylko mógł.

Gdy podniósł się znad bezwładnego ciała, pozostałe trzy zaatakowały go jeszcze zajadlej. Jednak stawił im czoło inny Norrec, który po raz pierwszy od wielu dni stoczył walkę samemu i wygrał. Gdy zanurkował na niego drugi, chwycił garść piasku i cisnął prosto w wylupiaste oczy stwora. Demoniczny ptak na oślep uderzał ogonem, dając weteranowi szansę pochwycenia tej kończyny obiema rękami.

Piszczący stwór usiłował się uwolnić. Jednak Norrec wywijał wielkim ptaszyskiem dookoła, przy okazji odpędzając dwa pozostałe. Pazury

pochwyconego stwora drapały po pancerzu, ale zbroja Bartuca dobrze chroniła swego nosiciela.

Krew zawrzała w Norrecu. Napastnicy byli dla niego nie tylko zagrożeniem z pustyni.

Stały się celem jego gniewu i frustracji. W ostatnim czasie przeżył zbyt wiele, widział zbyt wiele okropności i nie był zdolny nic uczynić. Zbroja była przesiąknięta potężnymi zaklęciami, ale nie mógł się posłużyć żadnym z nich. Gdyby było inaczej, usmażyłby tę bestię, którą wymachiwał, zamieniłby ją i jej kompanów w kule ognia.

Nagle jego rękawice rozbłysły czerwienią.

Norrec spojrział na nie, a potem na sępiego demona. Tak, ogniste piekło...

Pochwyił rozwścieczone ptaszysko za szyję. Ostry dziób próbował zedrzyć mu twarz, tylko powiększając jego zdecydowanie, aby zakończyć tę bitwę tak szybko, jak to tylko możliwe.

Norrec spojrział na potwora.

– Płoń!

Ze zduszonym skrzekiem skrzydlaty potwór buchnął płomieniami, momentalnie ginąc w ogniu.

Nie tracąc ani chwili, wojownik cisnął truchło w najbliższego stwora, również go podpalając. Ostatni z nich odleciał tak szybko, jakby goniły go demony z Piekieł. Norrec nie zawracał sobie nim głowy, zadowolając się wykończeniem trzeciego.

Choć spłonęła większość jego piór, usiłował naśladować swego kamrata, ale odniósł zbyt wiele obrażeń. Nie mogąc unieść się nad piasek wyżej niż na stopę czy dwie, nie potrafił umknąć żadnemu zemsty żołnierzowi. Norrec podniósł go za skrzydło, pozwalając żalosnej karykaturze potwora, aby szpony drapały po napierśniku, gdy chwycił go za łeb.

Jednym krótkim ruchem Norrec skręcił mu kark.

Cała walka trwała minutą albo dwie, ale w tak krótkim czasie weteran zmienił się.

Gdy upuścił pierzaste ciało, Norrec poczuł dreszcz, jakiego nie doświadczył na żadnej wojnie.

Nie tylko pokonał wrogów, ale zyskał posłuch tej przeklętej zbroi. Norrec poruszył palcami, po raz pierwszy doceniając mistrzostwo, z jakim zostały wykonane rękawice. Być może spotkanie z Drognanem wszystko zmieniło. Być może to, co kierowało zbroją przez tak długi czas wreszcie się poddało, akceptując nosiciela jako swego pana...

Mógłby to sprawdzić. Wiedząc, co potrafi, zbroja mogła wykonać na jego życzenie jedno proste zadanie.

– Dobrze – zawołał – Słuchaj mnie! Potrzebuję wody! Natychmiast!

Lewa ręka zapiekła, zadrżała lekko, jakby zbroja chciała przejąć nad nim kontrolę – ale on oczekiwał posłuszeństwa.

– Zrób to. Rozkazuję ci!

Rękawica wskazała na ziemię. Norrec ukląkł, pozwalając, aby palec wskazujący nakreślił na piasku okrąg. Wokół niego narysował wzór z pętli, stawiając przy każdej z nich krzyżyk.

Z jego ust padły słowa mocy, ale tym razem Norrec powitał je z radością.

Cały rysunek nagle zaczął trzeszczeć, miniaturowe łuki światła zatańczyły pomiędzy końcami rysunku. W środku otwarło się małe pęknięcie...

Czysta, bulgocząca woda wydostała się na powierzchnię.

Norrec schylił się i pił, dopóki mógł. Woda była zimna, słodka, smakowała niczym wino. Spragniony wojownik rozkoszował się każdym łykiem, aż nie mógł napić się więcej.

Nabrawszy wody w dłonie, odchylił się i wylał ją sobie na twarz. Łagodząca wilgoć ściekła mu po podbródku, karku i zbroi.

– To wystarczy – powiedział w końcu.

Jego ręka zamachała nad małym źródelkiem. Ziemia natychmiast się zamknęła, pęknięcie znikło i odcięto dopływ wody. To, co pozostało na piasku, szybko weń wsiąkło.

Poczucie radości spłynęło na Norreca, aż roześmiał się głośno. Już dwa razy zbroja mu posłużyła. Już dwa razy: teraz był panem, nie niewolnikiem.

Podniesiony na duchu, ruszył w dalszą drogę ku wzgórzom. Norrec nie martwił się już, czy uda mu się przetrwać na pustyni. Jak miał nie przetrwać, skoro mógł używać zaklęć? Cóż stawało mu na przeszkodzie? Od czasów Bartuca nikt nie dysponował taką mocą! Dzięki niej Norrec mógł zostać oficerem, a nie piechurzem, dowódcą, a nie podwładnym...

Królem, a nie chłopem?

Ta myśl podekscytowała go. Król Norrec, władca wszystkiego, co zdobędzie. Rycerze będą mu się kłaniać, a damy próbowały wkraść się w jego łaski. Pod jego władzę dostaną się całe kraje. Będzie miał do dyspozycji niewyobrażalne bogactwa...

– Król Norrec... – wyszeptał. Jeszcze raz na jego twarzy zagościł uśmiech, uśmiech, jakim Norrec Yizharan jeszcze nigdy się nie uśmiechał. Nie mógł tego wiedzieć, ale bardzo przypominał on uśmiech kogoś, kto żył na długo przed narodzinami byłego najemnika.

Kogoś o imieniu Bartuc.

PIĘTNAŚCIE



Nad pustynią Aranoch zapadła noc, a wraz z nią do Augustusa Malevolyna przybył demon Xazax. Przez ostatnią godzinę generał niecierpliwie wyczekiwał jego przybycia, chodząc po swoim namiocie tam i z powrotem. Odprawił wszystkich oficerów i nawet strażom zakazał przebywania w pobliżu jego namiotu. Jako dodatkowe zabezpieczenie, zakazał również rozstawiania namiotów w odległości słuchu. To, o czym mieli rozmawiać modliszka i Malevolyn, było przeznaczone tylko dla ich uszu.

Nawet Galeonie zabroniono rozstawiać namiot w sąsiedztwie, choć słabo protestowała, gdy jej to powiedział. Generał nie przejął się tym zbytnio, więcej uwagi poświęcając propozycji złożonej mu przez nowego sojusznika. Dla niego wiedźma mogła spakować swoje manatki i odjechać w siną dal. Jeśli tego nie zrobi, najprawdopodobniej będzie musiał ją zabić. Pomiędzy nią a Xazaxem panowała jakaś niezgoda, a w tej chwili Malevolyn znacznie bardziej potrzebował demona niż śmiertelnej czarodziejki – i to mimo wszystkich jej uroków.

Kobiety można łatwo wymienić, chwil nieśmiertelności nie.

Malevolyn oświetlał namiot tylko jedną lampą. Nie wiedział, czy demon rzuca cienie, ale jeśli tak było, to im mniejsza szansa na zauważenie go przez któregoś z jego ludzi, tym lepiej. Gdyby wiedzieli, o czym generał zamierzał rozmawiać z modliszką, z pewnością uciekliby na pustynię, mimo wszelkich czających się na niej niebezpieczeństw.

Jego uwagę zwrócił migoczący ruch. Zauważywszy, że jeden z cieni poruszył się wbrew płomykowi lampy, Augustus Malevolyn odwrócił się.

– Jesteś tu, prawda? – zamruczał.

– On przyszedł, jak obiecał, o wielki...

Cień pociemniał, stał się bardziej materialny. Po chwili nad człowiekiem unosiła się odrażająca postać modliszki z piekła rodem. Pomimo obecności istoty, która wyglądała na zdolną wyrwać mu jedną kończynę po drugiej, generał Malevolyn czuł tylko podniecenie.

Uważał Xazaxa za pierwszego z wielu monstrów, które będą mu służyć w ten czy inny sposób.

– Lut Gholein leży o dzień drogi stąd, władco. Czy zmieniłeś swój zamiar?

Zmienić zamiar, nie zdobyć zbroi? Zmienić swoje przeznaczenie?

– Tracisz czas na próżne gadanie, Xazax. Jestem pewny swojego wyboru.

Wyłupiaste, żółte oczy rozbłyły. Głowa modliszki obróciła się, jakby demon próbował przebić wzrokiem cienkie ściany namiotu.

– Mówiliśmy o wiedźmie, mój panie. On rozważał to bardzo uważnie i sądzi, że nie można jej wtajemniczać w nasz plan... ten ani jakikolwiek inny.

Augustus Malevolyn udawał, że zastanawia się nad tym.

– Przez jakiś czas była dla mnie użyteczna. Nie chciałbym tracić jej towarzystwa.

– Nie zgodzi się na to, co on ci zaproponował, władco. Możesz mu wierzyć...

Uwadze generała nie uszedł fakt, że Xazax wciąż używa nowego tytułu i choć miło go było słyszeć, to demonowi nie udało się trafić do jego ego. Malevolyn wszystko uważnie oceniał, nawet Galeonę.

– Co was łączy?

– Głupio zawiązany pakt, który on chce złamać. Niezbyt jasna odpowiedź, ale generał dowiedział się, czego chciał. Miał w ręku możliwą kartę przetargową.

– Czy dasz mi wszystko, czego zażądam? Wszystko, o czym mówiliśmy?

– Wszystko... i z chęcią, panie.

– Więc możesz mieć ją już teraz, jeśli tego chcesz. Poczekam, a ty rób, co musisz zrobić.

Jeśli demon mógł wyglądać na zmieszanego, to zrobił to teraz.

– On najuprzejmiej odrzuca twoją łaskawą propozycję, panie... i uważa, że w najbliższym czasie będziesz miał zaszczyt uczynić to osobiście.

Tak jak Malevolyn sądził, modliszka nie chciała lub nie mogła dotknąć Galeony.

Jednak dla niego kwestia wydawała się sporna. Nie zmieni to jego innych postanowień, ani trochę.

– Wyślę strażę do jej namiotu, aby być pewnym, że pozostanie pod kontrolą.

Przynajmniej nie będzie mogła nam zaszkodzić w naszych wysiłkach. Być może później zadecyduję, co z nią zrobić. Tymczasem chciałbym już zacząć... chyba, że masz mi coś jeszcze do powiedzenia.

Oczy demona znów rozbłysły, tym razem z ogromnym zadowoleniem. Głosem przypominającym dźwięk roju umierających much, Xazax rzekł: – Zatem... będziesz potrzebować tego, panie...

W dwóch szkieletowych rękach modliszka trzymała duży sztylet wykuty z czarnego metalu, z runami wrytymi nie tylko na rękojeści, ale także po obu stronach płazu. W rękojeści osadzone były dwa kamienie: większy, czerwony jak krew i mniejszy, biały niczym kość. Oba promieniowały delikatnym blaskiem pochodzącym z niewiadomego źródła.

– Weź to... – nalegał demon.

Augustus Malevolyn zrobił to z chęcią, unosząc sztylet i podziwiając jego doskonałe wyważenie.

– Co mam z nim zrobić?

– Naciąć skórę. Pozwolić, by spłynęło kilka kropel krwi – modliszka pokiwała głową – Prosta sprawa...

Trzymając broń w ręku, generał podniósł zasłonę namiotu. Zawoławszy jednego ze swoich oficerów, spojrzął przez ramię na Xazaxa.

– Lepiej schowaj się w...

Lecz demon już wykonał polecenie, roztopiając się w jednym z cieni.

Z ciemności wyszedł chudy, wąsaty żołnierz ze srebrnymi naramiennikami. Podeszedł do namiotu i zasalutował dowódcy.

– Tak, generale?

– Żako... – Jeden z jego najbardziej zaufanych podwładnych. Maievolynowi będzie go brak, ale przyszła chwała zniosła wszystkie względy dla jednostki.

– Wiedźma musi być zatrzymana w areszcie domowym. Nie wolno jej dotknąć niczego ze swego dobytku, ani nawet kiwnąć palcem, dopóki nie postanowię inaczej.

Ponury uśmiech zagościł na twarzy żołnierza. Podobnie jak większość oficerów Malevolyna, Żako nie darzył miłością czarownicy, która do tej pory miała tak wielki wpływ na generała.

– Tak jest, generale! Wykonam to natychmiast! Dowódcy coś się przypomniało.

– Ale najpierw... najpierw sprowadź tu żołnierzy wybranych do wykonania tego rozkazu. I to szybko!

Żako szybko zasalutował i zniknął w ciemnościach. Po chwili wrócił z czterema przysadzistymi wojownikami. Żako wprowadził ich do namiotu Malevolyna, po czym zajął miejsce przed szeregiem.

– Wszyscy obecni, generale! – oznajmił, stając na baczność.

– Bardzo dobrze – Malevolyn uważnie obejrzał mały oddział, po czym stanął przed nimi – Przez długi czas służyliście mi wiernie.

Jego palce stukały po rękojeści sztyletu, na który, jak na razie, nie zwrócili uwagi.

– Więcej niż raz przysięgaliście oddać za mnie życie... i za to wam dziękuję. Jednak w obliczu nagrody, jaka nas czeka, muszę prosić o jeszcze jeden dowód waszej chęci służenia mi aż do śmierci...

Malevolyn dostrzegł poruszenie cienia z jednej strony. Xazax niecierpliwił się, nie rozumiejąc potrzeby wygłoszenia krótkiego przemówienia. Ci ludzie będą pierwsi, oni przekażą innym, czemu ich dowódca zażądał nowego dowodu wierności.

– Jutrzejszy dzień będzie dniem chwały, dniem przeznaczenia, a każdy z was odegra w nim znaczącą rolę! Proszę was, przyjaciele, abyście potwierdzili wiarę i nadzieję, które w was pokładam, tą ostatnią przysięgą! – uniósł sztylet tak, aby wszyscy mogli go zobaczyć. Kilku strażników mrugnęło, ale innej reakcji nie było.

– Żako! Masz zaszczyt być pierwszym! Okaż swoją odwagę!

Wąsaty oficer bez wahania wystąpił, wyciągając nagą dłoń. Nie był to pierwszy raz, gdy składał swemu dowódcy przysięgę krwi i tylko jemu spośród całej piątki wydawało się, że wie, dlaczego Malevolyn chciał podkreślić ich lojalność wobec siebie.

– Wnętrzem do góry – gdy Żako posłuchał, Malevolyn ustawił sztylet nad tą częścią dłoni, gdzie było najwięcej mięśni, po czym wbił go.

Żako zdusił westchnienie, lecz patrzył na wprost, jak tego po nim oczekiwano.

Dlatego też nie zauważył niczego dziwnego w sztylcie, ani miejscu, gdzie przebił skórę. W momencie, gdy sztych przebił dłoń, oba kamienie

nagle rozbłysły. Co dziwniejsze, choć z rany płynęła krew, nie rozlewała się po skórze, lecz wydawała się być wciągana przez czarne ostrze – i tam znikła.

– Napij się nieco wina, Żako – powiedział Malevolyn, wyciągając sztylet. Gdy jego podwładny wrócił do szeregu, generał przywołał następnego żołnierza, z którym zrobił to sarno.

Gdy cała piątka oddała swoją krew, Augustus Malevolyn zasalutował im.

– Oddaliście mi swoje życie. Odmaszerować. Gdy żołnierze wyszli, zawołał Żako.

– Nim uporasz się z wiedźmą, powiedz kapitanowi Lyconiusowi, aby przyprowadził do mego namiotu wszystkich, którzy znajdują się pod jego komendą, zrozumiałeś?

– Tak jest, generale!

Kiedy i on wyszedł, z cienia rozległ się głos Xazaxa: – To trwa za wolno, mój panie. W ten sposób zajmie nam to kilka dni.

– Nie, teraz pójdzie szybciej. Tej piątce przedstawiłem to jako zaszczyt i tak też sądzą.

Żako powie o tym Lyconiusowi, on swoim ludziom i tak dalej. Rozkaże, oficerom, aby wydali dodatkowe racje wina tym, którzy jeszcze raz ofiarująmi swoje życie. Obiecuję ci, dalej pójdzie znacznie szybciej.

Kilka sekund później Lyconius, chudy, łysiejący mężczyzna starszy od generała poprosił o pozwolenie wejścia. Na zewnątrz czekali wszyscy żołnierze znajdujący się pod jego komendą. Malevolyn wpierw ukłukł kapitana, potem rozkazał mu ustawić żołnierzy w kolejkę. Wieść o dodatkowej racji wina sprawiła, że każdy chciał tu być.

Zaledwie kilku ludzi Lyconiusa złożyło swoją przysięgę, gdy do namiotu wpadł mocno zmieszany Żako. Ukłukł przed generałem i ze wstydem pochylił głowę.

Malevolyn, nieco zirytowany tym wtargnięciem, warknął: – Mów! O co chodzi?

– Generale... wiedźma... nigdzie nie można jej znaleźć!

Malevolyn usiłował ukryć swoje zdenerwowanie.

– Czy jej rzeczy nadal są w namiocie?

– Tak, generale, ale nie ma konia.

Nawet Galeona nie pojedzie na pustynię po nocy. Rzucając ostrożne spojrzenie za siebie, Malevolyn zauważył, że cień demona zmienia się. Bez wątpienia Xazax również nie uznał tych nowin za dobre, ale w tej chwili żaden człowiek ani demon nie będzie tracił na nią czasu. Nawet jeśli wiedźma w jakiś sposób dowiedziała się o ich planach i postanowiła uciec, w dalszej perspektywie dla jej byłego kochanka niewiele to znaczyło. Jak mogła im zaszkodzić? Być może, gdy już zdobędzie zbroję, Malevolyn zapoluje na nią, ale w tej chwili miał ważniejsze sprawy na głowie.

– Nie martw się o nią, Żako. Wróć do swoich obowiązków.

Podwładny podziękował mu z ulgą, po czym szybko opuścił namiot. Generał Malevolyn wrócił do swego zadania, skaleczył następnego żołnierza i podziękował mu za odwagę.

Kolejka rzeczywiście szła sprawnie, tak jak powiedział modliszce. Połączenie zaszczytu i darmowej racji wina sprawiło, że kolejka ciągnęła się przez cały obóz – każdy żołnierz chciał dowieść swej lojalności wobec dowódcy i wykazać się przed towarzyszami.

Czuli, że jutro generał poprowadzi ich do wielkiego zwycięstwa i zdobędą bogactwa, o którym im się nie śniło. Nie martwiło ich to, że może ich być zbyt mało, aby zdobyć tak silnie obwarowane miasto jak Lut Gholein: uważali, że generał Malevolyn nie podjąłby pochopnej decyzji, gdyby nie opracował planu gwarantującego sukces.

Późną nocą ostatni z żołnierzy dał dowód swej lojalności wyciągając dłoń, aby sztylet skaleczył mu dłoń.

Żołnierz i oficer, który go przyprowadził, opuścili namiot zasalutowawszy swemu dowódcy. Z wnętrza namiotu Augustus Malevolyn słyszał odgłosy świętowania, gdy jego ludzie cieszyli się swoją porcją napitku i wznosili toasty za przyszłe bogactwo.

– Skończyło się – zaskrzeczał Xazax, wychodząc z ciemnego kąta – Każdy posmakował ukąszenia sztyletu, który napił się krwi wszystkich...

Obracając ceremonialną broń w dłoniach, generał zapytał:

– Ani kropelki, ani plamki. Gdzie podziała się cała krew?

– Każda do swojego, panie. Tam, gdzie musiała się udać. On obiecał ci armię, której nie oprze się nawet Lut Gholein, pamiętasz?

– Przypominam sobie... – Dotknął hełmu, którego nie zdjął od chwili, gdy rozbito obóz. Wydawał się być częścią jego ciała do tego stopnia, iż przyrzekł sobie, że nigdy się go nie pozbędzie, chyba, że będzie to konieczne – Powtórzę jeszcze raz: akceptuję konsekwencje naszego układu.

Ciało modliszki wygięło się w czymś, co miało być grzecznym ukłonem.

– Nie widzę zatem powodu, dla którego nie mielibyśmy zacząć już teraz...

– Powiedz mi, co trzeba zrobić.

– Narysuj ten symbol na piasku u twoich stóp – używając kościstych dłoni Xazax nakreślił w powietrzu znak. Oczy generała nieznacznie się rozszerzyły, gdy zobaczył, jak chudy palec demona pozostawia za sobą jaskrawo pomarańczowy ślad.

– Czemu ty tego nie zrobisz?

– Musi być nakreślony przez tego, kto będzie dowodził. A może wolisz, aby był to twój pokorny sługa, panie?

Uznając słusność tego argumentu, Malevolyn pochylił się i nakreślił znak, który zobaczył w powietrzu. Gdy skończył, ku jego zaskoczeniu, z ust buchnął mu potok dziwnych słów.

– Nie opieraj się! – Pogoniła go modliszka z entuzjazmem. – On znał te słowa, będą też znane tobie!

Jego słowa... słowa Bartuca. Augustus Malevolyn pozwolił im płynąć, rozkoszując się mocą płynącą z ich używania.

– Trzymaj sztylet nad środkiem znaku. – Gdy generał uczynił tak, demon dodał – A teraz... wypowiedz imię mojego piekielnego pana! Wypowiedz imię Beliala!

Belial?

– Kto to jest Belial? Znam Baala, Mephista i Diabło, ale nie Beliala. Może chodziło ci o Baa...

– Nie wymawiaj tego imienia! – zaświergotał nerwowo Xazax. Modliszka rozejrzała się na lewo i prawo, jakby bała się, że ktoś ich znajdzie. Nie zobaczywszy niczego podejrzanego, demon odparł spokojniejszym tonem:

– Nie ma innego władcy Piekieł prócz Beliala. To on daje ci ten niesamowity dar!

Zawsze o tym pamiętaj!

Malevolyn, który był lepiej obeznany z magią niż demon sądził wiedział, że Piekiełm rządzi Mroczna Trójca. Słyszał też opowieści o tym, że trzej bracia zostali wygnani do świata ludzi, a ich władza nad Piekiełm należała już do przeszłości. Jedna z mało znanych legend głosiła nawet, że w Lut Gholein znajduje się być może grobowiec Baala, choć nawet generał wątpił w jej autentyczność: Kto budowałby miasto na grobie władcy demonów?

– Jak mówisz, Xazaxie, jest nim Belial. Chciałem upewnić się, że dobrze wypowiem imię.

– Zaczynj od nowa! – warknął wielki owad.

Jeszcze raz słowa spłynęły z języka Malevolyna. Jeszcze raz trzymał sztylet wampira nad środkiem symbolu – symbolu Beliala, jak zorientował się teraz generał. Zakończywszy inkantację, gorliwy dowódca wypowiedział imię władcy demonów...

– Wbij sztylet dokładnie w sam środek symbolu! Generał Malevolyn wraził ostrze w piach, trafiając precyzyjnie w sam środek.

Nic się nie stało. Popatrzył na górującego nad nim potwora.

– Cofnij się – poradził Xazax.

Gdy przyszedł zdobywca zrobił to, wokół sztyletu pojawiła się czarna mgiełka. Na ich oczach gwałtownie urosła, najpierw unosząc się nad broń, a potem sięgając dachu namiotu.

Gdy wypłynęła na zewnątrz w, jak oceniał Malevolyn swoim wyćwiczonym okiem, konkretnym celu, chmura przyjęła kształt wielkiej, pazurzastej łapy.

– To już długo nie potrwa, panie.

Nie zainteresowany tym Malevolyn rozejrzał się za pucharem swojego najlepszego wina. Na tę noc wybrał nową butelkę, którą specjalnie zapakował na niekończące się podróże po dzikich krajach. Generał otworzył ją, powąchał zawartość i z zadowoleniem nalał sobie pół kubka.

Wtedy rozległy się pierwsze krzyki.

Na ten dźwięk dłoń Augustusa Malevolyna zadrżała, ale nie ze strachu czy żalu. Stało się tak, ponieważ nawet z ust tych, których torturował, nie słyszał jeszcze tak rozdzierającego duszę wrzasku, zresztą jego nagłość po prostu zaskoczyła go. Gdy rozległ się drugi, trzeci i czwarty, Malevolyn nie uznał ich już za niepokojące. Uniósł nawet kielich w stronę wbitego w piasek sztyletu i niewidzialnego pana Xazaxa.

W tej samej chwili krzyki na zewnątrz połączyły się w chór dziesiątek ludzi krzyczących jednocześnie, błagających o możliwość ucieczki. Z całego obozu docierały do uszu generała wrzaski agonii, ale przyjął to spokojnie. Ludzie – jego ludzie – z których każdy przynajmniej raz złożył przysięgę, że będzie służyć mu zawsze i na każdy sposób. Dzisiejszej nocy wziął tę przysięgę na serio, przyjmując dosłownie ich ofiarę dla dobra swej misji.

Znów odwrócił się w stronę wejścia do namiotu. Źle oceniając jego zachowanie, modliszka uprzedziła go:

– Już za późno, aby ich ratować. Pakt został zaakceptowany przez jego piekielnego władcę.

– Ratować ich? Chciałem tylko spełnić za nich toast, za to, co mi ofiarowali, abym mógł wypełnić moje przeznaczenie!

– Achaaa... – odparł demon, po raz pierwszy poznając prawdziwe oblicze generała Malevolyna – On się pomylił...

Krzyki trwały nadal. Kilka rozległo się w oddali, jakby niektórzy z jego ludzi chcieli uciekać, ale nie mogli uciec przed czymś, co pożerało ich z wnętrza ich własnych dusz.

Niektórzy, najbardziej lojalni, wołali swojego dowódcę, błagając o pomoc. Malevolyn wysuszył następny puchar, potem usiadł i czekał na koniec.

Stopniowo krzyki cichły. Rozbrzmiewało tylko nerwowe rżenie koni, które nie mogły zrozumieć, co się stało. One również umilkły, gdy zalegająca obóz cisza zadziałała również na nie.

Nagłe uderzenie metalu o metal sprawiło, że znów spojrzął na demona, ale Xazax nic nie powiedział. Szczęk na zewnątrz narastał, stawał się głośniejszy. Generał Malevolyn dokończył wino i wstał.

Hałas na zewnątrz nagle umilkł.

– Czekają na ciebie... panie.

Poprawiwszy zbroję, a zwłaszcza hełm, generał Augustus Malevolyn wyszedł na zewnątrz.

Rzeczywiście czekali na niego w równych szeregach. Niektórzy trzymali pochodnie, aby mógł zobaczyć ich twarze, twarze tak dobrze mu znane z wielu lat służby. Byli tam Żako, Lyconius i pozostali oficerowie, a za nimi szeregi żołnierzy.

Gdy go zobaczyli, z gardeł tłumu wydarł się okrzyk pozdrowienia, okrzyk głośny i brutalny w swej tonacji. Generał uśmiechnął się, jakby ucieszyły go widziane wcześniej obrazy. Nie ważne, jak jasna czy ciemna była ich skóra przedtem, teraz mieli taką samą bladą i ziemistą. Gdy krzyczeli, wargi odsłaniały ostre kły i długie, rozdwojone języki.

Oczy...

Ich oczy były krwiście czerwone, płonące taką żądzą zła, że mógł je widzieć nawet bez pochodni. To nie były ludzkie oczy: przypominały raczej, przynajmniej w złośliwości, oczy modliszki.

Ci przerażający wojownicy, odziani w skóry jego własnych żołnierzy, będą jego nowym legionem, drogą ku zwycięstwu, Xazax również wyszedł z namiotu, piekielna modliszka nie musiała już się ukrywać.

W końcu był wśród swoich.

– Chwała Malevolynowi z Zachodniej Marchii! – zawołał Xazax – Chwała Władcy Krwi!

Demoniczna horda jeszcze raz pozdrowiła Augustusa Malevolyna.



Oddalona od obozu Galeona nie słyszała niczego, ale wyczuła uderzenie złowrogiego zaklęcia. Obeznana z ciemniejszą stroną sztuki magicznej wiedziała, że tak wielka emanacja piekielnej mocy oznacza, iż jej obawy się

potwierdziły. Słusznie uczyniła, że odjechała tak szybko, inaczej podzieliłaby los niczego nie podejrzewających żołnierzy Augustusa.

Xazax nie docenił jej po raz ostatni. Aby złamać układ krwi, który zawarli kilka lat wcześniej, modliszka posłużyłaby się kim innym. Na nowego sojusznika wybrał generała.

Demon zawsze sugerował, że nowy władca byłby lepszy od odzyskania pustej zbroi. Już kilka miesięcy temu Galeona zdała sobie sprawę, że nigdy nie zamierzał dotrzymać umowy dłużej, niż to było konieczne.

Ale dlaczego tak nagle wybrał Augustusa zamiast niej? Czy to naprawdę był strach?

Od tej nocy, gdy wielki owad nieomal dokonał czegoś nie do pomyślenia – zabił ją mimo wiążącego ich paktu – wiedźma zastanawiała się, co tak mogło przerazić tego potwora z piekła rodem. Jaki strach sprawił, że pobiegł wprost do Malevolyna?

Ostatecznie, nie miało to znaczenia. Zarówno Xazax, jak i Augustus dbaliby tylko o siebie. Po tym, co odkryła podczas działania czaru, Galeona stwierdziła, że nie potrzebuje tych zdradzieckich kreatur. Czemu cały czas oglądać się przez ramię, skoro może być tą, która będzie dowodzić?

Podczas jazdy czarodziejka spojrzała na swoją dłoń – robiła to już nie pierwszy raz. W lewej ręce trzymała mały kryształ, który związała czarami ze swoim celem. Dopóki kryształ świecił, czarodziejka wiedziała, że podąża we właściwą stronę.

Dopóki świecił, wiedziała, że znajdzie tego głupca, którego zamierzała uczynić swoją marionetką.

Zdradzając ją, Xazax popełnił w swoich obliczeniach straszny błąd. Z jakiegoś powodu, którego nie mogła sobie wyobrazić, demon nie mógł sam wykryć starej zbroi.

Potrzebował człowieka – dlatego z początku połączyli swe siły. To dlatego przeklęta modliszka opuściła ją dla generała Malevolyna: sądziła, że wie, gdzie znajduje się zbroja. Nie powinno to być dla niej zaskoczeniem, gdyż Galeona zamierzała zrobić to samo, ale Xazaxa ten błąd mógł drogo kosztować.

Demon bez wątpienia wierzył, że zbroja znajduje się w pobliskim Lut Gholein, miejscu, do którego będzie się teraz kierował. Od rzucenia ostatniego czaru nawet ona to rozumiała. Gdzie indziej miałyby być, jeśli nie w tym nadmorskim królestwie? Samotny wędrowiec musiałby albo wyjechać z jakąś karawaną, albo wsiąść na statek, wypływający z Lut Gholein do jednej z krain położonych dalej na zachód. Innymi słowy, Norrec powinien nadal siedzieć wewnątrz miejskich murów.

Ale nie siedział. Jakoś się stamtąd wydostał i pojechał na pustynię z taką szybkością, że zajeździł swojego wierzchowca. Gdy Galeona odkryła, gdzie się znajduje, zaskoczyło ją, że weteran znajdował się praktycznie pod nosem Augustusa. Gdyby generał zgodził się na rzucenie zaklęcia poszukującego wtedy, gdy to zaproponowała, zbroja byłaby jego.

Przybywałyby do Lut Gholein odziany w szkarłatną zbroję Bartuca, z wierną czarownicą przy boku.

Teraz Galeona miała nadzieję, że uda się jej przekonać tego głupca, aby użył mocy zbroi... zgodnie z jej wskazówkami, rzecz jasna. Wyglądał na łatwowiernego mężczyznę, którego z łatwością owinie sobie wokół palca. Miał też całkiem przystojną twarz, którą wiedźma z jakiegoś powodu wolała od swego byłego kochanka. Zyskanie kontroli nad nową marionetką nie będzie zbyt trudne.

Oczywiście, gdyby Galeona znalazła jakiś inny sposób ujarznienia zadziwiających mocy zbroi, bez żalu pozbyłaby się tego Norreca. Zawsze byli jeszcze inni mężczyźni, inni głupcy.

Jechała dalej, martwiąc się tylko, czy Xazax może zechcieć przerwać swoje zajęcia i wraz z Augustusem ruszyć w pościg za byłą kochanką. Oczywiście, to również wykraczało przeciwko paktowi, co stanowiło zagrożenie tak dla demona, jak i dla niej.

Najprawdopodobniej piekielna modliszka łatwiej wybaczyłaby jej, zadowolona, że zyskała swoją wielką nagrodę. Później bez wątpienia znalazłaby jakiś sposób, aby rozerwać ich więzy – nie, wspominając już o głowie i kończynach.

Przybędzie już za późno. Gdy już omota swojego pionka, pokaże mu, że to Xazax, a nie ona wkrótce zostanie rozszarpany i rozrzucony w promieniu wielu stóp. Być może nawet skłoni Norreca do przyniesienia jej głowy demona, co byłoby pięknym okazem do jej nowej kolekcji – starą czarownica musiała zostawić.

Rozejrzała się dookoła, szukając jakiegoś śladu swojej ofiary. Aby zmniejszyć ryzyko krążenia w ciemnościach w kółko, wiedźma rzuciła zaklęcie, które poprawiło wzrok konia i jej własny. Dzięki temu zwierzę mogło wybierać ścieżkę pozbawioną niebezpieczeństw, a Galeona mogła spokojnie rozglądać się w poszukiwaniu żołnierza.

Tam! Zatrzymawszy konia, czarownica wpatrzyła się w odległy, ciemny kształt skalistego wzgórza. Kryształ wskazywał, że jej dalsza droga wiodła dokładnie w tamtą stronę.

Galeona uniosła się na chwilę w siodle, rozglądając się za innym, podobnym miejscem bezskutecznie. Będąc doświadczonym wojownikiem, ten głupek z pewnością miał dość rozumu, aby poszukać kryjówki, a to małe wzgórze przed nią wyglądało na najlepsze schronienie w promieniu wielu mil dookoła. Musiał tam być.

Podniecona Galeona popędziła konia. Gdy się zbliżyli, wydawało jej się, że przy lewym stoku wzgórza dostrzegła jakąś postać. Tak... człowiek

siedzący pod głazem, z nogami podciągniętymi pod brodę i obejmujący rękami kolana.

Gdy wiedźma się zbliżyła, poderwał się na równe nogi ze zwinnością i szybkością zadziwiającą u kogoś zakutego w ciężką zbroję. Galeona obserwowała, jak się obraca i bezskutecznie usiłuje wypatrzeć ją w mroku. Nie, z pewnością nie miał nieładnej twarzy, pomyślała podstępna czarownica. Wygląda lepiej, niż zapamiętała go ze spotkania na statku.

Jeśli tylko wykaże się rozsądkiem i będzie jej słuchał, nie będą mieli ze sobą problemów i z pewnością nie będzie musiała szybko szukać kogoś do zastąpienia go.

– Kto tam? – zawołał Norrec – Kim jesteś? Zsiadła z konia tuż przed nim.

– Tylko życzliwy wędrowiec... który nie chce cię skrzywdzić – Galeona wykorzystała kryształ, aby oświetlić teren i pokazać, jakie to szczęście zawitało w jego żalosne życie.

– Ktoś, kto szuka odrobiny ciepła...

Czarownica tak ustawiła świecący kamień, aby zobaczył jej twarz i pierś. Od razu dostrzegła jego zainteresowanie. Tym lepiej. Wyglądał na kogoś, kogo można wodzić za nos w zamian za kilka miłych chwil. Idealna marionetka.

Wyraz jego twarzy nagle się zmienił i wcale nie był taki miły.

– Znam cię, prawda? – zbliżył się, spojrzał na nią z góry – Muszę jeszcze raz zobaczyć twoją twarz.

– Oczywiście – Galeona zbliżyła klejnot, aby mógł dokładniej obejrzyć jej twarz.

– Za mało światła – mruknął Norrec – Potrzebuję go więcej. Podniósł lewą dłoń i w rękawicy pojawiła się nagle niewielka kula ognia, sto razy jaśniejsza od jej kryształu.

Galeona nie mogła powstrzymać westchnienia. Spodziewała się, że napotka głupka nie obeznanego z zasadami magii. Tymczasem on z łatwością przywołał płomień, coś, co pozostawało poza możliwościami wielu dobrze wyszkolonych magów.

– Tak lepiej... rzeczywiście cię znam... a przynajmniej pamiętam twoją twarz! Na „Ognistym Jastrzębiu"! – pokiwał głową z wyraźnym zadowoleniem – Śniłaś mi się wtedy!

Oprzytomniawszy, Galeona szybko odpowiedziała:

– A ja śniłam wówczas o tobie! Śniłam o wojowniku, wybrańcu, który ochroni mnie przed ścigającym mnie złem!

Tak jak się spodziewała, jej słowa i ich ton wywołały natychmiastową reakcję mężczyzny. Nie przestawał patrzeć na nią nieufnie, ale teraz dostrzegła też współczucie... i dumę, że spoglądała na niego jak na zbawcę. Czarownica zbliżyła się do niego, spod półprzymkniętych powiek zaglądając mu głęboko w oczy. Jak na razie z pewnością go oczarowała.

– Czy grozi ci niebezpieczeństwo? – Na jego twarzy zagościł czuły wyraz. Spojrzał za plecy Galeony, jakby spodziewał się dostrzec ścigających ją złoczyńców.

– Jeszcze nie wiedzą, że im uciekłam. Ja... ostatniej nocy znów śniłam o tobie, wiedziałam, że będziesz gdzieś blisko, czekając na mnie – Położywszy dłoń na jego napierśniku, Galeona pochyliła się do przodu tak, że tylko całe dzieliły ich usta.

Nie dał się złapać, zainteresowało go co innego.

– Jesteś czarodziejką – powiedział w końcu Norrec – Jak się nazywasz?

– Galeona... a ze swoich snów wiem, że mój rycerz nazywa się Norrec.

– Tak... – wojownik uśmiechnął się, gdy usłyszał, jak go nazwała – Czy jesteś potężną czarodziejką?

Czarownica pozwoliła, aby jej dłoń błędziła po spojeniach zbroi.

– Mam pewne umiejętności... także w innych dziedzinach.

– Może być czarodziejka... – zamruczał niby to do siebie – Chciałem, aby ktoś pomógł mi z tą zbroją... ale to już nieważne. Miałem czas to przemyśleć, poukładać wszystko we właściwej kolejności. Muszę załatwić kilka spraw, zanim posunę się dalej.

Galeona nie zwróciła na to uwagi, planując z wyprzedzeniem. Norrec z pewnością nie był takim prostakiem, jakim się z początku wydawał, ale przynajmniej uwierzył w jej opowieść i zaakceptował jako towarzysza, jeśli nie kogo innego. Gdy dowie się o nim czegoś więcej, Galeona wzmocni te więzy. Dzięki jej wdziękom na pewno odsłoni swoje wrażliwe punkty – reszty potrzebnych rzeczy wiedźma dowie się wkrótce.

Oczywiście, zadanie trwałoby krócej, gdyby mogła w jakiś sposób pomóc Norrecowi, pokazać swej marionetce, jak wartościowym może być towarzyszem. Chociaż nie rozumiała tego, co mówił o zbroi, to w innych sprawach, o których wspominał – jakiegokolwiek by nie były – na pewno mogłaby mu pomóc.

– Oczywiście, dołożę wszelkich starań, aby ci pomóc, mój rycerzu! Proszę tylko o to, abyś w zamian ochronił mnie przed tymi, którzy chcą mi zrobić krzywdę – Rzuciła okiem na pustynię – Są potężni i usługują im mroczne siły.

Galeona chciała sprawdzić jego opanowanie, zobaczyć, jak pewnie się czuje z mocą, którą najwyraźniej dysponuje. Jednak, ku jej zaskoczeniu, Norrec wzruszył ramionami i od niechcienia odpowiedział:

– Wojownicy, magia, demony... nie boję się ich. Ci, których ochraniam, nie zostaną pokrzywdzeni.

– Masz moją wdzięczność – szepnęła, wspinając się i całując go mocno.

Odsunął ją, ale nie z niechęci, lecz dlatego, że nie był zainteresowany tym, co chciała mu dać. Norrec wydawał się zagłębiony w swoich myślach.

– Myślałem o tym – wreszcie powiedział do wiedźmy – Zastanawiałem się, dlaczego trafiłem właśnie tutaj. To musi być gdzieś blisko. Próbuje ukryć się przede mną i to mu się udaje.

Znów na nią spojrział, ale jakiś nagły błysk w jego oku nieco zaniepokoił Galeonę.

– Ale ty mogłabyś go odnaleźć! Być może udałoby ci się to, co nie udało się Drognanowi.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparła śniada czarodziejka, zastanawiając się, co tak bardzo przykuło uwagę mężczyzny. Czyżby coś ważnego również dla niej?

– Czego szukamy?

Wyglądał na zaskoczonego, że ona jeszcze nie wie.

– Grobu Horazona, oczywiście! – Coś w wyrazie jego twarzy zmieniło się, gdy to wypowiedział. Galeona spojrzała na niego jeszcze raz i tym razem zobaczyła twarz, którą nie do końca rozpoznała – Grobu mojego brata.

SZESNAŚCIE



Pod Lut Gholein rozciągał się cały świat.

Nie, poprawiła się Kara, to nie był świat, ale coś, co wydawało się tak samo duże, jeśli nie większe, od królestwa położonego nad nim. Dziwna i wywołująca dreszcze postać, w której rozpoznała niewiarygodnie starego Horazona, prowadziła ją pogmatwanym korytarzem, skręcała w kolejny korytarz i jeszcze jeden, aż nekromantce zakręciło się w głowie, kiedy próbowała zapamiętać przebytą drogę. Wchodziła i schodziła po schodach, mijając kolejne drzwi, aż w końcu Horazon przyprowadził ją do tej komnaty – dobrze oświetlonej i wyposażonej sypialni – i kazał się przespać.

Kara nie pamiętała, kiedy się położyła, ale znalazła się na miękkim łóżku, patrząc na wymyślny baldachim. Uważała, że jej kajuta na pokładzie „Królewskiej Tarczy” będzie najwygodniejszą sypialnią, z jakiej skorzysta, ale ten pokój był jeszcze bardziej komfortowo wyposażony. Co dziwniejsze, eleganckie meble, wyglądające jak z innej epoki, wydawały się być wykonane całkiem niedawno. Wielkie drewniane łóżko było doskonale wypolerowane, pościel czysta i szeleszcząca, a marmurowa podłoga nie nosiła śladów pęknięć. To samo tyczyło się nocnego stolika obok łóżka i krzesła w odległym kącie pokoju. Na ścianach wisały po mistrzowsku wykonane, bogato zdobione gobeliny, zdecydowanie pasujące do Vizjerei: fantastyczne stwory i pokazy zadziwiających zakłęć. Gdyby nie to, że była więźniem w labiryncie potencjalnie niebezpiecznego szaleńca, czarodziejka czułaby się tu dość wygodnie.

Nie zamierzała tu zostać na dłużej. Choć wszystkie legendy mówiły, że Horazon był mniejszym złem, to wciąż pozostawał ambitnym Yizjerei, który kiedyś również dowodził demonami, lecz w ciągu stuleci postradał rozum. Kara zastanawiała się, jakim cudem przeżył tak długo. Znane zapisy o tak bardzo przedłużających życie zaklęciach mówiły, że do ich rzucenia należało wpieryw przywołać potęgę nie z tego świata. Jeśli Horazon znów zaczął korzystać z pomocy demonów, i to niezależnie od tego, o czym mamrotał, to nie tylko tłumaczyłoby, dlaczego oszalał, ale też dawało Karze kolejny powód, dla którego musiała stąd uciekać, zanim powróci.

Pozostając w ubraniu, niepewna ciemnowłosa czarodziejka ześlizgnęła się z łóżka i podążyła do drzwi. Nie udało się jej sprawdzić, czy Horazon nie założył na nie jakichś zaklęć, gdyż cały pokój był tak przesycony magią, że aż zastanawiała się, dlaczego żaden mag w promieniu setek mil nie wykrył jego obecności. Być może ta sama magia sprawiała, że nie mogli tego uczynić. Jeśli choć część tej mocy była ukierunkowana na ukrycie domeny, to najpotężniejsi czarodzieje świata mogli stać na jej progu i nic nie zobaczyć.

Gotowa na wszelkie ryzyko nekromantka chwyciła za klamkę i przekonała się, że drzwi są zamknięte. Spróbowała jeszcze raz, z tym samym skutkiem.

Co prawda nie zdziwiło jej, że została zamknięta, ale ten fakt mocno Karę rozzłościł.

Od początku tej pogoni była raz po raz gdzieś więziona i zastanawiała się, czy zdoła uciec z tego więzienia. Nie poddając się, Kara dotknęła klamki i wymruczała zaklęcie otwarcia. Było to słabe zaklęcie, które czerpało z opanowanej przez Yizjerei mocy żywiołów, ale kapłani Rathmy uznali je za jedno z niewielu przydatnych zaklęć przeciwnego klanu. Nie umknął jej fakt, że zaklęcie prawie na pewno mogło zawieść, ale Kara nie

znała innego sposobu wyjścia z pokoju bez używania czarów, których moc mogła jej zwalić sufit na głowę.

Klamka obróciła się.

Zaskoczona tym nagłym sukcesem, nekromantka niemal otworzyła drzwi na oścież.

Wzięła jednak głęboki oddech i uchyliwszy je nieco, obejrzała korytarz. Nie widząc żadnego zagrożenia, ciemnowłosa czarodziejka po cichu wyszła na zewnątrz. Rozejrzała się dookoła, usiłując zgadnąć, z którego końca korytarza przyszła. Po krótkim namyśle zwróciła się w prawo i pobiegła.

Korytarz kończył się wiodącymi w górę schodami – był to dobry znak. Kara wkroczyła na stopnie pewna, że jeśli będzie szła w tę stronę, w końcu odnajdzie drogę na powierzchnię.

Schody kończyły się dwa zakręty dalej i przeszły w znacznie szerszy korytarz. Będąc pewna, że Horazon nie przebywał w okolicy, nekromantka wślizgnęła się do dużego holu.

Choć pokój, w którym spała, miał dobrze osłonięte ściany, sam korytarz wydawał się bardzo surowy, jedynie kilka par drzwi przerywało jego monotonię. Jedynym nietypowym elementem wystroju było żółte światło pochodzące z nieznanego źródła. Nie było ani pochodni, ani uchwytów na nie.

Biegąc, Kara odczuwała pokusę, aby zajrzeć do któregoś z pokoi, ale wiedziała, że jak najszybciej powinna znaleźć drogę na zewnątrz. Każde ociąganie mogło dać Horazonowi dodatkowy czas na odkrycie, że zniknęła. Choć nekromantka bardzo chciała dowiedzieć się czegoś więcej o szalonym magu i jego mieszkaniu, to wolała to uczynić na swoich, a nie jego warunkach.

Tuż przed nią korytarz zakręcał w prawo. Kara przyspieszyła, mając nadzieję, że zmiana kierunku oznacza, iż znalazła drogę wyjścia.

Sfrustrowana czarodziejka skręciła, modląc się, żeby na jego końcu były następne schody lub, jeszcze lepiej, wyjście.

Tymczasem stanęła przed murem.

Korytarz kończył się zaledwie kilka jardów za zakretem. Położywszy na nim obie ręce, nekromantka usiłowała odkryć iluzję, magię, nawet fałszywy korytarz. Niestety, mimo, iż nie zdołała odgadnąć, po co tu stoi, zaporą przed nią zdawała się być tak solidna, jak wyglądała.

Cofnąwszy się, Kara rozejrzała się wokół. Powrót do schodów nie miał sensu, a to oznaczało, że pozostawały tylko drzwi. One z pewnością nie oznaczają drogi wyjścia z królestwa Horazona.

Podeszła do pierwszych drzwi i ostrożnie je otworzyła. Znając swoje szczęście, Kara mogła się spodziewać, że zawita do prywatnych komnat sędziwego Yizjerei.

Za drzwiami biegł długi, zakręcony korytarz.

– Czy to następna sztuczka? – szepnęła do siebie. Czy droga na zewnątrz oznaczała przechodzenie przez drzwi i unikanie normalnych korytarzy? Mogła się spodziewać, że jej szalony gospodarz wymyśli coś tak nieprawdopodobnego!

Kara Nocny Cień pospieszyła korytarzem, nie zamykając za sobą drzwi. Gdzieś tam odnajdzie drogę ucieczki. Gdzieś tam znajdzie wyjście w zniszczonym budynku albo inne tajemne przejście prowadzące do Lut Gholein.

Tymczasem nekromantka natrafiła na kolejne drzwi.

Nie miała wyjścia, musiała je otworzyć. Nie było innego korytarza ani drzwi. Jednak tym razem otwarła je z nadzieją, że się powiedzie.

Przeszła kilka kroków. Labirynt Horazona musiał skończyć się tu i teraz.

Powitał ją następny korytarz.

Fakt, że przypominał ten, którym Kara przeszła wcześniej, nie martwiło jej.

Oczywiście, wystrój był podobny. W końcu budował je ten sam człowiek.

Wtedy zobaczyła otwarte drzwi po lewej stronie.

Z wielkim drżeniem zmęczona nekromantka podeszła do nich. Zajrzała do środka, mając nadzieję, że się myli.

Zobaczyła ten sam korytarz, który właśnie przeszła.

– Trag'Oulu, wyrwij mnie z tego szaleństwa! – Co było w tym korytarzu, że wróciła do tego samego miejsca? Kara zamrugała kilka razy, gdy zobaczyła następną rzecz. Te drzwi i te, którymi powróciła były umieszczone po przeciwnych stronach holu. Jak mogła tak chodzić w kółko? Korytarz musiałby przecinać się z holem, a to niemożliwe!

Kara bez wahania podążyła w stronę ostatnich drzwi, które zostały zamknięte. Jeśli nie zaprowadzą jej gdzie indziej niż do tego holu, wtedy przyzna, że zaczarowane królestwo Horazona pokonało ją.

Jednak ku uldze nekromantki drzwi otwierały się na wielką komnatę, w której znajdowały się dwie szerokie klatki schodowe z barierkami, a pomiędzy nimi para dużych, brązowych drzwi, zdobionych skomplikowanymi motywami smoków.

Cała podłoga była wyłożona marmurową posadzką, a ściany pokrywały gobeliny.

Kara weszła do środka, zastanawiając się, czy wybrać drzwi, czy też któreś ze schodów. Drzwi wyglądały najbardziej kusząco, gdyż znajdowały się dokładnie naprzeciw niej, ale schody również wzywały nekromantkę, gdyż któreś z nich musiały wieść na powierzchnię.

Cichy dźwięk sprawił, że Kara uniosła głowę... i westchnęła.

Wysoko, wysoko ponad nią siedział na krześle Horazon. Białowłose czarodziej mamrotał do siebie, posilając się przy długim kuchennym stole. Dźwięk, który Kara usłyszała, towarzyszył odkładaniu noża na bogato zdobiony, złoty talerz z mięsem. Nawet tu Kara mogła poczuć jego zapach. Horazon sięgnął po puchar wina: stary Yizjerei pociągnął solidny łyk, nie rozlewając ani kropli. Zadziwiło ją to nie dlatego, iż uważała szalonego maga za pozbawionego najbardziej podstawowych zasad wychowania, ale dlatego, że siedział do góry nogami na suficie.

Cały stół stał do góry nogami, ale nic nie spadło na Karę. Krzesło, stół, półmiski pełne jedzenia, nawet długa broda Horazona – wszystko zachowywało się zgodnie z naturą.

Rozejrzawszy się po suficie, ciemnowłosa czarodziejka dostrzegła drzwi i inne schody, które z pewnością służyły magowi. Gdyby nie Horazon i jego wystawny posiłek, wyglądałoby to tak, jakby widziała nad sobą lustrzane odbicie.

Wciąż pijąc, Horazon uniósł głowę do góry – a raczej do dołu – i wreszcie dostrzegł zaskoczoną kobietę.

– Chodź! Chodź! – zawołał do niej – Spóźniłaś się! Nie lubię, gdy ludzie się spóźniają!

Obawiając się, że może użyć swojej potęgi, aby przyciągnąć ją do sufitu i w ten sposób pozbawić jakiegokolwiek możliwości ucieczki, Kara pobiegła przez wielki hol w stronę brązowych drzwi. Musiały prowadzić gdzieś poza jego moc! Musiały!

Rzuciwszy mu ostatnie spojrzenie, Kara otworzyła najbliższe drzwi i wpadła przez nie.

Gdyby mogła utrzymać się przed nim...

– Ach! Dobrze, dobrze! Siądź tutaj, tutaj!

Horazon patrzył na nią z końca długiego, zdobionego stołu identycznego jak ten, przy którym go zauważyła: jednak tym razem stał nie na suficie, ale na środku pokoju. Na stole znajdowały się te same dania, nawet puchar z winem. Za magiem znajdowały się drzwi i schody, które nekromantka widziała w poprzedniej komnacie – teraz były tłem dla Horazona i jego uczyty.

Nie mogąc się powstrzymać, Kara spojrzała na sufit.

Zobaczyła schody i drzwi odwrócone do góry nogami.

Jedno z nich, drzwi z brązu, były otwarte – jakby ktoś otworzył je w pośpiechu.

– Chroń mnie, Rathmo... – mruknęła Kara.

– Siadaj, dziewczyno, siadaj! – polecił Horazon, zupełnie nieświadom jej przerażenia Pora jeść! Pora jeść!

Nekromantka posłuchała, nie mogąc zrobić nic, aby się uratować.



Nad pustynią zebrała się burza. Rozległy ocean czarnych, zbitych chmur rozciągał się ze wschodu na zachód, jak tylko Augustus Malevolyn mógł sięgnąć okiem. Nadszedł już świt, ale dzień był tak ciemny, że równie dobrze mogłoby być po zmroku. Niektórzy uznaliby to za zły omen, ale generał uznał, iż nadszedł jego czas, a przeznaczenie jest o wyciągnięcie ręki. Lut Gholein leżało przed nim, a za murami siedział głupiec, który nosił sławną zbroję – jego sławną zbroję.

O tym zapewnił go Xazax. Gdzie mógł podziać się obcy? Wiatr był silny, więc żaden statek nie wyjdzie dziś w morze. Musi być w mieście.

Generał obserwował Lut Gholein ze szczytu dużej wydmy. Za nim, niewidoczna dla wroga, cierpliwie oczekiwała rozkazów jego demoniczna horda. Ze względu na wykorzystane zaklęcie, paskudne stwory nadal zamieszkiwały ciała jego ludzi, choć w razie potrzeby mogły je odrzucić.

Demony potrzebowały ciał, żeby przejść do świata śmiertelnych i będą ich potrzebować jeszcze przez jakiś czas. Jednak to nie martwiło Malevolyna. W tej chwili lepiej było, aby wróg uważał, że to mała armia zwykłych śmiertelników. Dowódcy Lut Gholein będą zbyt pewni siebie, aroganccy. Rzucą wszystkie siły, aby zapewnić sobie szybkie zwycięstwo i w ten sposób wystawią się na rzeź, na którą Malevolyn już się cieszył.

Xazax podszedł do człowieka: modliszka przez zbyt długi czas była nieuchwytna.

Zdziwiło to generała. Ze wszystkich demonów Xazax był najbardziej dominujący, a jednak zdradziecki owad poruszał się tak, jakby obawiał się, że nawet w tak pochmurny dzień ktoś go zauważy.

– Czego wyglądasz? Czego się obawiasz? – zapytał Malevolyn, stając się nieco podejrzliwy – Czy spodziewasz się czegoś, o czym powinienem wiedzieć?

– On się niczego nie boi! – odcięła się modliszka, poruszając gwałtownie żwaczkami – Niczego!

Znacznie cichszym głosem dodał jednak:

– On jest... po prostu... ostrożny...

– Zachowujesz się tak, jakbyś się czegoś obawiał.

– Nie... ależ skąd...

Generał Malevolyn znów przypomniał sobie reakcję Xazaxa na imię „Baal” i to, że podziemia Lut Gholein miały skrywać jego grobowiec. Czyżby w tej dziwacznej opowieści było ziarno prawdy?

Uznawszy, że sprawdzi strachy demona później, Malevolyn znów zaczął przyglądać się Lut Gholein. Miasto niczego się nie spodziewało. Nawet teraz oddział sułtana wyjechał przez bramę na poranny patrol: cel jeźdźców był widoczny nawet stąd. Zrobią swój objazd z przekonaniem, że nikt nie będzie miał odwagi zaatakować miasta, zwłaszcza od strony pustyni. Lut

Gholein najbardziej obawiało się ataku od morza, a przy takiej pogodzie, jaka się zapowiadała, było to bardzo mało prawdopodobne.

– Pozwolimy patrolowi podjechać jak najbliżej – powiedział do modliszki – Potem ich zaatakujemy. Chcę zobaczyć, jak walczą twoi wojownicy, nim uderzymy na miasto.

– Nie jego wojownicy – poprawił Xazax – Twoi. .. Jeźdźcy rozdzielili się, przecinając teren poza murami.

Malevolyn obserwował ich i czekał, aż przyjadą tam, gdzie chciał.

– Przygotować łuczników.

Szereg postaci wystąpił naprzód, z błyszczącymi, nieludzkimi oczyma. Choć tylko nosili ciała żołnierzy Malevolyna, w jakiś sposób zachowali wiedzę i umiejętności swoich ofiar.

Twarze, na które Augustus Malevolyn spojrzął, były obliczami jego najlepszych łuczników. Teraz demony miały pokazać, czy działają tak samo dobrze – lub nawet lepiej.

– Na mój znak – rozkazał.

Przygotowali łuki. Xazax powiedział słowo i załśniły groty strzał. Jeźdźcy w turbanach zbliżyli się. Malevolyn dosiadł swojego wierzchowca, aby go lepiej widzieli. >Jeden z obrońców dostrzegł go i zawołał pozostałych. Patrol, liczący sobie przynajmniej czterdziestu żołnierzy, skierował się w jego stronę.

– Bądźcie gotowi. – Skierował swego konia o kilka kroków w ich stronę, jakby chciał się z nimi spotkać. Oni zaś jechali spokojnie, co sugerowało, że byli ostrożni, ale nie za bardzo.

Wreszcie żołnierze z Lut Gholein podjechali wystarczająco blisko.

– Teraz!

Nawet wyjący wiatr nie mógł zagłuszyć przerażającego świstu lecących pocisków. Na wrogów spadł deszcz śmierci, którego nie poruszyła nawet

wichura.

Pierwsze strzały spadły, niektóre z dala od celu, niektóre trafiły. Malevolyn zobaczył, jak jedna z nich ugodziła jadącego z przodu jeźdźca, przechodząc przez pancierz jakby nigdy nie istniał i zatapiając się w piersi. Ku jego zaskoczeniu jeździec nagle zapalił się, a płomienie rozchodziły się z miejsca, gdzie trafiła go strzała. Ciało spadło z przerażonego konia i wylądowało pod kopytami następnego rumaka, który ze strachu stanął dęba i zrzucił jeźdźca.

Inna strzała trafiła gwardzistę w nogę, ale to, co mogło być tylko paskudną raną, wywołało panikę, gdy i on wybuchnął ogniem. Wrzeszcząc, żołnierz usiłował stłumić płomienie szybko rozprzestrzeniające się po całej kończynie.

Jego wierzchowiec również stanął dęba, zrzucając nieszczęśnika. Nawet wtedy płomienie nie zgasły, obejmując nadgarstek.

Z czterdziestu wysłanych na patrol jeźdźców trzecia część leżała martwa lub bliska śmierci, płonąca. Kilka koni również zostało trafionych. Reszta żołnierzy starała się zapanować nad przerażonymi wierzchowcami.

Augustus Malevolyn odwrócił się z uśmiechem na twarzy w stronę swej hordy.

– Drugi i trzeci szereg... zbliżyć się i atakować!

Z gardeł wyznaczonych żołnierzy wydarł się okrzyk bojowy, który zmroziłby większość ludzi, ale u generała wywołał tylko miły dreszcz. Demoniczni wojownicy przebiegli przez wydmy. Podobnie jak żołnierze Malevolyna poruszali się w karnych szykach, jednak w ich ruchach dawało się dostrzec dzikość, a w ciągłych okrzykach żądzę krwi. Mieli nad jeźdźcami przewagę liczebną, ale w normalnych warunkach patrol zdołałby wywalczyć sobie drogę ucieczki.

Jeden z oficerów dostrzegł ich i wykrzyczał ostrzeżenie. Niedobitki natychmiast zawróciły do Lut Gholein. Jednak Malevolyn nie zamierzał ich wypuścić. Spojrzawszy na łuczników, wydał rozkaz do następnej salwy.

Tym razem strzały przeleciały ponad głowami uciekających, tak jak planował. Chwilę potem, gdy strzały uderzyły w ziemię, piasek eksplodował płomieniami. W kilka sekund ściana ognia uniemożliwiła dalszą ucieczkę.

Owe kilka sekund wystarczyły demonom, aby dobiec do wrogów.

Zaroili się wokół jeźdźców, wymachując włóczniami i mieczami. Niektórzy gwardziści i konie wkrótce zaczęli wyglądać jak poduszeczki na igły. Obrońcy odgryzali się, naciskając na napastników. Jednemu z nich udało się wyprowadzić zabójczy cios, ale nieludzki wojownik Malevolyna zdawał sobie nic nie robić z wystającego z boku ostrza i ściągnął zaskoczzonego żołnierza na ziemię.

Oficer próbował zorganizować lepszą obronę. Dwa demony ściągnęły go z konia.

Porzuciwszy broń, zerwały z niego pancerz i rozdarły ciało.

– Są bardzo... entuzjastyczni... – zauważył z pewnym rozbawieniem Xazax.

– Nie przeszkadza mi to, dopóki pamiętają, co powiedziałem im rano.

– Tak będzie.

Jednemu z ocalałych udało się wyrwać w stronę Lut Gholein. Demon chwycił go za nogę i ściągnąłby z konia, ale inny stwór nagle oderwał palce towarzysza od nieszczęsnego jeźdźca, dzięki czemu mógł on uciec.

– Widzisz? On obiecywał, że będą słuchać twoich rozkazów, władco...

– A zatem ruszemy naprzód, gdy tylko uporają się z pozostałymi. Sądzę, że pozostaniesz z tyłu?

– Na razie, władco... – Xazax zasugerował, że nie posiadając całkiem ludzkiej postaci, zbyt rzuciłby się w oczy w trakcie pierwszej walki. Za dnia demon nie mógł stworzyć tak dokładnej iluzji ludzkiej postaci, jak to miało miejsce w nocy. Tak naprawdę, gdyby generał Malevolyn uważniej przyjrzał się cieniowi twarzy, zobaczyłby, że nie ma żadnych rzeczywistych rysów, tylko ich zarys.

Co prawda w tłumaczeniach modliszki było kilka luk, o których generał zamierzał z nim porozmawiać, ale uznał, że może to poczekać. Wzywała go zbroja, a on musiał tylko opanować miasto.

W dole rzeź patrolu zajęła jeszcze kilka minut, lecz szeregi obrońców malały z każdą sekundą. Prawdziwa natura oddziału Malevolyna odsłaniała się, gdy demony atakowały żołnierzy i barwiły piasek ich krwią.

Tymczasem uciekinier dotarł do bram Lut Gholein. Na murach zabrzmiały rogi, ostrzegając wszystkich, że królestwo zostało zaatakowane.

– Dobrze! Niech nas zobaczą! – Uniósł wysoko w górę dłoń z czarnym mieczem, którym pokonał owadopodobne demony – Naprzód!

Gdy armia generała Malevolyna wyszła z ukrycia, rozległ się grom i zajaśniała błyskawica. Poniżej uformowały się dwa pierwsze szeregi, nieco bardziej nierówne niż wcześniej. Krwawa uczta pobudziła demony, które zatraciły część zabranych ludzkich cech.

Dopóki jednak dokładnie wykonywały rozkazy, generał mógł im wybaczyć drobne błędy.

Wyjący wiatr szarpał płaszczem Malevolyna. Poprawił hełm i pochylił nieco głowę, aby osłonić się przed piaskiem. Na razie nie zanosilo się na deszcz, ale nawet to by go nie powstrzymało.

Wśród ludzi wewnątrz murów musiała wybuchnąć panika. Jednak żołnierze w tej chwili prawdopodobnie obserwowali zbliżające się oddziały i dochodzili do wniosku, że mimo wybicia całego patrolu, ten wróg nie

stanowi zbyt wielkiego zagrożenia. Mogli wybrać dwie rzeczy: albo poprzestać na obronie murów, albo wysłać znacznie silniejsze oddziały, aby pomścić straszliwą śmierć, o której zapewne mówił uciekinier.

Znając ludzkie uczucia, Augustus Malevolyn spodziewał się, że wybiorą to drugie.

– Rozciągnąć się w szereg!

Piekielna horda natychmiast utworzyła dwa długie, imponujące szeregi. Dla dowódców Lut Gholein będzie to wyraźny sygnał, że atakujący próbują sprawiać wrażenie, iż jest ich znacznie więcej. Jednak ci sami dowódcy pomyślą, że napastnicy muszą być strasznie głupi, skoro usiłują wykonać tak prymitywny manewr.

Lut Gholein mogło również czekać, czy za pierwszą grupą wojska nie pojawi się następna. Ocenia to, przyglądając się, jak blisko murów Malevolyn podprowadzi swoje oddziały. Zdecydują, czy warto atakować i zniszczyć pierwszą linię, zanim nadejdzie pomoc.

Demony zaczęły gdzieś gubić szyk, ale w większości zachowywały się jak należy. Ich nowy władca obiecał im wiele krwi i chaosu: tylko to trzymało je pod kontrolą.

Gdy miasto zostanie zdobyte, będą musieli przestrzegać tylko jednego rozkazu: natychmiast sprowadzić do Malevolyna mężczyznę odzianego w szkarłatną zbroję.

Z pozostałymi mogli obejść się tak, jak chcieli.

Gdy jego wojsko znalazło się w pół drogi pomiędzy pobojuwiskiem a bramą słynnego miasta, na blankach pojawił się długi szereg łuczników w turbanach. Szybko wypuścili chmurę strzał, celując dokładnie w pierwszy szereg – i samego generała.

Jednak każda strzała, która zbliżyła się do Malevolyna, rozbłyskiwała na krótko jasnym światłem... i zniknęła, nim nawet zdołała dotknąć jego konia.

W ten sposób znikło wiele strzał: łucznicy byli gotowi ustrzelić wrogiego dowódcę w pierwszej kolejności.

Jednak jego wojownicy padali jeden po drugim z drzewcami sterczącymi z gardeł, korpusów, a nawet z głów. Deszcz strzał zmiotł cały pierwszy szereg i wielu żołnierzy z drugiego, pozbawiając przyszłego władcę niemal połowy sił.

Nad Lut Gholein rozbłysła kolejna błyskawica, jakby zapowiadając następną fazę planowanej zemsty obrońców. Bramy otwały się i w karnym szyku wymaszerował przez nie duży oddział weteranów na koniach i pieszo, który skierował się w stronę atakujących niedobitków. Wojownicy w turbanach ustawili się w kilka szeregów nie tylko dłuższych niż szereg Malevolyna, ale także parę razy głębszych. Tak jak przypuszczał, obrona murów nie wystarczała jego przeciwnikom. Chcą, aby drogo zapłacił za wymordowanie patrolu, przy okazji zgarniając nieco sławy.

– Głupcy – mruknął, z trudem utrzymując na twarzy uśmiech – Zapalczywi głupcy!

Generał Malevolyn nie zaczął się wycofywać. W zwykłych warunkach taki ruch byłby znacznie bardziej kosztowny niż samobójczy manewr, który właśnie wykonał. Jego ludzie umrą ze świadomością, że zabrali ze sobą większość wrogów – a przynajmniej tak muszą myśleć dowódcy Lut Gholein.

Gdy obie strony zbliżyły się, wezwał jednego z ocalałych, któremu dano róg.

Żołnierz z piekła rodem uniósł róg do ust i zadał, wysyłając na pole walki żalosne zawołanie.

Rzekomi zmarli powstali z piasku, demony Augustusa Malevolyna parły do przodu nie zważając na rany zadane przez strzały. Zbrojne postacie z drzewcami wystającymi z gardeł czy oczu dążyły do starcia z

zaskoczonymi obrońcami – co niektórzy z nich wydali okrzyki przerażenia i rzucili się do ucieczki, lecz wpadali na tych, którzy szli za nimi. Linie turbanów zwolniły, zadrżały, gdy wszyscy maszerujący na czele zobaczyli przerażający widok.

– Zabić! Zabić ich wszystkich! – zaryczał Malevolyn, przekrzykując grom.

Demony ryknęły i rzuciły się, na liczniejszego, ale śmiertelnego przeciwnika.

Wpadły na ludzi, z piekielną siłą urywając kończyny, a nawet głowy stojących najbliżej. Większość obrońców Lut Gholein zginęła w okropny sposób, niektórych rozplątano mieczami, innych rozdarto rękami. Miecze i włócznie nie działały na ludzi generała, choć tu i ówdzie jakiś demon padał na ziemię. Jednak mimo tych strat szala bitwy zaczynała się przechylać na stronę Malevolyna. Ciała poległych zaczęły piętrzyć się w stosach, gdy pozostali z tyłu, nieświadomi okrutnej prawdy, pchali swych towarzyszy w bezlitosną paszczę śmierci.

Na murach zabrzmiał po raz kolejny róg i na atakujących poleciał następny deszcz strzał. Niestety, ta salwa nie przyniosła efektu i wręcz przyczyniła się do rzezi obrońców, którzy stali się ofiarami łuczników. Niemal natychmiast po pierwszej fali strzał róg zabrzmiał ponownie, ale do tej chwili zginęły kolejne dziesiątki obrońców.

Malevolyn walczył pośród swoich demonów jak opętany. Czarne ostrze zbierało krwawe żniwo, z łatwością przecinając zbroję i kości. Jego okrucieństwo sięgnęło szczytu, a wtedy nawet piekielna horda zrobiła mu miejsce. Czarna zbroja Malevolyna była od stóp do głów zbryzgana krwią, co tylko zachęcało go do jeszcze bardziej brutalnego działania.

Ziemia wokół generała nagle eksplodowała, jego koń upadł i natychmiast skonał. Malevolyn miał więcej szczęścia i wylądował kilka jardów dalej.

Wybuch, który zabiłby zwykłego człowieka, ogłuszył go tylko na kilka sekund. Podnosząc się, spojrzął na wały i zobaczył dwie postacie odziane w długie szaty.

– Yizjerei na służbie młodego sułtana. Malevolyn spodziewał się, że Lut Gholein zaatakuje go magiei, że tak zapamiętał się w masakrze, że o tym nie pamiętał. Opanowała go furia, jakiej jeszcze nigdy nie czuł. Przypomniawszy sobie Vizjun, przypomniał sobie, jak Horazon i pozostali oszukali go, zawiedli jego piekielne zastępy w pułapkę...

– Nie tym razem! – Augustus Malevolyn uniósł pięść i wykrzyknął słowa, których nigdy nie znał. Niebiosa nad nim zdawały się eksplodować.

Silny wiatr powiał nad blankami, ale tylko tam, gdzie stali czarodzieje. Ci, którzy mogli to zobaczyć, widzieli parę magów uniesionych wysoko w powietrze i wymachujących rękami, prawdopodobnie rzucając przeciwzakłęcia.

Władca gwałtownie opuścił dłoń.

Z dzikim wrzaskiem dwaj Yizjerei plasnęli o ziemię, jak wystrzeleni z wielkich łuków.

Gdy upadli, cofnęły się nawet demony, zaskoczone siłą, z jaką uderzyli. Tylko Malevolyn przyglądał się temu z wielkim zadowoleniem, dokonując pierwszej części zemsty na Yizjun. Fakt, iż jego wspomnienia wymieszały się nie do rozróżnienia ze wspomnieniami Bartuca, nie miał dla niego żadnego znaczenia. Może być tylko jeden Władca Krwi – a on stał właśnie u bram tego trzęsącego się miasta.

Jego oczy dostrzegły jednego z obrońców, oficera wysokiej rangi. Przed opancerzonym wojownikiem stał demon, zmuszając go do ukłęknięcia.

Generał Malevolyn działał szybko, przywołując magiczny miecz i zatapiając go w plecach zaskoczonego demona. Potworny wojownik zaskrzeczał, gdy ciało wewnątrz zbroi wysuszyło się, aż pozostała tylko

cienka, pergaminowa skóra na kościach. Znad ciała uniósł się kłęb zielonego dymu, który szybko rozwiął się w powietrzu.

Przechodząc ponad stertą kości i metalu, Malevolyn zwrócił się w stronę oficera, którego ocalił. Generał wiedział, że demon nie poprzestałby na tym, a strata jednego z pionków nic dla niego nie znaczyła. Gdy zdobędzie Lut Gholein, będzie mógł przywołać z Piekła dowolną bestię.

Oslabiony oficer próbował walczyć, ale Malevolyn jednym gestem ręki odrzucił jego broń tak, że wbiła się w szyję innego walczącego.

Chwycił nieszczęsnego oficera za gardło i podniósł na nogi.

– Posłuchaj mnie, a może przeżyjesz, głupcze!

– Równie dobrze możesz zabić mnie teraz... Malevolyn wzmocnił uścisk i poczekał, aż oficer niemal się udusi. W ostatniej chwili rozluźnił nieco palce, pozwalając mężczyźnie ponownie złapać oddech.

– Twoje życie i życie każdego mieszkańca Lut Gholein należy do mnie! Tylko jedna rzecz może was teraz ocalić! Tylko jedna!

– C-co? – wyszeptał znacznie bardziej posłuszny jeńiec.

– W mieście jest obcy! Mężczyzna w zbroi koloru krwi, która pokrywa nas obu i która z łatwością może wyciec z twoich żył! Sprowadź go do mnie! Wyprowadź przez bramę i sprowadź do mnie!

Widział, jak dowódca rozważa wszystkie „za” i „przeciw”.

– Czy... czy zakończysz tę walkę?

– Zakończę ją wtedy, gdy dostanę to, czego zechcę... a dopóki go nie ujrzę, Lut Gholein nie zazna spokoju! Przemyśl to, bo może się okazać, że te mury nie obronią was przede mną!

Mężczyzna nie zastanawiał się długo. – Z... zrobię to!

– Idź! – Generał Malevolyn pogardliwie odepchnął oficera, odpędzając kilku demonicznych żołnierzy, gotowych zaatakować mężczyznę – Ogłoś odwrót! Każdy, kto przejdzie przez bramę, nie zostanie zabity! Każdy, kto

będzie zbyt wolny, posłuży za pokarm dla kruków! To wszystko, co ci daję – ciesz się, że daję aż tyle!

Oficer uciekł, potykając się, w stronę Lut Gholein. Malevolyn przyglądał się, jak macha do kogoś na murach. Chwilę później jeden z rogów na murach zagrał żalosną melodię.

Opancerzona postać o oczach tak czerwonych jak krew na zbroi Augustusa Malevolyna podeszła do niego. Twarz ta kiedyś należała do Żako.

– Puścić ich, władco?

– Oczywiście, że nie. Wyrznicie ich do nogi, niech nie przeżyje nikt, kto nie zdąży do bramy. Nie wolno wam jednak dotknąć nikogo, kto tam dotrze, żaden z was nie może wejść do miasta!

Spojrzał w stronę wrogiego dowódcy, który nie raczył nawet zaczekać na swoich ludzi.

– Upewnij się, że on przeżyje! Ma im wiele do powiedzenia.

– Tak, władco... – demon w postaci Żako uklonił się, po czym zawahał – Nie wchodzić do miasta? Pozostawimy Lut Gholein?

– Chcę zbroi! Będziemy ich nękać, nawet osłabimy ich system obronny, ale dopóki nie dostanę zbroi i głowy tego, który ośmielił się trzymać ją z dala ode mnie, miasto pozostanie nietknięte! – Generał Malevolyn – Władca Malevolyn – uśmiechnął się ponuro – Obiecałem im koniec bitwy, ale Lut Gholein nie zazna spokoju, dopóki nie będę miał zbroi. Gdy ją dostanę, dam im to, co obiecałem. Ostateczny koniec bitwy... i spokój jak w grobie.

SIEDEMNAŚCIE



– Co to za dźwięk? – zapytał Norrec, podnosząc głowę znad kreślonego na piasku wzoru.

Siedząca blisko niego Galeona potrząsnęła głową

– To tylko grzmot, mój rycerzu. Wstał, nasłuchiwał.

– Brzmi jak bitwa... od strony miasta.

– Być może jakieś święto. Może urodziny sułtana.

Norrec skrzywił się, podejrzliwy, że ona wciąż zaprzecza temu, co on sam usłyszał.

Choć wspomnienia Bartuca i jego własne przemieszały się tak, że trudno było je od siebie odróżnić, oba podpowiadały mu, że dobrze słyszał. Szczęk, krzyki... wszystko mówiło mu o przemocy, przelewie krwi...

Część jego osobowości pragnęła się dołączyć.

Nie... miał ważniejsze sprawy na głowie. Grób Horazona, który podstępna wiedźma nazywała Wielkim Sanktuarium, musiał znajdować się gdzieś niedaleko, być może nawet pod nimi.

Znów ukląkł, ignorując pełne ulgi spojrzenie Galeony. Coś w narysowanym symbolu – odwróconym trójkącie z okręgami na każdym rogu i trzema półksiężycami poniżej – nie było takie, jak trzeba. Nie przejmował się tym, że nawet nie powinien znać takich czarów. Znał je Bartuc, dlatego znał je też Norrec Yizharan.

– Czego brakuje? Wiedźma zastanowiła się.

– Jednej z dwóch rzeczy. Jeśli szukasz kogoś, trzeba w środku trójkąta narysować pentagram. Aby odnaleźć miejsce, musisz narysować

pentagram, który opisze pozostałe elementy.

Wydawało się mu to całkowicie zrozumiałe. Norrec skrzywił się, że zapomniał o czymś tak prostym. Nagrodził ją uśmiechem.

– Bardzo dobrze.

Mimo to, iż jej magiczne moce wspierały jego rozwijające się zdolności, a jej wdzięki pociągały jego gorszą naturę, weteran wcale nie ufał swojej towarzysze. Mówiła półprawdy i wiele ukrywała. Mógł wyczuć jej ambicję. Czarodziejka chciała go wykorzystać do własnych celów, tak samo jak on zamierzał wykorzystać ją. Dopóki wspomagała jego wysiłki, Norrec bez problemu akceptował jej kłamstwa. Gdyby jednak zamierzała go zdradzić, bez wahania postąpiłby z nią tak, jak z każdym innym zdrajcą.

Coś wewnątrz niego zmagало się z tym, kim się stał. Nawet teraz Norrec wyczuwał, że to, co teraz myślał o Galeonie, kłóciło się z zasadami, jakie wyznawał przez całe życie.

Jednak obecnie akceptacja tych myśli przychodziła mu z łatwością.

Powrócił myślami do swego zadania. Musiał znaleźć grób Horazona, choć pytanie „dlaczego?” wciąż pozostawało bez odpowiedzi. Być może, gdy odnajdzie go, wyjaśni się powód tej misji.

Nakreślił większy pentagram, decydując się odnaleźć miejsce, a nie człowieka. W tej chwili z Horazona mogły pozostać tylko kości, co utrudniłoby znalezienie go. Sama budowla było znacznie większym i bardziej wyrazistym celem dla zaklęcia.

– Czy rzucałaś już kiedyś takie zaklęcie? Galeona posłała mu dumne spojrzenie.

– Jasne, że tak! – Jej wzrok nieco zadrżał. – Ale nigdy nie byłam w Wielkim Sanktuarium i nie mam niczego, co stamtąd by pochodziło.

– To nie będzie problemem. – Norrec miał już plan. Był pewien, że mógłby wypowiedzieć niezbędną inkantację i skupić się na miejscu, ale to

mogło rozproszyć jego myśli i zwiększyć szansę niepowodzenia. Wielkie Sanktuarium z pewnością było dobrze ukryte. Nawet gdy zbroja pokonała Drognana, jakaś inna siła odepchnęła Bartuca od celu.

Podobnie jak grobowiec Bartuca, miejsce spoczynku Horazona musiało zostać zbudowane z położeniem nacisku na zabezpieczenia. Jego twórcy z pewnością nie chcieli, aby zostało sprofanowane albo splądrowane i rzucili potężne zaklęcia, takie jak te, które napotkał w komnacie Drognana.

Kiedy Galeona będzie rzucać czar, Norrec będzie mógł się w pełni skupić na celu. To z pewnością zadziała. Jeśli nie... Wyjaśnił zamiar czarownicy, ta się zgodziła.

– Sądzę, że jest to do zrobienia. Musimy jednak myśleć o tym samym, inaczej nasze własne myśli będą działać na naszą niekorzyść.

Wyciągnęła dłonie, Norrec położył na nich swoje. Galeona uśmiechnęła się do niego, ale w tym uśmiechu było coś, co weterana raczej odrzucało niż pociągało. W jej oczach znów dostrzegł płomień ambicji. Czarodziejka sądziła, że okazując się użyteczna, będzie mogła go kontrolować. To z kolei wywoływało u niego ponure myśli, co robi z kimś, kto sądzi, że mu się to uda. Mógł być tylko jeden pan – i będzie nim Norrec.

– Wyobraź sobie – szepnęła. – Wyobraź sobie, dokąd chcesz nas zabrać...

Oczyrna duszy Norrec ujrzał grobowiec jak wtedy, gdy zobaczył go po raz pierwszy.

Był pewien, że pierwsza wizja była prawdziwa, a siła usiłująca zatrzymać go z dala od sanktuarium próbowała potem zamieszać mu w pamięci. Szkielety w długich szatach, kamienny sarkofag z symbolem smoka nad półksiężycem... to z pewnością był prawdziwy obraz grobowca.

Trzymając go mocno, Galeona odchyliła się do tyłu, zamykając oczy i zwracając twarz ku niebu. Ścisnęła odziane w rękawice dłonie towarzysza, kołysząc się i mrużąc inkantację.

Norrec zamknął oczy, aby widok ciała wiedźmy nie rozpraszał go, gdy wyobrażał sobie miejsce wiecznego spoczynku Horazona. Narastał w nim entuzjizm. To się uda.

Przeniesie się do Wielkiego Sanktuarium.

A co potem?

Norrec nie miał czasu, aby zastanawiać się nad odpowiedzią, gdyż poczuł, jak jego ciało staje się lekkie, jakby stał się bardziej duchem niż istotą z krwi i kości. Jedyne uczucie przyciągania pochodziło z dłoni, które mocno ścisnęła czarownica.

– Nezarios Aerol – krzyknęła Galeona – Aeron! Ciało wojownika zatrzeszczało od wylądowań energii. – Aeron! Jy!

Norrec poczuł, że się bardzo szybko porusza... .. a w następnej chwili jego nogi uderzyły o kamienną posadzkę.

Norrec Yłzharan natychmiast otworzył oczy i rozejrzył się dookoła. Zobaczył zasnute pajęczyną mury i długi szereg wpatrujących się w niego posągów o wyrazistych twarzach.

Nie znał imion wszystkich, ale znalazł wielu takich, którzy znali go dobrze – jego i jego brata, Horazona.

Nie, Horazon nie był jego bratem! Dlaczego tak pomyślał?

– Udało się! – krzyknęła Galeona, orientując się wreszcie, gdzie wylądowali. Uwiesiła się na nim i pocałowała z żarem, któremu nie sposób się było oprzeć – a jednak Norrec niczego tak nie pragnął, jak odepchnąć ją od siebie.

– Tak, to tutaj – odparł, kiedy wreszcie zdołał się od niej uwolnić.

– Nic nam się nie oprze – zaszemrała. – Nikt nie stanie nam na drodze...

Tak, Galeona z pewnością usiłowała przypieczętować ich sojusz. Ta kusicielka doskonale wiedziała, jaką mocą on dysponuje, jaką moc dała mu wreszcie zbroja. Norrec nie miał wątpliwości, że gdyby nią dysponowała,

spróbowałaby sama ją założyć, a tym samym on stałby się niepotrzebny. Im prędzej się jej pozbędzie, tym lepiej.

Odwróciwszy się od tej diablicy, Norrec zajrzał w głąb starego, zawilgoconego korytarza. Dziwne, żółte światło bez konkretnego źródła oświetlało opuszczoną budowlę. Nie pamiętał tego ze swojej pierwszej wycieczki tutaj, ale taka drobna różnica nie zaprzętała jego uwagi, gdyż wszystko inne wyglądało odpowiednio. Cel był w zasięgu ręki.

– Tędy. – Nie czekając na czarownicę, Norrec wkroczył w korytarz w kierunku, gdzie powinien leżeć sarkofag. Galeona dogoniła go, śniada kobieta wzięła go pod rękę, jakby byli parą spacerującą przy świetle księżyca. Nie wyrywał się, świadom, że w ten sposób ma ją pod kontrolą.

Wśród pokrytych pyłem posągów dostrzegał znajome twarze. Norrec odnotował to z zadowoleniem, pamiętając kierunek ze swojej wizji. Nie tylko potwierdzały, że idzie w dobrą stronę, ale też wskazywały, iż komnata grobowa jest już niedaleko.

Ale... coś w ich wyglądzie niepokoiło weterana, gdyż choć wydawały się identyczne jak w jego pamięci, zaczął zauważać drobne różnice w szczegółach. Rysy niektórych twarzy wydawały się nieco inne – kształt nosa, kącika ust, linii szczęki. Co gorsza, odmienny wyraz posiadały też oczy. Nie zmieniły się bardzo, ale wystarczająco, aby Norrec zatrzymał się i zaczął się im uważnie przyglądać.

– Co się stało? – szepnęła Galeona, chcąc jak najszybciej dotrzeć do celu.

Twarz, na którą patrzył, okrągła twarz Oskula, nadgorliwego maga, który popierał Horazona na radzie czarodziejów, przypominała twarz, którą zapamiętał Norrec... jednak oczy były węższe, a rzeźbiarz nadał im wyraz senności, która nie pasowała do tak energicznego człowieka. Linie elementy wydawały się w porządku, lecz wyraz tych oczu mocno nim wstrząsnął.

Ale Norrec był w grobowcu tylko przez krótki czas, z którego niewielką część spędził pośród widmowych postaci. Wszystkie błędy, które zauważył, miały raczej związek z błędami rzeźbiarza, niż czymkolwiek innym.

– Nic – odparł wreszcie żołnierz – Chodź.

Szli jeszcze przez kilka minut i wreszcie dotarli do krypty. Rozglądając się wokoło, Norrec uśmiechnął się. Tu wszystko wyglądało tak, jak powinno. Stojące w mszach po lewej i prawej stronie szkielety Yizjerei powitały ich milczeniem. Znajdujący się na katafalku kamienny sarkofag wyglądał dokładnie tak, jak we śnie. Sarkofag...

– Horazon... – wyszeptał.

Z rosnącym entuzjazmem, Norrec pociągnął Galeonę w stronę sarkofagu. Zapomniał już o przerażeniu, jakie odczuwał podczas swojej wizyty we śnie. Teraz Norrec pragnął tylko otworzyć sarkofag. Zostawił ją z boku, po czym starał się uchwycić wieko.

W tym momencie jego wzrok padł na rodowy symbol.

Smok był taki sam – ale pod nim błyszczała gwiazda.

Cofnął się: prawda powoli do niego docierała. Za wiele było błędów, za wiele różnic w detalach...

– Coś nie tak? Dlaczego go nie otworzyłeś? Patrząc na zdradzieckie znaki, Norrec warknął:

– Bo to nie jest prawdziwe! – Wskazał ręką na legion umarłych magów – Nie sądzę, aby cokolwiek z tego było prawdziwe!

– To szaleństwo! – Galeona dotknęła sarkofagu – Jest tak samo rzeczywisty, jak ty czy ja!

– Doprawdy? – Norrec wyciągnął dłoń i, jak podejrzewał, trzymał w niej teraz paskudnie wyglądający, czarny miecz – Zobaczymy, jak to naprawdę wygląda!

Galeona przyglądała się z mieszaniną zaskoczenia i przerażenia, jak żołnierz unosi broń nad głowę i opuszcza ją na masywny sarkofag.

Ostrze przeszło przez nie bez oporu, a na powierzchni nie pojawiła się nawet najmniejsza rysa. Wielka, kamienna płyta nie rozpadła się na dwie części... a kości Horazona nie wypadły na podłogę.

– Iluzja... lub coś do niej podobnego – Spojrzał na przerażający tłum magów stojących pod ścianami, patrząc na nich tak, jakby to oni byli temu winni – Gdzie on jest? Gdzie Horazon?

– Może następny korytarz... – podsunęła Galeona takim tonem, jakby wątpiła w jego zdrowe zmysły.

– Tak, być może. – Nie czekając na nią, wyszedł z krypty. Przez jakiś czas Norrec szedł korytarzem szukając jakiejś odnogi, jakichś drzwi. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, czy widział coś takiego. W obu wersjach snu był tylko jeden, pojedynczy korytarz. Wielkie Sanktuarium zawsze składało się tylko z niego i komnaty grobowej. W niczym nie przypominało ogromnej budowli, jakiej by się raczej spodziewał.

Chyba, że było to przygotowane, aby oszukać ciekawskich i chciwych intruzów, a reszta spoczywała gdzie indziej.

Sfrustrowany wojownik zatrzymał się, aby spojrzeć na posąg jednego ze swoich – nie, Bartuca – rywali. Brodaty mężczyzna uśmiechał się do niego w, jak uważał Norrec, bardzo złośliwy sposób.

To sprawiło, że podjął decyzję. Jeszcze raz uniósł czarne ostrze.

– Co zamierzasz rym razem? – warknęła Galeona, gdyż jej cierpliwość wyczerpała się.

Mógł posiadać wielką moc, ale nie zaimponował jej tym bieganiem w kółko.

– Jeśli nie ma żadnego przejścia, sam je sobie wyrąbuję! Popatrzyl na statue, gorąco pragnąc zetrzeć pobłaźliwy uśmiech z jego twarzy. To mogło

być doskonałe miejsce do wycięcia sobie drogi.

Norrec trzymał miecz, gotów pierwszym ciosem zniszczyć szyderczy wizerunek.

Gdy zamachnął się i ostrze znalazło się o cale od głowy uśmiechającej się postaci, całe otoczenie wokół Norreca rozpadło się. Podłoga uniosła się, ściany cofnęły, zaś rzędy posągów zdawały się wycofywać, jakby znikając. Pajęczyny zwinęły się, prawie znikając. Schody rozkwitły jak kwiaty, skręcając się i wijąc. Część podłogi przestała się unosić i zaczęła opadać, tak, że oboje stali na skraju przepaści. Jediną rzeczą, która pozostała nietknięta, było żółte oświetlenie.

– Coś ty zrobił? – krzyknęła Galeona – Ty durniu, to wszystko się rozpada!

Norrec nic nie odpowiedział, niezdolny nawet się ruszyć. Ciężka zbroja przeważała i upadł na plecy. Broń wyleciała mu z ręki i zniknęła. Ziemia zatrzęsa się, uniemożliwiając mu powstanie i, co gorsza, rzucając nim ku krawędzi.

– Pomóż mi wstać! – zawołał do czarownicy, czując coraz większą rozpacz. Rękawice drapały posadzkę, ale nie mogły znaleźć uchwytu. Wokół niego Wielkie Sanktuarium zmieniało się bez żadnego rytmu czy sensu, jakby cały grobowiec dostał konwulsji.

Galeona spojrzała na niego, zawahała się, potem spojrzała | na prawo, gdzie nagle pojawiły się schody.

– Pomóż mi, do pioruna! Prychnęła na niego.

– Co za strata czasu! Ty, Augustus, Xazax – wy wszyscy! Lepiej zacznę polegać tylko na sobie! Jeśli nawet nie możesz się podnieść, to zostań tu i umieraj, głupcze!

Rzuciwszy mu pogardliwe spojrzenie, Galeona ruszyła w stronę schodów.

– Nie! – Strach i gniew walczyły w nim o lepsze, tak silne, że trudne do wyobrażenia.

Gdy wiedźma wybrała wolność, zostawiając Norreca własnemu losowi, pragnienie, aby się wyrwać i ukarać ją za zdradę zdominowało wszystkie pozostałe uczucia.

Norrec wskazał na nią lewą ręką. Na jego usta cisnęły się słowa mocy, gotowe do wypowiedzenia. Jednym krótkim zdaniem mógłby się pozbyć zdradzieckiej kobiety.

– Niech to! Nie! Nie zrobię tego! – Odwrócił głowę i opuścił rękę. Niech ucieka bez niego, jeśli chce. Nie będzie miał na swoich rękach krwi następnej osoby.

Niestety, zbroja miała inne zdanie.

Ręka znów się uniosła, tym razem wbrew woli Norreca. Starał się ją opuścić, ale tak, jak na początku tej strasznej wyprawy, był nie panem, ale sługą. Zbroja Bartuca pragnęła zemsty za oszustwo Galeony – i wyrze ją, niezależnie od woli swego nosiciela.

Rękawica rozbłysła czerwienią.

Ponieważ ich otoczenie wciąż się zmieniało, śniada czarodziejka zdążyła zaledwie dotrzeć do falujących schodów. Te jednak ku jej zaskoczeniu przesunęły się na bok, zmuszając ją do zmiany kierunku. Gdy ręka Norreca uniosła się, Galeonie udało się dopiero postawić nogę na pierwszym i drugim stopniu.

– Nie! – krzyknął Norrec na rękawicę. Spojrzał na uciekającą kobietę, która nawet nie zadała sobie trudu, aby spojrzeć za siebie na zmagającego się towarzysza. – Uciekaj! Szybko!

Wynoś się stąd!

Gdy wykrzyczał swoje ostrzeżenie, Norrec zorientował się, co zrobił. Te słowa sprawiają, że Galeona zatrzyma się i spojrzy przez ramię, co będzie

kosztować ją cenne sekundy.

Mroczne słowa, które wojownik usiłował wepchnąć z powrotem do gardła, wyrwały się na wolność.

Galeona zobaczyła, co zrobił i zareagowała. Wskazała na j wyciągniętą postać i wypowiedziała gardłowe słowo, które j pamięć zbroi rozpoznała jako jedno z najbardziej paskudnych zaklęć.

Połykujące, błękitne płomienie otoczyły wiedźmę, gdy przestała mówić. Galeona uniosła głowę, zawyla w agonii i w mgnieniu oka spłonęła na popiół.

Jednak Norrec nie miał czasu zauważyć jej okropnego zgonu, gdyż nagle całe jego ciało skręciło się z bólu, jakby wszystkie kości chciały się złamać. Norrec czuł, jak każda z nich powoli, ale nieubłaganie pęka. Choć magia zbroi zniszczyła Galeonę, ta zdążyła rzucić zaklęcie. Wrzeszczał i trząsł się. Co gorsza, mimo iż trwał w agonii, zbroja nie uczyniła nic, aby mu pomóc i próbowała powstać, aby dotrzeć do schodów, na których zginęła czarownica.

Choć zbroi udało się dotrzeć do schodów, nie mógł iść dalej. Za każdym razem, gdy próbował, jakaś siła odpychała go z powrotem. Pięść Norreca uderzyła w powietrze, powodując nowe wstrząsy u i tak cierpiącego człowieka.

– Proszę! – zaskrzeczał, nie zważając na to, że może go usłyszeć tylko zbroja – Proszę... pomóż...

– Norrec!

Mimo iż oczy miał zasnutę łzami, próbował skupić się na głosie – kobiecym głosie.

Czy to głos Galeony wzywał go, aby dołączył do niej w śmierci?

Nie... to był inny głos, młody, ale rozkazujący. Udało mu się odwrócić głowę, co wywołało jeszcze większe cierpienia. W oddali, jak mu się

zdawało, znajoma kobieta o bladej skórze i czarnych włosach wyciągała ręce w jego stronę z czegoś, co wydawało się być kryształowymi wrotami u szczytu kolejnych schodów. Za nią stał ktoś inny, mężczyzna o długich, rozwianych siwych włosach i podobnej brodzie. Wyglądał na podejrzliwego, zaskoczonego i przerażonego zarazem. Wydawał mu się jeszcze lepiej znany, niż kobieta.

Dla Norreca mógł być tylko jedną osobą.

– Horazon? – wykrztusił żołnierz.

Jedna z dłoni uniosła się, rękawica rozbłysła blaskiem magicznej wściekłości. Zbroja Bartuca zareagowała na imię – i to wcale nie z radością. Norrec czuł, jak kształtuje się czar, przy którym śmierć Galeony była wcale przyjemna.

Jakby w odpowiedzi na działanie zbroi rozległ się straszliwy jęk, jakby sam budynek przeraził się tym, co zobaczył. Horazon i kobieta zniknęli, gdy schody zmieniły się w kawałek muru. Norrec nagle znalazł się w sali z wysokimi kolumnami wyglądającej tak, jakby właśnie zakończył się tu jakiś bal. Ale nawet to szybko się zmieniło.

Zbroja nie zwracała uwagi na pomieszczenie ani na to, że kobieta i Horazon gdzieś zniknęli. Z ust wojownika padły słowa następnego czaru, a z jego dłoni wyleciała kula stopionej ziemi i uderzyła kilka sekund później w najbliższą ścianę.

Jęk przeszedł w ryk.

Całe Sanktuarium zatrzęsło się. Potężna siła rzucała Norrecem na lewo i prawo. Co gorsza, zorientował się, że nie tylko powietrze się zagęściło, ale także podłoga i sufit. Nawet podłoga się uniosła.

Norrec uniósł ramiona, rozpaczliwie usiłując odepchnąć zbliżające się ściany.

Posiłek był wystawny, znacznie lepszy, niż jakikolwiek, który zapamiętała Kara, lepszy nawet niż te, które podawał jej kapitan Jeronnan. Gdyby nie to, że więził ją szalony mag, rozkoszowałaby się nim jeszcze bardziej.

Podczas jedzenia nekromantka miała więcej niż jedną okazję, aby wyciągnąć jakieś informacje od siwego czarodzieja, ale usłyszała tylko niewyraźne słowa i niespójne informacje. Raz opowiadał o przypadkowym odkryciu Wielkiego Sanktuarium – tak w legendach nazywano grobowiec Horazona – potem twierdził, że wszystko zbudował sam, korzystając z potężnej magii. Innym razem Horazon mówił swojemu więźniowi, że przybył do Aranoch, aby badać wielkie nagromadzenie magicznych linii skupionych wewnątrz miasta i naokoło niego. Nawet ona słyszała, że magowie mogą wykorzystywać mistyczne energie tego regionu znacznie lepiej, niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie. Jednak później z wielkim zmartwieniem mówił też o ucieczce na tę stronę morza w obawie, że wciąż go ściga mroczne dziedzictwo brata.

Stopniowo Kara zaczęła czuć się tak, jakby rozmawiała z dwoma różnymi ludźmi, z których jeden naprawdę był Horazonem, a drugi tylko sądził, że nim jest. Podejrzewała, że okropne wydarzenia, które przeżył brat Bartuca, a zwłaszcza straszliwa wojna oraz trwające wieki odosobnienie uszkodziły jego i tak wrażliwy umysł. Nekromantka poczuła nawet nieco współczucia dla tego cierpienia. Nie zapomniała jednak, że ten szalony mag trzyma ją w tym podziemnym labiryncie bez jej zgody, a dawno temu w niektórych sytuacjach posługiwał się taką samą czarną magią jak Bartuc.

Kara zauważyła jeszcze jedną rzecz, która denerwowała ją niemal tak samo, jak stan umysłowy jej gospodarza. Wielku Sanktuarium było nie tylko rozszerzeniem zadziwiającej mocy Horazona. Wiele razy gotowa była przysiąc, że ono również posiada umysł, a być może także osobowość.

Czasami mogła zauważyć, że pokój zmieniał się nieco, ściany poruszały się, a ogólny wystrój ulegał zmianie, choć czarodziej nie zwracał na to uwagi. Kara dostrzegła, że zmieniał się nawet stół i jedzenie. Co więcej, gdy nekromantka próbowała zagadnąć Horazona o Bartuca, zaczynała zapadać dziwna ciemność, jakby sama budowla chciała zakończyć ten kłopotliwy temat.

Kiedy skończyli, Horazon natychmiast kazał jej wstać. W tym pomieszczeniu nie bełkotał zbyt wiele o złych mocach, ale wodniste oczy czujnie rozglądały się na wszystkie strony.

– Musimy być ostrożni – zamruczał Horazon, wstając. – Przez cały czas musimy być ostrożni... chodź... tyle jest do zrobienia...

Myśląc raczej o ucieczce, niż o ciągłej uwadze, Kara również wstała, lecz zobaczyła coś tak zaskakującego, że znów usiadła.

Ze stołu wyłoniła się ukształtowana z drewna ręka. Chwyciła pusty talerz i wciągnęła go do wnętrza blatu. W tej samej chwili pojawiły się inne ręce, chwytając pozostałe przedmioty i również wciągając je do środka. Zaskoczona Kara cofnęła się i zauważyła, że choć przewróciła krzesło, nie usłyszała jego stuku. Dwie inne kończyny wysunęły się z marmurowej podłogi i chwyciły mebel, zanim o nią uderzył.

– Chodź! – zawołał Horazon, jego twarz przybrała wyraz zdenerwowania. Wydawało się, że przeszkadzają mu dziwne ręce – Nie ma chwili do stracenia, nie ma chwili do stracenia!

Kiedy jadalnia sprzątała po posiłku, poprowadził ją w górę po schodach, a potem przez wypolerowane, dębowe drzwi.

Za drzwiami były następne schody, tym razem prowadzące w dół. Choć chciała zapytać o pewność tej drogi, młoda, ciemnowłosa czarodziejka szła cicho, nawet gdy schody zakończyły się następnymi drzwiami, które zdawały się znów prowadzić do dużej sali.

Dopiero kiedy Horazon otworzył drzwi i zamiast do sali weszli do pracowni maga, Kara wybuchnęła:

– To niemożliwe! Tego pokoju nie powinno tutaj być! Spojrzał na nią jak na wariatkę.

– Oczywiście, że tutaj! W końcu go szukałem! Co za dziwne słowa! Wiesz, że jeśli szukasz pomieszczenia, to powinno być ono tam, gdzie go chcesz!

– Ale... – Kara stłumiła słowa protestu, niezdolna spierać się z faktami, które widziała na własne oczy. Tu powinna znajdować się sala, w której jadła wraz z Horazonem, a tymczasem weszli do imponującej, choć nieporządnej komnaty. Przypomniawszy sobie niesamowitą podróż po sanktuarium, ciemnowłosa czarodziejka doszła do wniosku, że prawdopodobnie dom maga nie istnieje tylko i wyłącznie w świecie ludzi. Choć żaden architekt nie uporałby się z problemami, na jakie ona natrafiła, słyszała, że najpotężniejsi Yizjerei nauczyli się manipulować podstawami rzeczywistości, aby tworzyć tak zwane „kieszonkowe wszechświaty”, gdzie obowiązywały takie prawa natury, jakie zamarzyli sobie ich twórcy.

Czy to właśnie tego dokonał Horazon z Wielkim Sanktuarium? W świetle tego, co widziała, Kara nie potrafiła znaleźć lepszej odpowiedzi. Jeśli tak, to stworzył coś, czego nie widziano na całym świecie!

Mimo poszarpanej szaty i raczej zaniedbanego wyglądu, w tej komnacie Horazon przybrać bardziej przerażającą postawę. Kiedy stanął na jej środku, uniósł ręce i zapatrzył się w sufit, Kara oczekiwała, że z jego palców trysną ogień i błyskawice. Spodziewała się, że znikąd powieje wiatr, a ciało Yizjerei rozbłyśnie.

Tymczasem on obrócił się do niej i powiedział:

– Przeprowadziłem cię tutaj... ale nie wiem, po co.

Po chwili koniecznej, aby zrozumieć to dziwne zdanie, nekromantka odpowiedziała: – Czy to z powodu zbroi? Zbroi – twojego – brata? Znów spojrzał na sufit.

– Tak?

Sufit, rzecz jasna, nie odpowiedział.

– Horazon... musisz pamiętać, co oni zrobili z ciałem twojego brata, twoim ludem i mną.

Znów spojrzenie na sufit.

– Co się z nim stało? Ach tak, nic dziwnego, że nie pamiętałem.

Czując się, jakby sama rozmawiała z sufitem, Kara naciskała: – Posłuchaj mnie, Horazon! Ktoś ukradł z grobowca jego magiczną zbroję. Śledziłam go aż tutaj! Być może teraz znajduje się w Lut Gholein! Musimy go znaleźć, odzyskać zbroję!

Nie muszę ci chyba mówić, że wciąż drzemie w niej zło!

– Zło? – jego oczy zalśniły dziko – Zło? Tutaj? Kara stłumiła przekleństwo. Znów go rozsierdziła.

– Tyle tu zła! Muszę być ostrożny! – Wskazał na nią palcem. – Musisz iść!

– Horazon, ja...

W tym momencie coś się stało, coś zaszło pomiędzy czarodziejem i jego siedzibą.

Kilka sekund później poczuła, że całe Sanktuarium przeszedł dreszcz, jakby to była żywa istota, a nie budynek.

– Nie, nie, nie! Muszę się ukryć! Muszę się ukryć! – Horazon wpadł w panikę.

Mógłby nawet uciec z pokoju, ale ten znów się zmienił. Stoły z wyposażeniem i chemikaliami odsunęły się od nich, a z podłogi wyrosła

wielka, kryształowa kula, która zatrzymała się na wysokości oczu – podtrzymywała ją kamienna ręka.

W środku kuli pojawił się obraz człowieka, którego Kara Nocny Cień nigdy tak naprawdę nie widziała, ale dzięki szkarłatnej zbroi natychmiast rozpoznała.

– To on! Norrec Yizharan! On ma zbroję!

– Bartuc! – warknął jej szalony towarzysz. – Nie! Bartuc przyszedł po mnie!

Chwyciła go za ramię, ryzykując śmiercią w nadziei na zakończenie tej niebezpiecznej wyprawy.

– Horazon! Gdzie on jest? Czy to również część sanktuarium?

W kuli Norrec Yizharan i śniada kobieta szli przez zasnuty pajęczynami korytarz zastawiony statuami wyrzeźbionymi w stylu Yizjerei. Norrec trzymał wielki, czarny miecz i wyglądał na zdecydowanego, aby go użyć. Kara zastanawiała się, czy Sadun Tryst nie mówił zbyt dobrze o swoim przyjacielu. Teraz sprawiał wrażenie zdolnego do najkrwawszego morderstwa.

Niezależnie od prawdy, Kara wiedziała, że teraz nie może się poddać.

– Odpowiedz! Czy to część sanktuarium? Musi nią być!

– Tak, jest! A teraz zostaw mnie! – Wydarł się z jej uchwytu, skierował ku drzwiom i został zatrzymany przez ręce wyrastające ze ścian i podłogi, uniemożliwiające mu opuszczenie nekromantki.

– Co...? – Nie mogła powiedzieć nic więcej, zaskoczona gwałtownością działania rąk.

Forteca Horazona zdawała się zwracać przeciwko niemu, zmuszając go, aby wrócił do Kary.

– Puście mnie, puście! – zawołał szalony mag w stronę sufitu

– To zło! Nie może runie dostać!

Na oczach czarnowłosej kobiety na pomarszczonej twarzy Horazona pojawiło się przygnębienie.

– Dobrze już... dobrze...

Zwrócił się ku kuli, wskazał na obraz. Tym razem Norrec przyglądał się jednemu z posągów, wykrzyczał w gniewie coś, czego kryształ mu przekazał i uniósł czarny miecz, szykując się do zadania ciosu.

W tej samej chwili Horazon zawołał: – Greikos Dominius est Źuar! Greiko Dominius Mortu!

W korytarzu zapanował chaos, gdy ściany, podłoga i schody falowały, pojawiały się lub znikwały. W środku tego szaleństwa dwie postacie walczyły o życie. Jednak Norrec Yizharan nie zdołał się uratować: upadł blisko krawędzi, a z powodu ciągłego ruchu naokoło nie mógł się podnieść. Kobieta – zdaniem Kary, wiedźma – pozostawiła bezradnego wojownika, kierując się w stronę solidnie wyglądających schodów.

– Greiko Dominius Mortu! – warknął Horazon.

Coś w tonie jego głosu sprawiło, że Kara spojrzała na Horazona: w jego oczach dostrzegła pragnienie zabicia tej pary. Tak to się zakończy. Nie zginie z rąk rewenantów ani od jej magii, ale od zaklęć szalonego brata Bartuca. Wiedźma jej nie obchodziła, ale opowieści Trysta sprawiły, że tliła się w niej iskierka smutku. Być może kiedyś był dobrym człowiekiem.

Ale nie w tej chwili. Widać było, że Norrec chce zabić swoją zdradziecką towarzyszkę. Wskazał na nią palcem, wykrzyczał coś...

Wówczas Kara spostrzegła wyraz przerażenia i żalu na jego twarzy. Nie satysfakcję, nie mroczne pragnienia, tylko przerażenie tym, co zrobił uciekającej kobiecie.

To nie miało sensu, chyba, że...

– Co on powiedział, Horazon? Wiesz, co powiedział? Muszę to wiedzieć! Z kryształowej kuli rozległ się nagle przerażony głos mężczyzny.

– Niech to! Nie zrobię tego! – A potem – Nie! Uciekaj! Szybko! Wynoś się stąd!

To nie były gorzkie okrzyki mściwego mordercy, a jednak wciąż przedstawiał sobą obraz kogoś gotowego, aby zaatakować uciekającą towarzyszkę. Jednak wyraz jego twarzy zaprzeczał temu. Norrec Yizharan wyglądał jak ktoś, kto walczy o kontrolę nad sobą albo... albo...

Oczywiście!

– Horazon! Powstrzymaj to! Musimy mu pomóc!

– Pomóc mu? Nie, nie! Zniszczmy ich, a wreszcie zniszczymy zło! Tak, nareszcie!

Kara jeszcze raz spojrzała w kulę. Zdążyła zobaczyć okropny koniec czarownicy, a także jej ostatni atak na wojownika. Okrzyki Norreca rozbrzmiewały w komnacie Horazona – najwyraźniej kula wciąż wykonywała polecenie nekromantki.

– Posłuchaj mnie! Zło jest w zbroi, nie w człowieku! Nie widzisz tego? Jego śmierć będzie złem, naruszeniem równowagi!

Rozzłoszczona nieustępliwym wyrazem twarzy Horazona, spojrzała na sufit.

Czarodziej porozumiewał się w ten sposób z jakimiś siłami, które istniały nie tylko w jego głowie. Do nich właśnie zawołała:

– To Bartuc był potworem, a nie ten człowiek w jego zbroi – tylko Bartuc mógłby tak odebrać komuś życie!

Rzuciwszy okiem na szalonego maga, zakończyła:

– Czy też Horazon jest taki, jak jego brat?

Reakcja na jej rozpaczliwe zachowanie zaskoczyła nawet Karę. W każdej ścianie, na suficie i w podłodze pojawiły się usta. Z każdego padło tylko jedno, wciąż powtarzane słowo: – Nie... nie... nie...

Kryształowa kula nagle urosła i, co dziwniejsze, otworzyła się. Wewnątrz niej pojawiły się schody, wiodące wprost – choć to niemożliwe – do szamoczącego się Norreca.

Horazon nie chciał jej pomóc, ale Wielkie Sanktuarium tak.

Nekromantka czym prędzej podeszła do kryształu, zatrzymując się tylko przy pierwszym stopniu. Mimo ofiarowania jej tej drogi, zaczarowane sanktuarium wciąż atakowało Norreca, utrudniając ratunek. Wahając się, Kara postanowiła zawołać wojownika, zobaczyć, czy jest w stanie tu wejść, nie zmuszając jej do wkraczania w ten chaos.

Odpowiedział na drugie zawołanie... wykrzykując imię Horazona. Zaskoczona Kara cofnęła rękę, którą wyciągnęła, aby pokazać, że chce mu pomóc. Gdy to zrobiła, on dziwnie zareagował, poruszając się tak, jakby wcale nie chciał podejść do nekromantki, lecz ją zabić.

– Zło się budzi... – zamruczał za nią jakiś głos. Horazon. Nie zauważyła, że wszedł w pole widzenia. Kara spodziewała się, że szalony mag będzie stał z dala od niebezpieczeństwa. Wiedziała teraz, dlaczego Norrec – a raczej zbroja – zachowała się w ten sposób. Zaczarowany pancerz chciał spełnić największe pragnienie swego twórcy i zabić przekłętą brata.

Lecz nim zaatakował, sanktuarium jeszcze raz zdecydowało się przejąć kontrolę nad wydarzeniami. Norrec i jego otoczenie cofnęło się, odciągane coraz bardziej w tył, niemal znikając z pola widzenia. Kara widziała, jak ściany zaczynają się łączyć, jakby niezwykła budowla chciała zamknąć swojego przeciwnika w pudełku... i zrobić coś strasznego. Wtedy do niej dotarło, że skoro zbroja pragnie natychmiastowego zniszczenia Horazona, dla Wielkiego Sanktuarium najlepszym wyjściem było zakończenie tego raz na zawsze, nawet, jeśli oznaczało to śmierć niewinnego człowieka. Lepiej zniszczyć zbroję i Norreca Yizharana, niż dać dziedzictwu Bartuca kolejną szansę na odrodzenie się.

Jednak taka śmierć zakłóciłaby równowagę, którą Kara Nocny Cień przyrzekła chronić. Widząc nadchodzącą zagładę Norreca, nekromantka wskoczyła w chaos panujący wewnątrz kryształowej kuli, mając nadzieję, że rozumne królestwo Horazona zrobi dla niej to, czego nie zrobiło dla nieszczęsnego wojownika.

Miała tylko nadzieję, że nie uzna za zbędny element także jej.

OSIEMNAŚCIE



Norrec nie mógł się ruszyć, nie mógł nawet oddychać. Czuł się tak, jakby pochwyciła go gigantyczna ręka i usiłowała zmiażdżyć na papkę. Czekał na to, gdyż ze śmiercią zakończy się jego wina. Nikt więcej nie zginie tylko dlatego, że usiłował okraść grobowiec i zamiast tego rozpętał jakiś koszmar.

Szykował się już na śmierć, gdy jakaś niesamowita siła podrzuciła go do góry. Norrec poleciał, jak wystrzelony z katapulty. Więc zamiast zmiżdżenia czeka go śmierć od upadku.

W przeciwieństwie do lądowania na pokładzie „Ognistego Jastrzębia”, Norrec był pewny, że tym razem nie przeżyje.

Lecz coś – nie, ktoś – złapał go za ramię, spowalniając lot. Norrec chciał zobaczyć, kto to jest, ale obrót wywołał tylko wielkie zawroty głowy. Stracił poczucie kierunku, nie mogąc nawet odróżnić góry od dołu.

Norrec bez ostrzeżenia uderzył o ziemię. Piasek nie złagodził upadku i wojownik prawie stracił przytomność.

Przez jakiś czas poobijany weteran leżał bez ruchu, przeklinając fakt, że zbyt często ląduje w takiej pozycji. Bolały go nawet palce u nóg, nie widział nic poza kolorowymi plamami. Zaklęcie, które rzuciła Galeona przed śmiercią, straciło moc, a wraz z nim znikła też groźba uduszenia.

Usłyszał grzmot, a z widocznej szarości wywnioskował, że znów trafił na nawiedzaną przez burzę pustynię niedaleko Lut Gholein. Norrec wyczuwał również, że nie jest tu sam i ktoś, nawet teraz, stoi nad nim.

– Możesz wstać? – zapytał łagodnie znajomy kobiecy głos. Zamierzał jej odpowiedzieć, że wcale nie zamierza tego robić, jednak jakimś wysiłkiem woli zmusił się do siedzenia. Zakręciło mu się w głowie, ale poczuł dumę, że zrobił coś tak prostego o własnych siłach.

Wzrok wyostrzył się mu na tyle, że mógł dostrzec, kto do niego mówi. Była to ciemnowłosa kobieta, którą widział na krótko przed tym, jak zaczęły zamykać się ściany.

Przypomniał sobie też, że jej twarz miał jeden z posągów, które widział podczas swojej sennej podróży do grobowca Horazona.

Horazon. Myśl o bracie Bartuca przypomniała mu, kto stał obok bladej kobiety.

Horazon – wciąż żywy, mimo upływu stuleci.

Wzięła jego drgawki za objaw możliwych obrażeń.

– Bądź ostrożny. Wiele przeszedłeś, nie wiem, jak to na ciebie wpłynęło.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Kara Nocny Cień – odparła, klękając, aby móc lepiej przyjrzeć się twarzy wojownika. Gładka dłoń delikatnie dotknęła jego policzka – Czy to cię boli?

Tak naprawdę to dotyk jej dłoni był bardzo przyjemny, ale wiedział, że lepiej o tym nie mówić.

– Nie. Jesteś uzdrowicielką?

– Niezupełnie. Jestem kapłanką Rathmy.

– Nekromantka? – Ku jej zaskoczeniu, to wyznanie nie wstrząsnęło nim tak bardzo, jak się spodziewała. Ostatnio wszystko wokół Norreca było związane ze śmiercią lub jeszcze czymś gorszym. Nekromanta znakomicie wpisywał się w ten wzór, choć musiał przyznać, że nigdy nie widział bardziej atrakcyjnego nekromanty. Kilku jej współwyznawców, z którymi

się zetknął, było surowymi figurami, niewiele różniącymi się od martwych, z którymi się zadawali.

Zorientował się, że choć powiedziała mu swoje imię, on się nie przedstawił.

– Nazywam się Norrec...

– Tak, Norrec Yizharan. Wiem.

– Skąd? – Przypomniawszy sobie, że już wcześniej znała jego imię, nie pamiętał jednak, by się kiedykolwiek spotkali. Z pewnością by ją zapamiętał.

– Szukałam cię od chwili, gdy wraz ze zbroją opuściłeś grobowiec Bartuca.

– Ty? Ale dlaczego?

Odchyliła się do tyłu, zadowolona, że podczas wygnania z zadziwiającego królestwa Horazona nie odniósł zbyt wielkich obrażeń.

– Moi współwyznawcy zdecydowali się wraz z Yizjerei podjąć ukrycia zaczarowanych szczątków Władcy. W owym czasie nie mogliśmy zniszczyć ani ciała, ani zbroi, ale mogliśmy utrzymywać je z dala od tych, którzy mogliby zrobić z nich użytek – złych magów lub demonów.

Norrec przypomniał sobie morskiego potwora.

– Dlaczego demonów?

– Bartuc zaczynał jako ich pionek, ale w chwili śmierci nawet lordowie Piekieł patrzyli z podziwem na jego moc. Nawet to, co pozostało w zbroi, wystarczyłoby, aby zakłócić delikatną równowagę pomiędzy życiem i śmiercią na świecie... a być może także poza nim.

Usiłował dźwignąć się na nogi, Kara pomogła mu. Spojrzał na nią, myśląc o tym, co się niedawno zdarzyło.

– Uratowałaś mnie.

Uciekła spojrzeniem, niemal zmieszana. – Miałam w tym pewien udział.

– Inaczej bym zginął, prawda?

– Bardzo możliwe.

– Wobec tego uratowałaś mnie... ale czemu to zrobiłaś? Dlaczego nie dałaś mi po prostu umrzeć? Gdyby tak się stało, zbroja pozostałaby bez nosiciela. Byłaby bezsilna!

Kara spojrzała mu w oczy.

– Nie chciałaś założyć tej zbroi, Norrecu Yizharanie. Wybrała cię, choć nie wiem, czemu. Cokolwiek się wydarzyło, jakichkolwiek przerażających czynów się dopuściła – ty nie ponosisz za to winy i zasługujesz na życie.

– Ale z jej powodu może zginąć jeszcze wiele osób! – Na jego twarzy musiał zagościć wyraz goryczy, gdyż comęła się nieco – Moi przyjaciele, ludzie w zajeździe, załoga „Ognistego Jastrzębia”, a teraz ta wiedźma! Ilu jeszcze musi umrzeć... w większości na moich oczach?

Położyła swoją dłoń na jego dłoni. Norrec obawiał się o nią, ale zbroja nie uczyniła niczego. Być może to, co nakłaniało pancierz do złych czynów, leżało uspihone... lub po prostu czekało na stosowny moment, aby zaatakować.

– Jest sposób, aby położyć temu kres – odparła Kara – Musimy zdjąć zbroję.

Norrec wybuchnął śmiechem. Śmiał się długo, ale bez radości.

– Kobieto, czy myślisz, że nie próbowałem? Czy nie wierzysz, że przy pierwszej okazji próbowałem ściągać rękawice i każdą część zbroi? Nie mogłem nawet zdjąć tych przeklętych butów. To wszystko jest przymocowane do mojego ciała! Jedyne rozwiązanie, aby ją zdjąć, to obdrzeć mnie ze skóry!

– Rozumiem, w czym tkwi problem. Rozumiem też, że w normalnych warunkach żaden mag nie będzie miał wystarczającej mocy, aby naprawić szkody, wyrządzone przez zbroję...

– Więc co masz nadzieję osiągnąć? – warknął sfrustrowany wojownik – Powinnaś zostawić mnie, abym umarł! Tak byłoby najlepiej dla wszystkich!

Pomimo tego wybuchu, kruczowłosa kobieta pozostała spokojna. Rozejrzała się wokół, jakby kogoś lub czegoś szu – Nie śledzi nas. Powinnam była to wiedzieć.

– Kto... Horazon? Kara pokiwała głową.

– Ty też go rozpoznałeś?

– Moje wspomnienia... są w nieładzie – wyjaśnił Norrec westchnieniem. Wiem, że niektóre z nich są moje, ale inne... Zawahał się, pewien, że uzna go za wariata.

–... sądzę, że inne należą do Bartuca.

– Tak, być może tak właśnie jest.

– Nie zaskakuje cię to?

– Według legend, władca i jego szkarłatna zbroja wydają się być jednością. Przez lata nasączał ją jednym potężnym zaklęciem po drugim, zamieniając w coś więcej, niż tylko zestaw kawałków metalu. Mówi się, że do czasu jego śmierci zbroja zachowywała się jak wierny pies, chroniąc Bartuca swoją magią i walcząc dla niego tak dobrze, jak On sam. Nie dziwi więc, że w zbroi odcisnęło się jego życie... a niektóre złe wspomnienia przeniknęły do twojego umysłu.

Zmęczony weteran wzruszył ramionami.

– Im dłużej będę ją nosił, tym bardziej będzie mnie pociągać. Czasami wydawało mi się, że jestem Bartucem!

– I dlatego musimy ją zdjąć – wyjaśniła – Musimy przekonać Horazona, aby to zrobił.

Sądzę, że jest jedyną osobą, która może to zrobić.

– Norrecowi nie podobało się to zbyt. Kiedy ostami raz spotkał się z brodatym starcem, pancerz zareagował natychmiast i z wyraźną wrogością.

– To może znów rozszerzyć zbroję. Być może dlatego siedzi teraz tak cicho – nagle coś przyszło mu do głowy. – Ona i chce jego. Chce Horazona. Ta cała wyprawa, wszystko, przeżył co przeszedłem... wszystko dlatego, że chce zabić brata Barjtuca!

Wyraz jej twarzy mówił, że doszła do tego samego wniosku.

– Tak. Mówią, że krew przyzywa krew, choćby wiele jej j sobie napsuli. Horazon pomógł pokonać brata w bitwie pod Vizjun i zbroja musi to pamiętać. Teraz, po tych wszystkich j latach, wstała i pragnie zemsty, mimo iż Horazon powinien \ od wieków nie żyć.

– Wcale nie. Mówisz, że krew przyzywa krew. Musiała i wiedzieć, że wciąż żyje.

– Norrec potrząsnął głową

– Co nie wyjaśnia, dlaczego trwało to tak długo. Bogowie! Co za szaleństwo!

Kara położyła dłoń na jego ramieniu.

– Horazon musi znać odpowiedź. Musimy jakoś znaleźć i drogę powrotną. Czuję, że to nasza ostatnia nadzieja, aby położyć kres przekleństwu władcy.

– Ktoś powiedział: położyć temu kres? – zazgrzytał nieludzki głos – Nie... nie... On chce inaczej...

Kara spojrzała za plecy Norreca, który natychmiast zaczął się odwracać.

– Uwa... – tylko tyle zdążyła powiedzieć nekromantka.

Coś, co wyglądało jak ostra włócznia leciało w jego stronę. Mogło przebić głowę Norreca, ale w ostatniej chwili Kara odepchnęła go. Na ich nieszczęście, dziwna włócznia leciała dalej i wbiła się w pierś kobiety.

Ostrze szybko się cofnęło. Kara westchnęła, upadła. Po jej koszuli spływała krew.

Norrec na chwilę zamarł, ale uświadomiwszy sobie, że nie pomoże jej, jeśli sam zginie, odwrócił się, aby zmierzyć się z przeciwnikiem.

Jednak to, co ujrzały jego przerażone oczy nie było wojownikiem, lecz czymś zrodzonym w krainie sennych koszmarów. Przypominało owada stojącego na tylnych odnóżach, ale owada zrodzonego w piekielnej krainie. Na jego ciele pulsowały żyły. To, co wziął za włócznię, było jednym z odnóży potwora: długim, podobnym do kosy ramieniem z ostrym szpicem na końcu. Poniżej kos znajdowały się długie, kościste ręce o zakończonych pazurami dłoniach, które otwierały się i zamykały. W jakiś sposób ten koszmar stał na dwóch długich nogach wygiętych podobnie jak u modliszki, którą tak bardzo przypominał.

– On przybył tu szukać zdradzieckiej, uciekającej wiedźmy, ale takie znalezisko będzie jeszcze lepsze! On długo szukał ciebie i twojej mocy...

Norrec, choć zaskoczony, wiedział, że demonowi – bo kimże innym mógł być ten stwór – chodziło o zbroję, nie o niego.

– Zabiłeś ją! – wykrztusił w odpowiedzi.

Modliszka pochyliła głowę – krew wciąż kapła z kończyny.

– Jeden śmiertelnik mniej to żadna różnica. Gdzie wiedźma? Gdzie Galeona?

Znał ją? Norrec wcale się nie zdziwił. Nawet okryty zbroją wiedział, że większość jej opowieści była kłamstwem.

– Nie żyje. Zbroja ją zabiła.

Wstrzymanie oddechu przekonało go, że demon się zdziwił.

– Nie żyje? Oczywiście! On wyczuwał, że czegoś tu brakuje... ale nie spodziewał się tego!

Zaczął wydawać z siebie dziwny, szcękający dźwięk, który początkowo wojownik uznał za wyraz gniewu. Dopiero po chwili stało się dla niego jasne, że potworny owad śmiał się.

– Więzy zostały zerwane, a jednak on wciąż chodzi po świecie żywych! Więzy są zerwane, ale zaklęcie krwi przetrwało! On mógł ją zabić w każdej chwili! Jakim głupcem był Xazax!

Norrec skorzystał z rozbawienia demona, aby spojrzeć na Karę. Cała jej pierś pokryta była czerwienią, a z miejsca, gdzie stał, nie mógł nawet dostrzec, czy oddycha. Bolało go, że na jego oczach umiera jedyna osoba, która chciała mu pomóc, a on nie może nic na to poradzić.

Rozzłoszczony Norrec zrobił krok w stronę modliszki... a przynajmniej próbował zrobić. Niestety, nogi i całe ciało nie chciało go słuchać.

– Niech cię! – ryknął do zbroi – Nie teraz!

Xazax przestał się śmiać. Duże, żółte oczy skupiły się na nieszczęsnym człowieku.

– Głupcze! Myślałeś, że możesz kierować wielkością Bartuca? On myślał, że zedrze zbroję z twojego zimnego ciała, ale teraz Xazax widzi, że byłby to wielki błąd! Jesteś potrzebny – przynajmniej na razie!

Modliszka skierowała podobny do włóczyń koniec w stronę napierśnika. Lewa dłoń Norreca natychmiast się uniosła, lecz nie w geście obrony. Ku swemu przerażeniu, dotknął kończyny demona, jakby w znaku zgody.

– Chcesz być całością, nieprawdaż? – Zapytał zbroję Xazax – Pragniesz, aby wrócił hełm, tak dawno temu oddzielony? On może cię do niego zabrać... jeśli chcesz.

W odpowiedzi jedna noga wysunęła się do przodu. Nawet Norrec wiedział, co to oznaczało.

– Więc musimy iść... ale szybko. – Modliszka odwróciła się i ruszyła.

Norrec musiał ruszyć za nią i zbroja wkrótce szła obok demona. Za zrozpaczonym żołnierzem Kara traciła ostatnie krople życia, a on mógł dla niej zrobić tyle, co dla siebie. W jakiś sposób Norrec zazdrościł bladej

kobiecie. Cierpienia nekromantki wkrótce się skończą, jego jeszcze się pogorszą. Ostatnia nadzieja przepadła.

– Niebioso, pomóżcie mi... – wyszeptał.

Modliszka musiała mieć ostry słuch, gdyż natychmiast odparła: – Niebo? Żaden anioł nie przyleci tu, aby ci pomóc, głupi człowieczku! Zbyt się boją!

Są zbyt tchórzliwe! Nasze zastępy chodzą po ziemi, obudził się władca demonów, a ludzką twierdzę Lut Gholein czeka okropny koniec! Niebo? Lepiej módl się do Piekła!

Gdy szli dalej, Norrec nie mógł nie pomyśleć, że tym razem demon może mówić prawdę.



Kara czuła, jak ucieka z niej życie i nic nie mogła na to poradzić. Demon, którego widziała, poruszał się bardzo szybko. Być może ocaliła Norreca, ale w to również wątpiła.

Odpływała, każda kropla krwi uciekająca z ciała przybliżała ją do następnego kroku w ogólnym układzie równowagi. Jednak mimo swoich przekonań, w tej chwili Kara niczego nie pragnęła bardziej, jak powrócić do świata żywych. Zbyt wiele rzeczy nie zostało załatwionych, pozostawiła Norreca w sytuacji, z której bez jej pomocy nie wyjdzie żywy. Co gorsza, na świecie znajdowały się demony, co jasno wskazywało, że potrzebny był każdy kapłan Rathmy. Musiała powrócić.

Ale umierającym nie daje się takiego wyboru.

– Co powinniśmy zrobić? – zapytał z dala głos, który Kara znała.

– Powiedział, że powinniśmy to oddać, kiedy uznamy, że tak powinniśmy postąpić.

Uważam, że musimy tak zrobić.

– Ale bez niego...

- Wciąż mamy czas, Sadun.
- On może tak mówić, aleja mu nie ufam! Krótki, gardłowy śmiech.
- To typowe, że nie zaufasz komuś ze swego szlacheckiego rodu.
- Daruj sobie... jeśli tak trzeba, to do roboty.
- Tak jest.

Nagle Kara poczuła na piersi wielki ciężar, który wydawał się tak przyjemny, że ucieszyła się z niego i przyjęła do swego wnętrza. Był tak znajomy, że przypomniał te wszystkie drobne rzeczy, takie jak matka karmiąca ją owocem, motyl koloru tęczy, który siadł na jej kolanie, gdy uczyła się w lesie, zapach jedzenia przygotowanego przez kapitana Jeronnana... nawet krótka wizja zmęczonej, lecz wcale przystojnej twarzy Norreca Yizharana.

Nekromantka nagle westchnęła, gdy życie zaczęło na powrót w nią wstępować.

Zamrugnęła, czując piasek i wiatr. Zagrzmiało, z oddali posłyszała odgłosy podobne do odgłosów walki.

– Zdziałało... tak jak mówił... że powinno zadziałać. Powinienem... wypróbować to... na sobie.

Kara знаła ten głos, choć nieco różnił się od tego, który słyszała kilka sekund temu.

Teraz brzmiał tak, jak powinien: zgrzytliwe słowa wypowiedane przez umarłego.

– Wiem... wiem... – odrzekł Sadun Tryst na jakąś niesłyszalną odpowiedź. – Tylko jej...

Otworzywszy oczy, czarodziejka spojrzała na mroczne sylwetki uśmiechniętego rewenanta i jego towarzysza Yizjerei.

- Co... jak żeście mnie znaleźli?

– Nigdy cię nie... zgubiliśmy. Puściliśmy cię... a potem poszliśmy za tobą
– jej oczy zwężyły się – Ale tu... na Aranoch... wiedzieliśmy, że... gdzieś tu
jesteś, ale... nie mogliśmy cię zobaczyć... aż do tej pory.

Gdy Horazon sprowadził ją do swej podziemnej kryjówki, nie wiedzieli, gdzie się podziała. Wiążące ich zaklęcie pozwalało określić ogólny kierunek, ale zarówno umiejscowienie sanktuarium, jak i otaczająca je niezwykle silna magia sprawiły, że rewenanci tkwili zbici z tropu. Kara mogła być dokładnie pod nimi, a żaden z nich by tego nie zauważył.

Czując, że wracają jej siły, ciemnowłosa czarodziejka próbowała się nieco unieść.

Coś ześlizgnęło się z jej piersi. Kara odruchowo chwyciła to i zdziwiła się. Jej sztylet!

Uśmiech Trysta stał się. nieco smutny.

– Więż została... zerwana. Siła życiowa... którą od ciebie wzięliśmy... jest twoja.

– Wyglądał na sfrustrowanego – Nie mamy już... nad tobą... władzy.

Nekromantka spojrzała na swoją pierś. Bluzka była nadal poplamiona krwią, ale straszliwa rana, zadana jej przez demona, zasklepiła się. Jedynym śladem był okrągły znak, jakby ktoś ją wytatuował.

– Wygląda... znacznie lepiej.

Zasłoniła to miejsce i spojrzała wściekle na nieumarłych, pomimo tego, że on i Fauztin właśnie dali jej szansę na drugie życie.

– Jak to zrobiliście? Nigdy nie słyszałam o czymś takim! Krępy trup wzruszył ramionami, jego głowa przekrzywiła się na drugą stronę.

– On... mój przyjaciel... powiedział... że sztylet jest częścią... ciebie. Kiedy byłaś z nami... związana... zaklęciem... przeszła też część... ciebie. Oddaliśmy ją... abyś przeżyła.

– Wykrzywił się najładniej, jak potrafił – Nic... nas już... nie wiąże.

– Za wyjątkiem jednej rzeczy. Norreca – Kara zmusiła się, aby wstać. Tryst cofnął się, ale ku jej zaskoczeniu, Fauztin wyciągnął rękę. Z początku się zawahała, ale potem zdała sobie sprawę, że rewenant zamierzał tylko jej pomóc – Dziękuję.

Fauztin zamrugał... i odpowiedział krzywym uśmiechem.

– Przywracasz życie... nawet tym... długo nieżyjącym... – zażartował Sadun Tryst.

– A co z Norrecem?

– Sądzimy... że zbliża się... do Lut Gholein.

Mimo, że jąuratowali, nekromantka nie zamierzała pozwolić im zaszlachtować byłego przyjaciela.

– Norrec nie jest odpowiedzialny za waszą śmierć. Nie mógł zapobiec temu, co się z wami stało.

Dwójka rewenantów popatrzyła na nią. W końcu Fauztin znów mrugnął i Tryst odparł: – Wiemy.

– Dlaczego więc... – Kara urwała. Przez cały czas zakładała, że polują na swego zabójcę, którym mógł być tylko Norrec. Dopiero teraz, spoglądając na tę dwójkę, zdała sobie sprawę, że złe założenia doprowadziły ją do złych wniosków.

– Nie ścigacie Norreca, aby się zemścić... wy ścigacie zbroję Bartuca – choć nie odpowiedzieli, wiedziała, że się nie myli – Mogliście mi powiedzieć!

Tryst nie odpowiedział, oznajmiając zamiast tego Karze: – Miasto jest... oblężone. Oblężone? Kiedy to się stało?

– Przez kogo?

– Kogoś, kto... także chce... podnieść z martwych... lub przynajmniej... przywołać krwawe widmo... Bartuca.

Kara zastanowiła się, skąd biorą się ci wszyscy szaleńcy... przypomniała sobie obdartą postać, od której niedawno uciekła. Rozejrzała się wokoło, usiłując odnaleźć jakiś ślad mogący prowadzić do Wielkiego Sanktuarium – bezskutecznie. Pustynny piasek wirował w powietrzu, a wydmy wyglądały na nietknięte przez wiele lat. Jednak gdzieś tutaj ziemia otwarła się i wyrzuciła ją wraz z Norrecem na powierzchnię.

Nie przejmując się tym, co sobie pomyślą rewenanci, Kara zawołała: – Horazon! Posłuchaj mnie! Możesz nam pomóc – a my możemy pomóc tobie! Pomóż nam ocalić Norreca... i położyć kres dziedzictwu Bartuca!

Czekała, podczas gdy wiatr rozwiewał jej włosy i kłuł twarz ziarenkami piasku. Kara czekała na pojawienie się Horazona lub jakiś znak wskazujący, że ją usłyszał.

Nic się nie wydarzyło.

Sadun Tryst wreszcie przerwał milczenie.

– Nie możemy... czekać tu dłużej... skoro przywołujesz... inne duchy...

– Nie wzywam... – urwała nekromantka. Po co tłumaczyć rewenantom, że Horazon przeżył wieki i mieszka, choć jako szaleniec, tuż pod nimi? W rzeczy samej, dlaczego spodziewa się, że brat Bartuca przyłączy się do nich w tej misji? Już pokazał, że gdyby to zależało od niego, Norrec mógłby zostać zniszczony wraz ze zbroją. Niektóre legendy przedstawiały Horazona – w przeciwieństwie do brata – jako bohatera, lecz ten bohater również przyzywał demony, naginając je do swej woli. Tak, jego wojna z Bartucem była przede wszystkim wojną o przetrwanie. Stary Yizjerei im nie pomoże.

– Idziemy... – dodał Tryst – Idziesz z nami... albo nie... wybór należy do ciebie, nekromantko.

Cóż jeszcze mogła Kara zrobić? Nawet bez Horazona musiała iść za Norrecem.

Demon musiał zabrać go do tego, kto oblega Lut Gholein, ale po co? Czy zamierzali do reszty zniszczyć jego umysł, pozwalając zapanować wspomnieniom Władcy Krwi? Myśl przerażająca dla każdego człowieka, nie tylko biednego Norreca. Wielu uczonych całkiem słusznie przypuszczało, że gdyby Bartuc pokonał swego brata, rozciągnąłby swoje rządy na cały świat, dopóki wszyscy nie zgięliby przed nim kolan. Teraz, przypuszczała Kara, miał drugą szansę.

Jako kapłanka Rathmy nie mogła na to pozwolić – nawet jeśli oznaczało to pozbawienie życia tego, który nosił zbroję. Ta myśl zmroziła ją, ale jeśli utrzymanie równowagi wymagało zabicia Norreca, tak się stanie. Nawet jej własne życie niewiele znaczyło, gdyby w ten sposób musiała położyć kres niebezpieczeństwu.

– Pójdę z wami – powiedziała w końcu nekromantka. Fauztin skinął głową, po czym wskazał palcem w stronę

Lut Gholein.

– Mówi, że... tracimy czas...

Gdy ruszyli, rewenanci ustawili się po jej bokach – nie uszło to jej uwadze. Wiatr zasypał już piaskiem ślady Norreca, ale Tryst i Yizjerei nie mieli większych problemów z ich odnalezieniem. Więż z tym, co ich zabiło, pozwalała im podążać w dowolne miejsce.

– A co z demonem? – spytała Kara. On również miał swoje plany wobec zbroi i z pewnością będzie walczył z każdym, kto będzie chciał mu ją odebrać.

Tryst wskazał na sztylet, wiszący u pasa czarodziejki.

– To nasza... największa szansa.

– Jak to?

– Użyj go... i módl się – Wyglądało na to, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale Fauztin posłał mu takie spojrzenie, że mniejszy ghul

natychmiast umilkł.

Jaką tajemnicę skrywali przed nią? Czyżby ich nie doceniała? Czy nadal zamierzali ją wykorzystać jako swoją marionetkę? Nie była to odpowiednia pora na ukrywanie czegoś, co mogło zadecydować o życiu lub śmierci.

– Coście z tym...

– Zajmiemy się... zbroją... – wyjaśnił Sadun, przerywając jej – INorresem...

Jego ton wskazywał na to, że nie będzie dalszych rozmów na ten lub jakikolwiek inny temat. Kara zastanawiała się czy nie próbować dalej, ale nie chciała zaostrzać sytuacji znieumarzonymi. Rewenanci zachowywali się w sposób, którego nie mogła przewidzieć, zupełnie inaczej, niż uczono ją o ich gatunku. Czasami zachowywali się tak, jakby ich serca nadal biły, a krew wciąż płynęła w ciałach. Kiedy indziej poruszali się z tą milczącą determinacją, która cechuje nieumarłych. Rzeczywiście, nietypowa sytuacja... ale w tej chwili wszystko było wyjątkowe.

A także śmiertelne.

Wyobraziła sobie Norreca, zastanawiając się, przez co musi teraz przechodzić. Postać demona kładła się cieniem na wojowniku i sprawiała, że nekromantka zagryzała z troską wargi. W jej umyśle pojawił się też cień trzeciej postaci, która dowodziła atakiem na nadmorskie królestwo. Jaka była jego rola? Co uzyska? Nie mógł po prostu pragnąć uczynić z Norreca drugiego Bartuca – równie dobrze mógłby podpisać na siebie wyrok śmierci. Bartuc z własnej woli nie służyłby ani nie układał sojuszu z żadnym śmiertelnikiem.

Wkrótce będzie mogła poznać odpowiedzi na te pytania. O ile pożyje wystarczająco długo – a co do tego Kara miała pewne wątpliwości.

DZIEWIĘTNACIE



Minęła już ponad godzina, a Lut Gholein wciąż nie wydało zbroi. Generał Malevolyn z trudem powstrzymywał swój słuszny gniew, zastanawiając się, czy przypadkiem już jej nie znaleźli i nie usiłuj ą teraz wykorzystać jej mocy przeciw niemu. Jeśli tak, to się bardzo pomylą. Zbroja nigdy nie będzie służyła ich sprawie, a jeśli zaczną przy niej manipulować, prawdopodobnie zaatakuje tych, którzy próbują. Nie, dziedzictwo Bartuca należy tylko i wyłącznie do niego.

Zgodnie z jego groźbą, horda demonów wciąż atakowała mury. Ziemia wokół Lut Gholein usiana była ciałami tych, którzy nie zdążyli dobiec do bramy, a także tych, którzy spadli z góry. Demony–łucznicy oddali wiele wspaniałych strzałów nawet jak na tych, których ciała zamieszkiwali. Do tego sześć katapult, które sprowadzili ze sobą, siało zniszczenie w samym mieście. Ochraniane przez demoniczną magię maszyny oblężnicze nie poniosły żadnego uszczerbku od pocisków z Lut Gholein.

Przyglądał się, jak ci przy najbliższej katapulcie szykowali kolejny płomienny dar dla mieszczan. Generał Malevolyn zachował tę broń specjalnie do tego celu, pokazując swym przeciwnikom, że nie pozwoli im na chwilę wytchnienia. Albo dadzą mu to, czego pragnie, albo nawet ich wysokie mury ich nie ocalą–co wcale nie oznaczało, że bariery te przeszkodzą mu w końcu w osiągnięciu celu.

A ten koniec był bardzo bliski. Generał zdecydował, że dla Lut Gholein upłynął termin ultimatum. Pozwoli strzelać katapultom tak, jak do tej pory i rozkaże wszystkim swoim siłom, aby ruszyły do szturm. Ludzie wewnątrz

sądzi, że ich bramy powstrzymają napastników, ale nawet teraz nie doceniali siły demonów. Usunięcie jednej przeszkody na drodze do miasta będzie bardzo łatwe... a potem rozpocznie się dzień tak krwawy, że o upadku Lut Gholein ludzie będą szeptać przez wiele lat.

Jeszcze raz szkarłatna zbroja Władcy Krwi rzuci cień strachu na cały świat.

Augustus Malevolyn znieruchomiał nagle, przepełniony dziwnym uczuciem. Szybko obejrzał się za siebie, pewien, że musi zobaczyć kto – lub co – zbliża się od tyłu.

Znad wydmy wychynął znajomy kształt Xazaxa idącego po piasku. Fakt, że demon podszedł tak blisko Lut Gholein za dnia zaskoczył generała... dopóki nie zobaczył, kto idzie obok potwornego owada.

– Zbroja... – wyszeptał niemal z szacunkiem.

Zapomniawszy o swoich demonicznych żołnierzach, zapomniawszy o Lut Gholein, Malevolyn pognał w stronę nadchodzącej pary. Przez całe swoje życie nigdy nie przeżył tak chwalebnej chwili. Zbroja Bartuca szła ku niemu. Wreszcie ziściło się jego największe marzenie!

Tylko Xazax mógłby wyjaśnić, dlaczego ten prostak, który ukradł jaz grobowca, wciąż jeszcze żyje i nosi ją. Malevolyna zdziwiło, dlaczego pozwolił temu człowiekowi żyć tak długo. Być może Xazax po prostu nie chciał nieść jej samemu i zmusił tego durnia, aby dostarczył ją na własnym grzbiecie. Za taki czyn generał mógł przynajmniej nagrodzić obecnego nosiciela zbroi szybką i bezbolesną śmiercią.

– Cóż to za łup mi przynosisz, przyjacielu? Modliszka wydawała się być dumna z siebie.

– Dar, który potwierdza, że jego zamiary są zgodne z zamiarami władcy. On daje ci Norreca Yizharana – najemnika, hienę, cmentarną i nosiciela słynnej zbroi Bartuca!

– Najemnik i hiena cmentarna... – zaśmiał się generał Malevolyn – Być może powinienem wynająć cię ze względu na doświadczenie. Z pewnością muszę ci pogratulować, żeś dostarczył mi wreszcie to, co stanowi ostatni krok na mojej drodze do chwały!

– Ty... chcesz tej zbroi? – zapytał z niedowierzaniem głupiec, jakby on, który tak długo nosił ten pancerz, nie mógł docenić jego majestatu, docenić mocy...

– Oczywiście! Niczego więcej nie chcę! – Generał postukał się w hełm. Dostrzegł, że Norrec Yizharan natychmiast rozpoznał podobieństwo między nimi – Jestem generał Augustus Malevolyn, niegdyś z Zachodniej Marchii, kraju, sądząc z twego spojrzenia, który nie jest ci obcy. Jak widzisz, noszę hełm, zaginiony od czasu, gdy głowa i ciało Bartuca zostały rozdzielone przez głupców, którym przez przypadek udało się go zabić. Tak bardzo – i słusznie! – lękali się ich potężnych mocy, że złożyli ciało i głowę na dwóch krańcach świata i ukryli tak, aby być pewnym, że nikt ich nie znajdzie!

– Mylili się... – mruknął najemnik.

– Oczywiście! Ducha Władcy Krwi nie sposób zgasić! Wzywał podobnych do siebie, czekał na tych, którzy dzięki związkom z jego osobą mogliby przywrócić te moce do życia i skierować je ku nowym wyzwaniom!

– Że co proszę?

Malevolyn westchnął. Zamierzał od razu zabić tego głupca, ale był w tak dobrym nastroju, że postanowił przynajmniej wyjaśnić mu coś, czego Norrec najwyraźniej nigdy nie zrozumie. Generał Malevolyn ostrożnie ściągnął hełm. Przez moment poczuł żal, że go zdejmuje, ale po chwili pocieszył się, że przecież wkrótce wróci na swoje miejsce.

– Wówczas nie znałem jego tajemnic, ale teraz je znam... bo sam artefakt mi je wyjawiał. Śmiem twierdzić, że nawet ty, przyjacielu Xazaxie, nie znasz

całej prawdy.

Modliszka wykonała szyderczy ukłon.

– On byłby zaszczycony, gdyby mógł zostać oświecony, władco...

– I zostaniesz! – uśmiechnął się do Norreca – Założę się, że wielu zginęło w katakumbach, nim tam wszedłeś, prawda? Yizharan sposepniał.

– Zbyt wielu... niektórzy z nich byli moimi przyjaciółmi.

– Nie obawiaj się, wkrótce do nich dołączysz... – odziany w czarną zbroję generał pozwolił Norrecowi dokładniej przyjrzeć się bębnowi. – Śmiem twierdzić, że tak samo było z tym. Taki sam los dla pomniejszych hien, dopóki nie znalazła się jedna, która posiadała specjalny, wrodzony talent umożliwiający jej dokonanie kradzieży.

Dłonie Malevolyna poczęły się nagle trząść. Szybko, lecz ostrożnie, nałożył hełm. Natychmiast spłynęło na niego uczucie ulgi, choć upewnił się, że ani człowiek, ani demon tego nie zauważą.

– Czy wiesz, co ty i on macie ze sobą wspólnego?

– Przekłęte życie?

– Raczej wspaniałe pochodzenie. Płynie w was krew sławnych ludzi, choć mocno rozcieńczona.

To wyjaśnienie tylko zirytowało Norreca.

– On i ja... byliśmy spokrewnieni?

– Tak, choć w jego przypadku linia krwi stała się nawet bardziej rozwodniona. Dało mu to prawo do zabrania hełmu, lecz okazał się zbyt słaby, aby go używać i został zabity. Po jego śmierci hełm znów popadł w uśpienie, czekając na kogoś bardziej godnego... – generał z dumą wskazał na siebie – I wreszcie, jak widzisz, odnalazł mnie.

– Ty również jesteś z nim spokrewniony?

– Bardzo dobrze. Tak, jestem. Moja krew jest mniej rozcieńczona niż w jego przypadku i bez wątplenia znacznie mniej rozcieńczona niż twoja. Tak,

Norreca Yizharanie, możesz powiedzieć, że ty, ja i ten, kto odnalazł głowę i hełm jesteśmy kuzynami – oczywiście bardzo odległymi.

– Ale kto... – oczy wojownika rozszerzyły się, gdy dotarła do niego prawda. – To niemożliwe!

Xazax nic nie powiedział, ale najwyraźniej dalej nic nie rozumiał. Demony nie zawsze rozumieją związki międzyludzkie i ich skutki. Co prawda niektórzy z jego gatunku znali ten proces i nawet rozmnażali się żywiołowo, lecz niczym zwierzęta, nie zwracając uwagi na sprawy dziedziczenia.

– O tak, kuzynie – Malevolyn uśmiechnął się szeroko. – Wszyscy jesteśmy potomkami wielkiego i szlachetnego Bartuca!

Modliszka zaszczekała swoimi odnóżami, najwyraźniej zaskoczona. Wyglądała na jeszcze bardziej zadowoloną z siebie, że przyłączyła się do Augustusa Malevolyna.

Dla Norreca nie była to przyjemna wiadomość, podobnie jak dla większości pomniejszych śmiertelników, którzy nie rozumieli, czego dokonał Bartuc. Jak wielu ludzi zyskało szacunek nie tylko u swoich współziomków, ale również w Piekło i Niebie? Generała nieco to rozczarowało, gdyż, jak powiedział, rzeczywiście byli do pewnego stopnia kuzynami.

Ponieważ Norrecowi pozostało zaledwie kilka chwil życia, jego rozczarowanie nie było zbyt wielkie. Usunięty głupiec wciąż pozostawał usuniętym głupcem – dla świata to zawsze korzyść.

– Krew przyzywa krew... – wymruczał Norrec, wpatrując się w piasek – Krew do krwi, mówiła...

– Zaiste! I dlatego na tobie zbroja mogła działać tak, jak nie mogła przez wiele wieków. W jej wnętrzu spoczywają olbrzymie moce, lecz są pozbawione życia. W tobie płynie życie, które dało magii tę iskierkę. To

było tak, jakby dwie oddzielone dawno temu połowy złożyły się w jedną całość!

– Krew Bartuca...

Augustus Malevolyn zacisnął usta.

– Tak, już o tym mówiliśmy... powiedziałaś „ona”? Czyżby moja Galeona?

– Nekromantka, władco – wtrącił Xazax. – Jest już martwa. Uniósł jedną ze swoich podobnych do kos odnóży, zwracając na siebie uwagę.

– A jeśli chodzi o wiedźmę... ona również.

– Szkoda, ale przypuszczałem, że tak się kiedyś stanie. – Do szczupłego dowódcy coś nagle dotarło. – Przepraszam was na chwilę.

Odwrócił się ku wciąż atakowanemu przez demony Lut Gholein, wyobrażając sobie demona o twarzy Żako.

W oddali trupi sługa nagle oderwał się od pracy przy głównej katapulcie i ruszył w stronę Malevolyna. Gdy podszedł do generała, demon ukląkł na jedno kolano.

– Tak, władco... – krótka przerwa w oddechu świadczyła o tym, że fałszywy Żako nagle zauważył Norreca i zbroję Twoje... twoje rozkazy?

– Miasto nie ma już dla mnie żadnej wartości. Możecie sobie zaszaleć.

Dziki uśmiech rozciągnął się na twarzy zmarłego.

– Jesteś bardzo hojny, władco...

Generał Malevolyn skinął głową, po czym machnął ręką.

– Idź! Nie oszczędzajcie nikogo. Lut Gholein będzie służyć za przykład, jak niewiele może zdziałać przeciwko mnie jakiejkolwiek królestwo czy inne mocarstwa.

Coś z twarzą Żako odeszło niemalże w podskokach, spiesząc się, aby powiadomić innych. Horda zniszczy miasto, aż nie pozostanie z niego nic. Będzie to zemsta władcy za to, co stało się pod Vizjun.

Vizjun. Malevolyn nie mógł się już doczekać. Teraz, gdy posiada zbroję, nawet Kehjistan, legendarny dom Yizjerei, przegra.

Jego dłoń dotknęła lisa i mieczy, wyrzeźbionych na napierśniku. Dawno temu, gdy zabił ojca i spalił dom, który nigdy go nie uznał, Augustus Malevolyn zdecydował, że będzie nosił jego symbol dla przypomnienia, że zawsze osiąga to, czego chce. Teraz nadszedł czas, aby zamienić ten symbol na lepszy. Krwistoczerwoną zbroję Bartuca.

Zwrócił się do Xazaxa i najemnika.

– Możemy zaczynać?

Xazax popchnął Norreca. Mężczyzna oparł się i ośmielił spojrzeć na demona. Opinia Malevolyna o dalekim kuzynie nieco się poprawiła. Przynajmniej ten bufon miał trochę odwagi.

Słowa, które padły z ust Norreca, wcale go nie zadowolily.

– Nie mogę ci jej dać.

– A to dlaczego?

– Nie chce zejść. Próbowałem wiele razy i wiem, że nie chce zejść, nawet buty! Nie mam też nad nią kontroli! Sądziłem, że tak jest, ale to była tylko sztuczka! To zbroja decyduje, gdzie pójdę i co zrobię!

Jego tragiczna sytuacja rozbawiła generała Malevolyna.

– To brzmi jak opera komiczna! Czy to prawda, Xazax?

– On musi przyznać, że ten głupiec mówi prawdę, władco. Nawet nie mógł się ruszyć, aby ocalić nekromantkę...

– Fascynujące. Jednak nie jest to problem trudny do rozwiązania – wskazał ręką na Norreca. – Nie teraz, gdy dysponuję potężnymi mocami.

Zaklęcie przywołane z pamięci innej niż jego własna powinno wysuszyć wojownika wewnątrz zbroi, pozostawiając łatwy do wyjęcia strączek. Bartuc korzystał z tego zaklęcia podczas swego panowania i nigdy go nie zawiodło.

Ale teraz tak. Norrec Yizharan stał z szeroko otwartymi oczyma, nietknięty.

Wyglądał, jakby naprawdę oczekiwał na śmierć, co sprawiało, że nie zadziałanie tak skomplikowanego zaklęcia było jeszcze bardziej zaskakujące.

To Xazax zasugerował rozwiązanie.

– Twoje zaklęcie obejmuje całe ciało, panie. Być może zbroja natychmiast reaguje tak, jakby została zaatakowana.

– Słuszna uwaga. Zrobimy więc to osobiście – wyciągnął rękę i pojawiło się w niej demoniczne ostrze – Ścięcie mu głowy powinno zerwać więź zbroi. Potrzebuje żywego nosiciela, a nie trupa.

Kiedy generał się zbliżał, zauważył, że Norrec rozpaczliwie zмага się z pancerzem, usiłując się poruszyć. Brak reakcji ze strony zbroi Bartuca utwierdził Malevolyna w przekonaniu, że tym razem wybrał właściwy sposób. Załatwi to jednym płynnym cięciem.

Yizharan powinien czuć się zaszczycony. Czyż pierwszy wielki władca nie zginął w ten sam sposób? Być może Malevolyn zatrzyma jego głowę na pamiątkę tego zaskakującego zdarzenia.

– Zawsze będę o tobie pamiętał, mój kuzynie Norrecu. Będę pamiętać cię za to, co mi dałeś.

Generał Augustus Malevolyn przygotował czarny miecz, mierząc dokładnie w gardło ofiary. Tak... jedno szybkie cięcie. Znacznie bardziej eleganckie, niż zwykłe walenie, aż głowa odpadnie.

Uśmiechając się, wyprowadził zabójczy cios...

... który został odbity przez identyczne czarne ostrze trzymane w lewej dłoni Norreca.

– Co, w imię Piekła?

Najemnik wydawał się być tak samo zaskoczony jak on. »Za Norrecem Yizharanem potworny demon szcząkał i świergotał zaskoczony. Norrec – a raczej zbroja – przyjęła pozycję bojową, jego czarna broń była gotowa na odparcie każdego ataku generała. Na twarzy wojownika pojawił się dziwny wyraz, zarówno zaskoczony, jak i ogłupiały. Po krótkim wahaniu odważył się nawet przemówić do Malevolyna.

– Myślę, że nie uważa cię za właściwą osobę, generale. Sądzę, że będziemy musieli walczyć. Doprawdy, przykro mi.

Malevolyn zwalczył swój gniew. Źle by się stało, gdyby (teraz stracił panowanie nad sobą. Spokojnym głosem odparł:

– Zatem będziemy walczyć, Yizharan – a kiedy uzyskam zbroję, zwycięstwo będzie słodsze niż ta bitwa!

Natarł na Norreca.



Xazax bał się, że popełnił straszną pomyłkę. Oto stało przed nim dwóch śmiertelników odzianych w kawałki zbroi Bartuca, a każdy z nich wydawał się zdolny do pewnego stopnia dysponować starożytną magią władcy. Modliszka postawiła na Malevolyna, który do tej pory wydawał się być jedynym dziedzicem. Jednak reszta zbroi uważała inaczej i postanowiła bronić swojego niechętnego nosiciela.

Demon musiał się mocno napracować, aby przekonać swego piekielnego pana Beliala do poświęcenia tylu pomniejszych demonów. Belial zgodził się tylko dlatego, że oczekiwał, iż nowy Bartuc pomoże mu w walce z przeciwnikami, a także zapobiegnie powrotowi któregoś z Mrocznej Trójcy. Gdyby Xazax poczynił błędne założenie, gdyby Norrec Yizharan jakimś cudem zwyciężył, wyglądałoby na to, że oficer Beliala zupełnie sobie nie poradził.

Belial nie znosił niekompetencji u swoich sług.

Teraz, przyglądając się, jak ci dwaj szykują się do walki był pewien, że zbroja wystrychnęła go na dudka. Przyszła z nim łagodnie, jakby chciała tylko połączyć się z hełmem, a potem przystać do demona. Teraz jednak modliszka wierzyła, że zbroja tylko szukała hełmu – a potem zamierzała zwrócić się przeciwko niemu.

Musi wiedzieć, że to Xazax ściągnął wodnego potwora do tego świata i przepytawszy umierającego marynarza, kazał zaatakować statek. W owym czasie Xazax sądził, że uda mu się przyspieszyć bieg spraw i przejąć zbroję, nim dotrze na suchy ląd. Galeona wskazała mu w dużym przybliżeniu, gdzie można odnaleźć Norreca Yizharana. Dla tej piekielnej bestii było prostą sprawą rozedrzeć tą balię w drzazgi, a potem ściągnąć zbroję z martwego ciała...

Ale... ale zbroja nie tylko odpędziła ogromnego stwora, ale i bez trudu go pokonała.

Efekt był tak zaskakujący, że Xazax uciekł w panice. Nigdy nie sądził, że zbroja może korzystać z tak potężnej mocy...

Modliszka podjęła decyzję, skupiła wzrok na plecach najemnika. Gdyby Malevolyn został władcą, Xazax mógłby pokazać swemu panu coś wyjątkowego, sojusznika, z którym mogliby zniszczyć Azmodana, a nawet, gdyby zaszła taka potrzeba, całą Trójcę. Jednak póki Norrec Yizharan jest nosicielem zbroi, Belial nie będzie aż tak zadowolony.

A kiedy jego pan jest niezadowolony... ci, którzy go zawiedli, ciężko to odpokutowali.

Demon uniósł kosę, czekając na odpowiednią chwilę. W ferworze walki wystarczy jedno uderzenie. Generał może mieć pretensje o utratę chwały, ale rychło się uspokoi. Potem będzie mógł wrócić do zdobywania Lut Gholein.

A stamtąd... reszty świata.



Norrec nie czuł nawet części odwagi, którą udawał przed generałem Malevolynem.

Choć słowa o niemożności zdjęcia zbroi były prawdziwe, nie sądził, że uda się jej pokonać oficera z hełmem. Tak naprawdę Malevolyn sprawiał wrażenie człowieka, którego więź z hełmem była silniejsza niż wątpliwy sojusz Norreca. Malevolyn nie tylko korzystał z wiedzy i umiejętności Władcy Krwi, ale posiadał też własne zdolności, o których nie należało zapominać. W połączeniu z tym, co oferował hełm, nawet zbroja może nie wystarczyć, aby pokonać doświadczonego dowódcę.

Generał natarł z taką furią, że zbroja musiała się cofnąć, aby uratować Norreca. Ostrza zderzały się raz po raz, buchając płomieniami. Gdyby walczyli gdzie indziej, niż na piaszczystej pustyni, prawdopodobieństwo zaprószenia ognia byłoby całkiem spore. Norrec obawiał się, że jakaś iskra może paść mu na włosy lub wlecieć do oka. Już i tak nie miał w tej rozpaczliwej walce zbyt wielkiego wyboru: mógł tylko atakować i bronić się. Szybko się zorientował, że zbroja posiada pewne luki w wiedzy o szermierce. Owszem, parowała ciosy Malevolyna, ale Norrec zauważył, że stracił przynajmniej jedną odsłonę przeciwnika. Czyżby krwawy władca nie umiał poprawnie trzymać broni?

– To jak walka z samym sobą, nieprawdaż? – warknął jego przeciwnik. Augustus Malevolyn wydawał się nieźle bawić, absolutnie pewny zwycięstwa.

Norrec nic nie odpowiedział, życząc sobie, że nawet jeśli ma zginąć, to niech stanie się tak dlatego, że to on, a nie zaczarowana zbroja popełni jakiś błąd.

Ostrze Malevolyna minęło jego głowę kilka cali. Norrec zaklął, mrużąc do zbroi: – Jeśli nie stać cię na więcej, to ja powinienem prowadzić.

– Naprawdę tak sądzisz? – odparł generał, a wyraz jego twarzy nie był już rozbawiony.

– Sądzisz, że taki prostak jak ty jest bardziej godny noszenia tytułu i dźwignięcia dziedzictwa niż ja?

Zbroja nagle musiała obronić się przed serią błyskawicznych ataków Malevolyna.

Norrec po cichu przeklął doskonały słuch generała, który sądził, że najemnik nabija się z niego.

Służył pod wieloma doświadczonymi oficerami, walczył z wieloma zdolnymi wrogami, ale nie mógł sobie przypomnieć kogoś, kto byłby tak elastyczny, jak Augustus Malevolyn. Tylko fakt, że generał walczył zarówno z umiejętnościami Bartuca, jak i swoimi, umożliwiło zbroi przewidzieć większość jego ruchów. Jednak nawet wtedy, gdyby nie pancerz, , Norrec byłby już dawno martwy.

– Masz szczęście, że zaklęcia dobrze cię chronią powiedział szczupły dowódca, gdy się cofnął. – W przeciwnym razie już dawno byłoby po wszystkim.

– Gdybym umarł tak szybko, oznaczałoby to, że ta zbroja wcale nie jest tak mocna, jak się spodziewałeś.

– Racja! – zaśmiał się Malevolyn. – Masz jednak mózg. Zobaczymy, jak wygląda na piasku?

Wyprowadził pchnięcie, potem kolejne, ominął zastawę Norreca. Zbroja Bartuca dwa razy ledwo się obroniła. Norrec zacisnął zęby – władca był dobrym szermierzem, ale jego styl był typowy dla Yizjerei. Po tylu latach w towarzystwie Fauztina, który mimo bycia magiem dobrze umiał posługiwać się mieczem, weteran znał wady i zalety ich stylu lepiej, niż generał.

Wyglądało na to, że Malevolyn uważa mieszanie się zdolności swoich i Bartuca za najlepsze wyjście, jednak gdyby Norrec miał swobodę ruchów,

zagroziłby jego życiu co najmniej dwa razy.

Nagle wrzasnął, czując, jakby jego prawe ucho zapłonęło żywym ogniem. Generałowi Malevolynowi udało się w końcu zadać cios, choć tylko powierzchowny. Niestety, przy użyciu magicznego miecza oznaczało to bolesną ranę. Ucho Norreca pulsowało, lecz na szczęście, mógł na nie nadal słyszeć. Wystarczy jednak drugi taki cios...

Gdyby to on mógł walczyć. Gdyby tylko zbroja mogła zrozumieć, że wtedy ich szansę rosła. Znał zachodnie style walki, których używał generał i ich słabe punkty. Istniały sposoby, których nie znał nawet Malevolyn. Będąc najemnikiem, człowiek podchwytywał różne sztuczki, żeby skompensować brak formalnego wykształcenia, i które nie raz uratowały mu życie.

Pozwól mi walczyć... albo chociaż walczyć wspólnie!

Zbroja zignorowała go. Odbiła ostatnie natarcie Malevolyna, po czym wyprowadziła cios, który weteran pamiętał z kilku ćwiczeń z Fauztinem. Norrec wiedział jednak, że Yizjerei opracowali też odpowiedź na nie – chwilę potem Malevolyn wyprowadził je i powstrzymał zbroję.

Jak na razie starcie wygrywał generał. To nie mogło trwać dłużej. Zbroja Bartuca mogła uważać Norreca za prostego, łatwego do ukształtowania nosiciela, ale jeśli sprawy miały toczyć się dalej w tym kierunku, wkrótce będzie musiała skapitulować przed siłą i umiejętnościami generała Malevolyna oraz swojego własnego hełmu.

Zajęty ponurymi myślami Norrec omal nie zauważył, że jego przeciwnik nagle wyprowadził pchnięcie wprost w jego twarz. Weteran natychmiast uniósł miecz, w ostatniej chwili odpychając ostrze Malevolyna na bok. Gdyby mu się nie udało, broń generała przebiłaby czaszkę Norreca i wyszła tyłem.

Wtedy Norrec zorientował się, że to on, a nie zbroja, odbił morderczy cios.

Nie miał czasu na rozmyślanie nad tak nagłą zmianą, gdyż Malevolyn nie zwolnił.

Kandydat na władcę raz po raz nacierał na Norreca, zmuszając go do cofania się w stronę czekającego Xazaxa.

Jednak pomimo trudności tej sytuacji nadzieje Norreca wzrosły. Jeśli zginie, zginie z powodu własnego błędu.

Augustus Malevolyn wykonał ruch, który żołnierz rozpoznał jako jeden ze swoich pierwszych wypadów, które poznał jako najemnik. Manewr ten wymagał sporych umiejętności oraz sprytu i często był skuteczny, ale od jednego ze swoich dowódców Norrec nauczył się, jak można go obrócić przeciwko atakującemu...

– Co? – Zdziwienie na twarzy Malevolyna uradowało Norreca Yizharana, gdy obrócił śmiertelny zdawałoby się cios w nagły kontratak, który zmusił generała do cofnięcia się pod groźbą utraty głowy.

Nie tracąc czasu, Norrec usiłował zepchnąć generała do tyłu, aby utknął lub przewrócił się na miękkim piasku, lecz w ostatniej chwili Malevolynowi udało się obrócić natarcie w pat.

– Proszę, proszę – wyszeptała postać w hełmie – wygląda na to, że zbroja może uczyć się jak człowiek. Ciekawe. Nie sądziłem, że zna takie sztuczki.

Norrec powstrzymał się od powiedzenia prawdy. Powinien wykorzystać każdą, choćby najmniejszą przewagę. Jednak nie mógł się powstrzymać od paskudnego uśmiechu, który pojawił się na jego twarzy.

– Uśmiechasz się? Myślisz, że nauczenie się jednej czy dwóch sztuczek wystarczy?

Zobaczymy, jak sobie poradzicie, gdy nieco zmienimy reguły...

Malevolyn nagle wyciągnął wolną rękę i w oczach Norreca rozblęślo jasne światło.

Machał bronią jak szalony i dwa razy udało mu się sparować cios generała, gdy nagle ogromna siła wyrwała mu ją z ręki. Norrec cofnął się, stracił oparcie i padł na plecy.

Choć jego wzrok wciąż cierpiał od skutków zdradzieckiego zaklęcia Malevolyna, leżący wojownik dostrzegł nad sobą niewyraźną postać tryumfującego przeciwnika. W obu dłoniach Malevolyn trzymał czarny miecz.

– Już po walce. Była niezła, kuzynie. Wydawało mi się, że pod koniec byłeś bardziej aktywny niż wcześniej, jakbyś sam przyłączył się do starcia. Sądziłeś, że ocali cię współdziałanie ze zbroją? Dobry pomysł, ale wpadłeś na niego zbyt późno.

– Nie trać czasu! – warknął Xazax gdzieś zza Norreca. – Uderzaj! Uderzaj!

Ignorując demona, Malevolyn uniósł oba miecze, podziwiając je.

– Znakomicie wyważone. Mogę wywijać oboma naraz bez obawy, że się poszatkuje.

Ciekawe, że twój jeszcze istnieje. Sądziłem, że zniknie, gdy wypadł ci z rak, ale stało się inaczej, gdyż go natychmiast złapałem. Zaklęcia Bartuca są pełne niespodzianek, nieprawdaż?

Usiłując wyostrzyć wzrok, Norrec poczuł, że jego lewa dłoń drży. Znał to uczucie, doświadczył go już wcześniej. Zbroja chciała zrobić jakąś sztuczkę, ale wojownik nie wiedział, jaką...

Tak, wiedział. Wiedza przepelniła umysł Norreca, pozwalając mu nie tylko zrozumieć rolę zaczarowanej zbroi, ale i człowieka. Aby się powiodło, oboje musieli działać razem.

Osobno nie mieli szans.

Norrec zwalczył uśmiech. Zamiast tego odpowiedział przeciwnikowi: – Owszem... są...

Lewa rękawica rozbłysła.

Zgubiony miecz Norreca zamienił tną w cieńmy cień, który owinął się wokół ręki i głowy Malevolym, Przeklinając, generał wypuścił swoją broń i iiNiłował pochwycić żarłoczny cień. Z jego ust popłynęły słowa w starym języku Yizjerei. Palce rozświetliła zielona poświata, pochłaniając cień.

Gdy Malevolyn skupił uwagę na nowym zagrożeniu, Norrec rzucił się na niego – tak jak planowała zbroja. Gdy cień zniknął pod wpływem zaklęcia generała, Norrec pochwycił Malevolyna za ręce. Zwarli się w uścisku. W takim zbliżeniu żaden z nich nie ośmielił się użyć magii Bartuca.

– Walka trwa dalej, generale! – wymruczał Norrec, po raz pierwszy czując, że to on, a nie ktoś inny panuje nad sytuacją. On i zbroja mieli w końcu wspólny cel – zatriumfować nad paskudnym wrogiem. Gdy tak się szarpali, przepełniało go podniecenie, podniecenie na myśl o nieżywym Malevolynie leżącym u jego stóp.

W głowie nawet mu nie powstało, że większość tej nowej determinacji i zadufania może nie pochodzić nie od niego. Do Norreca nie dotarło, że gdy zabije noszącego szkarłatny hełm, sam skaże się na los, jaki dawno temu wybrała dla niego zbroja Bartuca.

*

Xazax z wielkim przerażeniem obserwował ten nagły obrót wypadków. Nagła zmiana toku walki zaskoczyła go, a śmiertelnik, z którym chciał zawrzeć sojusz, ryzykował porażkę.

Xazax nie mógł na to pozwolić – musiał być pewien, że w tym starciu wygra Malevolyn.

Wielka modliszka przygotowała się do zadania ciosu...

DWADZIEŚCIA



Kara weszła na szczyt diuny i zobaczyła następny koszmar.

W oddali odziani w czarne zbroje wojownicy szturmowali bramy Lut Gholein, pokrzykując z morderczą, prawie nieludzką wesołością. Obrońcy ciągle miotali na nich pociski, ale na ile mogła się zorientować, strzały nie robiły im zbyt wielkiej szkody, jakby byli niewrażliwi na broń. Sądząc po tym, co widziała, nekromantka była niemal pewna, że bramy wkrótce zostaną otwarte, wpuszczając dziką hordę do miasta.

Jednak zacięta walka stała się mniej ważna niż pojedynek, który toczył się niedaleko niej po prawej. Dostrzegła Norreca, a obok niego demona i wściekłą postać odzianą w zbroję podobną do tej, jaką nosili ludzie atakujący Lut Gholein – za wyjątkiem szkarłatnego hełmu.

Nekromantka natychmiast rozpoznała hełm Bartuca. Teraz wszystko nabierało większego sensu. Zbroja władcy chciała się połączyć, ale miała dwóch nosicieli, którzy walczyli, a zwyciężyć mógł tylko jeden. Na nieszczęście dla Norreca, przegra on niezależnie od wyniku walki. Wygra i stanie się marionetką zbroi. Przegra i umrze u stóp nowego Władcy Krwi.

Przez jakiś czas Kara obserwowała całą trójkę, zastanawiając się, co zrobić. Nie mogąc wymyślić niczego mądrego, odwróciła się do swoich gnijących towarzyszy.

– Ścierają się, a kilka jardów za nimi stoi demon! Co byście...

Mówiła w powietrze. Zarówno Tryst, jak i Fauztin zniknęli, na piasku nie pozostał żaden ślad. Wyglądało to tak, jakby po prostu ulecieli w powietrze.

Niestety, nekromantka musiała sama podjąć decyzję, a czasu pozostawało coraz mniej.

Norrec wyrównał nieco szansę starcia, ale Kara zauważyła, że ta modliszka z piekła rodem zaczęła zbliżać się ku walczącym. Kara знаła tylko jeden powód, dla którego zrobiłaby to w takim momencie.

Wiedząc, że nie ma innego wyjścia, ciemnowłosa czarodziejka pognęła do przodu, ku plecóm potężnego demona. Jeśli znajdzie się wystarczająco blisko, będzie miała szansę.

Modliszka uniosła do góry jedną ze swoich kończyn, czekając na najlepszy moment do uderzenia...

Kara zdała sobie sprawę, że nie da rady – chyba, że ucieknie się do jakiejś sztuczki.

Trzymała w ręku sztylet, którego, jak uważał Sadun Tryst, mogła potrzebować. Jednak do tej pory strach przed jego ponowną utratą powstrzymywał Karę przed takim posunięciem. Broń była częścią jej powołania, jej jestestwa.

I być może jedynym sposobem, by ocalić Norreca.

Bez wahania zamierzyła się na obrzydliwego stwora...



Teraz!, pomyślał Xazax, Teraz!

Gdy modliszka chciała zaatakować, wewnątrz niej buchnął ogień, rozprzestrzeniając się po całym ciele z zadziwiającą szybkością. Potworny owad zachwiał się, niemal przygniatając sobą walczących. Xazax przekręcił głowę, aby zobaczyć przyczynę bólu i dostrzegł w plecach błyszczący sztylet wykonany z czegoś innego niż metal. Poznał skomplikowane runy wyryte na wystającej rękojeści i wiedział już, dlaczego tak mała broń zadała mu aż tyle bólu.

Ceremonialny sztylet nekromantów... ale jedyny przedstawiciel tego gatunku, z którym Xazax się spotkał, został szybko zamordowany, zatem nie mógł to być...

Pojawiła się, pędząc w jego stronę pomimo tego, że nie powinna była żyć. Modliszka wiedziała, gdzie ją uderzyła, wiedział, że żaden człowiek nie przeżyłby takiego ciosu, nawet taki, który zajmuje się życiem i śmiercią.

– To niemożliwe! – wykrzyknął do niej, czując narastające przerażenie. Mimo iż demony wywodziły się z chaosu, dobrze wiedziały, jak działają różne rzeczy. Ludzie są wrażliwi – wystarczy ich pociąć, przebić lub rozerwać i umierają. Kiedy już są martwi, pozostają w takim stanie, dopóki ktoś nie zrobi z nich jakiegoś ghula – służącego. Ta kobieta złamała zasady...

– Byłaś martwa i tak powinno pozostać!

– To równowaga dyktuje zasady życia i śmierci, nie ty, demonie. – Zaciśnęła prawą dłoń w pięść i wycelowała w niego.

Niesamowita słabość rozlała się po ciele demona. Xazax zadrżał, potem opamiętał się.

Zakłęcie nekromantki nie powinno tak na niego podziałać, ale od kiedy tkwił w nim ten sztylet, stał się znacznie bardziej wrażliwy na wszystkie jej zaklęcia.

Tak nie mogło dłużej być.

Wytężając wszystkie siły modliszka zaczerpnęła jednym ze swoich górnych odnóży nieco piasku i cisnęła w twarz czarodziejki. Gdy ta usiłowała odzyskać wzrok, środkowe odnóża Xazaxa wygięły się pod niemożliwym kątem i sięgnęły ku sztyletowi.

Parzył potwornie, ale stwór zmusił się do uchwycenia rękojeści i spróbował go wyciągnąć. Demon zaryczał z ogromnego bólu ciągnąc za

magiczne ostrze.

Za ten czyn rozedrze ją na krwawe kawałki. Skrępuje ją, a potem powoli zedrze każdą warstwę skóry, każde włókno mięśni... a jej serce będzie dalej bić.

W chwili, kiedy piekielny owad poczuł, że ostrze się porusza, nekromantka wypowiedziała ostatnie zaklęcie.

Tuż przed oczyma Xazaxa pojawiła się postać tak wspaniała, że sama jej obecność poraziła oczy modliszki. Wyglądał jak człowiek, ale bez żadnej niedoskonałości. Jego włosy złociście połyskiwały, a piękno twarzy wywarło wrażenie nawet na demonie. Jednak nawet przytłoczony obecnością postaci w długich szatach, Xazax zauważył wielki, błyszczący miecz, którym zjawą z dużą wprawą wymachiwała...

– Anioł!

Xazax był przekonany, że to, co widzi, to halucynacja. Mówiło się, że nekromanci potrafią tworzyć przerażające iluzje wprost w umysłach swoich ofiar, ale nawet ta świadomość nie potrafiła zatrzymać pierwotnego strachu, który wsiąkał w zmysły demona. W końcu Xazax uwierzył, że jeden z wspaniałych wojowników Niebios przybył po niego.

Z nieludzkim wrzaskiem przerażona modliszka uciekła od Kary. Sztylet wypadł z rany, a uciekający demon pozostawiał na piasku cienki strumień czarnej krwi.

Kara Nocny Cień patrzyła, jak przeciwnik znika na pustkowiach Aranoch. Wolałaby bardziej ostateczne rozstrzygnięcie, ale przy jej wyczerpaniu mogłoby się to obrócić przeciwko niej. Zaklęcie na jakiś czas powstrzyma go od różnych brudnych sztuczek – Kara miała nadzieję, że na tyle długo, aby zdołała się uporać z tą bluźnierczą zbroją.

Podniosła sztylet i zwróciła się ku wciąż walczącemu Norrecowi. Nekromantka zaniepokoiła się. Jeśli wygra obcy w hełmie, jej zadanie

będzie szybkie i proste. Sztylet rychło zapobiegnie pojawieniu się drugiego Władcy Krwi.

A jeśli wygra Norrec?

Wtedy Kara nie będzie miała wyjścia. Pozbawiona nosiciela zbroja stanie się niegroźna. Niezależnie od tego, który z nich wygra, ona musi się upewnić, że zwycięzca nie zdąży głębiej odetchnąć.



Walka Norreca i generała stała się tak zacięta, iż nie zauważyli drugiego starcia, jakie toczyło się za ich plecami. Odziane w rękawice dłonie rozbłyskiwały raz po raz, gdy ciemne siły budziły się do życia i natychmiast znikały. Choć Malevolyn nie nosił zbroi Bartuca, sam hełm dawał mu siłę i moc porównywalną z tą, którą dysponował współpracujący ze zbroją Norrec. Dlatego też starcie pozostawało nierozstrzygnięte, choć obaj wiedzieli, że w końcu nadejdzie koniec któregoś z nich.

– Moim przeznaczeniem jest zająć jego miejsce! – warczał Augustus Malevolyn – Nie tylko jestem jego potomkiem! Jestem ulepiony z tej samej gliny, jestem jego odrodzoną wolą!

Jestem Bartucem, który powrócił do świata śmiertelnych, aby odzyskać właściwe miejsce!

– Nie masz większych praw niż ja – odparł Norrec, nie do końca świadomy, że wyraz jego twarzy jest taki sam, jak aroganckiego dowódcy. – Jego krew płynie także we mnie!

Zbroja mnie wybrała! Może powinienś to przemyśleć!

– Nikt mi się nie sprzeciwi! – Generał zahaczył butem o nogę wojownika, wytrącając Norreca z równowagi.

Przewrócili się, Malevolyn znalazł się na górze. Piasek nieco złagodził impet uderzenia, z jakim głowa Norreca zetknęła się z podłożem, ale przez

chwilę weteran leżał oszołomiony. Korzystając z tego, generał Malevolyn chwycił jego głowę.

– Zedrę ci twarz, łeb ci urwę – syknął Norrecowi do ucha. – Zobaczymy, którego z nas zbroja uzna za bardziej godnego...

Czarno–czerwona rękawica generała rozbłysła szaloną magią, zaledwie całe dzieliły palce Malevolyna od spełnienia obietnicy. Mając jedną rękę przyciśniętą do ziemi, a drugą zaklinowaną między zbrojami, Norrec nie mógł powstrzymać sadystycznego generała od zrealizowania jego zamiaru...

Jednak w tym momencie Norrec poczuł za sobą ruch, jakby do bijatyki włączył się ktoś trzeci. Malevolyn spojrzał na przybysza i tryumfalny grymas na jego twarzy natychmiast zmienił się w wyraz całkowitego zaskoczenia.

– Ty... – zdołał wykrztusić.

Coś wewnątrz Norreca skłoniło go do przejęcia inicjatywy. Uwolnił rękę z uchwytu i mocno walnął generała w podbródek. Ciosowi towarzyszył wybuch magicznej energii, zaś postać w hełmie poleciała do tyłu, jakby pociągnięta za przymocowany do głowy sznurek.

Malevolyn z głośnym Kipnięciem upadł na piasek kilka jardów dalej, zbyt oszołomiony, aby się podnieść.

Skupiając się tylko na zwycięstwie, weteran poderwał się i skoczył na leżącego przeciwnika. Będąc pewnym, że to on ma zatryumfować, Norrec prawie rzucił się na generała, co mogło kosztować go życie.

W dłoni Malevolyna pojawiło się jedno z czarnych ostrzy. Norrec w ostatniej chwili uniknął ciosu, padając tuż koło przeciwnika. Generał Malevolyn odtoczył się, potem przykucnął. Trzymał miecz pomiędzy nimi, a szyderczy uśmiech był widoczny nawet wewnątrz krwiście czerwonego hełmu.

– Mam cię!

Skacząc do przodu, wyprowadził pchnięcie.

Smoliście czarne ostrze utonęło głęboko w piersi... generała Augustusa Malevolyna.

Przywołanie przez złowrogiego szlachcica zaczarowanej broni przypomniało Norrecowi, że on też może przywołać 1 swój oręż. Pragnąc jak najszybciej uporać się z najemnikiem, | Malevolyn najwyraźniej zapomniał o tym ostatnim elemencie. Gdy jego broń zawisła nad Norrecem, ten potoczył się w przód, jednocześnie myślą przywołując piekielne ostrze.

Pchnięcie Augustusa Malevolynaomal nie rozcięło mu głowy na pół.

Ostrze Norreca zmaterializowało się już zagłębione w piersi przeciwnika.

Malevolyn gapił się na ranę – ostrze wbiło się tak szybko, iż ciało nie dostrzegło jeszcze, że stoi u bram śmierci. Generał wypuścił broń, która natychmiast znikła.

W poprzednich starciach Norrec Yizharan nie czerpał przyjemności ze śmierci swoich przeciwników. Płacono mu za wykonanie zadania, więc je wykonywał, lecz wojna nigdy nie sprawiała mu przyjemności. Jednak teraz poczuł ciarki biegnące wzdłuż kręgosłupa, czuł ożywienie, pragnienie dalszego rozlewu krwi...

Podniósł się i podszedł do generała, który padł na kolana.

– Nie będziesz już tego potrzebował, kuzynie.

Z wielką siłą Norrec zdarł szkarłatny hełm z głowy Augustusa Malevolyna.

Malevolyn wrzasnął, ale nie z fizycznego bólu. Norrec zrozumiał, co martwiło mężczyznę bardziej niż śmiertelne pchnięcie. Rozumiał to, ponieważ tak samo czułby się, gdyby ktoś chciał zedrzeć zbroję z jego ciała. Moc zawarta w zbroi Bartuca pociągała ich obu, ale Malevolyn przegrał pojedynek i w ten sposób stracił do niej prawo.

Odłożywszy hełm, Norrec uchwycił broń. Wyciągnął ją bez trudu i obejrzał ostrze. Nie plamiła go krew. Zadziwiające. Służyło mu dobrze, tak dobrze, jak pod Vizjun...

Odziana w rękawicę dłoń chwyciła go. Generał Malevolyn, z szaleństwem wypisanym na twarzy, rozpaczliwie usiłował wczepić się w Norreca.

Norrec cofnął się i uśmiechnął.

– Wojna się skończyła, generale. – Uniósł miecz. – Czas odejść.

Jeden cios i głowa generała Augustusa Malevolyna potoczyła się po piasku. Bezgłowe ciało upadło chwilę potem.

Gdy pochylił się, aby podnieść sławny hełm, jakiś kobiecy głos zawołał wyczerpanego, ale podnieconego wojownika:

– Norrec? Wszystko w porządku?

Obejrzał się i zobaczył Karę. Z więcej niż jednego powodu był zadowolony z jej nagłego zmartwychwstania. W tym krótkim czasie, kiedy byli razem, dowiodła swej wierności poświęcając za niego swoje mniej znaczące istnienie. Gdyby była nadal martwa, Norrec w jakiś sposób uczciłby jej pamięć, ale ponieważ zapobiegła morderczemu ciosowi Xazaxa, zastanawiał się nad jej przyszłym wykorzystaniem. Nekromantka wykazała się umiejętnościami i miała więcej rozsądku niż niegodna zaufania Galeona. Jej całkiem miłą twarz i niczego sobie sylwetka sprawiały, że zastanowił się nad nią jako przyszłą małżonką – a jaka zdrowa na umyśle kobieta odrzuciłaby propozycję zostania małżonką Władcy Krwi?

– Czuję się dobrze, Karo Nocny Cieniu... bardzo dobrze – rozluźnił uścisk i pozwolił magicznemu mieczowi wypaść z ręki. Gdy broń zniknęła, Norrec uniósł hełm w obu dłoniach nad swoją głowę – Tak naprawdę to czuję się nawet lepiej niż dobrze!

– Poczekaj! – kruczowłosa kobieta podbiegła ku niemu z troską w oczach o kształcie migdałów. Ładne oczy, uznał nowy władca. Przypominały mu oczy kobiety, którą znał kiedyś w czasach swoich studiów w Kehjstanie – Hełm...

– Tak... wreszcie jest mój... teraz jestem w całości. Przysunęła się ku niemu, kładąc dłoń na napierśniku. Spojrzała na niego błagalnie.

– Czy naprawdę tego chcesz, Norrec? Po tym, co sobie wcześniej powiedzieliśmy, naprawdę chcesz założyć hełm, poddać się duchowi Bartuca?

– Poddać się? Kobieto, czy wiesz, kim jestem? Jestem krwią z jego krwi! Krew przyzywa krew, pamiętasz? W pewnym sensie jestem Bartucem, tylko o tym nie wiedziałem!

Któż lepiej będzie go nosił? Kto bardziej zasługuje na tytuł i dziedzictwo?

– Cień Bartuca we własnej osobie? – odparła – Nie będzie już Norreca Yizharana, ani w umyśle, ani w duszy... a jeśli zbroja postawi na swoim, to śmiem twierdzić, że nawet fizycznie zaczniesz przypominać swojego przodka. To Bartuc będzie nosił zbroję. Bartuc, który jeszcze raz odegra swoją rolę. Bartuc, który zabił niewinnych, tak jak on – nie ty – zabił twoich przyjaciół...

Przyjaciół... potworne obrazy skręconych, zalanych krwią ciał Saduna Trysta i Fauztina znów pojawiły się w umyśle Norreca. Zostali brutalnie zamordowani – za te morderstwa cierpiał potworne katusze, żałując ich każdego poranka. Przypomniawszy sobie, jak zbroja zabiła każdego z nich... a teraz Kara mówiła o następnych zgonach.

Opuścił nieco hełm, zmagając się z samym sobą.

– Nie, nie pozwolę, aby to się jeszcze raz zdarzyło... nie pozwolę...

Jego ramiona nagle się podniosły, trzymając hełm tuż nad jego głową.

– Nie! – ryknął Norrec, skupiając się na zbroi – Ma rację! Nie wezmę udziału w twojej krwawej kampanii...

Co za głupota..., szepnął w jego głowie głos tak bardzo podobny do jego. Moc jest twoja... teraz możesz zrobić z nią, co zechcesz... uporządkowany świat, w którym nie ma wojen ani biedy... oto prawdziwe dziedzictwo... tego pragnął Bartuc...

To brzmiało bardzo ciekawie. Norrec mógłby po prostu założyć hełm i zmienić świat.

Nawet demony pomagałyby mu w tym gigantycznym przedsięwzięciu, spełniając wolę nowego władcy. Stworzy doskonałe królestwo, którego pozazdroszą mu nawet Niebiosy.

Wszystko, co musiał uczynić, to założyć hełm, zaakceptować swoje przeznaczenie...

Nagle poczuł, że Kara się poruszyła...

Jedna dłoń oderwała się od hełmu i chwyciła nadgarstek nekromantki w żelazny uścisk, który sprawił, że Kara sapnęła z bólu. Z dłoni wysunął się błyszczący sztylet, wyglądający, jakby został wykonany z kości słoniowej.

Zamierzała zrobić z niego użytek.

– Głupia kobieto... – warknął Norrec, nie zauważając, że jego głos nie brzmi tak, jak powinien. Pchnął ją na piasek – Zostań tu! Policzę się z tobą później!

Mimo ostrzeżenia ciemnowłosa czarodziejka próbowała wstać, lecz w tej chwili ramiona z piasku pochwyciły ją przycisnęły do ziemi. Piasek wcisnął się jej do ust, zapobiegając rzuceniu jakichś zaklęć.

Z błyszczącymi z podniecenia oczami Norrec uniósł hełm... i założył sobie na głowę.

Zobaczył świat, jakiego jeszcze nie widział. Dostrzegł moc, jaką dysponował, legiony, którymi mógł dowodzić. Jeszcze raz mógł spełnić

swoje przeznaczenie, powstrzymany wcześniej przez jego towarzyszy Yizjerei.

Władca Krwi żył ponownie.

Władca potrzebuje żołnierzy. Pozostawiając szamoczącą się Karę, Norrec wspiął się na szczyt wydmy i spojrzął na Lut Gholein. Z ogromnym zaciekawieniem przyglądał się, jak demoniczni wojownicy szturmują mury i bramy. Miasto wkrótce miało ulec krwawej zagładzie. Mógł pozwolić swojej hordzie zabawić się, pozwolić im szaleć po Lut Gholein zabijając każdego mężczyznę, kobietę i dziecko, a potem pokazać im, że znów jest na tym świecie.

Wyobraził sobie płynącą wszędzie krew, krew tych, którzy się go bali i nienawidzili.

Krew tych, którzy zginą z jego rozkazu...

Wokół niego wydma buchnęła piaskiem, wyskoczyły zeń dwie ciemne postacie. Dwie pary silnych ramion wykręciły mu ręce.

– Witaj... stary druhu... – wyszeptał przerażająco znajomy głos – Pół życia... się nie widzieliśmy...

Władza, jaką zbroja miała nad Norrecem zmalowała nieco, gdy zrozumienie połączyło się z przerażeniem – S... Sa–dun?

Obrócił głowę w stronę, z której dobiegał głos i spojrzął wprost w gnijące oblicze swojego martwego towarzysza.

– Miło, że... nie zapomniałeś o nas... – trup uśmiechnął się, ukazując czarne dziąsła i pożółkłe zęby.

Nie mogąc uciec, Norrec spojrzął w drugą stronę i zobaczył Fautzina. Osłona zsunęła się z szyi martwego Yizjerei, ukazując ziejącą dziurę w gardle.

– Nie... nie... nie...

Ściągnęli go z wydmy i doprowadzili do miejsca, gdzie Kara nadal usiłowała się uwolnić.

– Próbowaliśmy... zobaczyć się z tobą... na statku, Norrec... – ciągnął Tryst – Ale ty...

najwyraźniej... nie chciałeś... zobaczyć się... z nami...

Im dłużej znajdowali się tak blisko niego, tym wyraźniej czuł odór śmierci i widział ich nie mrugające oczy. Sama ich obecność tak przytłoczyła Norreca, że nawet zbroja nie mogła go opanować.

– Przepraszam! Wybaczcie mi! Sadun... Fauztin... wybaczcie mi!

– Jemu jest przykro... Fauztin – skomentował żyłasty nieumarły – Widziałeś coś takiego?

Norrec spojrział na chudego Yizjerei, który poważnie pokiwał głową.

– Przyjmujemy twoje... przeprosiny... ale obawiam się... że musimy zrobić... to co zaraz... zrobimy... przyjacielu...

Z zadziwiającą szybkością i siłą Sadun Tryst zerwał hełm z głowy Norreca.

Ból był tak ogromny iż sądził, że rewenant zdjął mu również głowę. Teraz Norrec zrozumiał, jak czuł się Malevolyn. Wrzeszczał i wyrywał się im z taką siłą, że nawet oni z trudem go powstrzymali.

– Trzymaj... go! Trzymaj...

Obie rękawice rozbłysły jaskrawą czerwienią. Nawet zgięty przejmującym bólem Norrec zauważył to i bał się... bał się o swoich przyjaciół, którzy już raz zginęli, gdyż nie mógł powstrzymać działań zbroi. Doskonale rozumiał, dlaczego ich umęczone duchy ścigały go. Taka niesprawiedliwość musiała być ukarana. Niestety, zbroja nie chciała dać im tej okazji.

Ziemia wokół Norreca wybuchła, ciskając ciała w dal, aż poszorowali po wydmy, z której niedawno zeszli. Patrzył w przerażeniu na ciała,

przekonany, że zginęli po raz drugi.

– Nie! Nie jeszcze raz! Nie pozwolę ci zrobić tego po raz wtóry! – Weteran chwycił jedną rękę drugą i choć obie stawiały mu opór, tym razem jego determinacja okazała się zbyt wielka nawet dla dziedzictwa Bartuca. Norrec pociągnął, wykorzystując ból, aby zwiększyć swoją siłę...

Prawa rękawica zeszała mu z dłoni.

Bez wahania odrzucił ją tak daleko jak mógł. Zbroja natychmiast zwróciła się w tamtą stronę, chcąc odzyskać zagubiony kawałek, ale Norrec nie zamierzał dłużej się poddawać.

Zmusił ją do skrętu w inną stronę, ku widocznemu zza wydmy Lut Gholein.

Wojownik nie potrafił stwierdzić, jak długo będzie mógł kontrolować moc, a nie odwrotnie. Norrec wiedział jedynie, że musi zrobić jak najwięcej dobrego. Póki gniew i poczucie winy dodawały mu sił, miał przewagę – zaś Lut Gholein pozostało niewiele czasu.

Wyciągnął rękę w stronę odległego miasta. Demony przedarły się już przez jedną z bram. Norrec nie mógł dłużej się wahać.

Nikt nie uczył go słów, które wypowiadał. To były słowa Bartuca, magia Bartuca. Ale wspomnienia Bartuca – wspomnienia jego przodka – w tej chwili stały się wspomnieniami Norreca. Wiedział, co te słowa mogą zrobić, co powinny zrobić i dlatego wymawiał je, choć ta część jego jestestwa, która wciąż pozostawała we władzy zbroi, walczyła, aby tak się nie stało.

Gdyby widział, jak Xazax i Malevolyn rzucają piekielne zaklęcie w namiocie generała, mógłby powiedzieć, że to, co mówi, brzmi jak zaklęcie Malevolyna, wypowiedane od tyłu. Teraz jednak wiedział po prostu, że całe miasto wkrótce spłynie krwią jego mieszkańców.

Potomek Władcy Krwi wykrzyczał wreszcie dwa ostatnie słowa: –
Mortias Diablum! Mortias Diablum!



Przy bramach Lut Gholein walczyli obrońcy, wiedząc już, że ścierają się z ludźmi, którzy nie mają dusz i nie są ludźmi, ale czymś znacznie gorszym. Mimo to wojownicy sułtana gotowali się na śmierć, podczas gdy mieszkańcy szykowali się do stawienia czoła wzburzonemu morzu.

Jednak kapitanowie statków nie mieli zbyt wielkiej nadziei, gdyż jeden z okrętów poszedł już na dno, a drugi rozbił się o ścianę doków. Fale wdzierały się na brzeg, niebezpiecznie było nawet stać w pobliżu wody. Gdy trzech mężczyzn próbowało przygotować statki dla uciekinierów, zostali zmyci do morza.

Gdy znikła już wszelka nadzieja, pojawił się widok dziwny i cudowny... stojący już wewnątrz miasta odziani w czerń wojownicy o dzikich oczach zatrzymali się, odwrócili głowy z przerażeniem... i wypuścili broń z chóralnym, nieludzkim wyciem.

Z ich pleców wystrzeliły odrażające, widmowe postacie o groteskowych, nieludzkich twarzach i powykręcanych rękach ze szponami. Ci, którzy to widzieli, mówili potem, że nim zjawy, wrzeszcząc rozpaczliwie, zostały ciśnięte w różne strony pustyni Aranoch, na ich demonicznych twarzach widać było gniew i rozpacz.

Przez chwilę armia ciemności stała w gotowości, z oczyma pusto patrzącymi w próżnię. Potem, jakby wraz ze zjawami znikło wszystko wewnątrz nich, każdy z potwornych żołnierzy zaczął się zapadać w sobie. Jeden po drugim, szereg za szeregiem zaczęli się przewracać – kości, wyblakła skóra i fragmenty pancerzy rozsypywały się w stosy, które sprawiły, że więcej niż jeden z obrońców Lut Gholein nie był w stanie powstrzymać wymiotów.

Dowódca, któremu generał Augustus Malevolyn rozkazał znaleźć Norreca Yizharana był pierwszym, który powiedział głośno to, co wszyscy myśleli. Podszedłszy do najbliższych obrzydliwych szczątków, oficer ostrożnie je potrącił.

– Nie żyją... – wymruczał wreszcie, nie mogąc uwierzyć, że on i reszta jego ludzi będą jednak żyć – Nie żyją... ale jak to się stało?



– Norrec.

Odwrócił się i zobaczył uwolnioną Karę: w jej ręku połyskiwał sztylet. Z lewa i prawa zbliżali się rewenanci, na twarzach umarłych była wypisana determinacja.

– Kara. – Spojrzał na swoich byłych towarzyszy – Fauztin. Sadun.

– Norrec – ciągnęła nekromantka – proszę, wysłuchaj mnie.

– Nie! – najemnik natychmiast pożałował swojego ostrego tonu. Ona tylko zamierzała zrobić to, co nawet on uważał za słuszne – Nie... to ty posłuchaj mnie. Ja... ja do pewnego stopnia panuję nad zbroją, ale już czuję, że mi się wymyka. Chyba jestem zbyt zmęczony, by dłużej z nią walczyć...

– Jak byłeś w stanie z nią w ogóle walczyć?

– W końcu... jest potomkiem... Bartuca... – przypomniał Sadun Czymś, czego zbroja... potrzebowała... aby wypełnić swoje... przeznaczenie... ale nie wiedziała... że to działa... w obie strony... Innego wyjaśnienia... nie widzę...

Spuściła wzrok. Norrec nie mógł wyczytać w nich bólu. Choć była nekromantka, blada kobieta nie odczuwała przyjemności czy satysfakcji z faktu zabicia kogoś, kto nie chciał sprawiać tyle zła. Jednak dopóki żył, cała ludzkość była zagrożona.

– Zrób to szybko. Jednym szybkim cięciem po gardle. To jedyny sposób!

– Norrec...

– Pospiesz się... nim zmienię zdanie! – Wszyscy wiedzieli, że nie chodzi mu o nagłe rozmyślenie się. Wciąż istniało ryzyko, że w każdej chwili dla spełnienia swoich niecznych zamiarów zbroja zmieni go w idealnego nosiciela.

– Norrec...

– Zrób to!

– To nie tak... miało być... – wykrztusił Sadun z wyraźnym smutkiem – Fauztin!

Obiecał... nam...

Yizjerei, rzecz jasna, nie powiedział nic, ale podszedł do Norreca. Sadun postąpił podobnie z wielką ostrożnością. Norrec odetchnął, mając nadzieję, że to szaleństwo wkrótce się skończy.

Odziana w rękawicę dłoń nagle się uniosła.

Fauztin chwycił ją.

– Lepiej rób... jak mówi... nekromantko... – zamruczał ponury Tryst – Wygląda na to... że nie mamy... wiele...

Kara podeszła do nich, najwyraźniej zbierając siły do tego, co musi zrobić.

– Przykro mi, Norrecu. Nie tak chciałam to zakończyć, nie tak powinno być...

– I tak nie będzie – odparł dziwny, prawie pusty głos.

Niedaleko nich stał Horazon, ale był to Horazon nieco odmieniony. Norrec, który wcześniej widział starego maga, sądził, że Horazon to tchórzliwie wyglądający pustelnik, któremu prawdopodobnie brakowało paru klepek. Jednak ta postać, choć nadal odziana w łachmany i z długimi, zaniedbanymi włosami, wyglądała tak, że wszystko inne wydawało się nieważne. Norrec podejrzewał, że wie teraz, co w najważniejszym momencie walki skłoniło generała Malevolyna do spojrzenia w górę.

Wygląd dawnego maga z pewnością wstrząsnął na wpół opętanym generałem...

W wojowniku wezbrała ogromna, niespodziewana fala goryczy i nienawiści wobec swojego przeklętego brata...

Nie! Horazon nie był jego bratem! Zbroja jeszcze raz próbowała odzyskać nad nim kontrolę, obudzić ducha Bartuca.

Norrecowi udało się stłumić te emocje, ale wiedział, że następnym razem zbroja być może wygra.

Odziana w długie szaty postać podeszła do niego z jakimś zamiarem – Norrec dostrzegł wokół siebie zadziwiające drżenie powietrza. Pochwycony wojownik zmrużył oczy, próbując zorientować się, co jest tego przyczyną.

Ciało Horazona było otoczone cienką warstwą błyszczących, niemal przezroczystych ziarenek piasku.

– Krew przyzywa krew – wymruczał Yizjerei. Jego oczy patrzyły jasno, nie mrugając.

Nawet dwóch trzymających Norreca nieumarłych wydawało się być zaskoczonych jego obecnością – A krew zakończy teraz tę parodię.

Norrec czuł, jak wola zbroi walczy w jego umyśle, jak walczy z jego ciałem. Tylko wspólny wysiłek jego i towarzyszy powstrzymał ją na chwilę.

– Horazon? – szepnęła Kara. Siwy czarodziej spojrział na nią i kobieta cofnęła się.

– Nie... jesteś nim, ale i nie jesteś.

Przesłał jej – przesłał im wszystkim – łaskawy uśmiech.

– Ta żywa skorupa to kolejny, zbyt ciekawski czarodziej, który przypadkowo odnalazł Wielkie Sanktuarium, ale w międzyczasie postradał zmysły. Jednak nawet wtedy obserwowałem go, czując pewną odpowiedzialność... – Pomijając dalsze wyjaśnienia, co takiego w podziemnym sanktuarium mogło zniszczyć umysł, błyszcząca postać

spojrzała na pożyczone ręce. – Ciało jest tak wrażliwe. Ziemia i kamień są bardziej wytrzymałe...

– Ty! – wykrztusiła Kara, otwierając oczy tak szeroko jak usta

– Wreszcie cię poznałam! Mówił do ciebie, zdawał się nawet ciebie słuchać – wielki Horazon był ci posłuszny – aż do tej pory to nie miało sensu! To twoją obecność wyczuwałam... obecność samego sanktuarium!

Pokiwał głową, jego oczy nigdy nie mrugały.

– Tak... przez lata wydawało się to naturalną drogą, naturalną kolejną rzeczy...

Ponieważ Norrec wciąż zmagał się z podstępными próbami zaczarowanej zbroi Bartuca, minęło trochę czasu, zanim do niego dotarło. Kiedy wreszcie zrozumiał, prawda tak go zaskoczyła, że prawie opuścił swoje mentalne zasłony.

Horazon i Wielkie Sanktuarium byli jednością.

– Mój umysł niemal rozleciał się od tego, co przeżyłem. Przybyłem tu, aby uciec od wspomnień, od tych okropności dlatego zbudowałem sanktuarium i zagrzebałem się głęboko w piasek, z dala od zgiełku świata. – Na twarzy fałszywego Horazona pojawił się uśmiech. Wyglądał jak próba dokonywana przez kogoś, kto niezbyt przywykł do takich czynności. – Gdy wciąż przebudowywałem swoje królestwo na swój obraz i podobieństwo, stawało się ono mną bardziej, niż ta rozsypująca się skorupa, którą noszę.

Wreszcie któregoś dnia opuściłem ją przybrałem nową, mocniejszą, bardziej wytrzymałą postać... I od tej pory...

Horazon mógłby mówić dalej, ale w tej chwili świat dla Norreca stał się nagle krwistoczerwony. Czuł, jak narasta w nim szaleńcza wściekłość. Nie przegra po raz kolejny!

Horazon umknął mu pod Vizjun, ale choćby miał spalić całą pustynię, władca zemści się!

Marionetka Horazona spojrzała w jego stronę, wyciągając dłoń, jakby prosząc o coś wojownika w zbroi.

Rękawica, którą Norrec zdjął i odrzucił, zmaterializowała się w dłoni czarodzieja.

– Krew przyzywa krew... a ja wzywam ciebie, bracie. Nasza wojna się skończyła. Nasz czas upłynął. My się skończyliśmy. Twoja moc znosi moją, a moja twoją. Przyłącz się do mnie w świecie, do którego obaj należymy... z dala od ludzkich oczu...

Druga rękawica oderwała się od Norreca i wpadła na dłoń błyszczącej postaci. Potem, jedna po drugiej, odpadały fragmenty zbroi z nóg, torsu i ramion, lądując na ciele starca.

Gdzieś znikła zniszczona szata pustelnika, zastąpiona odzieżą bardziej odpowiednią do noszenia pancerza. Nawet buty spadły z Norreca, szybko przyłączając się do reszty. Gdy ten zadziwiający proces trwał, fałszywy Horazon uniósł ramiona. Jego oczy nie mrugały, wargi miał zaciśnięte w ponurym grymasie.

Z każdym oderwanym elementem zbroi umysł Norreca wracał do stanu w jakim się znajdował, nim upomniała się o niego zbroja. Myśli i wspomnienia należały już tylko do niego, nie do morderczego władcy demonów. Nigdy nie zapomni tych strasznych dni od kiedy wyszedł z grobowca, nigdy nie zapomni okropności i śmierci, w których odegrał, choć niechętnie, główną rolę.

Gdy wszystko już odpadło, siwowłosa postać jeszcze raz wyciągnęła odzianą w rękawicę dłoń, przywołując hełm. Ułożywszy go w zagłębieniu ramienia, marionetka Horazona spojrzała na Norreca i pozostałych.

– Pora, aby świat zapomniał o Horazonie i Bartucu. Najlepiej, żebyście wy również tak uczynili.

– Czekaj! – Kara odważyła się podejść do zagadkowej postaci – Jedno pytanie.

Powiedz mi proszę, czy go wysłałeś – wskazała na nosiciela Horazona – aby odnalazł mnie w Lut Gholein?

– Tak... wyczuwałem, że coś jest nie w porządku i wiedziałem, że nekromanta – nekromanta, którego nie powinno tutaj być – musi mieć z tym jakiś związek. Musiałem mieć cię przy sobie, aby wiedzieć, po co tu przybyłaś. Gdy jadłaś czy spałaś, dowiadywałem się od ciebie wszystkiego, czego potrzebowałem. – Comął się od nich. – Nasza rozmowa się kończy.

Zostawiam was. Pamiętajcie jednak, że Wielkie Sanktuarium istnieje w wielu miejscach i ma wiele drzwi – ale radzę wam, nigdy ich nie szukajcie.

Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, co ma na myśli. Horazon nie chciał stać się po raz kolejny częścią świata żywych. Ci, którzy zakłócają jego spokój, drogo za to zapłacą.

Nagle zaczął tracić kształt i materialność, kawałki jego ciała spadały, jakby stały się ziarnkami piasku. Z każdą chwilą odziany w zbroję mag przestawał przypominać człowieka, a stawał się częścią krajobrazu.

– Norrecu Yizharanie – zawołał Horazon tym dziwnym, głębokim głosem. – Czas pokierować swoim losem...

Odziany w te same rzeczy, w których wszedł do grobowca Bartuca – potężny mag zwrócił mu nawet buty – Norrec wyrwał się rewenantom i pobiegł do przodu.

– Zaczekaj! Co chcesz przez to powiedzieć?

Ale nosiciel Horazona, człowiek utworzony z piasku, potrząsnął głową. Tylko oczy wyglądały jeszcze jak istoty ludzkiej. Gdy Norrec się zbliżył, postać zmalala, jej piaszczysty kształt rozpląnął się wśród okolicznych wydm. Kiedy wojownik dotarł na miejsce, było już za późno... w miejscu, gdzie stał Horazon, pozostała tylko mała sterta piasku.

Kilka sekund później i ona przestała istnieć.

– Już po wszystkim – powiedziała cicho Kara.

– Tak – zgodził się Sadun Tryst.

Coś w tonie jego głosu kazało Norrecowi spojrzeć na dwa ghule. W oczach nieumarłych dostrzegł coś dziwnego, jakby czekali, że zdarzy się coś jeszcze.

Nekromantka odgadła pierwsza.

– Wasza misja dobiegła końca, prawda? Wasz czas na tym świecie, podobnie jak czas Horazona, dobiegł już końca.

Fauztin skinął głową. Sadun ułożył usta w coś, co wyglądało jak smutny uśmiech... a może tylko odpadające ciało i mięśnie stworzyły takie wrażenie.

– Nadszedł... gdy poczuł... że zbroja się porusza... ale przybył... zbyt późno... więc wysłał nas... w pogoń... obiecując... że kiedy się zakończy... my też odejdziemy.

– On? – spytał Norrec, stając obok Kary.

– Ale to mój sztylet i moje zaklęcie sprowadziły was z powrotem!

– To była... jego sztuczka... aby cię... zniechęcić... – niższy z nieumarłych rozejrzał się wokół – Świątoszkowaty... drań... nawet się nie pokaże... kiedy jest już... po wszystkim.

Ledwo to powiedział, na całą czwórkę spłynął jasny blask, rozświetlając mały kawałek pustyni tak jasno, jeśli nie jaśniej, jak w południe bezchmurnego dnia.

Gdyby tylko Sadun Tryst mógł to zrobić, splunąłby pewnie z niesmakiem. Zamiast tego potrząsnął głową – a raczej pozwolił jej kołysać się w tył i przód, po czym dodał:

– Powinienem był... wiedzieć... przekłety, spóźniony... anioł!

Anioł? Norrec spojrział w stronę światła, ale nie dostrzegł żadnego jego źródła, a już na pewno nie anioła. Jednak co innego tyle by tłumaczyło?

Ghul spojrział na światło.

– Przynajmniej... pokaż się... – gdy nic się nie stało, spojrział na Norreca i dodał: – To typowe. Jak inni... jego gatunku... kryją się w cieniach... i udają, że są... ponad tym wszystkim... choć tak naprawdę... wszędzie... wtykają nos.

– Znam to światło – mruknęła Kara – widziałam je przez chwilę w grobowcu. To ono odciągnęło mnie od waszych ciał.

– Archanioł... bardzo lubi... swoje sztuczki – Tryst spojrział na Fauztina, który znów pokiwał głową. Żyłasty rewenant ciągnął dalej – A dla niego... po raz ostatni...

– Niech cię, Sadun, nie! – Norrec krzyknął w stronę nieba i niewidocznego archanioła – To nie fair! Oni nie mieli wyboru...

– Proszę... nadszedł... nasz czas... a my... chcemy tego... Norrec...

– Chyba nie masz tego na myśli! Sadun zaśmiał się ochryple.

– Przysięgam... na swoje życie..., przyjacielu... Błękitne światło otuliło rewenantów takim blaskiem, że Norrec musiał zasłonić oczy. Coraz trudniej było dostrzec Fauztina i niskiego ghula.

– Czas, żebyś wreszcie... kupił tę farmę... o której marzyłeś... Norrec...

Światło rozbłysło, stało się tak mocne, że na chwilę oślepiło weterana i jego towarzyszkę. Na szczęście dla nich trwało to zaledwie kilka sekund, ale kiedy mogli już patrzeć normalnie zobaczyli, że niebiańska iluminacja znikła, a wraz z nią znikli też dwaj nieumarli.

Norrec wpatrywał się w to miejsce, z początku nie mogąc wykrztusić ani jednego słowa.

Poczuł dotyk czyjejś ręki. Kara Nocny Cień spojrzała na niego z sympatią.

– Rozpoczęli kolejny etap wiecznej wędrówki ku następnej roli w zadaniu utrzymywania świata w równowadze.

– Być może... – Gdziekolwiek się nie udali, Norrec wiedział, że nie był w stanie im pomóc.

Jedyne, co mógł zrobić, to zachować ich w pamięci i zrobić coś ze swoim życiem, aby uczcić przyjaźń, którą we trójkę zbudowali. Jeszcze raz rozejrzał się dookoła, zauważając, że ciągle obecne burzowe chmury wreszcie umilkły. Zaczęły się nawet zmniejszać, tak że można było dostrzec skrawki błękitnego nieba.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała go nekromantka.

– Nie wiem. – Spojrzał na Lut Gholein, jedyny symbol cywilizacji w promieniu wielu dni drogi. – Sądzę, że najpierw pójdę w tamtą stronę. Zobaczą, czy potrzebują pomocy przy sprzątanii. A potem... nie wiem. A ty?

Ona również popatrzyła w stronę odległego miasta, pozwalając mu studiować jej profil.

– To brzmi ciekawie. Poza tym, chciałabym zobaczyć, czy jest tam kapitan Jeronnan i „Królewska Tarcza”. Mam wobec niego dług. Traktował mnie dobrze, jakbym była jego rodzoną córką... być może sądzi, że utonęłam w morzu.

Nie chcąc rozstawać się z nią już teraz, Norrec odparł: – Pójdę zatem z tobą, jeśli pozwolisz.

To sprawiło, że Kara niespodziewanie się uśmiechnęła. Norrecowi podobało się, gdy czarnowłosa kobieta się uśmiechała.

– Oczywiście.

Przypomniawszy sobie maniery szlachciców, którym służył, Norrec podał jej ramię, które po krótkim wahaniu przyjął

ła. Potem zmęczona para pomaszerowała przez zniszczoną wydnię w stronę cywilizacji. Żadne z nich nie obejrzało się w stronę, gdzie ciało generała Augustusa Malevolyna leżało na wpół zasypane przez piasek i gdzie Horazon zapadł się w ziemię wraz ze zbroją. Zmęczony, zmalretowany wojownik nie chciał, aby przypominano mu, co się tu zdarzyło... i co mogło się wydarzyć, gdyby sprawy przybrały niewłaściwy obrót.

Dziedzictwo Bartuca, dziedzictwo Władcy Krwi, zostało znów pogrzebane z dala od wzroku i wiedzy... oby tym razem na zawsze.

EPILOG



Nad pustynią Aranoch zapadła poważna, zamyślona noc. Zwierzęta aktywne w ciągu dnia pędziły do swoich bezpiecznych kryjówek, a te, które polowały w nocy, wyruszały na poszukiwanie nieostrożnej ofiary...

Spod piasku powoli wyłoniła się postać, na widok której piaseczniki, skarabeusze i sępie demony uciekłyby w panice. Żwaczki kilka razy otwierały się i zamykały, zaś lśniące w ciemności, wypukłe żółte oczy ostrożnie oglądały bezlitosny krajobraz rozglądając się... rozglądając się z przerażeniem.

Xazax powstał chwiejnie – pod nim zebrała się kałuża słonawego, czarnego płynu.

Rana spowodowana przez sztylet nekromantki nie chciała się zaleczyć dzięki jego mocom.

Modliszka wiedziała, że nie może zwrócić się o pomoc do swego pana Beliala. Do tej pory Belial zdążył już dowiedzieć się o jego porażce, i co gorsza – o zdziesiątkowaniu piekielnej hordy wysłanej na pomoc generałowi Malevolynowi.

Uciekając, modliszka wyczuwała, jak rzucono straszliwe zaklęcie. Mógł się tylko domyślać, kto jest za to odpowiedzialny, lecz dla wielu pomniejszych demonów oznaczało to pewną zagładę. Przyzwanie tak dużej liczby oznaczało, że każdy piekielny wojownik musiał zostać przywiązany do śmiertelnego ciała, które zostało mu dostarczone. Z upływem czasu, nawet miesiąca, zaadaptowałyby się do życia w tym świecie, byliby zdolni do odrzucenia skorup. Jednak to nowe ;| zaklęcie stanowczo zbyt wcześnie

oderwało ich od ziemskich powłok. Moce wyzwolone gwałtownym oddzieleniem przeżyli tylko najsilniejsi. Mówiąc po ludzku, przypominało to wyjęcie dziecka z łona matki na miesiąc przed terminem. Przeżyj ą tylko najsilniejsi...

Niedobitki będą skazane na błąkanie się po Aranoch, niezdolne do samodzielnego powrotu do Piekła. W przeciwieństwie do Xazaxa, większość z nich nie potrafiła planować na czas dłuższy niż chwila obecna – Belial wierzył, że poprowadzi ich jego kapitan.

Dla modliszki była to jedyna szansa na odkupienie win. Mroczny lord wybaczy mu, jeśli Xazax zbierze ocalałych i odeśle ich z powrotem do Piekła. Aby tego dokonać, demon musiał znaleźć kolejnego ludzkiego pionka znajdującego się na magii, a takich było wielu.

Jednak wcześniej musiał coś upolować, aby zapewnić sobie energię niezbędną do wyleczenia rany. Modliszka lubowała się w miłych, dojrzałych kupcach obozujących na pustyni, ale w tej chwili odpowiadało jej wszystko.

Demon nerwowo poruszył się na piasku. Czar przeklętej nekromantki wciąż działał, choć jego działanie nieco osłabło. Wizje aniołów i innych przerażających postaci czasem stawały mu przed oczyma, ale za każdym razem udawało mu się zwalczyć chęć ucieczki.

Gdy odzyska siły i wyliże się z ran, odnajdzie Norreca Vizharana i tę kobietę.

Przygwoździ ich, upewni się, że żyją, a potem zacznie obierać ciało najpierw jednego, a potem drugiego. A potem Xazax zacznie ich powoli pożerać, rozkoszując się każdym krwawym kąskiem...

Xazax... Zamarł, przepłynęły po nim fale strachu. Przeklęty ludzki czar! Czyjego pozostałości nigdy nie znikną? De jeszcze będzie musiał znosić wizji i szepczących głosów, nim to się skończy?

Czuję cię z daleka... od razu cię poznałem...

Wielka modliszka rozejrzała się wokół, ale nikogo nie dostrzegła. Więc tym razem był to głos w jego głowie. Już dość wycierpiał...

Ponad Xazaxem przesunął się cień ciemniejszy niż noc, zupełnie zaskakując rannego potwora.

Przebiegły... kłamliwy... zdradziecki mały owad...

Xazax zamarł. Żadna istota stworzona przez zaklęcie kobiety nie wyrażała się z takim przekonaniem.

– Kto śmie? – szepnął, obracając się w stronę, z której zdawał się pochodzić głos rozbrzmiewający w jego głowie – Kto...

Przed modliszką z piekła rodem pojawił się najbardziej potworny koszmar, jaki tylko mógł się jej przyśnić. Żwaczki demona wyprostowały się i jedno, prawie płaczliwie wypowiedziane słowo usiłowało zostać wypowiedziane.



Nocną ciszę na pustyni przerwał nieziemski krzyk. Sprawił, że wszystkie stworzenia z Aranoch przerwały swoje zajęcia i słuchały w zupełnym przerażeniu. Nawet, gdy krzyk gwałtownie się urwał, one długo jeszcze nie ruszały się w obawie, że to, co polowało na źródło tego dźwięku przyjdzie też i po nie.

Wśród demonów Beliala, które przeżyły katastrofę pod Lut Gholein, zapanował jeszcze większy strach. Wyczuły, co się stało, wyczuły, co się za tym kryje i wiedziały, że dla nich i ludzi z tego świata koszmar dopiero się rozpoczął...

Dziedzictwo krwi

Karta tytułowa

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENACIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

DZIEWIĘTNACIE

DWADZIEŚCIA

EPILOG